

GARRI  
KASPAROW

# NADCHODZI ZIMA

Dlaczego trzeba powstrzymać  
WŁADIMIRA PUTINA  
i wrogów wolnego świata

Prorocza i szokująca opowieść o tym,  
jak Rosja stacza się ku dyktaturze,  
i o tym, jak Zachód płaci teraz za to, że do tego dopuścił

# NADCHODZI ZIMA

Dlaczego trzeba powstrzymać  
WŁADIMIRA PUTINA  
i wrogów wolnego świata

GARRI  
KASPAROW

współpraca MIG GREENGARD

przekład  
MICHAŁ ROMANEK

 insignis

Tytuł oryginału

*Winter Is Coming*

*Why Vladimir Putin and the Enemies of the Free World Must Be Stopped*

Copyright © 2015 by Garri Kasparow

Published in the United States by PublicAffairs™

a Member of Perseus Book Group

All rights reserved.

Przekład

Michał Romanek

Redakcja i korekta

Pracownia 12A

Konwersja

Tomasz Brzozowski

Projekt oryginalnej okładki

Pete Garceau

Zdjęcie na okładce

© AFP / Getty Images

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-66873-85-8



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 12 636 01 90

[biuro@insignis.pl](mailto:biuro@insignis.pl), [insignis.pl](http://insignis.pl)

[facebook.com/Wydawnictwo.Insignis](https://facebook.com/Wydawnictwo.Insignis)

[twitter.com/insignis\\_media](https://twitter.com/insignis_media) (@insignis\_media)

[instagram.com/insignis\\_media](https://instagram.com/insignis_media) (@insignis\_media)

[tiktok.com/@insignis\\_media](https://tiktok.com/@insignis_media) (@insignis\_media)

*Pamięci Borisa Niemcowa  
i wszystkich ludzi na świecie walczących  
o wolność i demokrację,  
tak jak on codziennie o nie walczył.*

*Garri Kasparow*

*Dla Zoe, dzięki której to wszystko było możliwe,  
oraz dla Cleo i Rify, dzięki którym było warto.*

*Mig Greengard*

## Wprowadzenie

19 sierpnia 1991 roku telewizja CNN prowadziła nieprzerwaną relację na żywo z wydarzeń związanych z próbą zamachu stanu zmierzającą do obalenia sowieckiego prezydenta Michaiła Gorbaczowa. Sprzymierzeni z KGB twarogłowi przedstawiciele rozsypującego się komunistycznego reżimu zastosowali wobec Gorbaczowa areszt domowy, zamykając go w jego daczce na Krymie, i ogłosili stan wyjątkowy. W światowej prasie wypowiadało się mnóstwo ekspertów i polityków, którzy obawiali się, że ten zamach stanu może oznaczać nagły koniec pieriestrojki albo nawet początek wojny domowej, ponieważ do centrum Moskwy wtoczyły się czołgi.

Tamtego wieczora wraz z byłą amerykańską ambasadorką przy Organizacji Narodów Zjednoczonych Jeane Kirkpatrick, jakimś profesorem z Kalifornii i byłym agentem KGB byłem gościem programu *Larry King Live*. Jako jedyny z całej czwórki twierdziłem, że nie ma szans, by ten zamach stanu się powiódł, oraz że będzie trwał nie dłużej niż czterdzieści osiem godzin, a nie całymi miesiącami, jak przewidywała ambasadorka Kirkpatrick i wiele innych osób. Wskazywałem, że przywódcy puczu nie cieszą się powszechnym poparciem, a podjęta przez nich próba powstrzymania reform, których się obawiali, może doprowadzić do i tak nieuniknionego rozpadu Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich. Rządząca biurokracja również była rozdarta, bo wielu urzędników uważało, że po rozpadzie Związku Sowieckiego będą mieli większe szanse na awans. Moje przewidywania w ogromnej mierze się sprawdziły, kiedy zobaczyliśmy, jak rosyjski prezydent Borys Jelcyn wspina się na czołg, mieszkańcy Moskwy wychodzą na ulice w obronie wolności i demokracji, a klika przywódców puczu zdaje sobie sprawę, że społeczeństwo jest przeciw nim. Dwa dni później się poddali.

Próba zamachu stanu nie tylko się nie powiodła, ale przyspieszyła upadek Związku Sowieckiego, ukazując obywatelom ZSRS jasny wybór. Rozpad dotychczasowego państwa i perspektywa niepodległej przyszłości były trochę przerażające, to prawda, ale nie mogło to być gorsze od totalitarnej teraźniejszości.

W kolejnych miesiącach sowieckie republiki, niczym kostki domina, jedna po drugiej ogłaszały niepodległość. A w samej Moskwie już dwa dni po klęsce zamachu rozentuzjarmowany tłum zburzył znajdujący się przed siedzibą główną KGB pomnik „Żelaznego” Feliksa Dzierżyńskiego, przerażającego założyciela sowieckich służb bezpieczeństwa.

Kiedy teraz czytam zanotowane wówczas przez dziennikarzy wypowiedzi uczestników tych zgromadzeń, trudno mi opanować wzruszenie. „To początek naszego procesu oczyszczenia” – powiedział przywódca górniczego związku zawodowego. Prawosławny pop mówił: „Zniszczymy ten olbrzymi, groźny, totalitarny aparat KGB”. Tłum skandował: „Precz z KGB!” i „*Swo-bo-da!*” – co po rosyjsku znaczy „wolność”. Milicjanci zdejmowali czapki i przyłączali się do pochodu, a na cokole znienawidzonego pomnika wypisywano hasła w rodzaju „Pod sąd rzeźników z KGB!”. Jakiś lekarz powiedział, że ten protest jest inny od tych z ubiegłych miesięcy: „Mamy wrażenie, jakbyśmy się na nowo narodzili”.

Dlatego tak trudno pojąć, jak to się stało, że osiem lat później, 31 grudnia 1999 roku, prezydentem Rosji został były podpułkownik KGB. Przerwano rodzące się w tym kraju demokratyczne reformy i zaczęto je konsekwentnie odwracać. Władze rozpoczęły ataki na media i społeczeństwo obywatelskie. Rosyjska polityka zagraniczna zaczęła opierać się na zastraszaniu i agresji. Nie było żadnego procesu oczyszczenia, żadnych procesów dla rzeźników i żadnego niszczenia aparatu KGB. Zburzono wprawdzie pomnik Dzierżyńskiego, ale nie totalitarne represje, które symbolizował. One na nowo się narodziły – w osobie Władimira Putina.

Przeskoczmy teraz do roku 2015, a przekonamy się, że Putin nadal jest na Kremlu. Wojska rosyjskie zaatakowały Ukrainę i zajęły Krym, a stało się to sześć lat po napaści na innego sąsiada, republikę Gruzji. Zaledwie kilka dni po tym, jak w lutym 2014 roku odgrywał rolę gospodarza zimowych igrzysk olimpijskich

w Soczi, Putin wzniecił wojnę na wschodniej Ukrainie i został pierwszym przywódcą, który dokonał przyłączenia siłą suwerennego obcego terytorium od czasu Saddama Husajna w Kuwejcie. Ci sami światowi przywódcy, którzy rok wcześniej uśmiechnięci pozowali do zdjęć z Putinem, teraz wprowadzają sankcje przeciwko Rosji i członkom rosyjskiej elity władzy. Rosja grozi, że zakręci kurki na rurociągach, którymi płynie do Europy jedna trzecia potrzebnej jej ropy i gazu. Metaforyczne mafijne państwo, którego *capo di tutti capi* (szefem wszystkich szefów) jest Putin, przeszło od fazy ideologicznie agnostycznej kleptokracji do stosowania jawnie faszystowskiej propagandy i taktyki. Powróciło zapomniane od dawna widmo nuklearnej zagłady.

Na obecny kryzys złożyły się dwa procesy. Pierwszy to zmiana, która dokonała się w Rosji: w zaskakująco krótkim czasie od świętowania końca komunizmu kraj ten wybrał sobie na przywódcę oficera KGB, a następnie zaczął dokonywać inwazji na sąsiadów. Drugi to przysłużenie się do tej zmiany przez wolny świat – a doszło do tego w wyniku połączenia zubożenia, niewiedzy i źle ukierunkowanej życzliwości. Decydującą sprawą jest ustalenie, jak się to stało i co poszło nie tak, bowiem wprawdzie teraz uznaje się Putina za stan zagrożenia, jednak Europa i Ameryka wciąż źle to rozumieją. Państwa demokratyczne na całym świecie muszą się zjednoczyć i przyswoić sobie na nowo lekcje płynące z wygrania zimnej wojny, zanim do końca wpadniemy w koleiny następnego takiego konfliktu. Rosja Putina to zdecydowanie największe i najpoważniejsze zagrożenie, przed jakim stoi dziś świat – ale nie jedyne. Grupy terrorystyczne takie jak Al-Kaida i Państwo Islamskie są (mimo nazwy tej ostatniej) pozbawione państwa oraz tych nieprzebranych zasobów i broni masowego rażenia, które ma do swojej dyspozycji Putin. Jednakże ataki z 11 września oraz im podobne przekonały nas, że wcale nie trzeba mieć flagi państwowej ani nawet wojska, by wyrządzić straszliwe szkody najpotężniejszemu państwu na świecie. Co więcej, kraje, które finansowo wspierają terror, korzystają na tym, że będące celem terrorystów państwa demokratyczne nie organizują sobie agresywnej obrony. Światowe mocarstwa dają zbrodniczym reżimom Iranu, Korei Północnej i Syrii sporo czasu przy stole negocjacyjnym, nie uzyskując od nich

żadnych znaczących ustępstw.

Wielokrotnie podnoszono już kwestię wyzwań wynikłych z wielobiegunowego świata powstałego wraz z zakończeniem zimnej wojny. Tym, czego brakuje, jest spójna strategia dotycząca radzenia sobie z tymi wyzwaniami. Kiedy zimna wojna dobiegła końca, zwycięzcom zabrakło poczucia celu oraz wspólnego wroga, przeciwko któremu mogliby się zjednoczyć. Wrogowie wolnego świata nie mają takich wątpliwości. Tym, co ich określa, nadal jest sprzeciw wobec reguł i zasad liberalnej demokracji oraz wobec praw człowieka, których głównym symbolicznym i jak najbardziej faktycznym przedstawicielem są dla nich Stany Zjednoczone. A mimo to wciąż próbujemy ich angażować w dialog, negocjujemy z nimi, a nawet dostarczamy tym wrogom broni i zasobów, których oni używają, by nas atakować. Parafrazując podaną przez Winstona Churchilla definicję polityki ustępstw: karmimy krokodyle w nadziei, że nas zjedzą ostatnich.

Każde polityczne ochłodzenie między Waszyngtonem a Moskwą lub Pekinem momentalnie wywołuje u obu stron wzajemne zarzuty o chęć „powrotu do zimnej wojny”. Stosowanie dzisiaj tego komunału zakrawa na ironię, biorąc pod uwagę, że zapomniano, w jaki sposób prowadzono zimną wojnę i odniesiono w niej zwycięstwo – zapomniano, zamiast ów sposób naśladować. Zamiast stać na gruncie zasad mówiących, czym jest dobro, a czym zło, co jest słuszne, a co nie, na gruncie uniwersalnych wartości praw człowieka i ludzkiego życia, mamy politykę angażowania, resety i moralną równowagę. Czyli – politykę ustępstw pod różnymi innymi nazwami. Świat potrzebuje nowego sojuszu opartego na globalnej *Magna Carta*, deklaracji podstawowych praw, którą wszyscy członkowie muszą uznawać. Państwa, którym droga jest wolność jednostki, kontrolują obecnie większość światowych zasobów, a także światowego potencjału militarnego. Jeśli się zjednoczą i przestaną hołubić bandyckie reżimy oraz sponsorów terroryzmu, ich prawości i wpływom nic się nie oprze.

Celem nie powinno być budowanie nowych murów, by izolować miliony ludzi żyjących pod rządami autorytarnych władców, lecz danie im nadziei i szansy na jaśniejszą przyszłość. My, mieszkańcy krajów położonych za żelazną kurtyną,



w większości doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że w wolnym świecie są ludzie, którym na nas zależy i którzy walczą za nas, a nie przeciwko nam. I to było ważne, że o tym wiedzieliśmy. Dziś tak zwani przywódcy wolnego świata mówią o działaniu na rzecz demokracji, a jednocześnie traktują przywódców najbardziej represyjnych reżimów świata jak równych sobie. Polityka angażowania dyktatorów w dialog zawiodła na każdym możliwym poziomie i naprawdę czas najwyższy uznać to niepowodzenie.

Jak powiedział Ronald Reagan w swoim słynnym przemówieniu *Czas na wybór* z 1964 roku, nie ma wyboru pomiędzy pokojem a wojną, tylko między walką a kapitulacją. Musimy wybrać. Nie wolno nam skapitulować. Musimy walczyć, korzystając z potężnych zasobów wolnego świata, poczynając od wartości moralnych i bodźców ekonomicznych, a działania zbrojne traktując jedynie jako ostateczność. Ameryka musi temu przewodzić, wykorzystując swoje potężne zasoby i zdolność do mobilizowania swoich kłótniowych i podzielonych sojuszników. Jednak mówienie o wartościach amerykańskich czy nawet o wartościach zachodnich nie wytrzymuje dziś próby czasu. Działać musi Japonia i Korea Południowa, Australia i Brazylia, Indie i Republika Południowej Afryki – i każdy kraj, który ceni sobie demokrację oraz wolność i korzysta z ogólnoświatowej stabilności. Wiemy, że to się da zrobić, ponieważ robiono tak już wcześniej. Musimy odważyć się zrobić to znowu.

\*

Pięć lat po tym, jak Putin objął rządy i rozpoczął odbudowę rosyjskiego państwa policyjnego, które tak podziwiał, ja sam doświadczyłem własnego odrodzenia. W roku 2005, po dwudziestu latach spędzonych na szczycie światowych szachów zawodowych, wycofałem się z uprawiania tego sportu, by przyłączyć się do nowo powstałego rosyjskiego ruchu na rzecz demokracji. Zostałem mistrzem świata w roku 1985, mając dwadzieścia dwa lata, i na szachownicy osiągnąłem wszystko, co mógłbym chcieć osiągnąć. Zawsze chciałem zrobić coś ważnego dla świata, a czułem, że w świecie szachów mój czas już się skończył. Chciałem, by moje dzieci

mogły dorastać w wolnej Rosji. I przypomniałem sobie hasło, które matka kiedyś powiesiła u mnie w pokoju na ścianie, cytat z któregoś z sowieckich dysydentów: „Jeśli nie ty, to kto?”. Miałem nadzieję, że wykorzystam własną energię i sławę do odparcia narastającej fali represji płynących z Kremla.

Podobnie jak wielu Rosjan martwiła mnie mało znana przeszłość Putina w KGB i jego nagłe dojście do władzy po tym, jak w 1999 roku nadzorował brutalną wojnę mającą spacyfikować rosyjski region Czeczenii. Jednak mimo tej niechęci początkowo i ja, i moi rodacy chcieliśmy dać Putinowi szansę. Jelcyn bardzo zszargał swoją pozycję w porządku demokratycznym przy okazji ponownego wyboru na prezydenta w 1996 roku, ponieważ wykorzystał uprawnienia własnego urzędu do wpłynięcia na wynik wyborów, i przyznaję, że w tamtym czasie należałem do osób uważających, że można wybrać mniejsze zło w postaci częściowego poświęcenia uczciwości demokratycznych procedur, jeśli wymaga tego powstrzymanie znienawidzonych komunistów przed odzyskaniem władzy. Takie kompromisy niemal zawsze są błędem i tak też było w tym wypadku, ponieważ utorowano w ten sposób drogę do wykorzystywania osłabionego systemu jeszcze bardziej bezwzględnej osobie.

Kryzys finansowy z 1998 roku pozostawił rosyjską gospodarkę w bardzo rozchwianym stanie, chociaż z perspektywy czasu warto zwrócić uwagę, że już w roku 2000 trend się odwrócił i nastąpił znaczny wzrost produktu krajowego brutto (PKB). Jednak w okresie kryzysu przestępczość, inflacja oraz powszechne poczucie słabości i niepewności państwa sprawiły, że prostolinijny technokrata Putin stał się pociągającą i bezpieczną opcją. Panowało przekonanie, że bez silnej ręki u steru kraj może pograć się w chaosie. W słabych państwach demokratycznych niepewność materialna i społeczna zawsze była łatwym celem, a większość dyktatorów doszła do władzy przy początkowym poparciu społeczeństwa. Całe ludzkie dzieje wypełniają niekończące się szeregi despotów i junt wojskowych, którym wola ludu dała władzę, by zaprowadzili porządek i zahamowali wybryki chwiejnego cywilnego reżimu „*la mano dura*” (twardą ręką). Jakoś ludzie zawsze zapominają, że znacznie łatwiej wprowadzić dyktatora na urząd, niż go z niego

zdjąć. Oczywiście nie oczekiwałem, że moja nowa kariera w czymś, co jedynie z ogromną dozą wyrozumiałości można nazwać rosyjską „polityką”, będzie łatwa. Opozycja nie próbowała wygrać wyborów; walczyliśmy jedynie o to, by te wybory w ogóle były wyborami. Dlatego właśnie zawsze mówiłem, że jestem aktywistą, a nie politykiem, nawet kiedy wygrałem w prawyborach jako kandydat opozycji do wyborów prezydenckich w 2008 roku. Wszyscy wiedzieli, że nigdy nie pozwolono by mi pojawić się na oficjalnej liście kandydatów; chodziło o to, by pokazać ten fakt i spróbować wzmocnić zwiotczałe mięśnie rosyjskiej demokracji. Początkowo moim celem było zjednoczenie wszystkich antyputinowskich sił w kraju, szczególnie tych, których zazwyczaj nie podejrzewaloby się o jakiegokolwiek wspólne wystąpienie. Liberalnego obozu reformatorskiego, do którego należałem, nie łączyło na przykład nic z Partią Narodowo-Bolszewicką – poza tym, że i nas, i ich spychano na margines, prześladowano i zdradzano w ramach planu Putina, by dożywotnio utrzymać się przy władzy. A mimo to nasza wątła koalicja maszerowała ulicami Moskwy i Sankt Petersburga – były to pierwsze poważne protesty polityczne od czasu objęcia urzędu przez Putina. Chcieliśmy pokazać ludziom w Rosji, że opór jest możliwy, i przekazać komunikat, że rezygnacja z wolności w zamian za stabilność to fałszywy wybór.

Niestety, podobnie jak inni współcześni despoci Putin miał (i nadal ma) pewien atut, o którym władze sowieckie nawet nie mogły marzyć: silne związki gospodarcze i polityczne z wolnym światem. Dekady wymiany handlowej wygenerowały olbrzymie bogactwo, którego dyktatury takie jak Rosja i Chiny użyły do stworzenia zaawansowanej autorytarnej infrastruktury wewnętrznej i do wywierania nacisków w polityce zagranicznej. Przekonanie, że wolny świat wykorzysta te gospodarcze i społeczne więzi do stopniowej liberalizacji państw autorytarnych, było naiwne. W praktyce państwa autorytarne nadużyły tego przepływu kapitału oraz ekonomicznej współzależności, by poszerzać zakres swojej korupcji na zewnątrz i podsycać represje wewnątrz.

Weźmy prosty przykład: cała Europa otrzymuje z Rosji jedną trzecią potrzebnej jej energii (choć oczywiście w wypadku niektórych krajów ta liczba jest znacznie

większa). Równocześnie rynek europejski odbiera 80 procent rosyjskiego eksportu energii. Która strona tej relacji dysponuje zatem większą możliwością wywierania nacisku? A mimo to w czasie kryzysu na Ukrainie słyszeliśmy powtarzane nieustannie wypowiedzi, że Europa nie może podjąć działań przeciwko Rosji z powodu uzależnienia energetycznego! Osiem miesięcy po zajęciu Krymu przez Putina, a trzy i pół miesiąca po pojawieniu się dowodów, że to wojska rosyjskie zestrzeliły samolot pasażerski nad Ukrainą, Europa wciąż „rozważała” przyjrzenie się sposobom, w jakie można by zastąpić rosyjski gaz. Zamiast wykorzystać swoje przytłaczające ekonomiczne oddziaływanie do powstrzymania napaści Putina, Unia Europejska udaje bezradność. Zbojkotowanie importu rosyjskich surowców energetycznych przez UE, a nawet już samo nałożenie na ten import wysokich ceł, zagroziłoby zupełnym zniszczeniem rosyjskiej gospodarki, której płynność finansowa jest obecnie całkowicie zależna od sektora energetycznego. Jednak Europie brakuje woli politycznej: Europa nie potrafi zdecydować się na poniesienie w krótkim okresie znaczących ofiar, by stawić czoła dużo większemu w długiej perspektywie zagrożeniu, jakie dla globalnego bezpieczeństwa i – co za tym idzie – dla zależnej od globalizacji gospodarki stanowi pozostawienie Putinowi pełnej swobody.

Polityka angażowania daje też współczesnym reżimom autorytarnym subtelniejsze narzędzia pozwalające unikać potępienia. Reżimy te ogłaszają własne pierwsze oferty publiczne (*initial public offerings*, IPOs) i mają luksusowe nieruchomości w Nowym Jorku i Londynie, co dostarcza wpływów z prowizji i podatków, z których zachłanni zachodni politycy oraz korporacje nie zgodzą się zrezygnować w imię praw człowieka. Państwa tłumiące wolność wykorzystują otwartość wolnego świata, zatrudniając lobbystów, szerząc propagandę w mediach i hojnie łożąc na polityków, partie polityczne oraz organizacje pozarządowe (NGO). Kiedy ujawnia się tego rodzaju działania, nie wywołują one zbyt ostrego sprzeciwu. Obywatele żyjący w wolnym świecie od czasu do czasu wyrażają oburzenie, kiedy media ujawniają istnienie jakiejś fabryki wyzyskującej pracowników, ale ostatecznie niewiele ich obchodzi środowisko społeczne krajów, w których wydobywa się kupowaną przez nich ropę czy produkuje się dla nich ubrania i iPhone’y.

Kiedy rosyjscy oligarchowie obejmowali zasięgiem swojego bogactwa oraz politycznych wpływów Putina cały świat, zachodnie firmy odwzajemniały im się, inwestując w Rosji. Giganci sektora energetycznego, tacy jak Shell czy British Petroleum (BP), nie mogli się doczekać, kiedy dostaną szansę dostępu do ogromnych rosyjskich zasobów surowców energetycznych, a uśpiony przez wiele lat rynek rosyjski był celem, któremu nie sposób było się oprzeć, bez względu na to, na jakie ustępstwa trzeba było się zgodzić przy zawieraniu umów. Prawa człowieka w Rosji były najmniejszym ze zmartwień zachodnich korporacji. Mimo wielokrotnego zdradzania, oszukiwania i zastraszania zachodnich firm przez ich rosyjskich partnerów, mimo wyrzucania ich ze spółek czy w ogóle z Rosji te firmy wciąż wracały, prosząc o jeszcze – jak bite psy do znęcającego się nad nimi pana.

Najbardziej jaskrawym przykładem był dyrektor generalny BP Robert Dudley, który uciekł z Rosji w 2008 roku, kiedy był dyrektorem generalnym spółki typu joint venture założonej z grupą rosyjskich miliarderów. Z powodu nieustannego nękania oraz w obawie przed aresztowaniem (a także – według jednej z wersji – przed otruciem) Dudley uciekł i ukrył się. A mimo to parę lat później wrócił do Rosji i zrobił sobie sesję zdjęciową z samym Putinem, ogłaszając, że zawarł umowę na poszukiwanie ropy z kontrolowanym przez państwo koncernem petrochemicznym Rosneft! I wprawdzie zagraniczne inwestycje nieco poprawiły wzrost rosyjskiego PKB (wynikał on w większości z potężnej podwyżki cen ropy), w niewielkim stopniu wpłynęło to jednak na poprawę jakości życia przeciętnych Rosjan. Większość tego nowego bogactwa wróciła z Rosji i wylądowała w zachodnich bankach oraz nieruchomościach zarejestrowanych na nazwiska Putinowskiej elity oligarchów.

Dlatego chociaż nasz wciąż się rozwijający ruch opozycyjny odnotował pewien postęp, gdyż zwrócił uwagę na niedemokratyczne realia Rosji Putina, od samego początku byliśmy na straconej pozycji. Całkowite panowanie Kremla nad środkami masowego przekazu i bezwzględne prześladowanie wszelkiej opozycji w społeczeństwie obywatelskim uniemożliwiło nabranie jakiegokolwiek trwałego rozmachu. W realizacji naszego zadania przeszkadzali też demokratyczni przywódcy,

którzy witali Putina na salonach światowej polityki, zapewniając mu tym samym tak bardzo mu potrzebne – wobec braku prawomocnych wyborów w Rosji – potwierdzenie jego przywództwa. Trudno nawoływać do demokratycznych reform, kiedy we wszystkich kanałach telewizyjnych i we wszystkich gazetach pokazuje się obrazy przywódców najpotężniejszych państw demokratycznych świata przyjmujących dyktatora jak członka rodziny. Z takiego wizerunku płynie przekaz, że albo w rzeczywistości wcale nie jest dyktatorem, albo demokracja i wolność jednostki to nic więcej niż karty przetargowe – jak to niezmiennie twierdzą ludzie pokroju Putina. Ostatecznie musiało dojść do najazdu na Ukrainę, by grupa G7 (zawsze sprzeciwiałem się stosowaniu nazwy G8) w końcu usunęła Rosję Putina z elitarnego klubu uprzemysłowionych państw demokratycznych.

W 2008 roku, kiedy Putin wypożyczył urząd prezydenta swojemu cieniowi Dmitrijowi Miedwiediewowi, nikt chyba nie miał już złudzeń, że rosyjska demokracja umarła. Jedyne kontrkandydatami na liście wyborczej byli przedstawiciele lojalnej opozycji obsadzeni w wyznaczonych im rolach: komunista Giennadij Ziuganow i Władimir Żyrinowski, który od 1991 roku był etatowym skrajnym prawicowcem. Obaj pełnili – i nadal pełnią – czysto dekoracyjną i nieszkodliwą funkcję polegającą na zapewnianiu absolutnie minimalnych pozorów demokracji. A mimo to kolejni demokratyczni przywódcy ustawiali się w szeregu, by wtórować tej farsie. George W. Bush zadzwonił do swojego nowego odpowiednika z gratulacjami. Francuski prezydent Nicolas Sarkozy serdecznie zaprosił Miedwiediewa do Paryża. Podobne panegiryki płynęły od przywódców Niemiec, Wielkiej Brytanii i innych, zbyt wielu, by ich tu wymieniać. I to mimo że wybory zbojkotowała najważniejsza europejska instytucja zajmująca się nadzorowaniem wyborów, Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE), na znak protestu przeciwko ograniczeniom narzuconym jej obserwatorom.

Dwa miesiące po swoim zaprzysiężeniu Barack Obama wraz z sekretarz stanu Hillary Clinton wystąpili z nową inicjatywą w zakresie polityki zagranicznej: zaproponowali „reset” w stosunkach Stanów Zjednoczonych z Rosją. I nie chodziło o realistyczne nowe podejście – którego można by się było spodziewać po tym, jak

zaledwie parę miesięcy wcześniej Rosja dokonała inwazji na małą Gruzję i ustanowiła na jej terenie niezależne enklawy, które do dziś jeszcze są okupowane przez rosyjskie wojska. Nie, ze strony Amerykanów było to czyste kokietowanie. (A towarzyszył mu w dodatku pokaz błędnie opisanego rekwizytu – rosyjski napis na niesławnym „przycisku resetującym”, który Clinton podała swojemu rosyjskiemu odpowiednikowi Siergiejowi Ławrowowi, w rzeczywistości oznaczał „przeładowanie”, a nie „reset”). Administracja Obamy chciała wierzyć, że młody i radosny Miedwiediew jest reformatorem, potencjalnym zwolennikiem liberalizacji, kimś, kto może zmienić kurs Putina. Można to nazwać naiwnością pierwszych dni programu „Nadzieja i zmiana”, jednak choć trudno w to uwierzyć, ta polityka angażowania trwała jeszcze długo po tym, jak stało się jasne, że w ogromnej mierze to nadal Putin sprawuje władzę i że jego plan przekształcenia Rosji na nowo w państwo policyjne się nie zmienił.

Przeprowadzona przez Putina operacja „Miedwiediew” zakończyła się pełnym zwycięstwem. Zyskał kolejne cztery lata na dalsze eliminowanie wszelkiej wewnętrznej opozycji przy jednoczesnym wykluczeniu ryzyka, że poniesie jakiegokolwiek konsekwencje na forum międzynarodowym. Kiedy w roku 2012 zgodnie z przewidywaniami Putin wrócił na urząd prezydenta, nawet specjalnie się nie troszczył, żeby urządzić porządne wybory. Jak większość dyktatorów ma on doskonały zwierzęcy instynkt pomagający mu oceniać rywali, poza tym wiedział, że nie spotka się z poważnym sprzeciwem ze strony innych światowych przywódców. W dodatku – również jak wszyscy dyktatorzy – z każdym udanym krokiem Putin stawał się śmielszy. Dyktatorzy nie pytają „dlaczego?”, by zagarnąć dla siebie więcej władzy; pytają jedynie „dlaczego nie?”. Kiedy Putin przypatrywał się uważnie, jak się do niego odnoszą inni przywódcy, tacy jak Merkel, Cameron czy Obama, nie znajdował żadnego powodu, dla którego miałby nie postąpić właśnie tak, jak mu się podoba.

Nie trzeba studiować historii, by dostrzec tę prawidłowość ani by zrozumieć, w jaki sposób doprowadziła ona do wojny na Ukrainie. Niełatwo było pozbyć się samozadowolenia, które zapanowało wśród państw wolnego świata po upadku

żelaznej kurtyny, i zająć się kimś pokroju Władimira Putina. Z angażowania go do rozmów wyciąga on jak najwięcej korzyści dla siebie, nie dając niczego w zamian. Przez całe lata, podczas których sytuacja praw człowieka w Rosji stale się pogarszała, zachodni politycy i eksperci, tacy jak Condoleezza Rice i Henry Kissinger, bronili słabości Zachodu nie potrafiącego stawić czoła Putinowi, mówiąc, że Rosjanie żyją dużo lepiej niż w czasach Związku Sowieckiego.

Przede wszystkim chcę im ironicznie pogratulować, że tak nisko oceniają nasze potrzeby! Zamiast porównywać obecną sytuację do lat pięćdziesiątych czy siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, może jednak pomyślimy o latach dziewięćdziesiątych? Nietrudno poprawić jakość życia, wychodząc od epoki totalitarnego komunizmu Stalina czy Breżniewa, jak jednak będzie ono wyglądało w porównaniu z życiem za rządów Jelcyna? Co powiemy o tym, że na oczach polityków z całego świata pokroju Rice i Kissingera dokonywało się niszczenie wszelkich rodzących się demokratycznych instytucji w Rosji? Skoro dawniej tak wielu przywódców i obywateli wolnego świata zabiegało o przestrzeganie praw człowieka w sowieckim społeczeństwie i w odniesieniu do więźniów politycznych w olbrzymich gułagach – a zabiegało o to bardzo usilnie – to dlaczego na podobne zainteresowanie i szacunek nie zasługują dysydenci w dwudziestym pierwszym wieku? Skuteczna polityka zawsze opiera się na zasadach. To prawda, Ronald Reagan również rozmawiał ze swoimi sowieckimi partnerami, ale też – jak powiedział mi kiedyś Václav Havel – Reagan najpierw rzucał na stół listę więźniów politycznych!

W pierwszych latach swojej działalności opozycyjnej często mówiłem, że Putin to rosyjski problem, który powinni rozwiązać Rosjanie, ale też że wkrótce stanie się problemem regionalnym, a potem globalnym, jeśli zlekceważy się jego ambicje. Niestety ta przemiana nastąpiła i z jej powodu zginęli ludzie. Marna to dla mnie pociecha, gdy słyszę: „Miałeś rację!”. A jeszcze marniejsze są widoki na poprawę tej sytuacji, skoro nawet dziś tak niewiele się robi, by położyć kres agresji Putina. Jaki jest sens mówić, że powinno się słuchać i działać, skoro nadal nie słucha się ani nie działa?



W ciągu ostatnich dwudziestu lat powtarzanie w kółko potrzeby angażowania dyktatur do rozmów i niechęć do zajmowania się dokonywanymi przez nie zbrodniami – szczególnie kiedy dyktatorami są liczący się partnerzy w interesach – do tego stopnia zakorzeniły się w umysłach, że nawet najзд na suwerenne państwo europejskie nie jest w stanie wyrwać ich spod wpływu tej mantry. Stany Zjednoczone i Unia Europejska wprowadziły wprawdzie sankcje przeciwko rosyjskim przedstawicielom elity władzy oraz gałęziom przemysłu, choć w większości zbyt słabe i zbyt późno. A mimo to nadal nie chcą uznać potrzeby potępienia i odizolowania Rosji jako groźnego bandyckiego państwa, w jakie przekształcił ją Putin. To pokolenie zachodnich przywódców nie chce uznać, że zło nadal istnieje na tym świecie i że trzeba z nim walczyć bez taryfy ulgowej, a nie z nim negocjować. Obecnie widać wyraźnie, że państwa demokratyczne dwudziestego pierwszego wieku nie są gotowe do podjęcia tej walki. Wciąż otwarte pozostaje pytanie, czy potrafią stać się do niej gotowe i czy to zrobią.

\*

Przekonanie, że upadek jakiegoś symbolu jest równoznaczny z kresem tego, co ów symbol reprezentował, jest bardzo niebezpieczne, ale pokusa takiego myślenia jest niemal nieodparta. Ludzie bardzo lubią wszelkiego typu symbole i opowieści, szczególnie kiedy wyglądają jak szczęśliwe zakończenie długiej mrocznej baśni. Mur berliński stanowił dosłowny i przenośny podział świata na dobro i zło, światło i ciemność. Kiedy rozentuzjasmowani Niemcy przedarli się przez graniczne zasieki i rzucili się z młotami na znienawidzony mur, łatwo było uwierzyć, że pokonano w ten sposób samo zło.

Świętowanie było oczywiście uzasadnione. Setki milionów ludzi budziły się z totalitarnego koszmaru, który trwał całe dekady. „Imperium zła” upadło. Niemal z dnia na dzień obszar rozciągający się na ponad sześć tysięcy siedemset kilometrów – ćwierć globu, sięgająca od Półwyspu Czukockiego na rosyjskim Dalekim Wschodzie aż do Berlina – wyrwał się spod komunistycznych represji i plag ekonomicznych ku jasnej nadziei demokracji i gospodarce wolnorynkowej. To była

wielka, niezapomniana chwila.

Były też inne, bardziej praktyczne powody do świętowania. Znikło zagrożenie dla istnienia ludzkości w postaci wojny jądrowej. Trzy pokolenia wychowały się na ćwiczeniach obrony przeciwatomowej, a przy stole toczyły rozmowy o „wzajemnym zagwarantowanym zniszczeniu”. Niezliczone biliony dolarów wpompowano w środki militarne i środki mające im przeciwdziałać, a teraz wszystko to miało stać się zbędne. Wynikła z tego „dywidenda z pokoju” miała doprowadzić do nowej ery dobrobytu, a przynajmniej tak głosiła powszechnie przyjęta wersja.

W odniesieniu do szachów opisałem zjawisko, które nazwałem „siłą przyciągania sukcesu z przeszłości”, brzemieniem własnych sukcesów. Każde zwycięstwo ściąga zwycięzcę lekko w dół i utrudnia mu wkładanie maksymalnego wysiłku w dalsze poprawianie swoich wyników. Tymczasem przegrany wie, że popełnił błąd, że coś poszło nie tak, więc będzie ciężko pracował, by następnym razem się poprawić. Szczęśliwy triumfator często uznaje, że wygrał po prostu dlatego, że jest wybitny. Zazwyczaj jednakże zwycięzca to jedynie ten gracz, który popełnił przedostatni błąd. Przewyciężenie tej skłonności i uczenie się czegoś ze zwycięstwa wymaga niezwyklej dyscypliny.

Naturalną, ludzką reakcją po odniesieniu zwycięstwa w zimnej wojnie było uściskanie dawnego wroga. Clinton i Jelcyn obejmowali się i śmiali. Unia Europejska i NATO przyjmowały państwa z dawnego bloku sowieckiego z otwartymi ramionami i inwestowały miliardy dolarów w pomoc dla nowych członków. Kiedy przyszło do wprowadzania reform ekonomicznych i politycznych, porzucono dotychczasowy kij w postaci izolacji i zamknięcia na rzecz opartej wyłącznie na zachętach zachodniej polityki marchewki. UE i inne instytucje motywowały wolne od niedawna kraje, by włączały się w ich struktury jako pełnoprawni członkowie, jeśli tylko spełnią minimalne warunki przejrzystości politycznej i reform gospodarczych. Ta zasada angażowania nowych członków okazała się wielkim sukcesem w Europie Wschodniej, mimo że niejednokrotnie droga prowadząca do tego sukcesu bywała wyboista.

Jednak tę wspianiałą metodę stosowano również tam, gdzie nie wykorzeniono

jeszcze sił ucisku. Państwa, w których represjom dokonywanym w sowieckim stylu zmieniono jedynie szyld, zapraszano do klubu bez specjalnych wymagań, a także ze znikomą wzajemnością. Dominującą na Zachodzie postawę można wyrazić w ten sposób: „Nic się nie dzieje, w końcu jakoś wyjdą na prostą. Demokracja zwyciężyła, źli zostali wyrzuceni za próg historii. Wystarczy ich angażować do rozmów i czekać”. Jednak słynne siły dziejowe nie wygrywają wojen same z siebie. A doświadczenie pokazuje, że często można świetnie sobie radzić, będąc za progiem historii, jeśli tylko pozostanie się przed progiem rurociągu.

Z perspektywy czasu musi zdumiewać, jak szybko zapomniano i porzucono lekcje płynące ze zwycięstwa w zimnej wojnie. W chwili największej w dziejach przewagi sił wolności i demokracji Zachód przestał tę przewagę wykorzystywać. Mimo że dysponował przytłaczającą potęgą militarną, ekonomiczną i moralną, całkowicie zmienił strategię.

Dziś, w erze globalizacji i fałszywej równoważności, wielu z nas z trudem być może przypomina sobie, że większość przywódców z epoki zimnej wojny widziała z bliska prawdziwe zło podczas drugiej wojny światowej. Oni nie mieli żadnych złudzeń co do tego, do czego są zdolni dyktatorzy, jeśli tylko da im się szansę. Oni byli świadkami czegoś, co groziło samemu istnieniu ludzkości, na własne oczy widzieli okropności obozów koncentracyjnych. Wiedzieli również, że w wojnie może zostać użyta broń jądrowa; dla kolejnych pokoleń ta myśl była niemal dosłownie nie do pomyślenia. To wstyd, że dziś Adolf Hitler i Józef Stalin stali się karykaturami, jakby byli mitologicznymi potworami reprezentującymi jakieś dawno pokonane starożytne zło.

Jednak zło nie umiera, tak samo jak historia się nie kończy. Zło można przycinać niczym chwast, nigdy jednak nie da się go całkowicie wykorzenić. Czeka tylko na okazję i natychmiast się rozplenia, wykorzystując szczeliny w naszej czujności. Potrafi wrosnąć w żyzną glebę naszego samozadowolenia, a nawet w skalne rumowisko zburzonego muru berlińskiego.

Kiedy mur runął, komunizm wcale nie zniknął. Dzisiaj prawie półtora miliarda ludzi nadal żyje w komunistycznych dyktaturach, a kolejne półtora miliarda

w najróżniejszych państwach tłumiących wolność, między innymi oczywiście w wielu krajach powstałych po rozpadzie Związku Sowieckiego. Kiedy mur runął, ludzkie pragnienie wyzysku i rządzenia innymi za pomocą dyktatu i siły nie zniknęło. Zniknęła natomiast – albo przynajmniej drastycznie zmalała – gotowość wolnego świata do zajęcia twardego stanowiska w sprawie ciemieźzonych.

Ta zmiana jest zrozumiała, ponieważ odzwierciedla społeczne pragnienie zakończenia dekad napięcia i impasu. Bill Clinton, który wygrał wybory w roku 1992, był pierwszym prezydentem z pokolenia dzieci urodzonych w okresie powojennego wyżu demograficznego i stanowił uosobienie sposobu myślenia, zgodnie z którym nadszedł czas przekroczyć surowy manichejski zimnowojenny światopogląd. Tymczasem smocze zęby rosły. Białoruski dyktator Łukaszenka zaczął swoje dożywotnie urzędowanie w roku 1994. Jego koledzy dyktatorzy z Azji Środkowej, Nazarbajew w Kazachstanie i Karimow w Uzbekistanie, są przy władzy od ponad ćwierćwiecza. To nie przypadek, że dwa spośród powstałych po rozpadzie Związku Sowieckiego państw o największym potencjale wyrwania się z okropnej rosyjskiej siły przyciągania, Gruzja i Ukraina, zostały przez Rosję zaatakowane i są przez nią częściowo okupowane.

To prawda, że te zbiry, ci despoci nie stanowią zagrożenia dla światowego ładu w stopniu choćby zbliżonym do tego, w jakim groził mu Związek Sowiecki, pomimo podejmowanych przez Putina prób sklecenia czegoś w stylu „ZSRS w wersji light” na drodze porozumień handlowych, zastraszania i instalowania marionetkowych przywódców. Oprócz posiadania ogromnego potencjału wojskowego ZSRS stanowił zagrożenie również dlatego, że agresywnie propagował toksyczną ideologię, komunizm, i potrafił go szerzyć daleko poza własnymi granicami. Jeszcze niedawno Putin uważał, że jest w stanie łupić Rosję i wzmacniać władzę, nie odwołując się do niczego, co by przypominało ideologię. „Kradnijmy razem” – takie było jedyne motto jego elity rządzącej, która wykorzystywała władzę do wypychania pieniędzmi kieszeni osób tę władzę sprawujących. Jednak wraz z pogarszaniem się sytuacji gospodarczej Rosji Putin został zmuszony do sięgnięcia do dalszych rozdziałów podręcznika dyktatora, by znaleźć nowe sposoby na uzasadnienie własnej roli

najwyższego wodza. Od roku 2013 Kreml i jego rozmaite tuby propagandowe łączą swoje ostatnie nagonki na gejów i media z otwarciem faszystowską retoryką mówiącą o „nierosyjskim” zachowaniu i zdradzie narodu. Część tych wypowiedzi, w tym również parę przemówień samego Putina, do złudzenia przypomina wypowiedzi przywódców nazistowskich z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Jak jednak dobrze wiedział Hitler, w końcu wrogów w kraju zaczyna brakować i trzeba ich szukać za granicą. Demonizowanie Stanów Zjednoczonych w państwowych mediach trwało już od dekady, ale to nie wystarczało.

Kiedy marionetkowy prezydent Putina na Ukrainie, Wiktor Janukowycz, uciekł z kraju po protestach na Euromajdanie domagających się większej integracji europejskiej, Putin wykorzystał swoją szansę. Po pretekście konieczności obrony Rosjan na Ukrainie najpierw zajął i zaanektował Krym, a potem zaczął podburzać do użycia siły wspieranych przez Rosjan „separatystów” na wschodniej Ukrainie. Niewiele później rosyjskie wojska i ciężkie uzbrojenie przekształciły ten konflikt w regularny najazd – wbrew coraz bardziej absurdalnym twierdzeniom Kremla, że tak nie jest.

Wojna jest zawsze rzeczą straszną, bez względu na powody, ale nie można nie zauważać niebezpiecznego zwrotu Putina ku imperializmowi o etnicznym podłożu. Kto twierdzi, że konflikt na Ukrainie rozgrywa się daleko i jest mało prawdopodobne, by doprowadził do ogólnoświatowej niestabilności, nie zauważa wyraźnego ostrzeżenia, jakie dał nam Putin. Nie ma żadnego powodu, by sądzić, że ogłoszona przez niego wizja „Większej Rosji” zakończy się na wschodniej Ukrainie, a jest wiele powodów, by sądzić, że nie. Dyktatorzy zatrzymują się tylko wtedy, kiedy ktoś ich zatrzymuje, a zaspokajanie apetytów Putina Ukrainą podsyci je jedynie i wzbudzi w nim pragnienie dalszych podbojów.

Ukraina to tylko jedna bitwa, której wolny świat wolałby nie zauważać, jedna z wielu w szerszej wojnie, której istnienia wolny świat nawet nie chce uznawać. Nie wystarczy jednak udawać, że się nie ma wrogów, żeby tak było. Podobnie jak mur berliński, tak i Związek Sowiecki odszedł w przeszłość, ale nie odeszli wrogowie wolności, którzy je zbudowali. Historia się nie kończy; historia zatacza koła.

Dzisiejsza odmowa stanięcia w obronie Ukrainy nie różni się niczym od odmowy aliantów, którzy nie stanęli w obronie Czechosłowacji w 1938 roku. Świat musi teraz działać, żeby Polska w 2015 roku nie musiała odgrywać roli Polski z roku 1939.

Zwycięstwa w zimnej wojnie nie przyniosła jedynie przewaga militarna czy gospodarcza, lecz wartości, które ja, były sowiecki obywatel, bez cienia ironii nazywam tradycyjnymi amerykańskimi wartościami – te wartości, które przyjął również zachodni blok. Nie możemy rozwiązać problemów globalizacji przy użyciu tych samych narzędzi prawnych i ekonomicznych, które do globalizacji doprowadziły. Skoro Rosja i Chiny praktycznie w pełni stały się częścią naszego zglobalizowanego świata, to by móc stawić czoła dyktatorom w tych krajach, potrzebujemy nowych ram, opartych na moralności. Potrzebujemy nowych sojuszków, by walczyć z pozbawionymi struktur państwowych sieciami terrorystycznymi, które wykorzystują przeciwko nam naszą własną technikę. Te ramy i sojusze trzeba oprzeć na zasadach moralnych, jedynej broni, z którą wrogowie demokracji nie będą w stanie się zmierzyć. Jest to tym bardziej oczywiste, kiedy ci wrogowie posiadają broń jądrową, co sprawia, że jakiegokolwiek starcie zbrojne staje się niewyobrażalnie niebezpieczne.

Zasnutym mgłą liniom strategii tych współczesnych konfliktów można skutecznie przeciwstawić jedynie wyraźne linie moralne. Wrogów wolnego świata da się wskazać na podstawie ich celów. Oni wiedzą, że jeśli wygra demokracja liberalna i zasady wolnego rynku, wykluczy ich to z gry – i dlatego tak walczą o własne przetrwanie. By odeprzeć ich ataki, musimy przekształcić swoje zasady w strategię. Musimy ustalić i rozumieć, o co i przeciwko komu walczymy. Musimy chcieć bronić swoich wartości, jakby od nich zależało nasze życie – bo tak jest.

Musimy opierać się próbom odwracania uwagi, usprawiedliwieniom i nieuczciwym argumentom z jednej strony wysuwany przez dyktatorów i zbirów, a z drugiej powtarzany przez zwolenników ustępstw i tchórzy. Rozprawiają bez końca o tym, co mogłoby się stać, gdyby wolny świat przeciwstawił się Putinowi, albo o konsekwencjach podjęcia bezpośrednich działań zbrojnych przeciwko ISIS.

Jednak nie chcą już pomyśleć o tym, co się stanie, jeśli podjęte działania okażą się niewystarczające, jeśli pozwolimy na utrzymanie obecnego *status quo* polityki ustępstw i angażowania do rozmów. Cel w postaci uniknięcia nowej zimnej wojny wydaje się godny podziwu, co jednak powiemy, jeśli tak naprawdę taka nowa zimna wojna już trwa? Co powiemy o faktycznej wojnie, najeździe i aneksji europejskiej ziemi, które już się dokonały na Ukrainie? Zaprzeczanie to polityka nie do przyjęcia. Martwienie się tym tylko, co mogłoby się stać, podczas gdy obecna sytuacja jest już katastrofalna, to żalosna próba odroczenia trudnych decyzji. Można ignorować to, że ma się raka, i kłócić się z lekarzami, którzy go wykryli, ale to nas nie ocali, bez względu na to, jak bardzo boimy się leczenia.

Nie da się z całkowitą pewnością powiedzieć, co dokładnie się stanie, jeśli na Ukrainie kraje wolnego świata pod przewodnictwem Stanów Zjednoczonych i NATO staną na drodze Putinowi (albo też jeśli postanowią wymazać ISIS z mapy świata). Jednego możemy być pewni: że takie działanie będzie w końcu konieczne i że z każdym upływającym dniem będzie ono wymagało więcej środków, więcej ofiar i więcej ludzkich istnień. Podobnie jak to było z każdym wcześniejszym dyktatorem, pewność siebie Putina i poparcie dla niego rośnie, kiedy nikt nie staje mu na drodze. Z każdym kolejnym krokiem, który Putin może odtrąbić jako sukces rosyjskiego państwa, coraz trudniej jest go usunąć, a coraz bardziej prawdopodobne staje się, że poczuje się on na tyle odważny, by podjąć kroki jeszcze bardziej agresywne.

To prawda: jeśli Ameryka, Europa i pozostałe państwa demokratyczne świata w końcu zdadzą sobie sprawę, że czas angażowania do rozmów się skończył, i zaatakują Putina oraz innych zbirów, odcinając im drogę i zapewniając zwycięskie wsparcie ich celom, to konflikty mogą na jakiś czas się zaostrzyć, zanim zdąży się je wygasić. Taka wizja – gotowość poniesienia tymczasowych ofiar dla osiągnięcia trwałego dobra – wymaga określonego rodzaju przywództwa, takiego, którego w dzisiejszym wolnym świecie jest bardzo niewiele. Wymaga myślenia w perspektywie dalszej niż do najbliższego głosowania, do następnego raportu kwartalnego i następnych wyborów. Przez całe dziesięciolecia strategię zimnej

wojny pozostawały mimo zmian kolejnych rządów zaskakująco niewzruszone, a ostatecznie zakończyły się wielkim zwycięstwem obozu wolności. Od tego czasu jeden prezydent po drugim, jeden premier po drugim odsuwał od siebie odpowiedzialność za problem praw człowieka w Rosji, aż Putin nabrał wystarczająco dużego impetu, by rozpocząć prawdziwą wojnę na europejskiej ziemi.

Często stosowany tu nieuczciwy argument polega na sugerowaniu, że interwencja przeciwko agresji mogłaby doprowadzić do trzeciej wojny światowej albo nuklearnego holokaustu. Wprost przeciwnie: obecny kryzys będzie nadal narastał tylko wówczas, gdy Putin nie napotka na swojej drodze jakiegoś nieodpartego zagrożenia dla władzy, którą trzyma w garści – bo to jedyne, na czym mu zależy. Jeśli pozwala się Putinowi, by szedł od zwycięstwa do zwycięstwa, zmiatając z powierzchni ziemi wszelką opozycję w kraju, a jednocześnie zyskując nowe terytoria i wpływy za granicą, to ryzyko wojny na całego drastycznie wzrasta. Adolf Hitler nie zaatakował Polski w 1939 roku dlatego, że alianci stanęli w obronie Czechosłowacji; nie stanęli. Hitler nie wkroczył do Kraju Sudeckiego dlatego, że świat stanowczo zaprotestował wobec jego anszłusu Austrii, lecz dlatego, że reakcja była tak słaba. Dopiero kiedy z tak wielką łatwością i przy tak niewielkim sprzeciwie ze strony zachodnich państw demokratycznych odniósł wszystkie swoje wczesne triumfy, nabrał wystarczająco dużej pewności siebie, by posunąć się za daleko. Oczywiście Putin to nie Hitler; tamtemu nieopisanemu złu nikomu nie uda się dorównać – chociaż ludzie, którzy przeżyli okropności reżimów Stalina, Mao Zedonga i Pol Pota, mogą się z tym nie zgodzić. Ważne jednak, by pamiętać, że w roku 1936 – a nawet w roku 1937 i 1938 – Hitler też nie był Hitlerem! Dopiero pewne wydarzenia pozwoliły mu stać się potworem: schlebienie mu przez zagranicznych sportowców i dostojników na igrzyskach olimpijskich w Berlinie, gorliwa kapitulacja Chamberlaina, brak sprzeciwu ułatwiający nazistowskiej armii przekraczanie niemieckich granic ustalonych po pierwszej wojnie światowej.

W kategoriach globalnego wpływu dzisiejsza rosyjska potęga przemysłowa i militarna nie może się równać z tą, którą dysponowały nazistowskie Niemcy. Jednak Putin ma coś, czego Hitler nigdy nie miał: broń jądrową. I nie boi się nam



o tym przypominać. Zmusiłem się do dwukrotnego wysłuchania dorocznej telekonferencji Putina z października 2014 roku z Soczi, bo nie mogłem uwierzyć, że tak beztrosko wychwala przerażający nuklearny wybieg sowieckiego przywódcy Nikity Chruszczowa. Jednak wszyscy powinniśmy uważnie słuchać, co Putin mówi, ponieważ ma już na swoim koncie sytuacje, w których zrobił to, czym groził, kiedy nikt go nie powstrzymywał.

Jeśli jednakże przywódcy wolnego świata w porę się opamiętają i uformują silny, zjednoczony front przeciwko Putinowi – poparty sankcjami ekonomicznymi, alternatywnymi w stosunku do rosyjskich źródłami surowców energetycznych, izolacją dyplomatyczną oraz wsparciem gospodarczym i wojskowym dla celów owego frontu – stanie się to fundamentem nowego sojuszu państw demokratycznych. Dyktatury dostaną wybór: albo przeprowadzą reformy i włączą się do społeczności międzynarodowej, albo będą stopniowo usuwane na margines i zostaną w tyle. Unia Europejska stosuje ten model we własnych strukturach; każde państwo kandydujące musi spełnić określone standardy w zakresie rozwoju gospodarczego i przestrzegania praw człowieka. Jednocześnie tej samej UE w najmniejszym stopniu nie przeszkadza prowadzenie interesów z brutalnymi dyktaturami, takimi jak Rosja Putina, których nigdy nie przyjęłaby w poczet swoich państw członkowskich. Położenie kresu wojnie Putina i położenie kresu tej pełnej hipokryzji polityce angażowania może dokonać się równocześnie.

\*

W niniejszej książce zajmę się przede wszystkim ustaleniem, dlaczego ta wojna jest prawdziwa, mimo że nie została wypowiedziana, i dlaczego to jest ważne. Nie mając oczywistych symboli, na których można by się skupić, nie mając złego imperium, przeciwko któremu można by walczyć, trudno będzie zjednoczyć państwa demokratyczne całego świata, by podjęły działanie – ale muszą to zrobić. Następnie przyjrzymy się temu, jak dwa dziesięciolecia, podczas których Zachód się wycofał i okopał w szanłach, ośmieliły na całym świecie despotów pokroju Putina i grupy terrorystyczne w rodzaju ISIS oraz przyczyniły się do ich rozpanoszenia się.

Mówi się, że kraje demokratyczne mają takich przywódców, na jakich zasługują, dlatego musimy zastanowić się, jaka zmiana w zakresie wartości i priorytetów odpowiada za to, że appeasement (polityka ustępstw) i defetystyczna Realpolitik stały się normą w dzisiejszej polityce zagranicznej. Usunięcie moralnego składnika ze sfery spraw zagranicznych to katastrofa, z której bardzo długo będzie się trzeba podnosić. Ostatnią część tej książki poświęciłem naszkicowaniu szeroko zakrojonego planu mającego doprowadzić do tego uzdrowienia, a zacznam od pytań, na które powinien odpowiedzieć każdy, kto chce brać udział w rządach w państwach demokratycznych.

Na kolejnych stronicach tej książki podzielę się z czytelnikami swoimi osobistymi spostrzeżeniami i doświadczeniami z czasów, kiedy byłem aktywistą w Rosji, oraz ze swojej obecnej pracy na stanowisku prezesa Fundacji Praw Człowieka (Human Rights Foundation) z siedzibą w Nowym Jorku. Oczywiście tak naprawdę moje polityczne batalie zaczęły się jeszcze w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, kiedy jako szachowy mistrz zbuntowałem się przeciwko sowieckim władzom sportowym, a w wywiadach udzielanych zachodniej prasie mówiłem o niegodziwościach systemu komunistycznego, przez co często narażałem się na kłopoty. Jednak najważniejszy wątek tej książki nie dotyczy mnie. To opowieść o tym, jak Władimir Putin – przy obojętności, a w niektórych wypadkach przy wsparciu wolnego świata, który wcześniej pokonał Związek Sowiecki – zakończył demokratyczny eksperyment w Rosji.

## Prolog

Książka dotycząca powstania i upadku rosyjskiej demokracji byłaby niezwykle krótka. W ciągu zaledwie ośmiu lat Rosja zdążyła przejść od etapu rozentuzjasmowanych tłumów świętujących w roku 1992 upadek Związku Sowieckiego do wybrania byłego agenta KGB Władimira Putina na prezydenta. Następnie w ciągu kolejnych ośmiu lat Putin zepsuł lub rozwiązał niemal każdy demokratyczny element państwa – równowagę między poszczególnymi rodzajami władz, uczciwe wybory, niezależne sądownictwo, wolne media i społeczeństwo obywatelskie, które mogło współpracować z władzami, zamiast żyć w strachu przed nimi. Niewspółpracujących oligarchów wtrącano do więzień albo skazywano na wygnanie, a prasa szybko się nauczyła, co można mówić, a czego mówić nie wolno. Putin również skonsolidował rosyjską gospodarkę, ukrócił wolnorynkowe reformy i położył nacisk na tworzenie „państwowych potentatów” w sektorze energetycznym i bankowym. Potencjalny punkt zwrotny nadszedł w roku 2008, kiedy Putinowi kończył się konstytucyjny limit dwóch czteroletnich kadencji. Mało kto spodziewał się, że prezydent odejdzie z klasą albo że w ogóle odejdzie, ale co do tego, jak dokładnie uda mu się utrzymać kontrolę przy jednoczesnym zachowaniu pozorów, toczyły się zażarte spory. Putin zawęził władzę nie tylko do własnej partii czy własnego urzędu, lecz nawet do własnej osoby. Dla mafijnego państwa KGB, nad którego tworzeniem on sam i jego sojusznicy spędzili osiem lat, jego odejście miałoby skutek podobny do wyrwania kręgosłupa. Putin mógł zmienić rosyjską konstytucję i kandydować jeszcze raz, ale w tamtym czasie zależało mu jeszcze na zachowywaniu pozorów demokracji. Na przykład niezręcznie byłoby innym przywódcom państw grupy G8 witać go w swoim gronie, gdyby w jakiś prymitywny sposób zagarnął władzę, a pozostawanie w dobrych stosunkach z przywódcami

Stanów Zjednoczonych, Japonii i Europy Zachodniej było dla Putina bardzo korzystne w aspekcie polityki wewnętrznej. Bo jak tu nazwać go przeciwnikiem demokracji, nie mówiąc już o nazwaniu go despotą, skoro tak serdecznie przyjmuje go taki na przykład George W. Bush, Silvio Berlusconi czy Nicolas Sarkozy?

Dylemat, przed którym musiał stanąć Putin, dał nam, uczestnikom rosyjskiego ruchu opozycyjnego, krótką iskrę nadziei, że wybory w 2008 roku mogą stać się okazją do zmiany kursu państwa. Wiedzieliśmy, że same wybory od początku do końca będą sfałszowane, ale mieliśmy nadzieję, że ujawnienie tej korupcji może sprawić, że przyłączy się do nas więcej ludzi. Rosjanie mieli świadomość, że pod władzą Putina tracą przysługujące im swobody, i nadal mogło im zależeć, by o tym przypomnieć, jak to później pokazały masowe protesty w 2011 roku.

Decyzja, jaką podjął Putin, z taktycznego punktu widzenia była mistrzowskim posunięciem. Zamiast zachować prezydenturę dla siebie, udzielił poparcia swojemu wicepremierowi, młodemu Dmitrijowi Miedwiediewowi, którego powszechnie uznawano za dużo bardziej liberalnego i prozachodniego od jego szefa. Jak można się było spodziewać, wynik wyborów był przewidywalny i sfałszowany: Miedwiediew otrzymał jedynie odrobinę mniej głosów niż Putin w roku 2004. (W tamtym czasie opowiadano dowcip, że Miedwiediew wykazałby się kompletnym brakiem taktu, gdyby uzyskał więcej procent głosów niż Putin – tak samo jak wówczas, gdyby był od Putina wyższy). Miedwiediew natychmiast mianował Putina premierem i tym samym zamienili się urzędami, wykonując na grobie rosyjskiej demokracji pełen gracji *pas de deux*. Cztery lata później Miedwiediew jak należy oddał prezydenturę swojemu panu, zmieniawszy wcześniej konstytucję w ten sposób, by Putin mógł teraz urzędować przez dwie sześcioletnie kadencje. Podczas wyborów w 2012 roku jeszcze mniej troszczono się o ukrywanie tego, że tak naprawdę w Rosji ponownie zapanowała dyktatura.

Parę wybojów na drodze jednak się przytrafiło. Zaledwie trzy miesiące przed przypadającymi na 4 marca wyborami prezydenckimi, spontanicznie wybuchły największe polityczne protesty w okresie posowieckim. Ich powodem było tak jawne sfałszowanie wyborów parlamentarnych, że dla wielu ludzi okazało to nie do

przełknięcia. W ciągu następnych miesięcy setki tysięcy Rosjan wychodziły na ulice, a wielu skandowało: „Putin musi odejść!”, oraz: „Rosja bez Putina!”.

Wraz z innymi przywódcami opozycji, takimi jak Aleksiej Nawalny i Boris Niemcow, często brałem udział w tych protestach, tym jednak, co dało nam nadzieję, że być może coś się zmienia, było niespodziewane pojawienie się 10 grudnia dziesiątków tysięcy zazwyczaj apolitycznych i apatycznych moskwiaków na placu Bołotnym. Od 2005 roku maszerowałem na czele wielu takich pochodów i zawsze policyjne oddziały prewencji przewyższały nas liczebnie przynajmniej dziesięciokrotnie. 24 grudnia na prospekcie Sacharowa proporcje wreszcie się odwróciły. Któż z nas, mając przed oczami całe morze opozycyjnych flag jednoczących się przeciwko korupcji i Putinowi, nie marzyłoby o nowej przyszłości?

Jednak nie dało się utrzymać tego rozmachu. Szybko uchwalono nowe drakońskie prawo przeciwko wolności zgromadzeń, które pozwalało na zasądzenie wysokich grzywien i uznawanie pokojowych protestów za niezgodne z prawem. Wielu przywódców opozycji i jej szeregowych członków nęcano, aresztowano i przesłuchiowano w sprawie ich roli w organizowaniu protestów. Kreml zaangażował potężne środki przeciwko protestom; ostatnią masową demonstrację 6 maja 2012 roku brutalnie rozpędzono i doprowadzono do tak zwanego procesu placu Bołotnego, którego akta objęły przesłuchania ponad tysiąca świadków, a sam proces zakończył się skazaniem dziesiątków protestujących na kilka lat pozbawienia wolności.

Równocześnie kontrolowane przez Kreml media zaczęły coraz natarczywiej przedstawiać protestujących i przywódców opozycji w złym świetle, uznając ich za niebezpiecznych ekstremistów, a całkiem możliwe, że także zdrajców ojczyzny. Nie tylko nie pokazywano rewolucji w telewizji, ale też niedoszłym rewolucjonistom nie dawano żadnego dostępu do telewizji. Po ogłoszeniu tak zwanych wyborów (na Putina) pojawiło się jeszcze parę znaczących protestów, ale w 2012 roku stało się dla mnie jasne, że demokracja w Rosji naprawdę umarła. Nie umiałem już sobie wyobrazić pokojowego przejścia do ustroju bez Putina. Gdyby Putin został obalony, zapanowałby chaos i przypuszczalnie przemoc. Po kilkakrotnym wezwaniu mnie

przez prokuraturę na specjalne przesłuchania – wchodzi się na nie jako świadek, a wychodzi jako podejrzany, o ile w ogóle się wychodzi – w 2013 roku postanowiłem nie wracać do Rosji.

W tym miejscu chciałbym cofnąć się w czasie i popatrzeć na Rosję z perspektywy zewnętrznej. Wzrost cen ropy, propaganda, represje, a mimo to uległość obywateli – Putinowi nie udało się to wszystko, co osiągnął, bez znaczącej pomocy z zewnątrz. W końcu w dzisiejszych czasach nie tak łatwo zaprowadzić dyktaturę. Niełatwo zapobiegać pojawieniu się u ludności jednego kraju zazdrości w stosunku do praw i bogactw, jakimi cieszą się kraje sąsiednie. Jednym z czynników, które utrudniają to zadanie dyktatorom, jest globalna łączność. Z tego powodu Putin zawsze robi, co tylko się da, by wspierać autorytarne reżimy w krajach sąsiadujących z Rosją.

Światowy trend w kierunku demokracji, który uwyraźnił się w drugiej połowie dwudziestego wieku, to jedno z największych osiągnięć ludzkości. Przed drugą wojną światową znaczna większość demokratycznych rządów na świecie znajdowała się w Europie i obu Amerykach. Samuel Huntington udokumentował tę „trzecią falę demokratyzacji” w swojej książce z 1991 roku, którą tak właśnie zatytułował, natomiast w roku 1992 ukazała się praca Francisa Fukuyamy o znamienym tytule *Koniec historii*. Demokracja liberalna i kapitalizm okazały się wielkimi zwycięzcami ostatniej potężnej rywalizacji ideologii, z jaką kiedykolwiek mieliśmy do czynienia. Totalitaryzm i komunizm okazały się wielkimi przegranymi. Siły dobra zwyciężyły w zimnej wojnie, w Moskwie otwarto McDonalda, nadszedł czas na dobrze zasłużone świętowanie.

Jednak w wypadku Rosji wszystko wyglądało inaczej. Koniec zimnej wojny stał się dla niej okazją nie tylko do rozwoju gospodarczego, lecz również do ciepłego przyjęcia do grona światowych mocarstw demokratycznych. Związek Sowiecki się rozpadł, ale Rosja, zdecydowanie największa i najpotężniejsza z jego republik, zachowała wiele przywilejów i stanowisk ZSRS. Zachowała również największy w świecie arsenał jądrowy, a jednocześnie skutecznie wyegzekwowała przekazanie jej głowic z Ukrainy, Białorusi i Kazachstanu. Rosja zajęła miejsce ZSRS w Radzie

Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych i mimo że sama nieustannie zgłaszała bezpodstawne skargi z tytułu upokorzeń doznawanych rzekomo z winy Zachodu, ze strony zwycięskiego obozu nie pojawiały się żadne żądania reparacji. W rzeczywistości Stany Zjednoczone i kilka innych państw udzieliły wręcz Rosji niezwykle jej potrzebnych gwarancji pożyczkowych i innej pomocy – bezpośrednio oraz poprzez Międzynarodowy Fundusz Walutowy (MFW). Rosja otrzymała nawet zapłatę za wycofanie swoich wojsk z Niemiec. I nie była to zwykła dobroczynność. Upadek i chaos dysponującego bronią jądrową giganta nie leżał w niczyim interesie.

Nikt też – ani na płaszczyźnie międzynarodowej, ani w samej Rosji – nie chciał żadnych procesów ani komisji prawdy i pojednania dotyczących byłego ZSRS. Po dekadach ludobójstwa, masowych przesiedleń i uwięzień, a także totalitarnych represji postanowiono zapomnieć o urazach i wkroczyć w nową wspaniałą przyszłość bez wzajemnego oskarżania się. Oczywiście wielu nowych przywódców i urzędników było osobiście zainteresowanych tym, by nie grzebać zbyt głęboko w pełnej okrucieństw przeszłości. Ja sam nie jestem dumny z tego, że byłem kiedyś członkiem partii komunistycznej, nawet jeśli wstąpienie do niej uznałbym za posunięcie wkalkulowane w myślenie o własnej karierze szachowej, w której rozwoju mógł przeszkodzić brak przynależności partyjnej. (Wystąpiłem z partii w styczniu 1990 roku).

Wkrótce dominującą postawą stało się „unikanie polowania na czarownice”, nawet jeśli oznaczało to pozostawienie u władzy ludzi mających krew na rękach. Jeszcze poważniejszą sprawą było to, że wprawdzie potężny rosyjski aparat bezpieczeństwa zmienił nazwę i póki co znacząco ograniczył swoją działalność, nienaruszone pozostały jego podstawy. Jelcyn nie chciał procesów i rosyjskie archiwa KGB pozostały niedostępne. Dawni funkcjonariusze w zamian za ułatwienie przekazania władzy otrzymali milczące zapewnienie bezpieczeństwa finansowego i obietnicę niepociągania ich do odpowiedzialności. Z tej samej formuły skorzystał Jelcyn, kiedy w 1999 roku własnoręcznie wybrał Władimira Putina na swojego następcę.

Państwa zachodnie jednomyślnie współdziałały w tej wątpliwej próbie

tuszowania faktów. To niezwykle, że nawet wielu z najbardziej jastrzębich uczestników zimnej wojny zaraz po zniknięciu ZSRS tak szybko i gorliwie wszystko przebaczyło i zapomniało. „Polowanie na czarownice” oznacza prześladowania, fałszywe oskarżenia i (albo) brak dowodów. Co jednak wówczas, gdy wokół mamy mnóstwo najprawdziwszych czarownic i pełno dowodów na ich czary? Nie zapominajmy, że mauzoleum Lenina nigdy nie usunięto z samego środka placu Czerwonego.

Myszę, że ludzkimi umysłami i sercami po obu stronach żelaznej kurtyny zawładnęło uczucie ogromnej radości. Mogliśmy poznawać całą resztę świata, podróżować, czytać gazety, w których było coś naprawdę ciekawego. Mogliśmy rozmawiać o polityce, która naprawdę miała znaczenie, a nawet głosować! Niewielu Rosjan miało ochotę na ponure procesy mające szczegółowo rozliczać ze wszystkich tych okropieństw, o których aż za dobrze wiedzieliśmy, że miały miejsce w Związku Sowieckim. Okazało się to straszliwym błędem, za który Rosja, a wraz z nią reszta świata, do dziś jeszcze płaci.

\*

Nie da się wskazać jakiejś jednej chwili, w której Rosja pobłądziła i pojawienie się Władimira Putina – albo kogoś do niego podobnego – stało się nieuchronne. Nie było jakiegoś konkretnego punktu zwrotnego w stosunkach Zachodu z Rosją, który by wyznaczał przejście od postawy konfrontacji w kwestii praw człowieka do polityki angażowania. Był to powolny i ciągły proces. Stany Zjednoczone i Europa wielokrotnie przymykały oko na zbrodnie i występki Gorbaczowa, Jelcyna i Putina w nadziei, że wszystko samo się wyprostuje. Zwłaszcza amerykańscy prezydenci zawsze pokładali zbyt wielką wiarę w konkretnych osobach w Rosji, zamiast wspierać reformy strukturalne i instytucjonalne, które mogły zagwarantować przetrwanie demokracji.

W rzeczywistości akceptowanie przez Zachód autorytaryzmu w byłym ZSRS zaczęło się, jeszcze zanim zaczęto na dobre dołączać to określenie „były”. W roku 1988 żarliwą wiarę Ronalda Reagana w moralną wyższość wolności jednostki i wolnego



rynku zastąpił rozważny pragmatyzm George'a H.W. Busha. Z początkiem 1991 roku, kiedy z Europy Wschodniej mocno powiał wiatr przemian, Gorbaczow zaczął tracić kontrolę nad swoim programem nieśmiałych reform. Bush robił, co mógł, by wspierać Gorbaczowa w próbach zachowania jedności ZSRS, wygłaszając 1 sierpnia 1991 roku niechlubne przemówienie, którym rozjuszył wielu Ukraińców, ponieważ przestrzegali ich przed zbyt silnym dążeniem do uzyskania niepodległości i oderwania się od ZSRS.

Rozpaczliwe wysiłki Gorbaczowa, by utrzymać przy życiu socjalizm i Związek Sowiecki, zakończyły się ostatecznie całkowitą porażką, a na Zachodzie uznano go za przypadkowego bohatera. Jeśli o mnie chodzi, to nie widzę nawet najmniejszych jego zasług w tym, co przypisują mu niektórzy: że nie wysłał słynnych czołgów, by zdławić antykomunistyczne powstania trwające w całym bloku sowieckim – nie uważam tego za zasługę, tym bardziej że w rzeczywistości Gorbaczow wysłał wojsko na Łotwę i Litwę, czyli tam, gdzie był przekonany, że ujdzie mu to na sucho. Tam, gdzie w grę wchodziło jego własne bezpieczeństwo, raczej nie był skłonny do podejmowania ryzyka i nie chciał skończyć jak rumuński komunistyczny dyktator Nicolae Ceaușescu, którego szybkie obalenie i stracenie w grudniu 1989 roku wszyscy mieli w świeżej pamięci.

Kiedy we wrześniu 1991 roku przemawiałem w Parlamencie Europejskim, porównałem Gorbaczowa do Ludwika XVI, który również zwołał na nowo Stany Generalne i odmówił użycia siły przeciwko rewolucjonistom w nadziei na to, że oszczędzą mu życie. Pod tym względem Gorbaczow miał więcej szczęścia od króla Ludwika, mimo że obaj cieszyli się z grubsza podobnym wskaźnikiem poparcia społeczeństwa. Istnieją także punkty zbieżne między Gorbaczowem a ostatnim rosyjskim carem Mikołajem II, który również próbował powstrzymać rewolucję i zachować autokrację na drodze powierzchownych reform. Zwołał parlament, zatwierdził konstytucję, a i tak nędznie skończył. (Trudno mi się oprzeć pokusie, by nie zwrócić uwagi na to, że wszyscy oni: i Gorbaczow, i Mikołaj II, i Ludwik XVI, mieli również inteligentne, wpływowe i niecieszące się popularnością żony: Raisę, Aleksandrę i Marię Antoninę. Raisa z pewnością miała świadomość, jak okrutny los

spotkał pozostałe dwie z wymienionych kobiet, i domyślałam się, że namawiała męża, by unikał stosowania siły, bo chciała zwiększyć szanse, że oboje ocalą skórę – a ona w dodatku swoje futra).

Borys Jelcyn natomiast w głębi duszy był prawdziwym populistą, choć także zawodowym partyjniakiem. Jego wiara w ludzi znajdowała poparcie w działaniu i w ambitnych reformach politycznych. Nie miał silnej ręki na płaszczyźnie międzynarodowej i zdawał sobie z tego sprawę, rekompensując to sobie przez uciekanie się w kontaktach z zagranicznymi przywódcami na przemian do przechwałek i wdzięczenia się. W latach dziewięćdziesiątych Jelcynowi udało się zachować sferę rosyjskich wpływów w regionie pomimo beznadziejnej słabości Rosji na arenie światowej. To, że coś takiego osiągnął, przynosi mu zaszczyt – a ogromną ujmę przynosi Billowi Clintonowi i pozostałym przywódcom grupy G7, którzy na to pozwolili.

Lata dziewięćdziesiąte stanowiły serię wspaniałych szans zmarnowanych przez siły światowej demokracji. Jeszcze nigdy w dziejach wszystko: potęga gospodarcza, militarna i moralna, nie było tak jednoznacznie po tej jednej stronie. Tę przewagę roztrwoniono, zamiast ją wykorzystać – reformując na przykład Organizację Narodów Zjednoczonych, której można było nadać nowe, silne ramy poszanowania praw człowieka. Stany Zjednoczone i ich europejscy sojusznicy mieli odpowiedni potencjał i mogli wywierać skuteczny nacisk, mocno nalegać na zdecydowane reformy – skutecznie korzystali z tych możliwości, by zwyciężyć w zimnej wojnie. Tymczasem teraz, gdy tylko upadł mur berliński, przerzucili się na coś innego, oparli się niemal wyłącznie na pozytywnych bodźcach i angażowaniu, co było całkiem skuteczne w Europie, ale nie sprawdzało się w odniesieniu do stanowczych despotów, takich jak Władimir Putin.

Ileokroć Putin rozprawiał się z opozycją w Rosji albo nawet ingerował w sprawy krajów ościennych, Zachód miał okazję do mocnej reakcji. Tymczasem Putina na każdym kroku nagradzano coraz silniejszymi więziami z głównymi państwami demokratycznymi świata i, co ważniejsze, coraz większym dostępem do ich lukratywnych rynków. Nie sposób oczywiście orzec z całą pewnością, że

zdecydowana postawa wolnego świata zmieniłaby dążenie Putina do dyktatury albo że by jej zapobiegła. Ja jednak uważam, że tak by było.

Putin to nie ideowiec. Razem ze swoimi kumplami nagromadzili ogromne majątki, więc ryzyko, że mogliby nie być w stanie swobodnie z nich korzystać na Zachodzie, byłoby dla nich bardzo poważnym zagrożeniem. W odróżnieniu od swoich sowieckich poprzedników Putin i jego sojusznicy nie zadowolają się najnowszymi modelami limuzyn Ził i przytulną daczą nad Morzem Czarnym. Chcą rządzić jak Józef Stalin, ale żyć jak Roman Abramowicz, bliski kumpel Putina, którego bogactwo pozwoliło mu kupić słynny angielski klub piłkarski i jachty rozmiarów boiska. Oligarchowie Putina podróżują po świecie i swoje majątki trzymają za granicą, a to daje zachodnim rządów możliwość wywierania na nich realnego wpływu, gdyby tylko miały odwagę z tego skorzystać.

Jeszcze większą możliwość wpływu na Putina miał Zachód we wczesnych latach jego pierwszej kadencji, kiedy rosyjski prezydent wciąż badał, na co może sobie pozwolić. Jak każdy urodzony despota, Putin szanuje tylko siłę. Idzie krok do przodu, rozgląda się, wietrzy, a potem, jeśli nie ma żadnych negatywnych konsekwencji, posuwa się dalej. Z każdym krokiem zyskuje więcej pewności siebie i trudniej go zatrzymać. Powściągliwe wyrazy zaniepokojenia ze strony dyplomatów i ministrów spraw zagranicznych to dla kogoś pokroju Putina jednoznacznie zielone światło. On interpretuje tego rodzaju paplanie jako rzecz z definicji bez znaczenia. Przecież gdyby Stany Zjednoczone naprawdę były zaniepokojone, to coś by zrobiły, zamiast tylko o tym mówić, nie przechodząc jednocześnie do działania.

Motywy zwolenników ustępstw są różne: od nierozsądnego optymizmu co do prawdziwego charakteru Putina po cyniczne polityczne karierowiczostwo, dla którego agresywna i zasobna w surowce energetyczne Rosja to zbyt trudny problem. Wielu zachodnim przywódcom łatwiej było udawać, że w Rosji nie ma problemu, niż przyznać, że może być trudno go rozwiązać albo że okaże się to niemożliwe. Poza tym jest jeszcze oddzielna kategoria, do której należą tacy mężowie stanu, jak Silvio Berlusconi i Gerhard Schröder – ludzie, dla których współpraca z Putinem to był dosłownie biznes, jak każdy inny.

Pomimo próby zmiany nazwy metody na „angażowanie” nie sposób zamaskować unoszącego się smrodu polityki ustępstw. Fundamentalna lekcja płynąca z wyprawy Chamberlaina i Daladiera na spotkanie z Hitlerem w Monachium w 1938 roku jest ważna i dziś: dawanie dyktatorowi tego, czego chce, nigdy go nie powstrzyma przed tym, by chcieć więcej; przekona go, że jego przeciwnicy nie mają wystarczającej siły, by uniemożliwić mu sięgnięcie po to, czego chce. W innym wypadku – rozumuje dyktator – już na początku stawiliby mu czoła.

Znaków ostrzegających przed prawdziwym charakterem i zamiarami Putina było mnóstwo. W dojściu do władzy pomogła mu brutalna odpowiedź, z jaką z jego ręki spotkały się zamachy bombowe na budynki mieszkalne z 1999 roku, akty terrorystyczne, co do których wiele osób nadal podejrzewa, że były prowokacją w stylu pożaru Reichstagu. (Jednak w odróżnieniu od podpalenia Reichstagu tam poląła się ludzka krew). Naloty dywanowe oraz torturowanie cywilów w całej Czeczenii przedstawiano jako część globalnej wojny z terrorem, co było kompletną bzdurą. Pogarda Putina dla wartości ludzkiego życia potwierdziła się później podczas dwóch sytuacji związanych z zakładnikami: pierwsza miała miejsce w 2002 roku, kiedy rosyjskie oddziały specjalne, używając nieznanego do dziś gazu, zabiły ponad setkę zakładników podczas szturm na moskiewski Teatr na Dubrowce. Drugą taką sytuacją było użycie w 2004 roku przez siły bezpieczeństwa wojskowych miotaczy ognia i zniszczenie budynku szkoły pełnej dzieci w Biesłanie, czego skutkiem była śmierć setek zakładników.

Szybkie podporządkowanie przez Kreml rosyjskiej prasy stanowiło – oprócz wzrostu cen ropy w 2008 roku o ponad 700 procent – najważniejszą przyczynę tego, co postrzegano jako sukces reżimu Władimira Putina. Już na początku swojej pierwszej kadencji prezydenckiej Putin przekonał się, że kontrolowanie czwartej władzy ma kluczowe znaczenie dla panowania nad pozostałymi trzema. Nauczył się tego przy okazji głosów protestu, jakie wywołała nieudana próba uratowania załogi okrętu podwodnego z napędem jądrowym Kursk, który zatonął po eksplozji w czasie manewrów na Morzu Barentsa w sierpniu 2000 roku. Zamiast pociągnąć do odpowiedzialności dowództwo floty albo zaprowadzić porządek w naszej

biurokracji, która przypomina stajnię Augiasza, Putin pogonił wolną prasę.

Środki masowego przekazu dostały się w ręce ludzi życzliwych Putinowi i jego najbliższym współpracownikom. Właściciel stacji telewizyjnej NTV Władimir Gusiniński spędził w czerwcu 2000 roku trzy dni w areszcie i został zmuszony do oddania swojej firmy. W rzeczywistości wyglądało to tak, że w wyniku działań, które stały się ówczesną typową „metodą negocjacyjną”, wymuszono na nim przepisanie udziałów we własnej spółce, zanim pozwolono mu wyjść z aresztu. On sam uciekł do Izraela, a jego kanał został w kwietniu 2001 roku przywłaszczony i wchłonięty do kremlowskiego portfolio. Dziś, jak na ironię, NTV to przypuszczalnie najbardziej nieuczciwa z oficjalnych stacji propagandowych, a konkurencja pod tym względem jest w Rosji naprawdę ostra. Tego rodzaju „miękkiej cenzurze” towarzyszyła cenzura bardziej konwencjonalna: funkcjonowały listy wyszczególniające *personae non gratae* i tematy zakazane. Władza w mediach została scentralizowana w ten sam sposób co władza polityczna – i w tym samym celu: by móc rabować państwowe zasoby, nie wywołując powszechnego buntu.

Korupcja epoki Jelcyna wryła się w zbiorową pamięć Rosjan tylko dlatego, że w tamtym czasie wiedzieliśmy o niej dzięki doniesieniom prasowym. W latach dziewięćdziesiątych rywalizujący ze sobą oligarchowie toczyli ze sobą wojnę, wykorzystując w niej własne środki masowego przekazu. Nie była to walka prowadzona uczciwie ani choćby przyzwoicie, ale większość faktów wychodziła na jaw, a tysiące rzetelnych dziennikarzy pracowało nad tym, by rosyjska opinia publiczna mogła poznać prawdę. Za Putina jedyne światło płynęło z niekończącego się strumienia entuzjastycznych artykułów na jego temat i na temat jego rządu.

Zachód reagował na te śmiałe kroki ku despotyzmowi zasadniczo w ustalony, typowy sposób: jedyną odpowiedzią były wyrażające zaniepokojenie publikacje prasowe, natomiast interesy szły swoim torem. Putina przyjęto jako pełnoprawnego członka grupy G7, która ma reprezentować najpotężniejsze uprzemysłowione państwa demokratyczne. Jeśli ktoś uważa, że Rosję zaproszono do tego klubu słusznie, biorąc pod uwagę wielkość i wpływ tego kraju, niech zwróci uwagę, że wśród członków G7 nie ma na przykład Chin. Włączenie Rosji do tego elitarnego

grona było dla niej nagrodą za demokratyczne reformy i dlatego kraj ten powinien zostać z niego usunięty, gdy tylko Putin te reformy unieważnił. To, że Rosji cofnięto to członkostwo dopiero po tym, jak Putin najechał Ukrainę i dokonał aneksji Krymu w marcu 2014 roku, mówi bardzo wiele o całej tej sytuacji.

Silny oportunistyczny instynkt Putina sprawił, że 11 września 2001 roku przeprowadził być może najważniejszą rozmowę telefoniczną w swoim życiu. Był pierwszym zagranicznym przywódcą, który zadzwonił do prezydenta George'a W. Busha i zaoferował pełne wsparcie po atakach terrorystycznych. Dzięki temu zyskał sobie życzliwość i kredyt zaufania Busha na długie siedem lat. (To musiało się zmienić, kiedy w roku 2008 Rosja najechała Gruzję, ale już samo to, że doszło do tej agresji, świadczyło o tym, jak bardzo urosły ambicje i pewność siebie Putina w trakcie kadencji Busha). Putinowi udawało się przedstawiać Rosję jako sojusznika Stanów Zjednoczonych – zwłaszcza w Afganistanie – a jednocześnie w innych miejscach podejmować działania wymierzone przeciwko interesom amerykańskim i europejskim.

George W. Bush miał jeszcze bardziej ograniczoną możliwość przeciwstawiania się licznym wykroczeniom Putina, ponieważ kilka miesięcy wcześniej pozwolił sobie na przypadkową uwagę na jego temat, kiedy spotkali się po raz pierwszy, a było to w Słowenii 16 czerwca 2001 roku. To właśnie po tym spotkaniu Bush wypowiedział tę słynną ocenę: „Spojrzałem mu głęboko w oczy. Zobaczyłem w nich uczciwego i bezpośredniego człowieka i przeprowadziłem z nim bardzo dobrą rozmowę. Mogłem czytać w jego duszy”. Po tej uwadze Bush nie mógł przywołać Putina do porządku, nie przyznając się jednocześnie do poważnego błędu w ocenie jego charakteru; a przyznawanie się do błędów nigdy nie było najmocniejszą stroną Busha. Trzeba uczciwie przyznać, że po 11 września i Stany Zjednoczone, i ich prezydent mieli nową listę priorytetów. Mimo wszystko jednak z perspektywy czasu jest rzeczą nieco zaskakującą, że administracja, w której skład wchodził tak doświadczony uczestnik zimnej wojny, jak Cheney, Rumsfeld oraz ekspert od spraw sowieckich i rosyjskich Condoleezza Rice, nie wywierała kompletnie żadnej presji na Putina.

Jak jednak mówi przysłowie, nigdy nie jest aż tak źle, żeby nie mogło być gorzej. Kiedy prezydentem został Barack Obama, nie miał praktycznie żadnego doświadczenia w polityce zagranicznej, a na jego barki spadły przytłaczające wyzwania dotyczące sytuacji wewnętrznej. Dostał również wyraźny mandat od Amerykanów. Mieli oni już dosyć przedłużającego się zaangażowania wojskowego w Afganistanie i Iraku, zaangażowania, którego nie popierali. Dlatego chcieli, żeby prezydent zajął się naprawą Ameryki, a zostawił resztę świata w spokoju. Niewielkie były szanse, by Obama, idealista i nowicjusz, miał stanowić dla Putina jakiegokolwiek znaczące wyzwanie, mimo że do jego ekipy zajmującej się polityką zagraniczną dołączył Mike McFaul, specjalista od pomarańczowej rewolucji.

To, co się stało, było jeszcze gorsze, niż się spodziewałem. Administracja Obamy klepała w kółko o swoim planie resetu, do tego dołączył się źle opisany przycisk Hillary Clinton. Można sobie wyobrazić, jaki komunikat popłynął z tego serdecznego pierwszego gestu do Władimira Putina. (Formalnie rzecz biorąc, adresatem komunikatu był Dmitrij Miedwiediew, ale nie bawmy się w takie niedorzeczne pozory). Jeśli od czasu do czasu wydaje się, że Putin nie może uwierzyć w stosunkowo mocną międzynarodową reakcję na przeprowadzony przez niego w 2014 roku najazd na Ukrainę, to jest tak być może dlatego, że po prostu czeka, aż dostanie następny przycisk resetujący.

W swoich wspomnieniach wydanych w 2014 roku Hillary Clinton zadaje sobie wiele trudu, by bronić resetu, i próbuje wyjaśniać, że nigdy nie dała się zwieść Putinowi. Jak na ironię, w tym ustalonym *post factum* stanowisku widać tę samą prawidłowość co we wspomnieniach jej politycznych przeciwników: George'a W. Busha, Condoleezy Rice, Dicka Cheney'a i Donalda Rumsfelda. Niemal jednomyślnie, często używając podobnych sformułowań, wszyscy oni twierdzą, jakoby wiedzieli, że Putin to zły człowiek, ale nie mieli innego wyjścia, tylko musieli prowadzić z nim interesy. (George W. Bush mówi najbardziej otwarcie o tym, że być może błędnie ocenił Putina – będę o tym pisał niżej).

Ktoś taki jak ja, kto przez ponad dziesięć lat głośno mówił, gdzie tylko się dało, o charakterze i ambicjach Putina, może jedynie wpaść we wściekłość na widok tak

wielu silnych amerykańskich polityków przyznających mi rację zaraz po odejściu z zajmowanych urzędów. Ci ludzie nie piszą w swoich książkach ani słowa na temat tego, co mogli zrobić inaczej, by jakoś wpłynąć na zachowanie Putina, kiedy mieli możliwość to uczynić. Pomysł, że Stany Zjednoczone mogą zagrozić Putinowi izolacją, że mogą odciąć dostęp do pieniędzy jemu i jego kumplom miliarderom, że mogą użyć kija, kiedy Putin pozjadał wszystkie ich marchewki – taki pomysł w tych wspomnieniach w ogóle się nie pojawia.

Amerykański rząd podjął w końcu pewne ograniczone kroki w odpowiedzi na liczne nadużycia reżimu Putina, jednak nastąpiło to dopiero wówczas, gdy Putin zdążył już zdobyć pełnię władzy w Rosji oraz nabrał poczucia całkowitej bezkarności. Poza tym inicjatywa ta nie wyszła nawet z samej administracji. Uchwalenie ustawy Magnitskiego, która nałożyła sankcje dotyczące majątków i podróżowania części rosyjskich urzędników z powodu łamania praw człowieka, było skutkiem zabiegów amerykańsko-brytyjskiego inwestora Billa Browdera. W 2008 roku aresztowano jednego z prawników jego rosyjskiej grupy inwestycyjnej, Siergieja Magnitskiego – zrobili to ci sami skorumpowani funkcjonariusze ochrony porządku publicznego, których ogromne malwersacje ów prawnik ujawnił. Rok później zmarł w areszcie tymczasowym po tym, jak go pobito i pozostawiono bez odpowiedniej opieki medycznej.

W pewnym sensie ustawa Magnitskiego była odwetem Browdera, a początkowo na liście osób objętych sankcjami znajdowało się niewielu rosyjskich urzędników – tych, którzy byli bezpośrednio związani z prześladowaniem i śmiercią Magnitskiego. Trzeba zaznaczyć, że administracja Obamy od początku była przeciwna tej ustawie, a uchwalono ją nie samodzielnie, lecz jako część ustawy Izby Reprezentantów, która normalizowała również stosunki handlowe z Rosją, pod wieloma względami ograniczone wcześniej przez słynną poprawkę Jacksona-Vanika z 1974 roku.

Administracja Obamy naśladowała zenująco ostrożne zachowanie Europy w zakresie stosowania sankcji przeciwko Rosji i sojusznikom Putina w następstwie rosyjskiego najazdu na Ukrainę w 2014 roku. Pomimo przytłaczającego poparcia obu partii w Kongresie dla podjęcia dalszych działań – zwłaszcza w zakresie uzbrojenia



i szkolenia ukraińskiego wojska – Obama wciąż jedynie powtarzał za Merkel, Hollande’em i innymi europejskimi przywódcami słowa o „poszukiwaniu pokojowego rozwiązania”, podczas gdy wojna trwała już na dobre. Ci politycy upierali się przy tym, by traktować Putina jako kogoś, kto prowadzi negocjacje w dobrej wierze, nawet kiedy w marcu 2015 roku triumfalnie przyznał, że rok wcześniej kłamał w sprawie obecności rosyjskich wojsk podczas zajęcia Krymu.

Nie wierzę, żeby Merkel i Obama byli tak nieświadomi, szczególnie Merkel, która urodziła się w komunistycznej Niemieckiej Republice Demokratycznej. Wobec tego jedynym wytłumaczeniem jest to, że wciąż uważają problem, jakim jest Putin, za na tyle drażliwy politycznie, by łatwiej było udawać, że go nie ma. I być może to nawet prawda: dla nich osobiście, przez jakiś czas. Może chcą jedynie odroczyć totalną katastrofę, aż ustąpią z urzędów i będą mogli zostawić Putina swoim następcom. Tak czy owak, jest to moralna kapitulacja, która pociągnęła za sobą bardzo realne koszty.

## 1 | Koniec zimnej wojny i upadek ZSRS

W samym środku lata w 1989 roku udzieliłem długiego wywiadu magazynowi, który w sowieckiej wyobraźni był właściwie uosobieniem zachodniej dekadencji: chodziło o „Playboya”. Jednak nie sama nazwa wydawcy, który opublikował mój wywiad, wywołała dezaprobatę w Związku Sowieckim. Pomimo coraz bardziej dominującej atmosfery głośności, otwartości, między Ameryką a ZSRS oraz powolnego łagodzenia politycznych represji w ramach pieriestrojki Michaiła Gorbaczowa moja jawna krytyka sowieckiego społeczeństwa – a zwłaszcza moja pochwała Ameryki i Amerykanów – to było coś skandalicznego. Do upadku muru berlińskiego, który miał runąć 9 listopada, wciąż brakowało pięciu miesięcy i raczej nikt nie wyobrażał sobie takiego przebiegu wypadków. Jakiś miesiąc po moim wywiadzie Gorbaczow i prezydent George H.W. Bush mieli oświadczyć, że ZSRS i Stany Zjednoczone przestały być wrogami. Jednak nawet w tych szybko zmieniających się okolicznościach moje uwagi w uszach niektórych ludzi na Kremlu brzmiały jak zdrada.

Playboy: Mówi pan jak Amerykanin. Amerykanie zawsze chcą wygrywać.

Kasparow: To bardzo ludzka cecha. Co tylko dowodzi, że Amerykanie są bardzo bliscy prawdziwej ludzkiej naturze.

Władze sowieckie, przesiąknięte mitem moralnej wyższości komunizmu i człowieka sowieckiego, traktowały tego rodzaju uwagi zupełnie poważnie. W dzisiejszym świecie może się to wydawać niezwykle albo też katastroficznie opresyjne, jednak socjalistyczna ideologia i socjalistyczne postrzeganie moralności stanowiły pokaźną część arsenału zimnej wojny. Kiedy sowieckie władze sportowe zaatakowały mnie za to, że chciałem zachować dla siebie wygraną z szachowych mistrzostw świata,

potępiły nie tylko moje nieposłuszeństwo, lecz także brak socjalistycznej solidarności. Wyraziłem pogląd, zgodnie z którym moi sąsiedzi w Baku raczej uznają, że zatrzymanie mercedesa wygranego w Niemczech to przejaw normalnego, zdrowego myślenia. Dla władz ten pogląd był radykalny i wywrotowy.

Oczywiście mój wywiad nie wywołał aż takiego publicznego skandalu jak pojawienie się w jednym z poprzednich numerów tego samego magazynu zdjęć nagiej rosyjskiej aktorki Natalii Niegody, która zagrała wcześniej rolę call girl w filmie będącym wstrząsem dla pruderyjnego sowieckiego społeczeństwa. Jej sesja zdjęciowa i mój wywiad w czasopiśmie, które w ZSRS wciąż było zakazane, oraz wywołane przez te publikacje reakcje wyrażające zmieszanie – wszystko to świadczyło o tym, że trwa okres pieriestrojki. Podejmowane przez nasze państwo nieśmiałe kroki ku większej otwartości były kuszące, jednak wiedzieliśmy, że w każdej chwili może nas spotkać kara, a reformy mogą zostać cofnięte.

Nie było już jasnych zasad i coraz więcej ludzi odnajdowało w sobie śmiałość, by sprawdzać, gdzie dokładnie w danym momencie znajdują się te granice.

W 1987 roku Gorbaczow powiedział, że chce budować „socjalizm z ludzką twarzą”, o którym mówił Aleksander Dubczek. Ja odpowiedziałem na to, że potwór Frankensteina również miał ludzką twarz. Komunizm jest czymś sprzecznym z ludzką naturą i da się go utrzymać jedynie za pomocą totalitarnych represji. Bez pomocy z zewnątrz albo bez potężnych zasobów surowców naturalnych, na przykład ropy, represje prowadzą do stagnacji ekonomicznej. Oprócz tego w społeczeństwie, w którym praktycznie zakazuje się jednostce sukcesu i dążenia do doskonałości, pojawia się stagnacja moralna i duchowa.

Oczywiście były pewne konkretne wydarzenia, które pomogły odsłonić zgubne wady tkwiące w systemie komunistycznym i zmusiły Gorbaczowa do podjęcia rozpaczliwych prób reformy oraz ocalenia państwa. Jednym z takich wydarzeń była katastrofa z kwietnia 1986 roku w elektrowni jądrowej w Czarnobylu na Ukrainie. To, w jaki sposób radzono sobie z tą kryzysową sytuacją, ujawniło faktyczny poziom nieudolności, korupcji i kłamliwości aparatu państwowego, zostawiający daleko w tyle wszelkie możliwe republiki bananowe. (Anatolij Karpow i ja ofiarowaliśmy

swoje wygrane pieniądze z meczu o mistrzostwo świata w 1986 roku na fundusz pomocy ofiarom Czarnobyli). Kolejnym wydarzeniem była sowiecka wojna w Afganistanie, która w 1989 roku trwała już od dziesięciu lat i okazała się równie nieskuteczna, pozbawiona poparcia społeczeństwa i droga, jak późniejszy jej ciąg dalszy w wykonaniu sił NATO.

W znacznym stopniu w wyniku rosnącego otwarcia Rosji sowieckiej na nowiny, idee i opinie – szczególnie pochodzące ze świata zewnętrznego – sowiecki establishment stanął przed dylematem. Gdyby władze reagowały jak zwykle i rozprawiały się ze wszystkimi drobnymi wykroczeniami, straciłyby wiarygodność jako reformatorzy i dowiodłyby słuszności zarzutów, że społeczeństwo sowieckie jest zacofane i tkwi w stagnacji. Jednak wiedziały również, że jeśli pozwolą na niewielką krytykę, zachęci to innych do otwartych wypowiedzi. Reakcje władz były coraz bardziej bezładne i niespójne. Pomimo najlepszych intencji Gorbaczowa i mimo podejmowanych przez niego prób, by do tego nie dopuścić, różne przejawy tego paragrafu 22 doprowadziły w końcu do rozpadu Związku Sowieckiego.

Dla wielu z nas po tej „złej” stronie żelaznej kurtyny już na długo przed runięciem muru berlińskiego stało się jasne, że znaczne zmiany są nieuchronne. Nie mieliśmy pojęcia, jaki będzie kształt tych zmian ani gdzie się zaczną, ale dla większości Sowietów to było całkowicie nowe doświadczenie: poważnie i otwarcie rozmawiać o czymkolwiek, co łączy się ze zmianami politycznymi albo nowym kierunkiem dla państwa. A nie mieliśmy przy tym pewności, czy demokratyczne reformy są prawdziwe, czy też może jest to tylko jakaś odmiana „demokracji jednej partii” mająca poprawić pozycję Gorbaczowa przeciwko sowieckiej starej gwardii i pomóc zyskać trochę czasu potrzebnego jego chylącej się ku upadkowi gospodarce. Ludzie na ulicach mówili o przemocy na tle etnicznym, która zaczynała się pojawiać przy okazji ruchów niepodległościowych w wielu republikach. Zastanawialiśmy się, czy miliony ludzi nie umrą z głodu, zanim w końcu zostaną wprowadzone reformy ekonomiczne.

26 marca 1989 roku w Związku Sowieckim przeprowadzono pierwsze prawdziwe wybory od powstania tego kraju w roku 1922. Nowo powstały Zjazd

Deputowanych Ludowych ZSRS miał za zadanie nadać demokratyczny wizerunek Radzie Najwyższej, czyli organowi, który wciąż dzierżył realną władzę. Jednak partia komunistyczna zdobyła tylko 85 procent mandatów (zamiast, jak zazwyczaj, 100 procent), a wśród niezależnych zbuntowanych był Borys Jelcyn, który przytłaczającą większością głosów zwyciężył w obwodzie moskiewskim z kandydatem Gorbaczowa.

Jak na ironię, ograniczone eksperymenty ZSRS z demokracją początkowo wywarły najsilniejszy skutek poza granicami Związku Sowieckiego, w Polsce. Świadomość, że w ZSRS dokonują się faktyczne wybory, niezależnie od tego, jak bardzo były one nieudolne i powierzchowne, była dla Polaków impulsem do własnego dużo szerzej zakrojonego eksperymentu. Zamiast przyjmować marzenia Gorbaczowa o reformowaniu socjalizmu, Polska całkowicie obaliła swoich komunistycznych władców, a w jej ślady szybko poszła reszta państw Układu Warszawskiego.

Władający obecnie w wielu byłych sowieckich państwach despoci znają z doświadczenia i rozumieją ryzyko wiążące się z dylematem dotyczącym wolności słowa, dylematem „pęknięć w murze”, i ze wszystkich sił starają się uniknąć tego we własnych krajach. Putin i inni posowieccy autokraci uważają to, co stało się w reżimie Gorbaczowa, za negatywne studium przypadku. Dlatego właśnie tak surowo reagują na polityczną krytykę wyrażaną nawet na jakimś blogu o niewielkim oddziaływaniu albo na choćby jedną osobę protestującą z transparentem.

Współcześni dyktatorzy uczą się na błędach swoich poprzedników. Wiedzą, że wybuchowa energia będzie narastać, jeśli nie da się jej jakiegoś ujścia. Wobec tego tworzą przestrzeń, w której może istnieć pewien osobliwy rodzaj kontrolowanego sprzeciwu. Rozgłośnia radiowa i strona internetowa Echo Moskwy może nadawać i publikować krytyczne wypowiedzi i materiały na temat Putina, podczas gdy mniejsze i mniej uległe miejsca wyrażania sprzeciwu, jak choćby moja agencja informacyjna Kasparov.ru, nie mają dostępu do rosyjskiego internetu. Byłem prezesem Echa w latach 1991–1996, kiedy było niezależne. Wprawdzie stacja nadal zachowuje opozycyjny charakter, ale jej właścicielem jest obecnie ramię medialne

państwowego giganta energetycznego Gazpromu i Echo funkcjonuje z pełną świadomością, że w każdej chwili może zostać zamknięte.

Podobnie jest z wiecami protestacyjnymi: można je rejestrować i mogą się odbywać, ale ich organizatorzy i uczestnicy muszą się liczyć z tym, że staną przed sądem. Wszystko to jest elementem skomplikowanego współczesnego baletu pseudodemokracji i pseudowyboru, baletu, który obejmuje również wybory o ustalonym z góry wyniku i cztery kanały telewizyjne przedstawiające nieznacznie tylko różniące się poglądy na temat tego, jak świetnie Putin się wszystkim zajmuje.

„Kolorowe rewolucje” związane z prodemokratycznymi ruchami w Gruzji w roku 2003 (rewolucja róż) i na Ukrainie w roku 2004 (pomarańczowa rewolucja) również wywołują strach wśród despotów, którzy podejmują zapobiegawcze środki zaradcze przeciwko ruchom młodzieżowym, organizacjom pozarządowym powiązanym z zagranicą oraz pozornie niegroźnym trybunom wolności słowa, na przykład niezależnym rozgłośniom radiowym. Jednak to właśnie sowieckie doświadczenie tak naprawdę zostawiło trwałe ślady w psychice Putina oraz pozostałych i to ono wciąż kształtuje ich światopogląd i zachowanie. I tylko moje własne doświadczenie jako sowieckiego i rosyjskiego obywatela pozwala mi rozumieć ruchy i motywy Putina.

Bardzo trudno jest opisać życie w komunistycznym państwie w sposób zrozumiały dla kogoś, kto nigdy tam nie mieszkał. Ludzkiego ducha cechuje ogromna odporność: na ogół dostosowuje się do okoliczności, jak tylko może, żeby nie stracić do reszty nadziei. Istnieje również solidarność w niedostatku i dlatego opowieści o zamożnym Zachodzie miały tak wywrotową siłę w ZSRS. Dużo trudniej zachować stoicki spokój w obliczu przeciwności, kiedy człowiek się dowie, że jego sąsiadom wiedzie się o wiele, wiele lepiej niż jemu samemu. Taka jest ludzka natura, fundament wolnorynkowego konsumpcjonistycznego kapitalizmu. To dlatego komunizm był – i nadal pozostaje – czymś tak wynaturzonym i obcym.

Latem 1989 roku, kiedy udzielałem wywiadu „Playboyowi”, moja własna zuchwałość wynikała z młodości, sukcesu, podróży i spędzania życia w zdrowym dystansie od Moskwy. Kończyłem właśnie dwadzieścia sześć lat, a od 1985 roku

byłem szachowym mistrzem świata. W kraju, czyli znikowanym na punkcie szachów ZSRS, byłem idolem sportowym, a mieszkałem nadal w rodzinnym Baku, w Azerbejdżanie, jednej z republik zakaukaskich, która wraz z Armenią i Gruzją tworzą najdalej wysunięte na południe punkty rozciągniętego sowieckiego imperium. (Przemawiając w Stanach Zjednoczonych, lubię żartować, że urodziłem się na samym Południu, tuż obok Georgii – bo po angielsku nazwa tego amerykańskiego stanu brzmi tak samo jak nazwa Gruzji). Położone dwa tysiące kilometrów od Moskwy, wysunięte w Morze Kaspijskie Baku sprawiało wrażenie odległej placówki kolonialnej, którą zresztą było.

Udzielając wywiadu właśnie stamtąd, z położonego nad morzem obozu szkoleniowego, powiedziałem z pełnym przekonaniem:

Każdy ma te same, normalne, ludzkie aspiracje. W dzisiejszym świecie są dwie polityczne sfery, ale normalny styl życia istnieje tylko w jednej z nich – i nie jest to ta, którą mamy tu, w Związku Sowieckim. Życie tutaj mógłbym nazwać wypaczeniem normalnego życia. Przypomina życie w domu z luster. I jedyny sposób na wydostanie się z tego domu to potłuczenie tych lusterek. Od lat miałem wrażenie, że coś tu u nas w Związku Sowieckim jest nie tak; kiedy zacząłem jeździć na Zachód, to wrażenie tylko się pogłębiło. Chcę tego samego co wszyscy: normalnego życia, czyli takiego, w którym można dobrze żyć i swobodnie się wyrażać. Bardzo ważne jest dla mnie to, by starać się przynieść swoim rodakom normalne życie. Światło dnia <sup>1</sup>.

Dziś jestem dumny z tych słów, ponieważ potwierdzają, że okazałem się konsekwentny w tej walce. Dwadzieścia sześć lat później nadal z oddaniem staram się przynieść „normalne życie” mieszkańcom domu z luster, w którym rządzi dyktatura. To prawdziwa tragedia, że w Rosji wciąż trzeba prowadzić taką walkę – całe dziesięciolecia po upadku Związku Sowieckiego.

\*

W tamtym czasie powtarzano mnóstwo mitów i nieporozumień dotyczących rozpadu ZSRS, jednak można się było tego spodziewać. Ci sami zachodni eksperci, politycy i spece, którzy nie potrafili przewidzieć runięcia muru berlińskiego, dopóki tłumy

Niemców nie zaczęły przelewać się przez tę granicę, nie umieli również zobaczyć, że siły, które wyzwolił swoimi reformami Gorbaczow, szybko wymkną mu się spod kontroli.

Z powodu swojej sławy i przyrodzonej szczerości często miałem okazję dyskutować o polityce z ludźmi dużo wyżej ode mnie postawionymi w tej dziedzinie. Zawsze było dla mnie zaskoczeniem, jak bardzo przeceniali oni stabilność komunizmu w Europie i w samym ZSRS. Wyglądało to tak, jakby zapomnieli, że mur wybudowany ludzkimi rękami te same ręce mogą zburzyć.

Mam w pamięci kilka takich szczególnych sytuacji. W październiku 1989 roku brałem udział w przyjęciu, podczas którego rozmawiałem na temat przyszłości Europy z Henrym Kissingerem i Jonathanem Bushem, bratem ówczesnego prezydenta. Kiedy powiedziałem, że pod koniec roku w Europie nie będzie już ani jednego komunistycznego reżimu, skwitowali to śmiechem i w niewielkim jedynie stopniu podzielali moje zdanie. Dla nich byłem po prostu typowym młodym mądrałą, który opiera swoje nedorzeczne opinie na optymizmie i zapachu zmiany unoszącym się w powietrzu zamiast na latach studiów i analiz. I być może mieli rację – ale ja też.

Z początkiem roku 1990, po obiecującym spotkaniu z redakcją „The Wall Street Journal”, które doprowadziło do nawiązania mojej stałej współpracy z tą gazetą, redaktor Bob Bartley przyniósł mi zaproszenie do wygłoszenia odczytu na forum RAND Corporation w Los Angeles. Gdy tam byłem, szef RAND powiedział, że powinienem poznać jego znajomego Brenta Scowcrofta, doradcę prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego w administracji Busha i wytrawnego znawcę tych zagadnień, który piastował to samo stanowisko za prezydenta Forda w latach siedemdziesiątych. Podczas tamtego spotkania w Białym Domu poznałem również Condoleezę Rice, eksperta do spraw Rosji, która była wówczas dyrektorem wydziału sowieckiego Rady Bezpieczeństwa Narodowego.

Pytano mnie o Borysa Jelcyna, który stał się głównym krytykiem i rywalem Gorbaczowa w Rosji. Moi rozmówcy twierdzili, że Jelcyn jest nieobliczalny, że to pijak – na co nie miałem lepszej odpowiedzi, niż zapytać ich, czy nie chcieliby się



dowiedzieć czegoś więcej o jego charakterze lub politycznej przyszłości. Byłem wstrząśnięty, że ci eksperci wydawali się kompletnie nieobznajomieni z sytuacją polityczną w Rosji, gdzie Jelcyn był postacią zdecydowanie wschodzącą, a Gorbaczow – rozpaczliwie lecącą na dno. Widać było wyraźnie, że rozmawiają tylko ze swoim dobrym znajomym Gorbaczowem i innymi ludźmi z Kremla – w końcu to tam znajdowała się władza i broń jądrowa.

Tym razem spisałem się lepiej i biorąc pod uwagę bardziej oficjalny charakter tego spotkania, trzymałem język za zębami, ale byłem zdumiony, z jakim spokojem i nieświadomością moi rozmówcy wydają się odnosić do tego, co w mojej opinii z całą pewnością było ogromną falą zmian przechodzącą przez Europę Wschodnią i ZSRS. Dużo bardziej interesował ich mechanizm propozycji reform Gorbaczowa niż to, że ulice wszystkich miast od Berlina po Władywostok są pełne ludzi chcących i potrafiących otwarcie narzekać na swoich politycznych przywódców. Powiedziałem Scowcroftowi, że Jelcyn jest pewien, że w maju zostanie wybrany na przewodniczącego rosyjskiej Rady Najwyższej, i że wykorzysta ten mandat, by nadal przeciwstawiać się Gorbaczowowi. Scowcroft chyba mi nie uwierzył, ja z kolei zrozumiałem, że i jego, i Biały Dom bardziej niż cokolwiek innego martwiło utrzymywanie dobrych stosunków z Gorbaczowem.

Tak bardzo skupiali się na tym, co dotyczyło Kremla i Gorbaczowa, że przeoczyli niezwykle destabilizujący wpływ prowadzonej przez Jelcyna bitwy pod hasłem „Rosja przeciwko ZSRS”, co przyznaje Scowcroft w wydanej w 1998 roku książce, którą napisał z prezydentem Bushem. „Patrząc wstecz, można powiedzieć, że Jelcyn, odrzucając władzę Związku i partii oraz przywracając rosyjską kontrolę polityczną i gospodarczą nad sprawami republiki, zaatakował fundamenty państwa sowieckiego i podważył korzenie jego politycznej struktury”<sup>2</sup>. Tak właśnie było – i udało mu się. Nieźle, jak na nieobliczalnego pijaka!

\*

W kwietniu 1990 roku, jadąc samochodem wśród pięknych francuskich krajobrazów, powiedziałem przeprowadzającemu ze mną wywiad Fredowi Waitzkinowi, który

miał zostać moim biografem: „Komunizm poległ. Za rok, w roku 1991, Związek Sowiecki przestanie istnieć. Na pewno. Zapamiętaj moje słowa. Za rok nie będzie już imperium zła. W moim państwie będzie istniała prywatna własność. Wiele republik zyska niepodległość”<sup>3</sup>. Kiedy Waitzkin opisuje tę rozmowę w książce *Mortal Games*, dodaje, że moje przewidywania wydawały mu się „nieuzasadnione, a nawet niepoważne”, ponieważ tak bardzo odbiegały od ówczesnych rozpowszechnionych poglądów.

Wydaje mi się, że to mniej więcej w tym czasie zacząłem się uodparniać na przewracanie oczami i unoszenie brwi przez dziennikarzy, ekspertów i polityków. To uodpornienie zostało mi do dziś i dobrze mi służy. Nie mam z pewnością stuprocentowych osiągnięć w tym zakresie, ale – szczególnie w tym, co dotyczy ważnych spraw – wolę mówić otwarcie, niż stosować autocenzurę z powodu tego, co o mnie mogą pomyśleć inni. Nie miałem żadnych skrupułów, by ilekroć nadarzała się sposobność, głośno mówić na temat rychłej śmierci komunizmu i konieczności zwiększania presji ze strony Zachodu, by w ZSRS mogły się dokonać demokratyczne reformy.

Wyjątkowo złościło mnie to, że Gorbaczowa traktowano w Europie Zachodniej i Ameryce jak orędownika wolności, podczas gdy – jak to powiedziałem Waitzkinowi tamtego wieczora we Francji: „Gorbaczowowi udało się przekonać Zachód, że to, co robi, to walka porządnego człowieka o lepszą przyszłość. To kłamstwo. On jest ostatnim przywódcą komunistycznego państwa, próbującym ocalić, co tylko może”<sup>4</sup>.

I tak faktycznie było, i nawet dziś nic tego nie zmieni, pomimo Pokojowej Nagrody Nobla i ponad dwudziestu lat dzielących nas od rewizjonistycznego pomysłu Gorbaczowa. Jednak miałem również powody natury osobistej, by być wrogo nastawionym do człowieka, który zastał pierwszym i ostatnim prezydentem Związku Sowieckiego.

Napięcia między Azerbejdżanem a Armenią zawsze były silne, jednak w epoce sowieckiej skala obustronnej przemocy etnicznej stała się bezprecedensowa. Kiedy ruchy niepodległościowe w regionie nabrały rozmachu, nasiliły się również protesty

i nacechowana przemocą retoryka. Sowiecka hegemonia sprawiła, że konflikt między tymi dwoma terytoriami uległ zamrożeniu, kiedy jednak Moskwa przymknęła oko, w całym regionie nastąpiły wybuchy: zarówno wybuchy polityczne, jak i wybuchy przemocy. Po pogromie Ormian, do którego doszło w lutym w Sumgaicie, nastąpiły dwa lata waśni i ormiańskiej emigracji. Podobnie jak to było w odniesieniu do Baku, oficjalna reakcja Kremla była stonowana, a kiedy przemoc stała się już faktem, siły porządkowe dotarły z dużym opóźnieniem. Posługując się czarnym humorem, pewien autor napisał w tamtym czasie, że wojska brytyjskie dotarły na Falklandy szybciej, niż milicja i wojska sowieckie pojawiły się w Sumgaicie.

W 1988 roku ormiańska ludność mojego rodzinnego Baku liczyła mniej więcej ćwierć miliona. Do stycznia 1990 roku z tych wszystkich Ormian w Baku pozostały jedynie rodziny mieszane – między innymi moja. W mieście wybuchła przemoc i przez siedem długich dni i nocy grupy domagające się wydalenia wszystkich Ormian z Baku terroryzowały miasto i okolice. Zabito ponad stu ludzi, a prawie tysiąc zostało rannych. Miałem to szczęście, że byłem w stanie wyczarterować samolot i pomóc rodzinie, przyjacielom i komu tylko mogłem uciec stamtąd pod osłoną nocy.

Tej tragedii spokojnie można było zapobiec. W stolicy stacjonowało jedenaście tysięcy żołnierzy oddziałów podległych sowieckiemu Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, jednak nie rozkazano im, by podjęły interwencję. Dopiero po prawie tygodniu od chwili, gdy atakującym zabrakło już celów, generał Aleksandr Lebiedź skierował do miasta sowieckie wojska i wprowadzono stan wojenny. Do tego czasu ponad połowa pozostałych jeszcze w Baku czterdziestu tysięcy Ormian uciekła. Jest rzeczą niewyobrażalną, żeby w mieście tej wielkości co Baku dało się przeprowadzić tak skutecznie wymierzone ataki bez wszechstronnej bezpośredniej informacji i koordynacji.

Uważam, że Gorbaczow potrzebował takich właśnie wybuchów przemocy, by wzmocnić bezpośrednią kontrolę nad tymi punktami sowieckiego imperium. Pozwolił, by przemoc się rozlała, po czym wysłał wojska, żeby z wszystkimi się

rozprawiły i siłą wprowadziły przywódców lojalnych wobec Moskwy. Pogrom w Baku doprowadził do mojego jedyne go spotkania z Gorbaczowem, które odbyło się na Kremlu parę dni po tym, jak 20 stycznia dywizja Lebedzia wkroczyła do azerskiej stolicy. Chciałem porozmawiać o stu dwudziestu ludziach, których zamordowano, i o dziesiątkach tysięcy tych, którzy zostali wysiedleni. Chciałem zapytać, co Gorbaczow zamierza zrobić z rozgrywającą się właśnie konfrontacją zbrojną między Azerami a Ormianami. Jednak Gorbaczow zignorował ten wątek dyskusji i pytał mnie tylko ciągle, kto powinien zostać nowym pierwszym sekretarzem partii komunistycznej w Azerbejdżanie.

Ze swojej strony robiłem nadal, co tylko mogłem, by ściągać uwagę świata na to, co się działo w ZSRS. Ogłosiłem, że jeśli w 1990 roku wygram w meczu o mistrzostwa świata z Karpowem, sprzedam nagrodę i przeznaczę uzyskane za nią pieniądze na utworzenie fundacji dla ormiańskich uchodźców z Baku – i tak zrobiłem. Uzyskałem jakieś 10 milionów rubli, które w tamtym czasie były warte 300 000 dolarów. Razem z matką zarządzaliśmy tym funduszem właściwie z naszego domu w Moskwie, dzięki czemu miałem bezpośredni kontakt z niezliczonymi uchodźcami. Ich bolesne historie wzmocniły moją antypatię do Gorbaczowa.

Z tamtym meczem z 1990 roku wcześniej wiązało się jedno wydarzenie. Był to mój piąty z kolei mecz z Karpowem, a rozgrywany był częściowo w Lyonie i częściowo w Nowym Jorku. Rzecz poszła o to, jaka flaga ma widnieć obok mojego nazwiska podczas rozgrywek: sowiecki sierp i młot czy rosyjska, przywrócona przedrewolucyjna trójkolorowa. Przyznaję, może się to wydawać niezwykłą błaHOSTKĄ. Jednak dla mnie, a także dla sowieckiej kultury z jej obsesją na punkcie symboli, polityki i szachów, była to wielka sprawa. Związek Sowiecki miał istnieć jeszcze przez dobrze ponad rok i organizatorzy meczu w Nowym Jorku bardzo się niepokoili, żeby nie upolitycznić tego wydarzenia i nie poirytować sowieckich władz. W końcu nie był to, dajmy na to, film *Rocky*, w którym występował jakiś podrzędny Amerykanin; to był pojedynek dwóch Rosjan. (Zwłaszcza Amerykanie mieli zwyczaj nazywać tak wszystkich Sowietów bez względu na to, jak bardzo było to często nieścisle. Amerykański mistrz świata Bobby Fischer chwalił się kiedyś, że

na jakimś turnieju „pobije wszystkich Rosjan”, podczas gdy w rzeczywistości jego przeciwnikami byli: Estończyk, Łotysz, Ukrainiec i Ormianin!)

Oczywiście ja chciałem właśnie upolitycznienia tego meczu, więc się uparłem i przez jakiś czas było tak, jak chciałem. Po czterech partiach w wyniku protestów ze strony sowieckiej delegacji obie flagi usunięto ze stołu. Od tego momentu do końca meczu nosiłem rzucający się w oczy znaczek z rosyjską flagą. Kocham szachy i wiele im zawdzięczam, ale zawsze wiedziałem, że w życiu są sprawy od szachów ważniejsze. Miałem szczęście, że moja „nielojalność” wobec bogini szachów Caissy rzadko kosztowała mnie przy szachownicy aż tyle, ile mogła kosztować. Pomimo traumy Baku oraz rozproszeń związanych z rosyjską polityką zabierających mi znaczną część czasu, w którym powinienem był przygotowywać się do meczu z Karpowem, zdołałem odnieść kolejne zwycięstwo w meczu o mistrzostwo świata. I zrobiłem to, reprezentując biało-niebiesko-czerwoną flagę demokracji i buntu.

Nawet zachodni krytycy, którzy przyznają, że Gorbaczow nigdy nie pragnął końca komunizmu ani ZSRS, uznają za jego zasługę to, że „nie wysłał czołgów”, kiedy zniknęła żelazna kurtyna i sowieckie republiki jedna po drugiej poodpadały od Moskwy. Ja jednak konsekwentnie odmawiam Gorbaczowowi nawet tego niewielkiego powodu do dumy. Przede wszystkim dlatego, że jednak użył wojska, zwłaszcza w krajach bałtyckich. Poza tym owszem, mógł rozkazać sowieckim wojskom pozamykać lokale wyborcze, aresztować przywódców opozycji i strzelać do protestujących – czy jednak wojsko by go posłuchało? Nawet gdyby część armii spełniała rozkazy Moskwy i nastąpiłaby rzeź tysięcy ludzi, przypieczętowałyby to gwałtowny los Gorbaczowa – a na czym jak na czym, ale na własnym ocaleniu to mu zależało.

Byłoby również niemądrym posunięciem ze strony Gorbaczowa podejmowanie ryzykownych działań zbrojnych na Węgrzech czy w Czechosłowacji, gdy musiał się obawiać o stabilność w ZSRS. Kiedy pali się nasz własny dom, nie wysyłamy strażaków do sąsiada. Wszędzie dokoła brakowało żywności i pojawiały się ruchy zmierzające do politycznej niepodległości. Gorbaczow nie wysłał czołgów, by w ten sposób próbować siłą ocalić jedność ZSRS, ponieważ wiedział, że jest już na to za

późno i że zapłaciliby za to gardłem. A w połowie 1991 roku, kiedy wszystko już się całkiem rozpadało, miał za sobą wcześniejsze doświadczenia: widział gwałtowne reakcje po tym, jak w styczniu tego samego roku wojska sowieckie zabiły kilkadziesiąt osób i raniły kilkaset przy wileńskiej wieży telewizyjnej, kiedy Litwini nie chcieli wycofać się z deklaracji niepodległości (ogłoszonej w marcu 1990 roku: Litwa zrobiła to jako pierwsza spośród sowieckich republik). Jelcyn, który był wtedy prezydentem Federacji Rosyjskiej, natychmiast potępił użycie przemocy i wezwał do wycofania wszystkich sowieckich wojsk z krajów bałtyckich. Zagraniczni przywódcy również potępiли tę zbrojną rozprawę i Gorbaczow wiedział, że może stracić sympatię Zachodu oraz miliardowe kwoty pomocy, której potrzebował, by zachować nadzieję na utrzymanie się przy władzy.

Związek Sowiecki był już pozbawiony członków, kiedy 25 grudnia 1991 roku dokonano się jego oficjalne rozwiązanie. (Sama data nie miała szczególnego wydźwięku w Rosji, gdzie święta Bożego Narodzenia przypadają – o ile w ogóle się je obchodzi – 7 stycznia, w dniu wynikającym z kalendarza prawosławnego). Rosyjski prezydent Borys Jelcyn zakończył sukcesem stopniowe wydzieranie władzy Gorbaczowowi i przenoszenie stanowiska dowodzenia do republiki rosyjskiej. Trzy państwa bałtyckie oraz Armenia i Gruzja już dawno ogłosiły niepodległość i zostały przyjęte do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nieudana próba zamachu stanu z 19–21 sierpnia ośmieliła pozostałe republiki.

Nadzieja Gorbaczowa na stworzenie nowego związku rozpadła się z chwilą, gdy twardogłowi z jego rządu ogłosili stan wyjątkowy, by nie dopuścić do podpisania 20 sierpnia nowego układu związkowego, który miał oficjalnie przekształcić ZSRS w federację suwerennych republik. Podczas próby zamachu stanu Gorbaczowa przetrzymywano podobno *incommunicado* w jego daczynie na Krymie, ale ja jestem przekonany, że to on sam ukartował cały ten pucz, a przynajmniej był jego dobrowolnym uczestnikiem. Być może zamiast patrzeć, jak jego władza ciągle się kurczy, miał nadzieję, że będzie mógł wrócić na wzmocnione stanowisko po „negocjacjach” z twardogłowymi, kiedy już skończą swoją brudną robotę, czyli rozprawią się z politycznymi przeciwnikami, na przykład z Jelcynem. Tak jak

pisalem na poczatku tej ksiazki, zamach stanu nie mial poparcia spolecznostwa ani wojska i zalamal sie w ciagu siedemdziesieciu dwuch godzin. Po tym niepowodzeniu nawet republiki ze srodkowej Azji, ktore wczesniej chcialy przylaczyc sie do nowego związku, szybko poszly w slad Ukrainy i Białorusi, ogłaszając niepodległość. 12 grudnia ogłosila ją nawet sama mateczka Rosja.

Dobrą wiadomością dla Gorbaczowa było to, że Zachodowi wiele czasu zajęło zaprzeczanie temu, co powinno zostać odebrane jako fantastyczne wieści. Po przykrych doświadczeniach z rozmów na temat mojej ojczyzny z amerykańskimi ekspertami nie było dla mnie niespodzianką, że w wypowiedziach prezydenta Busha w kontekście perspektywy rozpadu Związku Sowieckiego często pobrzmiwało raczej zaniepokojenie niż ogromna radość. Imperium było złe, owszem, ale zarówno sam amerykański prezydent, jak i cała jego administracja znali to zło bardzo dobrze. Bush sądził również, że może liczyć na Gorbaczowa, choć był to człowiek, za którym stało KGB i który nigdy nie został wybrany demokratycznie na żaden urząd. A mimo to Bush przedkładał go nad niewiadomą, jaką był wybrany przez naród populistą Borys Jelcyn.

W tych dziwacznych próbach wspierania dawnego wroga chodziło o coś więcej niż o retorykę. Starając się podtrzymać sowiecką gospodarkę przy życiu, Zachód udzielał ZSRS wsparcia finansowego i gwarancji pożyczkowych o wartości miliardów dolarów. Same Niemcy udzieliły pomocy w wysokości 8 miliardów dolarów, która była częścią porozumienia dotyczącego niemieckiego zjednoczenia. Niemieckie zobowiązania finansowe wobec Rosji do roku 1992 miały zwiększyć się gwałtownie do 45 miliardów dolarów i obejmowały kwoty przeznaczone na sprowadzenie rosyjskich wojsk z powrotem do ojczyzny, a nawet na budowę przeznaczonych dla nich osiedli mieszkaniowych w Rosji.

Stany Zjednoczone również pospieszyły z pomocą na długo przedtem, nim było jasne, jakie rezultaty przynoszą demokratyczne reformy w Moskwie. 12 grudnia 1990 roku prezydent Bush ogłosił udzielenie pomocy o wartości ponad 1,3 miliarda dolarów w postaci pożyczki oraz gwarancji pożyczkowych, a także uchylił pochodzącą z 1974 roku poprawkę Jacksona-Vanika, która wprowadzała surowe

regulacje na prowadzenie interesów z ZSRS. Cztery miesiące później Bush zatwierdził kolejne 1,5 miliarda dolarów w postaci rolniczych gwarancji pożyczkowych. Stany Zjednoczone wysłały również pomoc medyczną bezpośrednio do państw bałtyckich po dokonanych tam przez Sowieców rozprawach, a na Ukrainę dla ofiar nuklearnej katastrofy w Czarnobylu. W ciągu kolejnych kilku lat wielostronna pomoc finansowa i kredytowa Stanów Zjednoczonych oraz innych krajów z grupy G7 dla Rosji i innych sowieckich państw stale rosła, a zdecydowanie największym jej beneficjentem była Rosja. W marcu 1993 roku, uznając konieczność wsparcia rządu Borysa Jelcyna, który znalazł się pod presją parlamentu, grupa G7 wyłożyła wspólnie 43 miliardy dolarów w formie planu pomocowego. Japonia ugięła się pod presją pozostałych członków G7 i nie uzależniła pomocy w wysokości niemal 2 miliardów dolarów od uregulowania przez Rosję kwestii spornych Wysp Kurylskich. MFW oraz Bank Światowy również otworzyły portfele, przy czym Bank Światowy udzielił największego w swojej historii kredytu na realizację projektu w wysokości 610 milionów dolarów, mającego pomóc w odbudowie rosyjskiego przemysłu naftowego. Rosji nie udało się pozyskać wszystkich tych oferowanych jej środków pomocowych, ponieważ nie spełniła części stawianych jej wymogów z zakresu reform ekonomicznych. Na szczęście funduszy tych było za mało i pojawiły się zdecydowanie za późno, by mogły utrzymać jedność ZSRS.

Oprócz tego w latach dziewięćdziesiątych miliardy dolarów przeznaczano na zabezpieczenie sowieckiej broni jądrowej i związane z tym programy w Rosji, na Ukrainie, na Białorusi i w Kazachstanie. Trudno nazwać to inaczej niż mądrym inwestowaniem, ponieważ naprawdę nikomu nie zależało na tym, by zabrakło nadzoru nad bronią jądrową oraz surowcami radioaktywnymi, a także nad poszukującymi zatrudnienia rozproszonymi sowieckimi fizykami jądrowymi.

Przytaczanie tych wszystkich danych jest nużące, jednak warto je znać, bo przeczą one popularnemu mitowi o tym, że Rosja była ofiarą – mitowi szerzonemu przez propagandę Putina i przez jego antyamerykańskich, antynatowskich sympatyków na całym świecie. Twierdzi się, że kiedy upadł ZSRS, Rosja została



przez Zachód upokorzona i że to właśnie doprowadziło do urazy i braku zaufania. Zwycięzcy zimnej wojny mieli „przegrać Rosję”: najpierw przez to, że nie zapewnili jej wystarczającej pomocy, a następnie przez to, że zbyt agresywnie poszerzyli NATO. Fałszywość obu tych oskarżeń da się łatwo udowodnić. Bardziej szczegółowo będę omawiał to później, ale jeśli cokolwiek można zarzucić Zachodowi, to zbytnią łatwość przebaczenia dawnych zbrodni i zapominania o niebezpiecznym potencjale dawnego wroga.

W rzeczywistości wielu zachodnich przywódców wpadło w pułapkę: wydawało im się, że Rosja jest „za duża, żeby mogła przegrać”, i że trzeba ją wspierać za wszelką cenę – nawet kiedy było wyraźnie widać, że pompowane w nią pieniądze są wyrzucane w błoto: w pozbawioną dna studnię posowieckiej korupcji i niegospodarności. Uważano, że istnieje zbyt duże ryzyko odsunięcia Gorbaczowa od władzy przez twardogłowych albo powrotu komunistów i pokonania przez nich Jelcyna. Zorganizowany przez twardogłowych przeciwko Gorbaczowowi w sierpniu 1991 roku krótki pucz (niezależnie od tego, czy był prawdziwy, czy też został zaaranżowany w akcie rozpaczony przez samego Gorbaczowa) spowodował natychmiastowy wzrost amerykańskiej pomocy. Podobnie było, kiedy rosyjska Duma podważyła reformy Jelcyna w 1993 roku: amerykański Senat zareagował natychmiast, przyspieszając udzielenie pomocy o wartości 2,5 miliarda dolarów, z którą wcześniej zwlekano <sup>5</sup>.

W książce *Anatomia faszyzmu* Robert Paxton podaje w swojej zwięzłej definicji faszyzmu takie oto jego cechy: „przekonanie, że grupa jest ofiarą, uczucie, które usprawiedliwia wszystkie działania bez ograniczeń prawnych czy moralnych, jeśli są podejmowane przeciwko wrogom wewnętrznym czy zewnętrznym” <sup>6</sup>. Mit upokorzenia, jakiego miała doznać Rosja z rąk Zachodu, a zwłaszcza Ameryki, idealnie pasuje do tego modelu: do przekonania, że jest się ofiarą. Fałszywa narracja, zgodnie z którą Rosję otaczają chcący jej zaszkodzić wrogowie, zaspokaja potrzebę Putina, by mieć czym napędzać coraz bardziej faszystowską propagandę. Z podobnych powodów w reżimie Putina panuje równie silna obsesja na punkcie sowieckich cierpień i zwycięstwa w drugiej wojnie światowej jak ta, która

w szczytowym okresie opętała Związek Sowiecki. Fiksacja Kremla na punkcie drugiej wojny światowej nie tylko wiąże się z twierdzeniem (w tym wypadku uprawnionym), że w czasie wojny ZSRS był ofiarą, lecz także bardzo ułatwia rosyjskim władzom nazywanie każdego z wrogów faszystą, mimo że wszystkie dowody świadczą przeciw temu. Dziwaczna logika Kremla głosi: „W czasie drugiej wojny światowej pokonaliśmy faszystów, a zatem każdy, kto nam się sprzeciwia, jest faszystą”.

Jak na ironię, korzeni rosyjskiego staczania się z powrotem w totalitaryzm można upatrywać w nadmiernym, a nie w niedostatecznym poszanowaniu przez Zachód dziedzictwa ZSRS jako wielkiego mocarstwa. Rosji pozwolono odziedziczyć miejsce Związku Sowieckiego w Radzie Bezpieczeństwa ONZ, podczas gdy organizację tę (powstałą w celu zachowania zimnowojennego *status quo*) należało właśnie zreformować, tak by odzwierciedlała nowy prymat wolnego świata. Nie wysuwano żadnych żądań w zakresie lustracji – nie prowadzono śledztw przeciwko sowieckim funkcjonariuszom w związku z ich zbrodniami i nie stawiano im zarzutów, a nawet nie wykluczono ich ze sfery polityki – natomiast Gorbaczowa na Zachodzie niemal kanonizowano.

Nie do końca było to upokorzenie, chyba że chodzi o zażenowanie wynikające z tego, że potrzebuje się miliardowych kwot w gotówce i innego rodzaju pomocy od byłego rywala, rywala, którego pokolenia sowieckiej propagandy odmalowywały jako bezwzględnego i pałającego żądzą zniszczenia. ZSRS przegrał zimną wojnę, a przegrana zawsze boli. To uczucie – odczucie, że się przegrało – było konsekwencją tego, że nie posunęliśmy się do przodu, tylko pozostaliśmy na etapie kraju, który właśnie usunął nam się spod nóg. ZSRS przegrał zimną wojnę, ale zwycięstwo odniosły w niej nie tylko Stany Zjednoczone i Zachód, lecz także Rosjanie i wszyscy sowieccy obywatele oraz każdy, kto mieszka za żelazną kurtyną. Mogliśmy wreszcie swobodnie żyć, mówić i podejmować wolne decyzje. Prawdziwej straty doznaliśmy wówczas, gdy nie wykorzeniliśmy systemu KGB i nie zostawiliśmy szybko za sobą okresu źle zapamiętanej chwały, co udało się większości europejskich krajów bloku sowieckiego. Sprawilo to, że Rosja i inne

były sowieckie republiki stały się skłonne wierzyć w mit o upokorzeniu, a ludzie pokroju Putina chętnie go wykorzystują.

---

1 To zaadaptowana przeze mnie metafora pochodząca ze sceny z tłuczeniem luster z filmu, który właśnie wtedy zaczął zyskiwać popularność w ZSRS, *Wejście smoka* z Bruce'em Lee.

2 George H.W. Bush, Brent Scowcroft, *Świat przekształcony*, przeł. Jerzy Jan Górski, Warszawa 2000, s. 511.

3 Fred Waitzkin, *Mortal Games. The Turbulent Genius of Garry Kasparov*, New York 1993, wydanie Kindle, lokalizacje 594–595.

4 Tamże.

5 Curt Tarnoff, *U.S. Assistance to the Former Soviet Union 1991–2001. A History of Administration and Congressional Action*, raport CRS dla Kongresu, aktualizacja 15 stycznia 2002.

6 Robert O. Paxton, *Anatomia faszyzmu*, przeł. Przemysław Bandel, wstęp do wyd. pol. Maria Zmierzak, Poznań 2005, s. 50.

## 2 | Stracona dekada

Wiele osób wydaje się dziś zapominać, że zniknięcie żelaznej kurtyny, koniec zimnej wojny i upadek Związku Sowieckiego stanowiły odrębne wydarzenia. Były to oczywiście wydarzenia blisko ze sobą związane, jednak w chwili gdy ZSRS oficjalnie zniknął z map świata, mur berliński leżał już w gruzach od ponad dwóch lat. W 1989 roku po całej Europie Środkowej i Wschodniej rozlały się antykomunistyczne rewolucje i secesjonistyczne ruchy pod najróżniejszymi sztandarami, a ich początkiem były wydarzenia zainicjowane w Polsce przez Solidarność w kwietniu 1988 roku. Fala zmian przetoczyła się przez Węgry, Niemcy Wschodnie, Czechosłowację, Bułgarię, Rumunię i Albanie.

Pamiętam, że sowieckie media relacjonowały te niewiarygodne wydarzenia w typowy dla okresu głośności schizofreniczny sposób. Teoretycznie na tym etapie media cieszyły się już wolnością, ale zwłaszcza telewizja wciąż znajdowała się pod scentralizowaną kontrolą Kremla. Na przykład programy, w których o powstaniach na terenie krajów bałtyckich mówiono w sposób niewystarczająco krytyczny, mogły nagle przestać być nadawane. Reakcją na te polityczne zmiany była również bardziej agresywna postać propagandy, która zaczęła się pojawiać w sowieckiej telewizji zamiast dotychczasowych zwykłych bezbarwnych wiadomości i lekkiej rozrywki. Media drukowane odeszły już daleko od prezentowania linii partii przez dziennik „Prawda” przed 1985 rokiem i czasopisma miały na tyle odwagi, by wiernie relacjonować upadki kolejnych europejskich reżimów komunistycznych. Transformacja dokonywała się niezwykle spokojnie z jednym godnym uwagi wyjątkiem: stracenia potwornego rumuńskiego dyktatora Nicolae Ceaușescu, który rozkazał wojsku strzelać do uczestników antyrządowych demonstracji. Szacuje się, że w wyniku użycia przemocy zginęło wtedy mniej więcej tysiąc sto osób.

Kiedy się mówi o „duchu 1989 roku”, należy również wspomnieć o protestach i masakrze na placu Tian’anmen w Chinach, tym bardziej że Gorbaczow złożył wizytę w Pekinie w maju, w samym środku demonstracji, trzy tygodnie przed tym, jak wysłano czołgi, by zmiażdżyły opór demonstrantów. Nawiasem mówiąc, najwyraźniej dyktatorzy dużo lepiej uczą się na podstawie historii niż demokracji. W dzisiejszym świecie tacy ludzie jak Putin uważają, że Gorbaczow był zbyt słaby, by utrzymać jedność ZSRS i zaczerpnąć wzór z placu Tian’anmen, gdzie pokazano wartość brutalnej siły.

Dużo więcej krwi miało zostać wkrótce przelane w miejscu, w którym było to niestety do przewidzenia, czyli w Jugosławii, która była wprawdzie państwem komunistycznym, przez całe dziesięciolecia pozostawała jednak oficjalnie niezaangażowana. Kiedy w 1980 roku zmarł dożywotni dyktator Josip Tito, Jugosławia zaczęła trzeszczeć, ujawniając trzymane przez niego w uścisku i dotychczas niewidoczne linie licznych podziałów etnicznych i terytorialnych biegnące przez bałkański zlepek państw. Do czasu gdy do Jugosławii dotarł europejski ruch antykomunistyczny i doprowadził do pierwszych wielopartyjnych wyborów w kraju, władza federacji znacznie już osłabła. Jednak zamiast ustabilizować sytuację, wybory uwydatniły jedynie nie dające się pogodzić różnice między strasznie ze sobą posplatanyimi republikami tego państwa oraz różnymi zamieszkującymi je grupami etnicznymi i religijnymi. Albańska większość etniczna w Kosowie żywiła urazę do Serbów, natomiast w słoweńskiej i chorwackiej części Jugosławii grupy separatystyczne zapowiedziały ogłoszenie niepodległości, a równocześnie serbski przywódca Slobodan Milošević starał się wzmocnić system federalny, który w znacznym stopniu kontrolował. Był to gotowy przepis na katastrofę, która też zresztą wkrótce nadeszła i okazała się pierwszym testem systemu bezpieczeństwa w epoce po zimnej wojnie.

NATO i państwa zachodnie miały już i tak dość kłopotów wywołanych przez rewolucje 1989 roku, dlatego łatwo przyszło im zlekceważyć początkowe fazy jugosłowiańskich wojen i uznać je za wewnętrzne problemy tego państwa. Europa musiała wymyślić sposób na poradzenie sobie ze stu trzydziestoma milionami

zubożałych nowych przyjaciół i ich raczkującymi demokratycznymi rządami. Administracja Busha była skupiona na ZSRS, a od sierpnia 1990 do lutego 1991 roku na pierwszej wojnie w Zatoce i jej następstwach. Koalicja zawiązana pod wodzą Amerykanów w celu usunięcia Saddama Husajna z Kuwejtu była wyjątkowa pod tym względem, że stanowiła pierwszy taki wypadek, w którym dwa supermocarstwa stanęły po tej samej stronie podczas jakiegokolwiek kryzysu od zakończenia drugiej wojny światowej<sup>7</sup>. Związek Sowiecki był wcześniej głównym stronikiem Husajna, dlatego wspólne amerykańsko-sowieckie oświadczenie potępiające dokonany przez niego najazd było kolejnym sygnałem, że zimna wojna słabnie. (Wprawdzie później okazało się, że Gorbaczow zachował się asekuracyjnie i pozostawił wygłoszenie oświadczenia swojemu ministrowi spraw zagranicznych Eduardowi Szewardnadzemu).

Moralna klarowność i upór Ronalda Reagana ostatecznie przyniosły skutek. W 1976 roku Reagan przegrał z Geraldem Fordem w walce o nominację partii republikańskiej, ale udało mu się wprowadzić do platformy republikańskiej przesłankę „moralności w polityce zagranicznej”. Nie będzie cienia przesady w stwierdzeniu, że to skromne osiągnięcie zmieniło świat, jak również mój własny los. Zburzono mur berliński – tak jak się tego domagał Reagan, a złe imperium upadło. Problemy mniejszego kalibru zostawiono ludziom mniejszego kalibru.

Wprawdzie nie jestem wielbicielem pierwszego prezydenta Busha ze względu na jego wyjątkową lojalność wobec Gorbaczowa, a w tamtym czasie pomstowałem na jego nieodpowiedzialne działania, jednakże jego administracja wykonała solidną robotę, porządkując przedpole w bezpośrednim następstwie rozpadu. Bush miał doświadczonego i kompetentny zespół ludzi zajmujących się polityką zagraniczną. Ich brak wizji i odwagi przed upadkiem ZSRS i w jego trakcie przestał być aż tak wielką wadą, kiedy trzeba było zająć się efektami ubocznymi. Bush, James Baker, Brent Scowcroft, Dick Cheney i cała reszta wprawdzie niechętnie, ale zaczęli współpracować z „nieobliczalnym” Jelcynem w kwestiach praktycznych: bezpieczeństwa nuklearnego i reform ekonomicznych.

Nadal uważam, że nie do końca dobrze poradzono sobie z przeprowadzeniem

tych reform ekonomicznych i programów pomocowych, choć w każdych okolicznościach byłoby to niezwykle trudne zadanie. Historia przechodzenia lewicowych dyktatur do demokracji i jej gospodarki rynkowej to krótka antologia horroru. Komunizm przypomina chorobę autoimmunologiczną: nie prowadzi do bezpośredniej śmierci organizmu, ale na tyle osłabia cały układ, że ofiara staje się bezbronna i nie jest w stanie walczyć z żadnym innym zagrożeniem. Komunizm niszczy ludzkiego ducha na poziomie jednostki, prowadząc do wypaczenia wartości, którymi kieruje się zdrowe i wolne społeczeństwo.

To nie przypadek, że prawicowe państwa autokratyczne mają dużo lepsze osiągnięcia w zakresie odchodzenia od politycznych represji i dochodzenia do sukcesu demokratycznego i gospodarczego. Chile, Portugalia, Hiszpania, Korea Południowa, Tajwan, Republika Południowej Afryki – reżimom w tych wszystkich państwach chodziło o władzę ze względu na władzę, bez żadnej głębszej ideologii. Kiedy te reżimy upadły – w większości w wyniku wyborów – wówczas korzenie, czyli ludzkie wartości wolności jednostki, wciąż były na tyle zdrowe, by każdy z tych krajów mógł wkrótce rozkwitnąć. Ideologia komunistyczna niszczy całą roślinę, a także zatrzuwa glebę. Wiele państw w Europie Wschodniej do dziś zмага się z trudnościami pomimo trwającego już kilkadziesiąt lat stabilizującego wpływu Unii Europejskiej i jej potężnego wsparcia finansowego. Pod względem psychologicznym niektórym krajom było łatwiej wykorzenić komunizm, ponieważ uważano go tam za produkt uboczny znieprawionej sowieckiej okupacji i ludzie pragnęli się tego wszystkiego pozbyć.

To, co piszę, w żadnej mierze nie oznacza aprobaty dla jakiegokolwiek odmiany dyktatury. Podzielam pogląd Churchilla wyrażony w słynnym zdaniu: „demokracja jest najgorszą formą rządu, jeśli nie liczyć wszystkich innych form, których próbowano”. Jednak to, co wyżej piszę, częściowo wyjaśnia, dlaczego były republiki ZSRS tak strasznie się męczyły i dlaczego reżimy Kuby i Korei Północnej okazały się tak wytrzymałe. Różnica polega na tym, że w jednym wypadku ludzie są niezadowoleni z tego, że nie są wolni, a w drugim – uważają, że na wolność nie zasługują.

Rok 1992 był początkiem nieśmiałej debaty nad tym, jak powinien wyglądać nowy porządek świata. To już nie był świat podzielony pomiędzy dwa przeciwne supermocarstwa. Czy miał to być świat jednobiegunowy, w którym to Stany Zjednoczone, a za nimi większość Europy, miały ustalać program i narzucać innym własną wolę? Czy może świat wielobiegunowy albo pozbawiony biegunów, bez żadnego centrum moralnej grawitacji? USA, dysponujące potężnym wojskiem, olbrzymią gospodarką, a poza tym nie mające żadnego politycznego przeciwnika, były *de facto* globalnym hegemonem – bez względu na to, czy chciały podejmować się tej roli, czy nie. Tak naprawdę pytanie sprowadzało się do tego, w jaki sposób wykorzystają ów wpływ.

W 2015 roku, po dwóch wyczerpujących i źle prowadzonych wojnach, upokarzającym kryzysie finansowym, przy gwałtownym wzroście potęgi Chin i widocznej bezsilności Ameryki w różnych punktach zapalnych na całym świecie, łatwo zapomnieć, jak bardzo dominującą pozycję miały Stany Zjednoczone w latach dziewięćdziesiątych. W roku 1992 amerykańska gospodarka o PKB rzędu 6,5 biliona dolarów była niemal dwukrotnie większa od japońskiej, trzykrotnie od niemieckiej, a trzynastokrotnie większa od chińskiej. Rosja ledwie mieściła się w pierwszej dwudziestce, a do pierwszej dziesiątki wskoczyła dopiero wtedy, gdy umożliwiły jej to szybujące ceny ropy. Bilans w dziedzinie wydatków na obronność i potencjału militarnego był jeszcze bardziej korzystny dla USA i NATO w latach dziewięćdziesiątych, kiedy okazało się, że legendarna sowiecka machina wojenna jest równie przestarzała i słaba jak pozostałe części gospodarki. Stosunkowo niewielki budżet zbrojeniowy Chin zaczął rosnać dopiero po roku 2000.

A co jeszcze ważniejsze, zwycięstwo odniesione w zimnej wojnie dało Stanom Zjednoczonym i reszcie wolnego świata przewagę ideologiczną. Demokracja i kapitalizm zatriumfowały, totalitaryzm i socjalizm przegrały. I znowu wszystko to dziś wydaje się oczywiste i nieuchronne, ale ideologia komunizmu przez wiele dziesięcioleci była poważnym wyzwaniem w niemal każdym kraju na świecie. Wraz z upadkiem ZSRS cała argumentacja ideologiczna poszła w zapomnienie. Jeszcze po dwudziestu pięciu latach od tamtych wydarzeń większość wybuchów socjalistycznej



retoryki jest dziełem wąskiej grupki populistycznych niedoszłych despotów, którzy pragną jedynie dzielić się bogactwem z grupką kumpli, i zjawiska te ograniczają się tylko do państw o gospodarce znajdującej się w stagnacji, zależnej od zasobów naturalnych.

Już ekipa Busha zaczęła retoryczne rozbrajanie niezachwianej Reaganowskiej tezy o wyjątkowości i moralnym przywództwie Ameryki. W czasie pierwszej wojny w Zatoce na krótko rozbłysła potęga i zasięg Stanów Zjednoczonych, chociaż nawet wtedy Bush zadał sobie wiele trudu, by zatrzymanie agresji Saddama Husajna wyglądało na pragmatyczne posunięcie szerokiej koalicji. Jednakże prezydent rzeczywiście mówił śmiało i dobitnie o znaczeniu amerykańskiego przywództwa. Później pisał o potrzebie „nowego wewnętrznego konsensusu w sprawach bezpośrednio dotyczących roli Stanów Zjednoczonych we współczesnym świecie”<sup>8</sup>, by uniknąć izolacjonizmu i protekcjonizmu.

A dalej:

Rozwój współczesnej sceny międzynarodowej, chociaż nadal burzliwej, jest jak zawsze w historii, czystą jeszcze i nie zapisaną kartą i dlatego znaczenie międzynarodowego zaangażowania Stanów Zjednoczonych nigdy nie było ważniejsze. Jeżeli Stany Zjednoczone uchylą się od przewodzenia światu, nie będzie żadnego przywództwa. Wielkim dla nas wyzwaniem jest więc wyciągnięcie właściwych wniosków z najkrwawszego wieku ludzkiej historii. Jeżeli nie zechcemy dźwigać cięższej na nas odpowiedzialności, jeżeli nie przyjmiemy roli, jakiej my tylko możemy się podjąć, jeżeli uchylimy się od ciężących na nas obowiązków i przyjmiemy wobec świata postawę obojętną, niewątpliwie pewnego dnia zapłacimy najwyższą cenę za nasze zaniechania i naszą krótkowzroczność.

Brawo! Ten fragment zbliża się pod względem jasności i natarczywości do stylu Reagana, nawet jeśli jego autorowi brakuje charyzmy poprzednika. Niestety, Bush wypowiedział te porywające i prorocze słowa w wydanej w 1998 roku wraz z Scowcroftem książce, a nie wówczas, gdy sprawował urząd prezydenta. Ta końcowa część *Świata przekształconego* przypuszczalnie ujawnia żal Busha, że nie naciskał mocniej na odgrywanie takiej roli przez Stany, gdy był ich przywódcą.

Bush przepuścił znakomitą okazję do odsunięcia Husajna od władzy i ukarania go za zaatakowanie Kuwejtu. Oprócz tego, że skazało to Irakijczyków na kolejną dekadę terroru i ucisku, było to przesłanie dla innych potencjalnych zdobywców. Latem 1992 roku usłyszeliśmy, jak zachodni politycy wzywają do postawienia jugosłowiańskiego dyktatora Slobodana Miloševicia przed międzynarodowym trybunałem za dokonaną przez niego napaść na Chorwację i Bośnię. Jakże to, skoro Husajn wciąż żył i sprawował władzę?

W ten sposób wróciliśmy do Jugosławii. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się tam jasne. Nie było bezpośredniego zagrożenia amerykańskich interesów, więc nie było powodów, by wysłać tam wojska. Jednak Bush, którego ślepe poparcie dla integralności terytorialnej Jugosławii dodawało pewności Belgradowi, że może ryzykować podejmowanie działań zbrojnych, zapomniał, że każda niewinna ofiara wojny osłabia demokrację i dodaje nowych sił słabnącemu totalitaryzmowi. Jeśli w epoce światowej dominacji wojskowej demokratycznego supermocarstwa potrafiliśmy biernie patrzeć, jak odradzają się nazistowskie praktyki – obozy koncentracyjne i czystki etniczne – to znaczy, że mówienie Busha o „nowym porządku świata” było czystą demagogią na użytek naiwnej krajowej publiczności.

Bush grał na lęku przed długim zaangażowaniem wojskowym w Jugosławii podobnym do wojny w Wietnamie, ignorując fundamentalną zmianę na scenie świata. W tym momencie nie istniało zagrożenie w postaci sowieckiego wsparcia Jugosławii, więc Bush mógł szybko wpłynąć na przebieg wydarzeń przy użyciu znacznie mniejszej siły, niż było to potrzebne w przeszłości. Jak się okazało – tyle że dopiero po kilku latach, kiedy zdążyło zginąć wiele dziesiątków tysięcy ludzi – wystarczyły naloty NATO, by osłabić determinację sił „Wielkiej Serbii”. Zniszczenie z powietrza serbskiego ciężkiego sprzętu sprawiło, że Belgrad musiałby podjąć wojnę prowadzoną na równych prawach z Bośnią i Chorwacją. Jednak Bush pokazał, że wyuczone wspieranie „polityki Narodów Zjednoczonych” znaczy dla niego więcej niż życie dziesiątków tysięcy ludzi i więcej niż zajęcie zdecydowanego stanowiska wobec agresji. Jugosławia ukazała również potrzebę nowej polityki dla

nowej epoki, epoki po zimnej wojnie, pokazała też, że administracja Busha nie jest w stanie takiej polityki wykreować. Kiedy w lutym 1990 roku zastępca sekretarza stanu Lawrence Eagleburger odwiedził swojego dawnego znajomego Miloševicia w Belgradzie, przeżył wstrząs, bo okazało się, że nie sposób znaleźć z nim żadnej wspólnej płaszczyzny. Jednak w tamtym czasie z całej Europy nadchodziło tyle dobrych wiadomości, że bałkańską beczkę prochu zepchnięto na dalszy plan, nawet kiedy Eagleburger wrócił ze swojej wyprawy z ostrzeżeniem, że „jest dużo gorzej, niż ktokolwiek sądzi, a będzie dużo więcej krwi, niż nam się wydawało”<sup>9</sup>.

Bush szybko stracił szansę na to, by coś poprawić w drugiej kadencji, dzięki amerykańskim wyborcom, których w mgnieniu oka przestała interesować polityka zagraniczna. Przegrał z człowiekiem, który nie miał żadnego doświadczenia w polityce zagranicznej, którego slogan: „Gospodarka, głupcze”, skutecznie wyeliminował z kampanii politykę zagraniczną i kwestie zimnej wojny. (Bushowi nie pomogło też zabranie części głosów przez kandydata trzeciej partii, Rossa Perota). Bush nie był z pewnością Winstonem Churchillem, ale sposób, w jaki wyrzucono go z prezydenckiego fotela po zakończeniu zimnej wojny, przypomina to szybkie zwrócenie się brytyjskich wyborców przeciwko Churchillowi po tym, jak poprowadził kraj do zwycięstwa w drugiej wojnie światowej.

W latach dziewięćdziesiątych – podobnie jak dziś – byłem zwolennikiem stosowania wszelkich możliwych środków dla powstrzymania takich agresorów, jak Husajn i Milošević – w tym interwencji zbrojnej. Pod tym względem konsekwentnie opowiadam się po stronie tych, którzy doznali cierpienia w wyniku przemocy, a przeciwko tym, którzy pierwsi przelali krew, bez względu na ich przynależność etniczną czy religię. Zdecydowałem się zatem z obłożonymi Bośniakami i Chorwatami, mimo że Rosja od wielu lat wspierała serbski nacjonalizm. W latach 1993–1995 zorganizowałem serię imprez dobroczynnych, by zwrócić uwagę opinii publicznej na chorwackich i bośniackich uchodźców i zbierać dla nich fundusze – między innymi brałem udział w symultanie rozgrywanej w lipcu 1994 roku w obłożonej bośniackiej stolicy Sarajewo.

Przez cały 1992 rok serbskie oddziały paramilitarne mordowały cywilów

i terroryzowały ludność muzułmańską. Bush upierał się przy działaniu za pośrednictwem Organizacji Narodów Zjednoczonych, czego skutki były zgodnie z przewidywaniami absurdalne i tragiczne. Na przykład embargo na dostawy broni nałożone na ten region sprawiło głównie tyle, że uniemożliwiło Bośniakom bronienie się przed Serbami, którzy już wcześniej byli świetnie uzbrojeni.

W dniu amerykańskich wyborów prezydenckich, 4 listopada 1992 roku, napisałem artykuł wstępny dla „The Wall Street Journal”, który był w gruncie rzeczy listem otwartym do amerykańskiego prezydenta, poprzedniego i nowego. Pisałem w nim, że nie mam wątpliwości, że poważne ostrzeżenie od George’a Busha dla Miloševicia może powstrzymać agresję i krwawą wojnę etniczną w Jugosławii. Cały świat oglądał zdjęcia z Kuwejtu i Iraku pokazujące skutki amerykańskiej interwencji wojskowej, więc wszyscy wiedzieli, że amerykańskie wojsko potrafi dokonywać prawdziwych wyczynów, jeśli tylko jest polityczna wola.

Wzywałem również do powrotu do silnego moralnego przywództwa i skończenia z hipokryzją przedkładania stabilności nad demokrację i wolność. „Nadchodzące globalne zmiany wymagają silnego moralnego przywództwa i tylko Stany Zjednoczone są na tyle potężne i na tyle godne zaufania na płaszczyźnie politycznej, by podejmować decyzje i działania niezbędne dla nowego porządku świata [...]. Ktoś powie, że to czysty idealizm? Być może, ale chcę wierzyć, że wczoraj Ameryka wybrała przywódcę świata”<sup>10</sup>.

Niestety, jak wiemy, Ameryka wybrała Billa Clintona. Kampania prowadzona przez niego w 1992 roku zrećźnie wykorzystała trwającą recesję i koniec zimnej wojny do zatuszowania braku kwalifikacji tego kandydata na arenie międzynarodowej. Clinton nie ukrywał, że należy do nowego pokolenia, które chce zerwać z przeszłością i wszystkimi wiążącymi się z nią poważnymi obowiązkami na całym świecie, a Amerykanie najwyraźniej się z nim zgadzali. Jeśli potrzebne było odwołanie do jakiejś symboliki, to można ją było odnaleźć w słowach piosenki będącej motywem przewodnim kampanii Clintona: „Nie przestawaj myśleć o jutrze” oraz „wczoraj już nie ma, wczoraj już nie ma”.

Kiedy Clinton objął prezydenturę, okropności, do jakich dochodziło

w Jugosławii, docierały do zachodnich mediów. Zdjęcia z zakładanych przez bośniackich Serbów obozów pełne wychudzonych jak szkielety więźniów momentalnie przywodziły na pamięć obrazy ludzi wyzwalanych z obozów koncentracyjnych w Dachau i Buchenwaldzie. W samym sercu Europy znów dokonywały się czystki etniczne. Clinton – wraz z ONZ i przywódcami europejskimi – wciąż odwlekając działania, nie przekonał prezydenta Francji François Mitterranda i premiera Wielkiej Brytanii Johna Majora do zniesienia embarga na dostawę broni. Nowy amerykański prezydent odmówił podjęcia jednostronnych działań zbrojnych bez zgody europejskich partnerów z NATO.

Do czasu kiedy ponad dwa lata później NATO podjęło w końcu interwencję wojskową, która była pierwszą akcją zbrojną w dziejach paktu, mniej więcej sto czterdzieści tysięcy ludzi zdążyło zginąć, a miliony zostały wysiedlone. Mimo obecności sił pokojowych ONZ na terenach byłej Jugosławii dochodziło do ludobójstwa i prowadzone były zorganizowane kampanie gwałcenia kobiet. Być może pamiętacie dwukrotny ostrzał artyleryjski rynku w historycznym centrum Sarajewa w lutym 1994 i sierpniu 1995 roku, w wyniku którego zginęło w sumie ponad stu cywili, a dużo więcej zostało rannych. Obrazy drugiego z tych brutalnych ataków w końcu pobudziły NATO do rozpoczęcia nalotów na siły bośniackich Serbów. Wraz z lipcową ofensywą połączonych sił bośniackich i chorwackich, która wyzwoliła Knin i Bihać, naloty NATO pomogły zmusić Miloševicia do zaakceptowania układu z Dayton i doprowadzić do zakończenia wojny.

Tymczasem Rosja wspierała swoich „serbskich braci” i pomagała odwlekać zewnętrzne działania, podobnie jak miała to zrobić znowu w roku 1999 przy okazji interwencji NATO przeciwko siłom serbskim atakującym kosowskich Albańczyków. W wypadku Kosowa Clinton znacznie szybciej podjął działania zmierzające do interwencji zbrojnej, a 24 marca 1999 roku wygłosił nawet przejmujące przemówienie telewizyjne do Amerykanów, wyjaśniając, dlaczego NATO rozpoczyna bombardowania wymierzone przeciwko Serbii rządzonej przez Miloševicia. Kiedy dziś czytam te słowa, jest dla mnie uderzające, jak bardzo tamto przemówienie Clintona mogłoby – i powinno – się stosować do tego, co dziś dzieje

się na Ukrainie.

Warto zajrzeć do tego tekstu i zapoznać się z nim w całości, ale tutaj przytoczę tylko kilka jego kluczowych zdań:

Podejmujemy te działania w celu obrony tysięcy niewinnych ludzi w Kosowie przed narastającą ofensywą wojskową. Podejmujemy te działania w celu zapobieżenia szerszej wojnie, w celu zneutralizowania w samym sercu Europy beczki prochu, która wybuchła już dwukrotnie w tym stuleciu z katastrofalnymi skutkami. Podejmujemy wreszcie te działania w celu pokazania siły jedności z naszymi sojusznikami sprawy pokoju. Poprzez podjęcie teraz tych działań stoimy na straży własnych wartości, bronimy własnych interesów i popieramy pokój <sup>11</sup>.

Następnie Clinton tłumaczył – zawsze miał zacięcie do tłumaczenia – dlaczego Kosowo jest ważne, dlaczego to odległe miejsce, o którym słyszało niewielu Amerykanów, ma tak istotne znaczenie dla amerykańskich interesów oraz dlaczego trzeba działać szybko, zanim sytuacja się pogorszy. W Kosowie – podobnie jak w trwającym najeździe Putina na Ukrainę, nie miał miejsca atak na żadne państwo NATO. Jednak Clinton mówił następnie:

Gdybyśmy wraz z naszymi sojusznikami mieli pozwolić, by ta wojna trwała, i nie reagowali, prezydent Milošević odczytałby to wahanie jako zezwolenie na zabijanie [...]. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdybyśmy wraz z naszymi sojusznikami postanowili jednak zwyczajnie odwrócić wzrok, podczas gdy pod nosem NATO trwa rzeź tych ludzi. To zdyskredytowałoby NATO, kamień węgielny, na którym od pięćdziesięciu już lat opiera się nasze bezpieczeństwo [...]. Jeśli zbliżające się do końca stulecie czegoś nas nauczyło, to tego, że jeśli Ameryka chce dobrobytu i bezpieczeństwa, potrzebujemy do tego Europy cieszącej się dobrobytem, bezpieczeństwem, jednością i wolnością.

I znowu: brawo! Podstawcie „Ukrainę” w miejsce „Kosowa” oraz „Putina” w miejsce „Miloševicia”, a prezydent Obama mógłby odczytać ten tekst niemal słowo po słowie, ku mojej ogromnej satysfakcji. I znowu to przejmujące oświadczenie na temat doniosłości moralnego przywództwa oraz wykorzystania amerykańskiej i natowskiej potęgi dla obrony niewinnych istnień ludzkich przyszło

niewybaczalnie późno. Przytoczony przeze mnie nieco wyżej przejmujący końcowy akapit książki George'a H.W. Busha na temat Ameryki, która uchyła się od ciężącej na niej odpowiedzialności i wycofuje się w obojętność, był z pewnością przesłaniem skierowanym do Clintona, który w czasie publikacji wspomnień Busha znajdował się w połowie swojej drugiej kadencji. I Clinton – po okresie wahania w sprawie Bośni i po przeoczeniu w 1994 roku rwandyjskiego ludobójstwa ponad ośmiuset tysięcy ludzi – w przedostatnim z ośmiu lat urzędowania w końcu okazał się gotów użyć niezrównanej potęgi Ameryki, by niezwłocznie zrobić to, co trzeba.

Siedemdziesiąt dziewięć dni po rozpoczęciu natowskich nalotów siły serbskie wycofały się z Kosowa i niemal milion ludzi mogło wrócić do domu. Przypomnijmy sobie o Kosowie, kiedy słyszemy opinie, że wysłanie broni na Ukrainę przyczyniłoby się jedynie do „eskalacji konfliktu” albo „doprowadziłoby do trzeciej wojny światowej”. To popularny nieuczciwy argument. Oczywiście scenariusze i przeciwnicy są inni – Rosja to nie Serbia, a Putin to nie Milošević. Jednak ten sam jest wniosek: że wiele dobrego może przynieść zdecydowane zastosowanie siły – zarówno w danym momencie, jak i w postaci efektu odstrasżającego – oraz że pustosłowie ma realne konsekwencje i podsyca przyszłą agresję.

Okresowe cykle historii kształtują ludzkie strategie i plany oraz są przez nie kształtowane. Bezwzględna zimnowojenna polityka izolacji i powstrzymywania ustąpiła miejsca angażowaniu i nadmiernej ostrożności. Taktyka pozostawiania w okopach umożliwiła niekontrolowane narastanie zagrożeń, pozwoliła na pojawienie się ludobójstwa na wielu kontynentach, podczas gdy druzgocąca potęga wolnego świata tylko się temu przypatrywała. Jedno z tych narastających w niekontrolowany sposób zagrożeń wykorzystało swój niszczący potencjał 11 września, sprawiając, że wahadło znów ruszyło w stronę interwencji i – nieuchronnie – zbyt silnej reakcji. Dwie wynikiłe z tego wyczerpujące wojny pomogły wynieść na urząd prezydencki w Stanach Zjednoczonych kandydata, któremu wyborcy udzielili mandatu do – jakżeby inaczej – siedzenia w okopach i prowadzenia polityki angażowania. Obama wypełnił swój mandat wyjątkowo skrupulatnie, podobnie jak niemal wszyscy jego poprzednicy. Europa tak długo

spoczywała na laurach, że teraz samo z nich powstanie wymaga od niej ogromnego wysiłku, gdy staje w obliczu ksenofobii i terroru wewnątrz, a agresywnej Rosji na zewnątrz. Po raz kolejny historia zatacza koło: pozwolono nowym zagrożeniom rozwinąć się i wyswobodzić z dotychczasowych granic.

---

7 Choć w 1948 roku USA i ZSRS zgodziły się na utworzenie Izraela i były pierwszymi krajami, które uznały to nowe państwo.

8 George H.W. Bush, Brent Scowcroft, *Świat przekształcony*, przeł. Jerzy Jan Górski, Warszawa 2000, s. 578.

9 David Halberstam, *War in a Time of Peace. Bush, Clinton, and the Generals*, New York 2001, s. 29.

10 Garry Kasparov, *Moral Principles Must Underpin U.S. Leadership*, „The Wall Street Journal”, 4 listopada 1992, s. A14.

11 Oświadczenie prezydenta Billa Clintona na temat Kosowa wygłoszone z Białego Domu do obywateli Stanów Zjednoczonych, 24 marca 1999. Pełny tekst i zapis wideo na stronie <http://millercenter.org/president/speeches/speech-3932>.



### 3 | Niewidzialne wojny

Większość europejskich państw w dużej mierze zamieszkują grupy etniczne, które znajdują się na tych terytoriach od wielu stuleci. Pomimo dziesiątków lat napływu imigrantów, który zwiększał się wraz z poszerzaniem się Unii Europejskiej i znoszeniem kolejnych granic, Francja to wciąż kraj, w którym pełno Francuzów, a Niemcy – Niemców. Granice wielu środkowo- i wschodnioeuropejskich państw przez cały dwudziesty wiek zmieniano wielokrotnie siłą i mimo że w latach dziewięćdziesiątych wielu grupom udało się w końcu dojść do niepodległości, wciąż istnieje kilka osobliwych pod tym względem albo spornych obszarów – chociaż w większości z nich panuje dziś na szczęście spokój <sup>12</sup>.

W większości spory te sprowadzają się do różnic zdań między pozostającymi w przyjaznych stosunkach sąsiadami albo do wewnętrznych ruchów niepodległościowych w łonie stabilnych państw demokratycznych, w których o budzących namietności zagadnieniach etnicznych dyskutuje się na łamach prasy lub stają się one tematem pozbawionych przemocy walk wyborczych. Wielu Katalończyków w Hiszpanii i wielu Szkotów w Wielkiej Brytanii może mieć oczywiście inne zdanie na temat tego, czy osiągnięte ustalenia są zadowalające, podobnie jak wielu mieszkańców Quebecu w Kanadzie.

Stany Zjednoczone stanowią pod tym względem całkiem inny kraj: rozciągnięty na szerokość całego kontynentu, stworzony od zera przez miliony imigrantów z każdego zakątka świata na szczątkach rodzimej ludności, czyli Indian. (Podobną historię ma Argentyna). Przekonałem się, że brutalne obejście się z Indianami nie jest dziś w Stanach Zjednoczonych popularnym tematem do dyskusji, i nietrudno zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Dla wielu Amerykanów jest to równie niewygodny i kłopotliwy temat jak niewolnictwo i dlatego stanowiło to popularne

zagadnienie szkoleniowe w ZSRS. Dla komunistycznej ideologii było niezwykle ważne, by udowodnić, że pod każdym względem jesteśmy lepsi, także na płaszczyźnie moralnej. (Oraz intelektualnej, co tłumaczy, dlaczego tak mocno promowano szachy – na szczęście dla mnie).

Sowiecka propaganda z wielką wprawą stosowała również sztuczkę zwaną *whataboutism* – było to określenie ukute dla opisanego sposobu, w jaki sowieccy przywódcy odpowiadali na krytykowanie dokonywanych przez Sowietów rzezi i deportacji oraz prowadzonych przez nich gułagów. Sowiecka odpowiedź brzmiała wówczas: „A co powiecie o tym (*What about*), jak wy sami, Amerykanie, traktowaliście Indian i niewolników?” – lub podobnie. W większości były to ewidentne i nędzne sztuczki retoryczne polegające na zmianie kierunku i tematu. Ponieważ Putin wskrzesił bardzo wiele sowieckich metod i tradycji, *whataboutism* jest dziś znowu popularny dzięki zatrudnianym przez Rosję komórkom wyszkolonych trolli internetowych. Praktycznie nie ma jednego mojego krytycznego tweeta na temat Rosji, który by się obył bez paru natychmiastowych odpowiedzi mówiących, że Stany Zjednoczone (lub Izrael) zrobiły coś podobnego albo gorszego, albo coś całkowicie niezwiązanego, lecz również całkiem złego. Ta technika cieszy się niesłabnącą popularnością u przywódców i zwolenników autokracji, ponieważ nie potrafią oni odpowiedzieć na zarzuty pod adresem własnych zbrodni. Na przykład państwa arabskie często wypowiadają się tak, jakby postępowanie Izraela wobec Palestyńczyków było jakimś usprawiedliwieniem ich własnych represyjnych reżimów.

Sowieci mieli wiele powodów, by chcieć zmieniać temat. W rzeczywistości tych powodów były dziesiątki milionów, a stało się to jasne od chwili, gdy ZSRS zaczął się rozpadać. Już dzieła Aleksandra Sołżenicyna dokumentowały okropności dokonujące się w ZSRS za rządów Lenina i Stalina. Książki te były zakazane w ZSRS, a ich autor został wygnany z kraju nie tylko dlatego, że podważały wielkość tych dwóch wodzów, lecz także z powodu wniosków, do jakich Sołżenicyn doszedł. Postawił mocno uzasadnioną tezę, że cały sowiecki system może funkcjonować tylko dzięki przymusowi i groźbie więzienia, jak również dzięki

darmowej sile roboczej, którą zapewniają gułagi. Jednak Stalin zrobił znacznie więcej, by spacyfikować swoje złożone ze zlepków imperium, i widmo tych zbrodni miało wrócić, by znów straszyć Rosję i cały świat.

Stany Zjednoczone nazywa się tygłem narodów albo państwem multikulturowym. W ten sposób opisuje się proces, w wyniku którego rozmaite fale imigrantów połączyły się i powstało społeczeństwo dumnych Amerykanów. Zabawna tradycja sięgająca przypuszczalnie czasu, kiedy do Plymouth Rock przybił pierwszy statek po Mayflower, każe każdemu kolejnemu pokoleniu uskarżać się, że najnowsza grupa imigrantów jest dużo gorsza niż ich własna, że nie będzie pracować albo że się nie zasymiluje, albo że jest gorsza pod jakimś innym względem. A jednak, pomimo że jest to kraj stworzony w wyniku podboju i pomimo wszystkich tych sprzeczek, Ameryka ciągle miesza w swoim tygł, włączając nowych imigrantów w swój multikulturowy koktajl. Niezwykle mnie ta cecha zachwyca, bo sam jestem tu nowo przybyłym i mam już zieloną kartę mimo wątpliwych wpisów w historii zatrudnienia: „trzynasty szachowy mistrz świata” i „aktywista działający na rzecz demokracji”.

Związek Sowiecki był całkiem innym tworem, w odniesieniu do którego wcześniejsze metafory nie znajdują zastosowania. Powiedziałbym raczej, że ZSRS był potworem Frankensteina, którego niedopasowane części ciała zostały niewprawnie doszyte do rosyjskiej głowy. Zamiast asymilować je we wspólnej tożsamości, większości tych niejednorodnych republik narzucono powszechną sowiecką kulturę komunistyczną (jeśli w ogóle można o czymś takim mówić) – narzucono wyłącznie siłą totalitarnej biurokracji i środków masowego przekazu. Bolszewicy mogli sobie mówić o oczywistej wyższości marksizmu-leninizmu, ale zasadniczymi narzędziami wykorzystywanymi do budowania i utrzymywania sowieckiego imperium był terror państwa i siła zbrojna.

To, że przez siedemdziesiąt długich lat Związkowi Sowieckiemu kompletnie nie udało się wyjść poza to dziedzictwo najazdu i represji, znalazło jasne odzwierciedlenie w zapale, z jakim poszczególne republiki oddzielały się od rozkładającej się głowy Kremla, kiedy tylko miały po temu okazję. Nawet Ukraina,

pradawna ojczyzna pierwszego wschodniosłowiańskiego staroruskiego państwa jednonarodowego, mająca tak wiele wspólnego z Rosją, szybko skorzystała z uchylonych drzwi, całkowicie grzebiąc nadzieje Gorbaczowa na powstanie nowego związku.

W wielu wypadkach pewną rolę odgrywał również czynnik motywacyjny w postaci możliwości zagarnięcia władzy. Regionalni urzędnicy i przywódcy partyjni marzyli, by zostać despotami, i zdawali sobie sprawę, że w niezależnym państwie będą mieli więcej władzy oraz większe możliwości, by się obłowić, nawet jeśli jego gospodarka i reżim będą pozostawały w znacznym stopniu zależne od Moskwy. Mimo to nawet republiki z Azji Środkowej, które z wahaniem zgadzały się pozostać przy nowym ZSRS w wersji light, ostatecznie opuściły Gorbaczowa.

Piętnaście byłych sowieckich republik szybko uznanych przez Organizację Narodów Zjednoczonych za niezależne państwa okazało się najmniejszymi z problemów Rosji. Aż pięć innych ogłosiło niepodległość mniej więcej w tym samym czasie co tamta piętnastka, ale nie udało im się jej utrzymać. O większości z nich na Zachodzie słychać tylko dlatego, że wciąż są to terytoria sporne, na których od czasu do czasu dochodzi do wybuchów przemocy. W łonie Związku Sowieckiego Abchazja i Osetia Południowa stanowiły częściowo autonomiczne regiony Gruzji i kiedy ZSRS zaczął się rozpadać, obie ogłosiły, że stają się państwami. Po serii krótkotrwałych konfliktów oba te tereny pozostały jednak częścią Gruzji i zostały później wykorzystane przez Putina do sprowokowania w 2008 roku wojny z Gruzją. Obecnie oba te terytoria są w gruncie rzeczy rosyjskimi strefami okupowanymi, mimo że ONZ nadal uznaje je za części Gruzji.

Transnistria i Gagauzja miały z grubsza podobne doświadczenia z ZSRS oraz Mołdawią, która niedawno uzyskała niepodległość. (Mam nadzieję, że mieszkańcy tych terenów i eksperci wybaczą mi uproszczenia podyktowane względami praktycznymi). Rosja Putina w podobny sposób wmieszała się w te autonomiczne strefy, jak zwykle zajmując każdy wakat władzy w swoim zasięgu. Górski Karabach, od dawna sporny teren leżący między Azerbejdżanem i Armenią, w roku 1991 również ogłosił, że jest niepodległym państwem. Jego obecny oficjalny status

to terytorium azerbejdżańskie, ale jest to obszar *de facto* niezależny, a w gruncie rzeczy funkcjonuje jako część Armenii.

To jednak jeszcze nie wszystko – najgorsze zachowałem na koniec. Chyba tylko prawdziwi specjaliści znają nazwę Iczkeria. Rzadko się jej już używa, a o ile wiem, rzadko też jej używano nawet wówczas, kiedy obowiązywała jeszcze pełna nazwa tego państwa, Czeceńska Republika Iczkerii. A właściwie: o ile kiedykolwiek obowiązywała – które to pytanie oczywiście doprowadziło do dwóch wojen, tysięcy ataków terrorystycznych i setek tysięcy ofiar, w większości wśród ludności cywilnej. Prawie wszystkie te ataki miały miejsce w obrębie Rosji.

Większość ludzi słyszała dziś coś na temat Czeczenii – i zawsze w negatywnym kontekście. Nazwa tego kraju kojarzy się z brutalnymi mafiosami, bojownikami i terrorystami. W ostatnim czasie o Czeczenii znów mówiono w wiadomościach, kiedy ujawniono, że sprawcy zamachu bombowego w pobliżu mety bostońskiego maratonu, bracia Carnajewowie, byli Amerykanami czeczeńskiego pochodzenia. Będąca ojczyzną ponad miliona ludzi, w przeważającej mierze muzułmanów, maleńka Czeczenia stoczyła dwie bezwzględne wojny o niepodległość i oderwanie się od Moskwy. Pierwsza rozpoczęła się pod koniec 1994 roku, kiedy Jelcyn miał już dość wymierzonego przeciw Moskwie umacniania się władzy czeczeńskiego przywódcy Dżochara Dudajewa w jego nieuznawanej republice. Historia zna wiele przykładów zbyt pewnych siebie przywódców wielkich państw, którzy atakowali niewielkie miejscowe oddziały w górach. Zgodnie z tym właśnie schematem ofensywa Jelcyna w Czeczenii wpędziła rosyjskie wojska w tarapaty, które przekształciły się w trwającą dwadzieścia miesięcy regularną wojnę. Szacuje się, że kosztowała ona życie stu tysięcy ofiar wśród ludności cywilnej i prawie dwudziestu tysięcy rosyjskich żołnierzy. Wojska rosyjskie na każdym kroku gwałciły prawa człowieka, z kolei Czeczeni zaczęli brać zakładników poza granicami swojej ojczyzny.

Brutalność tej wojny i straszliwe zniszczenie czeczeńskiej stolicy Groznego przyczyniły się do rozwścieczenia i zradykalizowania całego pokolenia Czeczenów, którzy znienawidzili Rosję. Czeczenia i dwa sąsiadujące z nią państwa, Inguszetia

od zachodu i Dagestan od wschodu, w roku 1917 ogłosiły niepodległość i oddzieliły się od Rosji jako zjednoczona góraska republika, ale już po czterech latach zostały siłą wprzęgnięte w struktury Związku Sowieckiego. Mimo że mieszkańcy tego regionu zasłużyli się w walce przeciwko nazistom w drugiej wojnie światowej, w 1944 roku Stalin zrobił na nich obławę i niemal wszystkich, prawie pół miliona ludzi, deportował do Kazachstanu. Pozwolono im wrócić w 1957 roku w ramach procesu destalinizacji, ale ogromna ich liczba zmarła z głodu albo została zabita.

Nie jest przypadkiem, że większość tych spornych i rodzących konflikty terytoriów położona jest na Kaukazie. (Z wyjątkiem Mołdawii, która leży po zachodniej stronie Morza Czarnego między Ukrainą a Rumunią). Patchworkowa kołdra tego regionu składa się z wielu łatek i niezliczonych krwawych rywalizacji – zarówno pradawnych, jak i nowych. Te kontrowersyjne terytoria sięgają od położonego na południu, nad Morzem Kaspijskim, przy granicy z Iranem Azerbejdżanu, gdzie się urodziłem, po Gruzję nad Morzem Czarnym, rozciągając się także na leżącą pomiędzy nimi Armenię oraz Turcję od południa. Na północy, po rosyjskiej stronie granicy, obejmują Dagestan, Czeczenię i Inguszetię, jak również Kabardo-Bałkarię (na której terenach leży góra Elbrus, najwyższy szczyt w Europie) i tereny dalej na północ, aż do stepów Kałmucji. Terytoria te są ojczyzną ponad pięćdziesięciu grup etnicznych, mówiących dziesiątkami języków i wyznających niemal każdy rodzaj religii.

Rosyjskim przywódcom nigdy nie przemawiał do przekonania pomysł, by pozwolić Czeczenii i jej wyjątkowo agresywnym sąsiadom na niepodległość. Nie chodziło po prostu o to, że te kraje były wygodnym workiem treningowym pomagającym zdobywać poparcie dla władzy w samej Rosji. Ani też nie miały zbyt wiele do zaoferowania w zakresie zasobów. Problem polegał na tym, że gdyby stały się niepodległymi państwami, momentalnie uzyskałyby prawa i ochronę przysługujące niepodległym państwom, mogłyby swobodnie zawierać sojusze, podpisywać traktaty i składać skargi do Organizacji Narodów Zjednoczonych – a przy tym wszystkim te porozbijane państwa nie byłyby żadną miarą w stanie kontrolować wzbierającej przemocy. Radzenie sobie z własnym chorym rosyjskim

państwem było męką. Radzenie sobie z chorym sąsiadem było czymś dużo gorszym, o czym Sowieci boleśnie przekonali się w Afganistanie.

Nie bronię w tym aspekcie Jelcyna, ale był jeszcze jeden czynnik, który sprawiał, że odłączenie się tych państw było prawie niemożliwe: brak wyraźnych granic. Związek Sowiecki składał się z republik i granice między nimi były całkiem wyraźne. Kiedy ZSRS się rozpadł, nie było zbyt wielu konfliktów między nowymi państwami w kwestiach geografii. Jednak w samej Rosji granice nigdy nie były tak wyraźnie wyrysowane, ponieważ wewnątrz tej rozległej republiki nie miały one żadnego uświęconego znaczenia. Dlatego kiedy region Czeczenii i Inguszetii w 1991 roku ogłosił niepodległość, nikt do końca nie wiedział, co to miałyby znaczyć. Separatystyczni przywódcy twierdzili, że ich nowe państwo rozciąga się aż po Stawropol, dwieście kilometrów na zachód od Groznego, i trudno było zaprzeczyć ich twierdzeniom albo przedstawić jakieś inne, alternatywne, które by było oparte na jakimkolwiek konkretnym argumencie. Gdzie się zaczynała Czeczenia, a gdzie kończyła? A sąsiadujący z nią Dagestan? To była puszcza Pandory. Czeczenia była również wyjątkowa z tego względu, że bunt na jej terenie pojawił się bez żadnych wpływów z zewnątrz. Cała reszta zbuntowanych krajów miała sąsiadów w ten czy inny sposób podburzających je do buntu lub działających przeciwko niemu. Natomiast sprzeciw w Czeczenii miał charakter całkowicie wewnętrzny.

Łatwo ulec pokusie i przejść od razu do drugiej wojny czeczeńskiej, która wyniosła nieznanego wcześniej premiera o nazwisku Władimir Putin na urząd prezydenta. Jednak tamta pierwsza wojna nie tylko przygotowała grunt dla drugiej, lecz również stanowi ważny przykład tego, jak lekką ręką w latach dziewięćdziesiątych Zachód podejmował decyzje dotyczące Rosji. Dzięki magicznym własnościom e-booków mogę stwierdzić, że w pamiętnikach Billa Clintona zatytułowanych *Moje życie* Czeczenia pojawia się dokładnie cztery razy na ponad tysiącu stron. Nawet jeśli pominiemy pierwszą połowę książki, która omawia okres przed prezydenturą Clintona, jest to zdumiewające. Trafnie obrazuje to również miejsce, jakie Czeczenia i inne punkty zapalne na świecie zajmowały na liście priorytetów Clintona, kiedy był prezydentem, zwłaszcza w czasie pierwszej

kadencji. (Rwandyjskiemu ludobójstwu z 1994 roku Clinton poświęcił kilka wzmianek więcej, w większości jednak w formie wyrazów żalu, że nie zrobił nic, by podjąć tam interwencję).

Nie wynikało to stąd, że o pierwszej wojnie czeczeńskiej w tamtym czasie mało kto słyszał. Grupy zajmujące się walką o przestrzeganie praw człowieka oraz zachodnie media relacjonowały dokonujące się tam potworności tak szczegółowo, jak tylko się dało. To, że rosyjskim wojskom nie udało się spacyfikować tego regionu tak szybko, jak to obiecywano, stało się dla Borysa Jelcyna kłopotliwym tematem przed zbliżającymi się wyborami w 1996 roku, zmuszając go do mówienia na ten temat podczas publicznych wystąpień. Pamiętajmy, że było to jeszcze w czasach, kiedy media w Rosji wciąż cieszyły się wolnością. Wkrótce po tym, jak władzę przejął Putin, już samo słowo „Czeczenia” stało się praktycznie zakazane w rosyjskiej prasie. Jelcyn przeżył nawet kilka trudnych chwil, stojąc obok Clintona na konferencjach prasowych w roku 1995 i 1996, kiedy musiał odpowiadać na pytania o Czeczenię. W większości zaprzeczał, że dochodzi tam do jakiegokolwiek stosowania przemocy – pomimo przytłaczających doniesień na temat zbrodni wojennych.

Czytanie dziś zapisów z tamtych konferencji prasowych dostarcza niezwykłych doznań. Rosyjski prezydent zmuszony do odpowiadania na trudne pytania przez rosyjską prasę! Można wybaczyć tym, którzy nie pamiętają, że takie chwile w ogóle kiedykolwiek się zdarzały w rosyjskiej historii. Podczas wspólnej konferencji Jelcyna i Clintona w Moskwie 10 maja 1995 roku jeden z reporterów, słysząc zwykle lekceważące uwagi Jelcyna, przeszedł od razu do rzeczy.

Reporter: Panie prezydencie Clinton, słyszał pan przed chwilą, jak prezydent Jelcyn opisuje sytuację w Czeczenii w sposób, który stoi być może w sprzeczności z opisującymi dokonującą się w tamtej części państwa rzeź doniesieniami agencyjnymi. Zastanawiam się wobec tego: czy – jaka jest pańska odpowiedź na podany przez prezydenta Jelcyna opis, czy pan to akceptuje, a jeśli nie, to dlaczego, i jaki wpływ mogą mieć te relacje



o tak strasznych wydarzeniach na państwa chcące wstąpić do NATO, i co by pan na ten temat powiedział prezydentowi Jelcynowi? <sup>13</sup>

W odpowiedzi na to pytanie Clinton odniósł się do tego, że ofiary wśród ludności cywilnej oraz przedłużające się walki w Czeczenii „bardzo zaniepokoiły pozostałą część świata i wpłynęły na stanowisko wielu europejskich państw w sprawie tego, co się tam dzieje, i w sprawie przyszłych stosunków”. Powiedział, że namawiał Jelcyna, by ogłosił zawieszenie broni i „doprowadził tę sprawę do szybkiego rozwiązania”, kończąc słowami, że „jest to trudne również dla nich [dla Rosji]”.

Co zatem mógł zrobić amerykański prezydent albo co zrobić mogła Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (OBWE) z krwawą wojną domową w Rosji, podczas której wysiedlano, torturowano i mordowano dziesiątki tysięcy ludności cywilnej? Pewną wskazówkę można znaleźć we wcześniejszej części tej samej konferencji prasowej, kiedy prezydenta Clintona zapytano, jak zareaguje na ciągłe wspieranie przez Rosję irańskiego programu nuklearnego.

Reporter: Czy sprzeciwi się pan groźbom republikanów, że odetną Rosji dostęp do pomocy zagranicznej?.

Co!?! Tak, tak wyglądała sytuacja w 1995 roku! Dzisiaj, dokładnie dwadzieścia lat później, gazety znów piszą na pierwszych stronach o stworzonym przez Rosję irańskim programie nuklearnym głównie z tego samego powodu: z obawy przed tym, by Iran nie wyprodukował bomby jądrowej. A wszystko to zaczęło się wówczas, gdy amerykańskie wsparcie pomagało Rosji utrzymać płynność (a Jelcynowi – zostać ponownie wybranym w 1996 roku). Z całą pewnością należało rozważyć uzależnienie tej pomocy od wycofania rosyjskiego wsparcia dla irańskiego programu nuklearnego albo od zakończenia rzezi w Czeczenii. I rzeczywiście, o takim uzależnieniu całkiem sporo dyskutowano w amerykańskim Kongresie, w obu izbach, w latach 1995–1996.

Rosyjska agencja atomistyki MinAtom (którą w 2007 roku zastąpiła korporacja RosAtom) zapewniała budżetowi rozpaczliwie potrzebne wpływy dewizowe, a była

zarządzana w zatrważająco autonomiczny sposób. Jej szef Wiktor Michajłow zawarł tajny układ z Iranem na dostawę wirówek wzbogacających, które miały umożliwić produkcję bojowego uranu wysoko wzbogaconego, i zrobił to nawet bez informowania Jelcyna <sup>14</sup>. Ta bandycka agencja miała również poparcie ministra spraw zagranicznych Jewgienija Primakowa, który wspierał bliskie relacje polityczne i ekonomiczne z Iranem <sup>15</sup>.

W swojej książce Clinton opowiada, że kiedy podczas tamtej podróży pierwszy raz spotkał się z Jelcynem na Kremlu, „podali sobie ręce” na znak zgody, że Jelcyn ogłosi publicznie, że Rosja nie przekaze Iranowi żadnej technologii jądrowej, która mogłaby zostać wykorzystana w celach wojskowych. I Jelcyn zrobił to, jak zaplanowano, podczas konferencji prasowej, jednakże oficjalny zakaz dotyczący tego rodzaju przepływu technologii związanych z uzbrojeniem wydał dopiero w sierpniu 1996 roku, czyli ponad rok później.

Wielu członków Kongresu było tym oburzonych i wprowadziło dodatkowe warunki mające ograniczyć pomoc dla Rosji, jeśli nadal wspierałaby ona irański program nuklearny i prowadziła wojnę przeciwko ludności cywilnej. Jednak administracji Clintona udało się włączyć do ustawy dotyczącej pomocy dla Rosji postanowienie, które „pozwała prezydentowi uchylić te restrykcje, jeśli uzna, że leży to w interesie bezpieczeństwa narodowego Stanów Zjednoczonych. Administracja przekonywała, że uzależnianie pomocy dla Rosji od jakiegoś konkretnego oczekiwanego zachowania w odniesieniu czy to do Iranu, czy to do Czeczenii było niewłaściwe, ponieważ program pomocowy miał sprzyjać elementom reformistycznym w Rosji, a ostatecznie ułatwić transformację, która mogłaby zapewnić przyszłe relacje w większym stopniu oparte na współpracy” <sup>16</sup>.

Powyższy akapit ukazuje całe zło, do którego prowadzi eliminowanie moralnego elementu z polityki zagranicznej. Ze względu na mało konkretną nadzieję na „przyszłe relacje w większym stopniu oparte na współpracy” administracja Clintona wywalczyła usunięcie z agendy kwestii irańskiego programu nuklearnego i rzezi w Czeczenii. Nie chodziło o pieniądze; parę miliardów dolarów nie miało decydującego znaczenia ani dla Stanów, ani dla Rosji, chociaż Jelcyn z pewnością

potrzebował wszelkiej pomocy, jaka tylko była w jego zasięgu, ponieważ zbliżały się wybory z 1996 roku. (Ja sam brałem udział w jego kampanii). Zamiast powiązać pomoc zagraniczną i politykę zagraniczną z niemoralną rzezią ludności cywilnej w Czeczenii, Clinton wyrażał zaniepokojenie, wypowiadał niejednoznaczne uwagi na temat tego, w jaki sposób ta sytuacja może popchnąć inne państwa w stronę przystąpienia do NATO (tak też się stało), oraz nazywał to sprawą wewnętrzną.

Clinton i Europa przegapili szansę na wytyczenie Rosji dopuszczalnych granic postępowania, przynajmniej na obszarach poza państwami bałtyckimi. W Azji Środkowej oraz z różnych strefach konfliktu na Kaukazie Zachód milcząco wspierał rosyjską sferę wpływów. Jak donosił „The New York Times” w październiku 1994 roku, dwa miesiące przed szturmem rosyjskich wojsk na Czeczenię, Zachód odmówił wysłania sił pokojowych do nowo powstałych państw, pozwalając wkroczyć tam siłom rosyjskim, by to one radziły sobie ze sprowokowanymi przez siebie konfliktami <sup>17</sup>.

Reagan swoją polityką zagraniczną opartą na moralności wskazał drogę, ale teraz całkowicie ją porzucono. Jej podstawą nie były działania jednostronne. Nikomu na przykład nie przyszło do głowy, by Stany Zjednoczone albo NATO bezpośrednio pomagały czeczeńskim separatystom. Ważnym elementem było to, by wyraźnie i konsekwentnie pokazywać, jak ważne są prawa człowieka i ludzkie życie. Clinton przykładął zbyt wielką wagę do nadziei na „relacje w większym stopniu oparte na współpracy”, by móc tak po prostu stwierdzić, że rzeź ludności cywilnej oraz pomaganie państwu wspierającemu terroryzm w tworzeniu programu nuklearnego to rzeczy niedopuszczalne.

Owe dzieje niemoralnej bierności są również kolejnym argumentem zamykającym usta głosicielom mitu o upokorzeniu Rosji. Przez cały czas Clinton przyjmował deklaracje Jelcyna w dobrej wierze, przekazał Rosji dane wywiadowcze na temat Iranu, zapoczątkował znaczną demilitaryzację Europy, a nawet pomógł rozbroić inne posowieckie państwa, dzięki czemu zagwarantowano prymat Rosji. W roku 1994 przywódcy Rosji, Ukrainy, Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii zasiedli wspólnie na Węgrzech za długim stołem, by podpisać

akt, który nazwano memorandum budapeszteńskim o gwarancjach bezpieczeństwa.

Ten krótki dokument nie przypomina typowych obszernych traktatów ani nawet gwarancji bezpieczeństwa, lecz jego zamysł i cel jest jasny. Pod silnym naciskiem Rosji i Stanów Zjednoczonych Ukraina zrzekała się znajdującego się na jej terytorium trzeciego co do wielkości nuklearnego arsenału na świecie. W zamian ukraiński prezydent Leonid Kuczma chciał od Clintona, Jelcyna i Johna Majora publicznego zobowiązania do „poszanowania niezależności i suwerenności istniejących granic Ukrainy” oraz „zobowiązania do powstrzymania się od stosowania groźby lub użycia siły przeciw integralności terytorialnej bądź politycznej niezależności Ukrainy”<sup>18</sup>. Oczywiście Rosja naruszyła to porozumienie, kiedy w marcu 2014 roku najechała i zaanektowała Krym. Co do pozostałych sygnatariuszy, w dokumencie nie wskazano żadnych środków egzekwowania zobowiązań, a jedyną obiecaną reakcją jest zwrócenie się do Rady Bezpieczeństwa ONZ o podjęcie działań, „gdyby Ukraina stała się ofiarą aktu agresji lub obiektem groźby agresji, w których stosowana jest broń jądrowa”.

Kiedy pod koniec 2014 roku rozmawiałem w Kijowie z pierwszym ukraińskim prezydentem Leonidem Krawczukiem, twierdził stanowczo, że Stany Zjednoczone zdradziły Ukrainę i oddały ją Putinowi, nie wywiązując się ze zobowiązań, które przyjął Clinton w Budapeszcie. Krawczuk powiedział, że przez cały czas to Clinton, mocniej nawet niż Jelcyn, naciskał na niego i na prezydentów Kazachstanu oraz Białorusi, by oddali swoje nuklearne arsenały. W tamtym czasie był to bez wątpienia słuszny cel i wielkie osiągnięcie. Jednak jakie to ma znaczenie, skoro dwadzieścia lat później Ukraina staje praktycznie bezbronna naprzeciwko gigantycznej, dysponującej bronią jądrową maszyny wojennej Władimira Putina, a Stany Zjednoczone mówią: przykro nam, Ukraino, ale trzeba było w Budapeszcie doczytać dopisek drobnym drukiem?

Odpowiem sam sobie: dla świata ma to takie znaczenie, że amerykańskie (a i brytyjskie także) obietnice bezpieczeństwa są bezwartościowe. Jedyńm celem porozumień budapeszteńskich było pokazanie każdemu potencjalnemu agresorowi – wszyscy oczywiście wiedzą, że chodziło o sąsiadującego z Ukrainą rosyjskiego

niedźwiedzia – że Stany Zjednoczone wzięły Ukrainę pod swoje nuklearne skrzydła. Gdyby takie pokazy siły miały okazać się bez znaczenia i gdyby posiadanie własnej broni jądrowej było jedynym sposobem na zabezpieczenie się przed agresją, wkrótce inne państwa zaczęłyby gorączkowe starania o wejście w posiadanie takiej broni. Japonia i Tajwan liczą na to, że Ameryka będzie powstrzymywać Chiny. Korea Południowa liczy na to, że Ameryka będzie powstrzymywać Koreę Północną. A obojętnie, czy to przyznają, czy nie, połowa państw Bliskiego Wschodu zrezygnowała z dążenia do uzyskania broni jądrowej mogącej wyrównać ich szanse w konfrontacji z Izraelem z powodu majaczącego w oddali cienia Ameryki. Trudno sobie wyobrazić, by to powściągliwe zachowanie trwało zbyt długo, jeśli prezydent Obama wciąż będzie odpowiadał na agresję rosyjskich wojsk słabymi sankcjami, bezwartościowymi negocjacjami i wyrażaniem głębokiego zaniepokojenia.

Ponieważ Bill Clinton wciąż jest bardzo ważną postacią życia publicznego, należałoby jego samego zapytać, co sądzi o obojętnej postawie Obamy wobec dokumentu, który Clinton podpisał w Budapeszcie. Należałoby go o to zapytać tym bardziej, że należą do tej samej partii, a Hillary Clinton pracowała w gabinecie Obamy jako sekretarz stanu. Prawdopodobnie żadnemu z reporterów obecnych na konferencji w Budapeszcie nie przyszło do głowy zapytać Clintona, co by zrobiła jego administracja, gdyby Rosja wysłała czołgi na Ukrainę, tak jak to zrobiła teraz, ale z wielką ochotą posłuchałbym dziś jego odpowiedzi.

\*

Mamy nieodpartą skłonność do zauważania w dziejach jedynie wielkich chwil. Takie momenty oczywiście istnieją, ale zwykle tym, co liczy się bardziej niż jakaś pojedyncza decyzja czy jednostkowe wydarzenie, są długofalowe trendy i prawidłowości. Kiedy mówimy o upadku rosyjskiej demokracji i o zachodniej polityce ustępstw, która ten upadek ułatwiła, warto przyjrzeć się temu, jak poszczególne momenty wpasowują się w ogólne tendencje.

George H.W. Bush aż do przesady i do ostatka wspierał Michaiła Gorbaczowa. Administracja Billa Clintona w podobny sposób dała się urzec Borysowi Jelcynowi

i wspierała go kosztem spójności oraz konsekwencji polityki nacisku na reformy ekonomiczne i na demokrację w Rosji. W kolejnym rozdziale będę pisał o tym, że George W. Bush popełnił ten sam błąd wobec Putina, pokładając ufność w jednostce zamiast w demokratycznych instytucjach i zasadach, które Rosji były tak bardzo potrzebne. Zachód zwykle znajdował sobie jakiegoś ulubieńca albo opierał się na wrażeniu, że z danym politykiem będzie się dało współpracować, po czym już na nic nie zważał. Kiedy nieuchronnie rezultaty okazywały się nie spełniać nierealistycznych nadziei, wycofanie się było niewygodne albo niemożliwe.

Równocześnie przez całe lata dziewięćdziesiąte autorytet i wiarygodność Stanów Zjednoczonych na arenie świata malały. W chwili zakończenia zimnej wojny Ameryka jawiła się równie wszechpotężna jak Czarnoksiężnik z krainy Oz, zanim przewrócił się zasłaniający go parawan. W 1999 roku, kiedy Clinton w końcu zrozumiał, o co chodzi w Kosowie, zasłona była już odsłonięta, zerwana i symbolicznie spalona. Katastrofa w Somalii (znana z filmu *Helikopter w ogniu*), ludobójstwo w Jugosławii i Rwandzie, ustąpienie Rosji w sprawie Czeczenii oraz ograniczenie poszerzania NATO: każde z tych wydarzeń było ciosem dla globalnej stabilności i jej rzekomych gwarantów w Stanach Zjednoczonych i Unii Europejskiej.

Stany Zjednoczone wcale nie wykazywały się skłonnościami do imperializmu ani hegemonii, co bez ustanku zarzucały im Rosja i Chiny – przeciwnie: wycofywały się. W 1998 roku osobista wiarygodność Clintona również szybko spadała. W styczniu wybuchł w prasie skandal z Monicą Lewinsky. Cyrk medialny, proces i impeachment bardzo zakłóciły pracę rządu i życie zwykłych Amerykanów. Jeszcze w tym samym roku wszystko całkiem stanęło na głowie, kiedy Clinton wydał rozkaz wystrzelenia pocisków manewrujących, których celem okazały się Bogu ducha winne zakłady farmaceutyczne w Sudanie.

Choć bardzo wygodnie byłoby obarczyć całą winą za upadek rosyjskiej demokracji wyłącznie Putina, prawda jest bardziej skomplikowana. Powrót Rosji do dyktatury to nie był jakiś nagły upadek. Wiele drobnych, szybkich kroków w tym samym kierunku może wyglądać jak gładki zjazd. Podobnie jest podczas analizy

ukończonej partii szachów (taka analiza nazywa się *post-mortem*): powiedzenie, że wszystko szło świetnie aż do tego czy innego ruchu, zwykle jest niedorzeczne i szkodzi przeprowadzeniu rzetelnej analizy. Oczywiście zdarzają się pojedyncze poważne błędy przy dobrej pozycji, jednak są one jeszcze rzadsze w dyplomacji niż podczas szachowych mistrzostw świata.

Jest to kwestia sporna, w odniesieniu do której często różnimy się dziś często z moimi znajomymi o dyplomatycznym nastawieniu. Spoglądają oni na minione dwadzieścia lat stosunków rosyjsko-amerykańskich i w ich oczach nie wygląda to aż tak źle, dlatego kompletną katastrofę, jaka przyszła w 2014 roku, odbierają jako nagły wstrząs. Stało się jednak to, przed czym przez co najmniej piętnaście z tych dwudziestu lat często przestrzegałem: Putinowskie represje i przemoc, która ostatnio wybuchła, przez cały ten czas stale narastały, a całe lata zachodnich kompromisów i udawania, że wszystko jest w porządku, tylko je wzmacniały.

Nie było żadnej gwałtownej zmiany wprowadzonej przez Obamę, która sprowokowała Putina, nie było też żadnych dramatycznych zmian w postawie Putina czy w dziejach Rosji, które wymusiły najazd na Ukrainę. Putin zawsze zmierzał w tym kierunku, pozostawało jedynie pytanie, czy zachodni przywódcy zmienią coś w zakresie sposobów, jakimi można było zapobiec takiemu wybuchowi. Niestety, dziś już wiemy, że odpowiedź brzmi: nie, nie zmienili.

Jeśli droga do piekła wybrukowana jest dobrymi intencjami, to kompromisy w sprawie zasad są na tej drodze latarniami ulicznymi. Przyznałem już wcześniej, że poparłem Jelcyna starającego się w 1996 roku o reelekcję – poparłem go mimo jego coraz bardziej niedemokratycznej postawy wobec rosyjskich instytucji oraz niezależności naszych wyborów. Jelcyn nadużywał władzy państwowej, walcząc z wyzwaniem, jakim była dla niego partia komunistyczna, wciąż mogąca zagrozić reformatorom. Partia ta uzyskała również większość w rosyjskiej Dumie podczas wyborów parlamentarnych w 1995 roku, nie było to zatem wyimaginowane zagrożenie. Jelcyn zdecydowanie nie cieszył się popularnością, mając na początku roku sondażowe poparcie poniżej 10 procent i tylko sześć miesięcy do czerwcowych wyborów.

Przyjęta przez administrację Jelcyna taktyka oskarżania każdego, kto go krytykuje, każdego przedstawiciela opozycji, że próbują cofnąć Rosję w mroczną przeszłość, stawała się coraz mniej skuteczna, podczas gdy gospodarka borykała się z poważnymi problemami. Świat zewnętrzny również nie bardzo się przejmował szansami Jelcyna. W lutym przywódcę partii komunistycznej Ziuganowa przyjęto jak gwiazdę rocka nie gdzie indziej jak na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos, w samym sercu kapitalistycznej bestii. Oczywiście Ziuganow jako kandydat na prezydenta nie miał absolutnie zielonego pojęcia, co robić, i jego wybór byłby totalną katastrofą, ale z pewnością wydawał się całkowicie prawdopodobny. I nie chodziło po prostu o to, że w trudnych czasach ludzie głosują przez pryzmat swoich portfeli. W Rosji panowało prawdziwe poczucie chaosu i zdrady, a naturalnym celem tej frustracji był prezydent.

I w tym właśnie miejscu dochodzimy do jednego z najtrudniejszych do wyjaśnienia osobom z zewnątrz pojęć dotyczących rosyjskiego odrzucenia demokracji. Kiedy Sowieci zastanawiali się nad upadkiem naszego państwa i czekającą nas przyszłością, dla większości z nas demokracja nie była pojęciem zbyt dobrze określonym ani zbyt dobrze rozumianym. Owszem, pragnęliśmy wolności, praw i tego wszystkiego, co się wiąże ze społeczeństwem otwartym, ale dla większości ludzi były to abstrakcje. Tym, czego tak naprawdę zazdrościliśmy Zachodowi, były możliwości; zwłaszcza możliwość poprawienia swojego losu pod względem ekonomicznym. Wolny świat miał wybory i miał pieniądze, a my nie mieliśmy ani jednego, ani drugiego, dlatego te dwie rzeczy w oczywisty sposób się dla nas łączyły: była to sprzedaż wiązana. Toteż kiedy w 1991 roku ochoczo oblegaliśmy lokale wyborcze, by po raz pierwszy głosować na Jelcyna, wyglądało to tak, jakby wielu Rosjan oczekiwało, że urny wyborcze będą działać jak bankomaty: wkładasz kartę do głosowania, a ze środka wychodzą pieniądze! To pojęciowe nieporozumienie sprawiło, że później jakiś despota, na przykład Putin, mógł łatwo cofnąć prawa obywatelskie, twierdząc, że demokracja zawiodła, że to był wyłącznie zachodni przekręt mający na celu wykorzystanie Rosji i tak dalej. Sytuacja gospodarcza też zresztą wówczas nie pomogła. Jeśli jest coś gorszego niż



puste półki sklepowe, to są to półki pełne drogich nowych produktów, na których kupno nas nie stać.

Nieco otrzeźwieliśmy, kiedy w 1993 roku zarządzono specjalne wybory parlamentarne po kryzysie konstytucyjnym, który niemal obalił całą władzę w państwie. We wrześniu Jelcyn próbował rozwiązać Radę Najwyższą, a zgodnie z konstytucją nie miał prawa tego robić. W odwecie parlament odwołał Jelcyna, który oczywiście nie uznał ich aktu sprzeciwu. Po paru tygodniach pojedynków na protesty i przemocy na ulicach Jelcyn wezwał jednostki specjalne milicji i wojska i otoczył budynek parlamentu. Nikt do końca nie wiedział, co się może wydarzyć. Na ulicach przyległych do budynków rządowych toczyły się zacięte walki, w których zginęło niemal dwieście osób, a kilkaset zostało rannych. Tak jak cała reszta świata patrzyłem na te wszystkie rozgrywające się wydarzenia z daleka, w relacjach CNN. 7 września 1993 roku w Londynie zacząłem mecz o obronę tytułu mistrza świata z Nigelem Shortem. W tamtych czasach takie mecze trwały sześć tygodni. Podobnie jak to było w roku 1990, trudno mi było się skupić na szachach, kiedy w moim państwie znowu zaczynała się rewolucja. Na szczęście wyszedłem na spore prowadzenie w meczu i mogłem grać z mniejszą presją psychologiczną. Czuję się na tyle swobodnie, że udzieliłem paru wywiadów na temat sytuacji w Moskwie, w których mówiłem, że Jelcyn walczy o wolną przyszłość Rosji.

Po dniach przemocy i gorączkowych negocjacji po każdej stronie decydującym czynnikiem okazała się lojalność rosyjskiej armii wobec Jelcyna. To był niewiarygodny widok: 4 października ustawione w szeregu czołgi ostrzelały Biały Dom (tak nazywamy gmach parlamentu) i najwyższe piętra stanęły w ogniu. Żołnierze przeprowadzili szturm na budynek i podjęli zdecydowane kroki przeciwko protestującym na ulicach. Odzyskawszy władzę, Jelcyn bezzwłocznie przeprowadził reformę konstytucji, pomniejszając kompetencje parlamentu i dając bardzo mocne prerogatywy prezydentowi, które dziś tak boleśnie dają się nam we znaki. Rada Najwyższa była oczywiście tworem przestarzałym, ale w państwie o tak kruchym społeczeństwie obywatelskim rzeczą niezmiernie istotną jest to, by władza była rozłożona jak tylko się da najszerzej.

W 1996 roku Jelcyn miał niewielkie poparcie społeczne, ale mógł liczyć na wielu oligarchów, którym umożliwił dojście do fortuny, oraz na finansowe wsparcie z Zachodu. Pomimo ustalonego limitu wydatków na kampanię na poziomie trzech milionów dolarów, co było kwotą i tak znajdującą się poza zasięgiem większości partii, według późniejszych oszacowań koszty kampanii Jelcyna oscyływały między jednym a dwoma *miliardami* dolarów. Jeszcze ważniejsza była potężna pożyczka uzyskana w lutym z Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Kwota 10,2 miliarda dolarów pozwoliła rządowi Jelcyna spłacić zaległe od dawna pensje i emerytury.

Gdyby wszystko ograniczało się do podejrzanego finansowania kampanii i stosowania kielbasy wyborczej w polityce na sterydach, być może nie wyrządziłoby to szkód, które przetrwały dłużej niż kadencja Jelcyna. Jednak dołączyło się do tego również wpływanie na media i jawne fałszowanie wyników wyborów – broń, którą bardzo trudno odłożyć do szafy, kiedy się jej już użyło. Wszystkie te zabiegi wystarczyły, by dać Jelcynowi nieznaczne prowadzenie przed Ziuganowem po pierwszej turze: 35 procent wobec 32 procent. Między wyborami, które odbyły się 16 czerwca, a wyznaczoną na 3 lipca drugą turą, czyli starciem z Ziuganowem, Jelcyn doznał poważnego zawału. Tę potencjalnie niebezpieczną sytuację udało się ukryć przed opinią publiczną dzięki współudziałowi rządu i mediów. Jelcyn wygrał w drugiej turze stosunkiem 54 do 40 procent głosów, a wykazane później oszustwa wyborcze były stosowane na jeszcze większą skalę.

Nawet gdybym w tamtym czasie wiedział o tym wszystkim, i tak bardzo trudno byłoby mi pragnąć czego innego niż powrotu Jelcyna. W 1996 roku Giennadij Ziuganow nie był tresowanym komunistycznym pupilkiem, jakim jest dziś dla Putina. Był komunistycznym rewanżystą, który na każdym kroku zwalczał reformy Gorbaczowa, i mając władzę prezydenta, byłby człowiekiem niebezpiecznym. Istniała realna możliwość, że wybory, w których wyniku tę władzę by otrzymał, byłyby ostatnimi wyborami, jakie byśmy mieli w ciągu wielu kolejnych lat. Jednak lekcja z roku 1996 brzmi: instytucje muszą znaczyć więcej niż człowiek. Kampania Jelcyna podkopała niemal każdy aspekt demokratycznego społeczeństwa, które już się z tamtego upadku nie podniosło. Następcą Jelcyna szybko podchwycił użyte

w jego kampanii narzędzia represji oraz korupcji i stosuje je w codziennych rządach. Putin nie był komunistą, lecz na wskroś sowieckim rewanżystą.

\*

Uważam, że standardy, których stale domagam się od przywódców wolnego świata, tak często przedkładających względy praktyczne i osobistą sympatię nad pielęgnowanie instytucji, muszą stosować również do siebie samego. Lęk przed nieznanym, przed utratą sojusznika, na którym można polegać, często prowadzi demokratycznych przywódców do skrajnej hipokryzji. Skłania ich do wspierania „przyjaznych” dyktatorów przeciwko rządzonym przez nich narodom, jak to widzieliśmy niedawno, kiedy arabska wiosna spotkała się z chłodnym przyjęciem ze strony administracji Obamy i znacznej części Europy. Długo pomstowałem na tego typu praktyki, uważając, że Putin niesłusznie został przyjęty przez grupę G7, mimo że rozprawiał się ze swobodami obywatelskimi – ale nie jest to bynajmniej problem wyłącznie rosyjski.

Na moje przemyślenia na ten temat wpłynęło dodatkowo pełnienie przeze mnie funkcji prezesa Fundacji Praw Człowieka (Human Rights Foundation) oraz moja działalność w Oslo Freedom Forum pod patronatem HRF i jej założyciela Thora Halvorssena. Zapraszamy dysydentów z całego świata, by mówili o ruchach, w których działają, o swojej walce o wolność. Wspólnym mianownikiem tych historii jest to, jak bardzo niebezpieczne i demoralizujące dla tak zwanych przywódców wolnego świata potrafi być bagatelizowanie albo ignorowanie trudnego położenia tych ludzi albo – jak się to często zdarza – otwarte wspieranie sprawców doświadczanych przez nich represji. Niejednokrotnie europejscy i amerykańscy goście z zaskoczeniem dowiadywali się, że ich rządy aktywnie pomagają niektórym spośród najbardziej represyjnych reżimów świata.

Być może jestem idealistą, ale bynajmniej nie jestem naiwny. Rozumiem, że każde państwo, każda głowa państwa, zrobi, co konieczne, by bronić interesów własnych obywateli. W polityce zagranicznej będzie to czasami oznaczać, że uściśnie się dłoń splamioną krwią albo że będzie się handlować z państwem

stosującym potworne praktyki w zakresie warunków pracy. Możemy jednakże domagać się przejrzystości i odpowiedzialności za te układy. Nie musi się nam to podobać i możemy dawać znać rządzącym nami politykom, że to się musi zmienić.

Światowi dyktatorzy są doskonale świadomi potęgi, jaką dysponuje dziś wolny świat. Dlatego niemal wszyscy oni zachowują pozory demokracji, urządzając fikcyjne wybory i odgrywając inne teatralne scenki, byle zachować przychyłność największych potęg gospodarczych i militarnych świata. Niestety wolny świat jest zbyt niedoinformowany, bezduszny lub pogrążony w apatii, by wykorzystać wpływ, jaki ma. Przywódcy wolnego świata cieszą się korzyściami płynącymi z utrzymywania kontaktów z dyktaturami – tanią ropą z Bliskiego Wschodu, tanim gazem z Rosji, tanią całą resztą z Chin – podczas gdy dyktatorzy wykorzystują pieniądze na finansowanie represji. Jednak nie wszystkie dyktatury są takie same.

Powszechne strajki okupacyjne na rzecz demokracji w Hongkongu, które zaczęły się we wrześniu 2014 roku, sprawiły, że zaczęto się zastanawiać, dlaczego tego rodzaju ruch strajkowy nie pojawił się dotychczas przeciwko dyktaturze Władimira Putina w Rosji. Takie porównywanie jest w najlepszym razie niezdarne; studenci z Hongkongu wprawdzie mało co mogli pamiętać z dokonanego w 1997 przekazania ich miasta Chinom przez Wielką Brytanię, byli jednak przyzwyczajeni do swojego specjalnego statusu w zakresie praw i demokracji w stosunku do reszty Chin. Płomień rosyjskiej demokracji rozbłysnął tylko przez chwilę, nim go zdusił Putin, a wspomnienia chaosu i korupcji lat dziewięćdziesiątych nie należą do najlepszych, jakie zachowały się w pamięci większości Rosjan.

Bardziej konkretnie można na to pytanie odpowiedzieć w ten sposób, że komunistyczna dyktatura w Chinach potrzebuje ludzi, zwłaszcza młodych i wykształconych. Hongkong to wciąż duża i posiadająca strategiczne znaczenie część chińskiej gospodarki. Ta gospodarka również zależy prawie całkowicie od konsumentów w wolnym świecie, konsumentów, którzy mają dużo więcej informacji o protestach niż prawie każdy w poddanych ostrej cenzurze Chinach. Masakra w Hongkongu na wzór tej na placu Tian'anmen, transmitowana na cały świat przez miliony produkowanych w Chinach iPhone'ów, mogłaby sprawić, że etykietkę

„Made in China” kojarzono by z krwią. Bojkot produktów z Chin mógłby na tyle mocno zaszkodzić chińskiej gospodarce, by doprowadziło to do rozruchów na wielką skalę.

Z drugiej strony, rosyjscy obywatele, szczególnie młodzi i wykształceni, Putinowi nie są potrzebni. On i jego junta przekształcają ten kraj w państwo oparte na ropie, a eksport zasobów naturalnych na nienasycony globalny rynek nie wymaga przedsiębiorców ani programistów, nie mówiąc już o pisarzach czy wykładowcach. Bojkot importu ropy i gazu również wymaga skoordynowanej woli politycznej, a Putin wie już, że w wolnym świecie dużo o nią trudniej niż o platynę i diamenty na Uralu.

Dziesięciolecia ekonomicznych i politycznych kontaktów z Zachodem oraz podniesiony standard życia miały zliberalizować te dyktatury i umożliwić skuteczne wywieranie na nie nacisku. Jednak nacisk jest pożyteczny tylko wtedy, gdy się go wywiera, a poza tym działa w obie strony. Europa kupuje cztery piąte rosyjskiego eksportu surowców energetycznych, co daje jej potężną możliwość ekonomicznego nacisku na Putina, który całkowicie uzależnił rosyjską gospodarkę od ropy i gazu. Jednak zamiast dynamicznie rozwijać alternatywne drogi zaopatrzenia, aby móc użyć tego instrumentu nacisku i przeciwstawić się Rosji, Europa nie może się zdecydować, a kiedy wraz z nadejściem zimy Putin szantażuje Europę Wschodnią odcięciem dostaw gazu, jedynie przeciw temu protestuje.

W Chinach i Rosji funkcjonuje podobny układ społeczny z dyktatorskim rządem: ekonomiczna stabilność w zamian za rezygnację z praw człowieka przez obywateli. W obu tych krajach zamiast wiadomości przekazuje się obywatelom poddaną ostrej cenzurze państwową propagandę, organizuje się fikcyjne wybory i nie gwarantuje się najmniejszej wolności słowa i zgromadzeń. Rosnące w zawrotnym tempie przez prawie całą dekadę po 2000 roku ceny ropy pozwoliły Putinowi wypełnić – wprawdzie poza Moskwą i Sankt Petersburgiem w minimalnym stopniu – obietnice dotyczące płac i emerytur. Również ropa wyjaśnia, dlaczego priorytetem jest dla niego zawsze podsycanie niestabilności na Bliskim Wschodzie: taka sytuacja utrzymuje ceny tego surowca na wysokim poziomie. Chiny zaczęły od dużo niższego

pułapu, a udało im się wydobyć miliard ludzi z ubóstwa, zamieniając całe państwo w światową fabrykę. Globalizacja, ekonomiczna integracja z państwami mającymi wolną i bogatą gospodarkę, sprawiła, że możliwy stał się zarówno scenariusz rosyjski, jak i chiński.

Rzeczywistość wygląda tak, że dopóki ceny są niskie, w krajach rozwiniętych większość konsumentów woli nie wiedzieć, skąd pochodzą telefony i gaz, z których korzystają. Kiedy się wie, trzeba działać, dlatego lepiej nie wiedzieć. Od czasu do czasu jakiś skandal dotyczący nieludzkich warunków pracy w chińskich fabrykach (albo łamanie praw kobiet w Arabii Saudyjskiej) pozwala niektórym liberałom lepiej się poczuć, bo Nike czy Apple ogłasza wszczęcie dochodzenia w tej sprawie – ale trwa to tylko przez chwilę i o wszystkim szybko się zapomina, gdy tylko na rynku pojawia się nowy model butów albo nowy gadżet.

Ale zaraz – można by się zastanawiać – czy Chiny to naprawdę przykład aż tak nieudany? Czy ze względu na politykę mamy skazywać ten miliard ludzi na ubóstwo i głód? W tym pytaniu brzmi empatia świadcząca o naiwności, ale ukazuje ono również fałszywy wybór, jaki despoci z upodobaniem przedstawiają światu. Jest to fałszywy wybór między wolnością a jedzeniem, między represjami a stabilnością. Przecież Chiny mogłyby równie dobrze odnieść podobny albo i większy sukces ekonomiczny pod rządami bardziej liberalnego reżimu. Tak naprawdę istnieje mnóstwo dowodów pokazujących, że państwa demokratyczne mają lepsze osiągnięcia. Nie dajmy się zwodzić temu fałszywemu wyborowi. Na początku stosowania represji mogą one być środkiem do jakiegoś celu, ale w końcu zawsze okazują się celem same w sobie.

Protesty w Hongkongu stanowiły również obalenie czegoś, co prześmiewczo nazywam genetyczną teorią demokracji. Od lat słyszę, że Rosjanie (albo Arabowie, albo Chińczycy) zwyczajnie nie mają skłonności do demokracji. Te nacje wymagają „silnej ręki” albo „uwielbiają twarde rządy”. Jest to tylko jedna z wielu teorii stosowanych przez ludzi urodzonych w wolnym świecie do tego, by ukrywać swoje uprzywilejowanie, swoją bezczynność i swój wstyd. Jakże to mogłoby być prawdą, skoro w Tajwanie mieszkają tacy sami ludzie, a w kraju tym kwitnie demokracja?

## A co z Niemcami Wschodnimi i Zachodnimi, Koreą Północną i Południową?

Istnieje niezliczenie wiele różnych przyczyn, dla których demokracji nie udaje się zapuścić korzeni na jakimś terenie albo dla których jedne wojskowe zamachy stanu się udają, a inne nie. Żadna z tych przyczyn nie wynika wprost z przynależności etnicznej ani geografii. Nasze rządy są dziełem ludzi, podobnie jak nasze tradycje i wierzenia. Jak powiedział Milton Friedman: „Nie społeczeństwo ma wartości. To ludzie mają wartości”. Musimy postanowić, co ma dla nas wartość, postanowić, o co warto walczyć, a następnie – to najważniejsza część naszego zadania – musimy o to walczyć. Jeśli tego nie zrobimy, przegramy z tymi, którzy wierzą w co innego, w coś gorszego. Przegramy z tymi, którzy nie wierzą w wartość ludzkiego życia ani w wolność, z tymi, którzy gotowi są walczyć, by narzucić innym swoją mroczną wizję ludzkości.

Możemy mówić, że prawa, które tak wysoko cenimy, są niezbywalne albo uniwersalne, ale to nie znaczy, że wszyscy cieszą się prawem do demokracji ani nawet podstawowymi prawami człowieka. Nie: o to trzeba walczyć. I jeśli po to, żeby przypomnieć o tym świecie, potrzeba dzielnych studentów z Hongkongu, to ich protest, choć bardzo krótki, zakończył się sukcesem.

---

12 Strony Wikipedii zebrane w kategorii „Disputed territories in Europe” (Terytoria sporne w Europie) dostarczają fascynującej lektury i znakomitych ciekawostek.

13 Konferencja prasowa prezydenta Billa Clintona z prezydentem Rosji Borysem Jelcynem w Moskwie, 10 maja 1995, [\[link\]](#).

14 „Kommiersant”, 18 maja 1995. Cyt. w: John W. Parker, *Persian Dreams. Moscow and Tehran Since the Fall of the Shah*, Washington 2008, s. 116.

15 Tamże, s. 117–118.

16 Curt Tarnoff, *U.S. Assistance to the Former Soviet Union 1991–2001. A History of Administration and Congressional Action*, raport CRS dla Kongresu, aktualizacja 15 stycznia 2002.

17 Steven Erlanger, *Five Years Later. Eastern Europe, Post-Communism – a Special Report; East Europe Watches the Bear, Warily*, „The New York Times”, 21 października 1994.

18 Memorandum budapeszteńskie o gwarancjach bezpieczeństwa, 1994, [\[link\]](#); polski tekst za: [\[link\]](#).

## 4 | Zrodzony z krwi

W 1999 roku w Europie toczyły się dwie wojny – obydwie były kontynuacją wojen, które zakończyły się zaledwie parę lat wcześniej, i obydwie wywarły znaczący wpływ na przyszłość Rosji. Druga z nich zaczęła się w Czeczenii i odegrała kluczową rolę w dojściu do władzy Władimira Putina. Pierwszą już omówiłem: była to wojna o Kosowo w Jugosławii, kiedy albańska większość etniczna w Kosowie próbowała uzyskać niepodległość i oderwać się od zdominowanego przez Serbów rządu centralnego, który wciąż kontrolował zatwardziały i niepowstrzymany Slobodan Milošević. Bombardowania prowadzone przez NATO zmusiły go w końcu w 1995 roku do podpisania układu z Dayton, co zakończyło wojnę w Bośni. Jednak kosowscy Albańczycy nadal zmagali się z represjami i stracili cierpliwość, oczekując na własną niepodległość.

Armia Wyzwolenia Kosowa (UÇK) zaczęła regularnie atakować serbskie siły bezpieczeństwa w 1998 roku. Odpowiedzią sił serbskich była dobrze znana z Bośni brutalność i stosowanie siły na masową skalę. Do września wysiedlono ćwierć milionów Albańczyków, a wielu nie znalazło schronienia. Rada Bezpieczeństwa ONZ wydała rezolucję zawierającą owo najstłynniejsze wyrażenie w słowniku dyplomatycznej bezsilności: „poważne zaniepokojenie”. W październiku na miejsce dotarła misja sił pokojowych NATO, ale przyniosła niezbyt trwały skutek, ponieważ obie strony prawie natychmiast zaczęły łamać zawieszenie broni.

Podobnie jak to było w Bośni, musiało dojść do rzezi ludności cywilnej, by pobudzić do działania wielkie mocarstwa. W styczniu 1999 roku we wsi Raczak złapano i zabito czterdziestu pięciu albańskich rolników z Kosowa. Doprowadziło to bezpośrednio do przemówienia Clintona do Amerykanów i prawie trzymiesięcznych nalotów NATO oraz ostrzału sił jugosłowiańskich pociskami manewrującymi. (Oraz



– był jeden taki tragiczny incydent – zbombardowania chińskiej ambasady w Belgradzie, czego skutkiem były trzy ofiary śmiertelne. NATO zrzuciło winę za ten wypadek na przestarzałe mapy).

W kwietniu przywódcy krajów należących do NATO zastanawiali się nad ofensywą wojsk lądowych. Gdyby do niej doszło, zmieniłoby to bardzo wiele. W tym konflikcie Rosja opowiadała się otwarcie po stronie Jugosławii, dlatego obecność wojsk lądowych NATO, a zwłaszcza sił amerykańskich, jako elementu ofensywy wywołałaby w Rosji ostrą reakcję. Do Jugosławii dostarczano również rosyjską broń i inne dostawy. W późniejszych raportach ujawniono, że Milošević wytrzymał tak długo głównie dlatego, że miał nadzieję na podjęcie przez Jelcyna interwencji wojskowej w jego obronie.

Milošević opierał swoje nikczemne kalkulacje na przekonaniu, że konflikt z Zachodem wzmocni jego pozycję w Serbii oraz że zrozpaczeni uchodźcy zdestabilizują ościennie państwa, w tym Albanię, Macedonię, Czarnogórę, a bardzo możliwe, że nawet Bośnię. Bałkany znowu stanęłyby w ogniu, a zachodnia opinia publiczna uniemożliwiłaby wysłanie wojsk lądowych przez NATO. Wówczas serbskie wojsko odegrałoby decydującą rolę w uporządkowaniu tego chaosu – i oczywiście zebrałoby łupy.

Na szczęście wydarzenia nie potoczyły się tak, jak tego oczekiwał Milošević. Zgodne działania podjęte przez główne mocarstwa demokratyczne uratowały prestiż wolnego świata. Imponująca operacja lotnicza i sprawne zorganizowanie obozów dla uchodźców wysłały wyraźny sygnał do każdego zakątka świata, że Zachód potrafi poprzeć swoje moralne żądania nowoczesną logistyką, której totalitarnym reżimom zwyczajnie brak.

Działania podjęte w Kosowie udowodniły również, że Organizacja Narodów Zjednoczonych w obecnej postaci nie miała – i nadal nie ma – zbyt wiele do powiedzenia, kiedy trzeba rozwiązywać tego rodzaju kryzysy. Nie trzeba być Nostradamusem, żeby przewidzieć, jaki los spotkałby mieszkańców Kosowa, gdyby to Organizacja Narodów Zjednoczonych – w której Rosja i Chiny mają prawo weta – miała rozprawić się z Miloševiciem.

W ten sposób wracam do roli Rosji w wydarzeniach na Bałkanach. Zachodnie stolice uznały za swój obowiązek docenić Borysa Jelcyna i jego specjalnego wysłannika Wiktora Czernomyrdina za przekonanie Miloševicia, by zgodził się na warunki podyktowane przez NATO. (Tymczasem wcześniejsze tak szybkie przekształcenie grupy G7 w grupę G8 zdecydowanie każe patrzeć na to w kategoriach pewnego rodzaju odpłaty ze strony Rosji).

Moim zdaniem w tych publicznych pochwałach kryją się poważne wady. Gdyby parę miesięcy wcześniej Milošević zaakceptował plan pokojowy z Rambouillet, mógł zapobiec pojawieniu się ponad miliona uchodźców, śmierci tysięcy niewinnych cywilów oraz zniszczeniu Serbii. Prezydent Milošević storpedował ten układ przy jawnym poparciu Rosji, która kategorycznie sprzeciwiała się obecności międzynarodowych sił policyjnych w Kosowie.

Później, kiedy siła natowskiego potencjału lotniczego złamała serbski opór, Rosja zmieniła zdanie w kwestii wejścia obcych wojsk do Kosowa i postanowiła odgrywać rolę „bezstronnego” mediatora. Wyobraźmy sobie podobną sytuację: ktoś wskakuje do pociągu parę sekund przed odjazdem, po czym zaczyna się spierać z konduktorem o cenę biletu.

Skoro przyjmuje się, że Rosja miała poważny wpływ na decyzje Belgradu, to powinno się uznać częściową odpowiedzialność rządu Jelcyna za upór, z jakim Milošević prowadził swoją zbrodniczą politykę czystek etnicznych. A jeśli wpływ Rosji przeceniano, to po co amerykański zastępca sekretarza stanu Strobe Talbott z takim niepotrzebnym przejęciem stosował swoją dyplomację wahadłową?

Po raz kolejny okazało się, że europejscy i amerykańscy przywódcy pragną ukoić rosyjskie „wielkomocarstwowe” ego i niepokój – i po co? Była to klasyczna postać ułatwiania stosowania przemocy, nawet jeśli za czasów Jelcyna były to raczej drobne przestępstwa niż wielkie zbrodnie. Rosja nie przyjmowała tego do wiadomości i postępowała w autodestrukcyjny sposób, który oddziaływał również poza jej granicami. Gdyby zachodnie mocarstwa mocno trzymały się własnej opinii na temat prawdziwego statusu Rosji i wykorzystywały to do wywierania nacisku pobudzającego do przejrzystości i reform, dziś wszyscy wyszlibyśmy na tym o wiele

lepiej.

Tymczasem stało się inaczej: kiedy serbski sojusznik Rosji legł w gruzach, administracja Jelcyna oraz rosyjskie media rozpaczliwie starały się znaleźć jakąś perspektywę, która pozwoliłaby ocalić ich godność. Podczas gdy Rosjanie zamieszkujący dalekowschodnie oraz północne tereny państwa mieli poważne powody do zmartwień, bo nie wiedzieli, czy najbliższej zimy nie zabraknie im regularnych dostaw żywności i paliwa, rosyjski rząd zawzięcie pracował nad zaopatrzeniem dziesięciu tysięcy żołnierzy sił pokojowych, których miano wysłać do Kosowa.

Pisząc komentarz do „The Wall Street Journal” po operacji w Kosowie, wyjątkowo dobitnie chwaliłem zachodnich przywódców za ich zdecydowane działanie. Na koniec przypominałem o tym, że podobne do operacji w Kosowie interwencje będą w przyszłości konieczne, chyba że zachodni przywódcy połączą siły, by stworzyć bardziej stabilny porządek świata. Organizację Narodów Zjednoczonych utworzono w 1945 roku, by scementować porządek polityczny, który nastąpił po zwycięstwie aliantów. Jednak wkrótce organizacja ta stała się organem opartym na kompromisach, a supermocarstwa mogły zawetować każdą podejmowaną w niej rezolucję, którą uznawały za wymierzoną przeciwko interesom ich klienteli. Wraz z upadkiem Związku Sowieckiego ten system przestał służyć celowi międzynarodowego pokoju i stabilności.

Wypracowywane w ONZ kompromisy przestały być konieczne, a często okazywały się niebezpieczne. I rzeczywiście, w 1991 roku ścisłe trzymanie się oenzetowskich rezolucji przez prezydenta Busha ostatecznie oszczędziło Husajna – i przedłużyło na czas nieokreślony kryzys w Zatoce. Milošević próbował rozgrywać podobną partię, wciągając do gry Rosję jako rozjemcę (jak na ironię na mediatora wybrano tam podobnie jak w odniesieniu do Iraku Jewgienija Primakowa) i wymagając upoważnienia ONZ dla wszelkich działań sojuszu.

Wszystko to nie pozostawiało złudzeń co do tego, że świat potrzebuje takiego mechanizmu podejmowania decyzji na płaszczyźnie międzynarodowej, który nie będzie obciążony bagażem ideologicznym zimnej wojny. Cel ONZ – zamrożenie

*status quo* między dwoma nuklearnymi supermocarstwami – był przestarzały. Demokracja zajmowała pozycję dominującą i nadszedł czas, by to oficjalnie uznać oraz wykorzystać tę przewagę. Oskarżenie Slobodana Miloševicia przez Międzynarodowy Trybunał Karny do spraw Zbrodni Wojennych było doskonałym pierwszym krokiem w kierunku takiego nowego porządku świata, ale później – dziś już to wiemy – podobnych kroków podjęto bardzo niewiele.

W swojej znakomitej książce na temat jugosłowiańskich wojen amerykański dziennikarz David Halberstam zawarł wnikliwy fragment poświęcony temu, co doprowadziło do upadku Miloševicia, a ostatecznie do jego śmierci w więzieniu podczas odbywającego się w 2006 roku w Hadze procesu w sprawie zbrodni wojennych.

„Milošević z powodzeniem utrzymywał pogląd, który głosiło wielu przedstawicieli totalitaryzmu przed nim. Uważał, że jeśli państwa demokratyczne ociągają się z działaniem, to jest to znak słabości; jeśli są zamożne, to są również dekadencje. Na dodatek ponieważ ich politycy i obywatele boją się ponosić koszty wojny, można ich zastraszyć. Pewnego razu powiedział niemieckiemu ministrowi spraw zagranicznych Joschce Fischerowi: »Ja potrafię znieść widok zabitych – mnóstwa zabitych – ale wy nie potraficie«”<sup>19</sup>.

Ostatecznie okazało się, że nie miał racji, ale dopiero gdy tych zabitych były już setki tysięcy, a rannych i naznaczonych traumą – miliony. Niestety do pierwszego zdania Halberstama możemy dodać: „i jaki głosiło wielu przedstawicieli totalitaryzmu po nim”. Putin przeprowadził te same bezwzględne kalkulacje w odniesieniu do swoich kontaktów z wolnym światem przy okazji inwazji na Gruzję w 2008 roku i na Ukrainę obecnie. Najróżniejsi terroryści stosują to samo rozumowanie. Uważają, że państwa demokratyczne – nasze powolne, zamożne, przestraszone państwa demokratyczne – nie potrafią stawić czoła zamachowcom samobójcom i krwawym masakrom. Uważają również, że wartości współczesnego świata są zarówno jego słabością, jak i zagrożeniem dla ich przetrwania – i w obu względach mają rację. Stoimy przed wyzwaniem: polega ono na pokonaniu własnej słabości bez utraty wartości, których tak bardzo boją się wrogowie wolnego świata.

\*

Ów typ zła, który reprezentował Milošević, zawsze trudno przychodziło zrozumieć. Był to człowiek dobrze wychowany, inteligentny, potrafiący tak przedstawić się różnym osobom, by im się przypochlebić i zyskać ich zaufanie. Ekipa administracji George'a H.W. Busha odpowiedzialna za politykę zagraniczną podobno ze zdumieniem obserwowała, jak „ich przyjaciel” Milošević przekształca się z bankowca i urzędnika o nienagannych manierach w ziejącego ogniem serbskiego nacjonalistę, który opowiada się za prowadzeniem kampanii czystek etnicznych przeciwko własnym obywatelom. Stawia nas to przed kluczowym dla tej książki i dla naszego obecnego porządku świata pytaniem: czy ludzie rodzą się potworami, czy jakoś się nimi stają?

Nie zamierzam otwierać debaty „natura a wychowanie” dotyczącej budowy kodu genetycznego psychopatów albo długofalowego wpływu trudnego dzieciństwa na osobowość. Zbyt dużą część własnego życia spędziłem na stawianiu sobie pytania – i próbach znalezienia na nie odpowiedzi – o źródło mojego sukcesu w szachach, a jedynym wnioskiem, którego jestem pewien, jest ten, że miałem szczęście na bardzo wczesnym etapie życia trafić na grę, która idealnie odpowiadała moim talentom. Cieszę się, że mogę zostawić te wszystkie teorie psychologom i genetykom.

Tym, o co mi chodzi, jest zestawienie potencjalnego zła ze złem urzeczywistnionym oraz rola społeczeństwa w zapobieganiu, by to pierwsze nie stawało się drugim. W którym momencie inni muszą przyjąć na siebie część odpowiedzialności za zbrodnie mordercy? Za zbrodnie, którym mogli zapobiec? Oczywiście nie chodzi o to, że morderca nie jest odpowiedzialny za swoje czyny. Już i tak zdecydowanie za bardzo próbuje się usprawiedliwiać najróżniejszych przestępców, jak gdyby pojęcie osobistej odpowiedzialności można było zawiesić na tak długo, jak długo da się wymyślić jakiś motyw. Dokonany przez Putina najazd na Ukrainę nie staje się bardziej dopuszczalny w sytuacji, gdy się uważa, że Putin czuł zagrożenie ze strony rozszerzenia NATO, niż w sytuacji, gdy się uważa, że tego zagrożenia nie odczuwał. Mówienie Ukraińcom, że sprowokowali Putina, bo go odrzucili, a zwrócili się w stronę Europy, przypomina mówienie napastowanej

kobiecie, że powinna nosić dłuższe spódnice. Nie zapominajmy, kto tu jest winowajcą, a kto ofiarą! Jeśli przestajemy zachowywać tę moralną równowagę i własne postrzeganie tego, co dobre, a co złe, oznacza to, że jesteśmy zbyt podatni na propagandę.

Ostrzeżenie to dotyczy praktycznej strony zagadnienia. Głupotą jest pozbawianie się obrony przed atakiem z tej tylko przyczyny, by mieć moralne prawo na niego odpowiedzieć, gdy nastąpi. Potępiać, oskarżać i karać sprawców – ależ tak, ale też nie ułatwiać im ich zbrodni. Opowiedziana wspólnie przez Orsona Wellesa bajka o skorpionie i żabie zawiera niezapomnianą naukę. Żaba pomaga skorpionowi przedostać się przez rzekę: zgodziła się wziąć go na grzbiet, przekonana jego logiczną argumentacją, że przecież jej nie użądli, bo oboje by utonęli. Na samym środku rzeki skorpion żądli żabę, która czując, że umiera, mówi: „Logika? Jaka w tym logika?!”. Na co skorpion odpowiada: „Nic nie poradzę. Taką mam naturę”<sup>20</sup>.

Praktyczna moralność polega na tym, by nie ufać skorpionowi, ponieważ logika i racja po naszej stronie niewiele nam pomogą, kiedy zginiemy. Inną płynącą stąd nauką jest to, że nie każdy działa we wspólnym interesie ani nawet we własnym interesie oraz że prawdziwa natura może okazać się ważniejsza od logiki i instynktu samozachowawczego. Przychodzi mi to na myśl zawsze, kiedy słyszę europejskich dyplomatów mówiących, że w sprawie Ukrainy chcą z Putinem wypracować scenariusz, w którym nie będzie przegranych.

Pod pewnym względem taka postawa jest godna podziwu i z samej definicji dyplomacji wynika, by przynajmniej twierdzić, że taki jest cel. Byłoby cudownie, gdyby każdy kryzys czy konflikt dało się zakończyć z wzajemną korzyścią, a przynajmniej z wzajemnym zadowoleniem. Jednak zakładanie, że może tak być w wypadku Putina czy ISIS, świadczy o nieznajomości prawdziwej natury wroga. Jedynym celem Putina jest utrzymanie się przy władzy i aby to osiągnąć, nie wystarczy mu już współpraca z wolnym światem. Putin potrzebuje teraz konfliktu i nienawiści – a jak można z kimś takim pertraktować, nie zdradzając własnych ideałów i własnych obywateli? Al-Kaida oraz ISIS chcą odciąć i zniszczyć

współczesny świat oparty na prawach i wolności. Jak pluralistyczne liberalne społeczeństwo ma pertraktować z takim światopoglądem z obopólną korzyścią? Tego nie da się zrobić.

Kiedy logika zakładanej wspólnej korzyści wciąż zawodzi, czas spróbować czegoś innego. Nie musimy ciągle wystawiać grzbietu na ukąszenia skorpionów tego świata w nadziei, że może przynajmniej następnym razem nas nie użądla.

Niewielu ludzi naprawdę jest skorpionami – całkowitymi psychopatami. Od końca epoki monarchii i cesarstwa wspięcie się na najwyższe polityczne stanowiska przez wszystkie niższe szczeble wymaga przynajmniej pewnej dozy subtelności i intuicji. (Korea Północna jest jednym z nielicznych współczesnych wyjątków, a rezultat jest oczywisty). Sednem sporu o potwory („rodzą się czy się stają”) jest moment zetknięcia się możliwości i okazji. Prawdopodobnie Slobodan Milošević byłby po prostu jednym z wielu przywódców partyjnych, gdyby nie to, że rewolucje 1989 roku dały mu szansę sięgnięcia po większą władzę dzięki wzniecaniu nienawiści. Miloševićowi pozwolono tak długo z powodzeniem odgrywać tę rolę, że stał się odpowiedzialny za pierwsze ludobójstwo na europejskiej ziemi od zakończenia drugiej wojny światowej. Powinien zostać odsunięty od władzy siłą w 1995 roku, ale dano mu kolejną szansę, którą oczywiście zinterpretował jako słabość swoich przeciwników i parę lat później uderzył ponownie.

Jak powiedziałem na początku tego rozdziału, w 1999 roku w Europie szalały dwie wojny. Obie były wojnami domowymi, obie miały linie frontu w dużej mierze wyznaczone przez spory etniczne i religijne i w obu dokonywano potwornych zbrodni wojennych oraz aktów terroru wymierzonych przeciwko ludności cywilnej. I zarówno w Kosowie, jak i w Czeczenii wojna była częścią walki o władzę polityczną w jakiejś odległej stolicy.

\*

Pod koniec lata 1999 roku w zachodniej polityce i kręgach finansowych dało się wyczuć nowy powiew optymizmu w sprawie Rosji. Administracja Clintona oraz międzynarodowe instytucje finansowe oświadczyły, że mogą „prowadzić interesy”

z rządem premiera Siergieja Stiepaszyna.

Wydawało się, że Rosja nie tylko uniknęła całkowitej implozji ekonomicznej, której podczas finansowego kryzysu wiele osób się obawiało, lecz nawet jej rynek odrobił straty do poziomu mniej więcej sprzed sierpnia 1998 roku i zaczęli do niej wracać międzynarodowi wierzyciele. Jednak dokonana po raz czwarty w ciągu niespełna półtora roku dymisja rządu zadała kłam tego rodzaju powierzchownym symptomom zdrowia.

Wykazała ona również błędne przekonania zachodniej polityki co do Rosji. Myląc powierzchowne wskaźniki z oznakami prawdziwego rozwoju oraz pokładając nieuzasadnioną wiarę w wypalonej obsadzie elit politycznych, zachodni przywódcy prowadzili politykę, która premiowała brak reform, sprzyjała umacnianiu się skorumpowanego i niedemokratycznego systemu rządów oraz – niezależnie od tego, że było to niezamierzone – karała rosyjski naród.

Odejście Siergieja Stiepaszyna nie miało wielkiego znaczenia. Podobnie jak rządy jego poprzedników Stiepaszyn nie zajął się problemami o charakterze strukturalnym, które uniemożliwiały rozpoczęcie prawdziwego rozwoju i inwestycji, co byłoby korzystne dla państwa jako całości. Jedynym prawdziwym osiągnięciem Stiepaszyna było zapobieżenie dalszemu spadkowi wartości rubla.

Osiem lat tak zwanych reform doprowadziło niewielką grupę elit do niesamowitego bogactwa, podczas gdy ogromny i potencjalnie wybuchowy sektor rosyjskiej ludności tkwił w ubóstwie. Komunizm w Związku Sowieckim runął, kiedy przytłaczająca większość jego obywateli zdała sobie sprawę, jak straszny wpływ miał ten system na ich pomyślność. Istniało realne niebezpieczeństwo, że jeśli bieda będzie trwała dalej, dojdzie do kolejnego takiego przebudzenia społeczeństwa.

Żądanie zmiany, które wyprowadziło miliony Sowietów na ulice w latach 1989–1991, opierało się na przekonaniu, że na Zachodzie istnieje alternatywny, bardziej atrakcyjny sposób życia. Wielu moich rodaków uważało również, że zachodnia pomoc dla Rosji jest konieczna. Owa pomoc nie przyczyniła się jednak do wielkiego skoku w nowoczesność, na który liczyli Rosjanie. Główna wina za ten stan rzeczy spada oczywiście na barki rosyjskich przywódców: zarówno tak zwanych



reformatorów, jak i ludzi w różny sposób otwarcie forsujących rozwiązania pomagające stworzyć nową rosyjską elitę wyposażoną w zasadniczo tę samą władzę i te same przywileje, którymi cieszyli się ich sowieccy poprzednicy.

Zachód jednak nie zrozumiał czegoś innego: tego, że przeciętny Rosjanin jako winnych wskaże raczej zagraniczne instytucje finansowe i obce rządy, które będzie oskarżał o narzucenie Rosji systemu kapitalistycznego, uważanego przez wielu jej obywateli za skorumpowany i zaburzony. Tego, że tak naprawdę wcale nie był to jeszcze system kapitalistyczny, ci obywatele nie rozumieli. Społeczne niezadowolenie potęgowała stosowana ciągle przez Jelcyna (a później Putina) i innych wysokich urzędników antyzachodnia retoryka – wykorzystywana przez nich w celu oddalenia od siebie wszelkich zarzutów. Wszystko to przyczyniło się do antyreformatorskich nastrojów, które sprawiły, że wprowadzenie w życie systemu gospodarczego naprawdę opartego na mechanizmach rynkowych było jeszcze trudniejsze.

Reformatorzy i zainteresowane rosyjskimi reformami państwa zachodnie, reagując na tę krytykę, popełnili pewien zasadniczy błąd. Zamiast skonfrontować Jelcyna i rosyjskie społeczeństwo w prawdą na temat korupcji i prawdziwych przyczyn, dla których zamiast postępu nastąpił zastój, próbowali udawać, że wszystko się ułoży. Zamiast jasnej diagnozy i silnego leku, którego potrzebowała Rosja, podawano nam różnego rodzaju placebo i mówiono, że wkrótce nam się poprawi. Był to rodzaj leczenia, który znaliśmy całkiem dobrze z okresu ZSRS. Po raz kolejny ujawniła się różnica między klarownością administracji Reagana a nieśmiałością jego następców. W imię „robienia interesów” z rosyjskim reżimem wcale nie trzeba było sprzeniewierzać się zasadom.

Zamiast stosować szeroko zakrojoną politykę w zakresie postępowania i porozumiewania się z Rosjanami, tak jak to miało miejsce w epoce zimnej wojny, Zachód zajmował się jedynie naszymi coraz bardziej skorumpowanymi przywódcami i trwało to jeszcze długo po tym, jak stało się jasne, że nie reprezentują oni swoich obywateli. Lata dziewięćdziesiąte stanowiły dogodną okazję, by Rosjanie mogli skorzystać z dostępu do szerokiego wachlarza

nieocenzurowanych mediów informacyjnych. Mogliśmy słuchać różnych opinii i brać udział w dyskusji. Jednakże uprawiana przez Jelcyna i Putina antyzachodnia retoryka i ich litania kłamstw dotyczących przyczyn braku skuteczności reform pozostały bez odpowiedzi.

Zachodnie rządy powinny były jasno dać do zrozumienia, że przestają udzielać gwarancji skarbu państwa kredytom i inwestycjom prowadzonym w Rosji przez komercyjne instytucje. Zachód powinien był jasno i dobitnie dać do zrozumienia, że Waszyngton nie będzie mówić rosyjskim władcom, jak gospodarować publicznymi finansami. Że cokolwiek rosyjskie elity robiły z publicznymi pieniędzmi – kradły, przekazywały na zagraniczne konta bankowe – na koniec i tak to one powinny zostać pociągnięte do odpowiedzialności przez rozczarowanych obywateli. Tymczasem rosyjscy urzędnicy wykorzystywali wszelkie powiązania Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Organizacji Narodów Zjednoczonych i Unii Europejskiej z udzielanymi przez nie pieniężnymi formami pomocy jako pretekst do robienia z Zachodu kozła ofiarnego. Publiczne odcięcie się od tych powiązań wzmocniłoby osłabione kanały komunikacyjne między zwykłymi Rosjanami a wolnym światem.

Istniały drobniejsze, niemniej jednak ważne sposoby, w jakie Zachód mógł okazywać swoje zainteresowanie rosyjskim społeczeństwem. Ja musiałem przez to przechodzić częściej niż większość moich rodaków, ale każdemu, kto na własnej skórze doświadczył, jak traktują Rosjan zachodnie ambasady w Moskwie w trakcie uzyskiwania wizy albo jak znęcają się nad nimi celnicy na zachodnich lotniskach, naprawdę można wybaczyć, jeśli uwierzy w historie, jakie rozpowszechniają komuniści i nacjonaści na temat światowego spisku antyrosyjskiego.

Do upadku sowieckiego imperium doszło nie dzięki temu, że Zachód dogadzał sowieckim przywódcom, lecz w wyniku walki o liberalne wartości demokratyczne, walki konsekwentnej i opartej na zasadach. Dostosowywanie się do żądań starzejących się sowieckich przywódców nigdy nie przynosiło pozytywnych rezultatów. Tym, co naprawdę coś wnosiło, były konsekwentne wysiłki docierania do Rosjan, na przykład praca rozgłośni Radia Wolna Europa/Radia Swoboda i Głosu Ameryki, które wielu Sowietów uważało za najbardziej wiarygodne źródła

informacji na temat naszego państwa.

W sierpniu 1991 roku, kiedy władzę przejęła administracja Borysa Jelcyna, większość Rosjan spodziewała się partnerstwa z cywilizowanym światem. Te nastroje do roku 1999 znikły prawie całkowicie, co było skutkiem ciągłych nacjonalistycznych kampanii rosyjskich przywódców politycznych. Rytualne wychwalanie wszystkich tych, którzy akurat byli u sterów, już nigdy nie przywróciło dobrych stosunków. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych Zachód w niewielkim stopniu mógł wpływać na feudalne walki w elicie rządzącej Rosją. Miał jednak spore szanse zdobyć zaufanie zwykłych Rosjan, na których ostatecznie spoczywa przyszłość państwa, i okazji tej nie wykorzystał.

To poczucie napiętej i toksycznej atmosfery w Rosji w sierpniu 1999 roku stanowi kontekst traumatycznych wydarzeń z września. Od końca pierwszej wielkiej wojny z rosyjskimi wojskami w Czeczenii upłynęły trzy lata, lecz chaos i przemoc w regionie nigdy całkowicie nie ustały. Wiosną 1999 roku Czeczenia znajdowała się w gruncie rzeczy w stanie wojny wewnętrznej. Watażkowie kontrolowali większość regionu poza stolicą Groznym, a porwania dla okupu stały się głównym źródłem dochodu. W 1998 roku media na całym świecie informowały o porwaniu i zamordowaniu czterech zagranicznych inżynierów, trzech z Wielkiej Brytanii i jednego z Nowej Zelandii. Z powodu tej sprawy naród czeczeński stracił wszelkie szanse na międzynarodowe współczucie w czasie mających dopiero nadejść okropności. Rosyjscy politycy od czasu do czasu uderzali w wojenny bębenek i mówili, że trzeba „dać Czeczenom nauczkę”, a jak ujawniono później, plan inwazji został sporządzony już przez premiera Stiepaszyna. Jednak to wszystko przerodziło się w otwarty konflikt dopiero pod koniec sierpnia. Czeczeński watażka Szamil Basajew poprowadził niewielką armię, w której skład wchodziłi zagraniczni bojownicy, do sąsiedniego Dagestanu. Następnie we wrześniu, w ciągu dwunastu dni, miały miejsce cztery zamachy bombowe na budynki mieszkalne, w których wyniku zginęło w sumie prawie trzysta osób. Chociaż wcześniej było już kilka mniejszych ataków, te cztery zamachy były przeprowadzone profesjonalnie, wyglądały niemal identycznie i różniły się od wszystkich innych ataków

przeprowadzonych przez Czeczenów zarówno wcześniej, jak i później.

Łatwo zgadnąć, że w społeczeństwie wywołało to przerażenie i wściekłość. Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB, główny następca KGB) oskarżyła Czeczenów, a Jelcyn żądał podjęcia działań. Zwrócił się nie do Stiepaszyna, lecz do jego świeżo mianowanego następcy, Władimira Putina. Nowy premier przed swoją nagłą promocją, która nastąpiła tuż przed wrześniowymi zamachami bombowymi, przez zaledwie rok zajmował stanowisko szefa FSB. Poprzednio Putin był dość anonimowym pracownikiem administracji prezydenta Jelcyna, wcześniej zastępcą szefa wydziału administracji nieruchomościami, a jeszcze dawniej – urzędnikiem merostwa w Sankt Petersburgu. Przedtem, aż do upadku muru berlińskiego, był oficerem wywiadu KGB w Niemczech Wschodnich.

9 sierpnia 1999 roku ku niemal powszechnemu wielkiemu zaskoczeniu kierowanie rosyjskim rządem powierzono mało komu znanemu Putinowi. Nie był to jednak koniec niespodzianek. Równocześnie Jelcyn ogłosił, że ma nadzieję, że Putin obejmie po nim urząd prezydencki w 2000 roku, a Putin publicznie oświadczył, że będzie startował w tych wyborach. To wyraźnie odróżniało Putina od czterech pozostałych premierów, których miał Jelcyn w ciągu minionego półtora roku. W tamtym czasie przed Rosją stało wiele wyzwań, ale najwyższy priorytet dla nowego rządu miało awansowanie Putina jako niekwestionowanego kolejnego prezydenta.

Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Jak dobrze o tym wie wielu przywódców państw, odniesienie zwycięstwa w wojnie, a nawet samo prowadzenie wojny może być świetnym sposobem na ponowne zwycięstwo wyborcze. Na tym w gruncie rzeczy polegał scenariusz przygotowany dla Putina, który został namaszczony przez Jelcyna jako jego następca i szef rządu. Nadal jednak Putin pozostawał całkowicie nieznanym rosyjskiemu społeczeństwu, a najlepszym sposobem, by temu zaradzić, było uczynienie go osobą rozpoznawalną dzięki poprowadzeniu nowej wojny w Czeczenii i wytropieniu terrorystów stojących za zamachami bombowymi. W ciągu kolejnych paru miesięcy Jelcyn praktycznie zniknął z pola widzenia (co nie było aż tak niezwykle, biorąc pod uwagę jego poważne

problemy zdrowotne), a Putin nagle zaczął pojawiać się wszędzie.

Mimo że celem rosyjskiej ofensywy w Czeczenii podobno mieli być bojownicy, którzy w sierpniu wkroczyli do Dagestanu, niezwykle szeroko zakrojona kampania prowadzona po zamachach bombowych nabrała niespodziewanego rozmachu. W ciągu kilku tygodni setki tysięcy Czeczenów zmuszono do ucieczki. W październiku Putin ogłosił rozpoczęcie ofensywy lądowej i dziesiątki tysięcy rosyjskich żołnierzy zaczęły nacierać na Grozny. Bomby kasetowe i ostrzał z ciężkiej artylerii spowodowały tysiące dodatkowych ofiar wśród ludności cywilnej oraz niezliczone kolejne rzesze uchodźców. Operacja mająca mieć rzekomo charakter antyterrorystyczny przerodziła się w taktykę spalonej ziemi.

Kampania prowadzona w Czeczenii miała łatwy do przewidzenia wpływ na inną kampanię: kampanię prezydencką. Zaprzeczanie temu oznaczałoby zaprzeczanie oczywistości. Mimo całego swojego okrucieństwa wojna cieszyła się popularnością wśród Rosjan i nawet reformatorzy, na przykład Anatolij Czubajs, trzymali się ściśle patriotycznej linii, wspierając wysiłek wojenny. Przez krótką chwilę nawet w mojej postawie było całkiem sporo życzliwości dla działań rządu.

To prawda: cierpieli niewinni ludzie, a pojawiające się w tamtym czasie podejrzenia, że Rosja nadużywa siły i dopuszcza się zbrodni wojennych, później się potwierdziły. Rosyjska prasa była w dużej mierze kontrolowana przez będących zwolennikami Jelcyna oligarchów, którzy również udzielili poparcia Putinowi – albo można by powiedzieć, że stworzyli Putina – i przedstawiała bardzo optymistyczny obraz rozwijających się wydarzeń. Rosyjskie społeczeństwo uwierzyło również w oficjalną wersję, że to Czeczeni stali za wrześnieowymi atakami terrorystycznymi w Moskwie i Wołgodońsku, mimo że nie było na to właściwie żadnych dowodów. (Więcej na ten temat napiszę za chwilę).

Jednak nawet wiedząc to, co wiemy dziś, przyznaję, że entuzjastyczne poparcie Rosjan dla swoich żołnierzy w Czeczenii nie było skutkiem prania mózgu. Czeczeńscy rebelianci byli bandytami, którzy działali na rosyjskim terytorium i których metod nie da się określić inaczej niż jako średniowieczne. Ich działalność nie ograniczała się też do Kaukazu oraz sporadycznych ataków terrorystycznych poza

jego granicami. Czeczeńskie gangi przestępcze działały na terenie całego państwa, chociaż jasne było, że nigdy nie stałyby się tak potężne i niebezpieczne, gdyby nie ich solidni moskiewscy „partnerzy w interesach”. Dla większości Rosjan wojskowa rozprawa w Czeczenii łączyła się z ich własnym pragnieniem, by ktoś położył kres pladze korupcji i przestępczości w miastach, w których mieszkali.

Walczący o przetrwanie obywatele Rosji codziennie czytali o nowych miliardach, którzy zbijali fortuny na załatwianych po znajomości umowach z władzami. Nie trzeba było rozumieć, jak działają bony prywatyzacyjne czy też świadectwa udziałowe, pożyczki w zamian za udziały oraz zmywy przetargowe, żeby zdać sobie sprawę, że dokonuje się tu jakiś ogromny kant. Niepokojąc się, że konserwatyści mogą wycofać reformy, reformatorska ekipa Jelcyna pod wodzą Jegora Gajdara i Czubajsa zaczęła wyprzedawać wszystko w szaleńczym tempie, przyjmując absurdalnie niskie wyceny. Michaił Chodorkowski i Boris Bieriezowski, już wtedy należący do najbogatszych i najbardziej wpływowych oligarchów, nabyli swoje olbrzymie firmy z sektora energetycznego, Jukos i Sibneft, za mniej niż 10 procent ich realnej wartości.

Tego rodzaju usankcjonowane łupienie gospodarki trwało oczywiście nadal za Putina i trwa do dziś. Różnica polegała na tym, że w latach dziewięćdziesiątych Rosjanie mogli się o tym dowiedzieć. Różne polityczne i biznesowe frakcje posiadały walczące ze sobą środki masowego przekazu i wprawdzie prasa mogła trochę bardziej gonić za sensacją, ale przynajmniej reprezentowała wiele różnych stron, wobec czego dało się gdzieś pośrodku ustalić, co jest prawdą.

Właśnie dlatego, kiedy słyszę pytanie, czy pojawienie się Putina było nieuchronne, mówię, że trzeba by było zacząć dziesięć lat przedtem, nim ktokolwiek słyszał to nazwisko. Kiedy Jelcyn uczynił Putina swoim prawowitym następcą, Rosjanie żądali stabilności i oczekiwali pojawienia się twardziela, kogoś potrafiącego stawić czoła przestępcom oraz zachodnim wpływom, o których mówiono im, że niszczą ich państwo i ich emerytury. Aby uniemożliwić Putinowi – albo komukolwiek w typie Putina – dojście do władzy, trzeba by było napisać całkiem inny scenariusz na lata dziewięćdziesiąte: mniej polityki ustępstw wobec

Jelcyna i jego otoczenia, za to silniejsze wsparcie dla demokratycznych instytucji.

Kiedy zbliżały się wybory, ja sam uważałem, że anonimowy technokrata pokroju Putina może być właśnie tym, czego w tamtym czasie Rosji potrzeba. Byłem przekonany, że władza w naszym kraju musi być silna i pewna siebie, bo tylko wówczas zyska poparcie społeczne konieczne do przeprowadzenia bolesnych reform ekonomicznych. Po latach łupienia gospodarki i ucieczki kapitału coraz ciężiej było zrzucać winę za złą sytuację na Zachód. Wskaźniki poparcia społecznego dla Jelcyna po raz kolejny były fatalne, co było dodatkowym powodem, dla którego i on, i popierający go oligarchowie chętnie znaleźli nową twarz, którą mogli pokazać poirytowanemu rosyjskiemu społeczeństwu.

Nawet tych, którzy sądzili, że w 1991 roku powinno się było pozwolić Czeczenii iść własną drogą, terroryzując Rosję we wrześniu zamachy bombowe na budynki mieszkalne przekonały, że Czeczeni zasłużyli na wszystko, co ich spotkało. Oblężenie szpitala, zamachy bombowe na rodziny żołnierzy: to były nieludzkie czyny, dlatego zaczęła się walka na całego. Społeczeństwo wiwatowało na cześć Putina niczym nowego gladiatora; ludziom podobał się szorstki, a nawet wulgarny język, jakiego od czasu do czasu używał, mówiąc, co zamierza zrobić z tymi, którzy chcieliby grozić Rosji. „Będziemy ścigać terrorystów wszędzie – powiedział kiedyś. – Jeśli złapiemy ich w toalecie, to zamoczymy w kiblu”<sup>21</sup>.

Dla nudnego urzędnika od czarnej roboty była to prawdziwa przemiana, w której dopomogło szybkie wydanie jego biografii przygotowanej na potrzeby kampanii. Spośród wszystkich cech, które mogły go przygotować do roli politycznego reformatora, książka uwypuklała jego ubogie i trudne dzieciństwo oraz kwalifikacje twardziela. Nieprzypadkowo. Atutem anonimowości Putina było to, że główny stronnik i naczelny spiskowiec Jelcyna Boris Bieriezowski mógł nadać nowemu kandydatowi dowolną tożsamość.

22 września zostaliśmy zmuszeni do postawienia sobie pytania, jak daleko mogą posunąć się Jelcyn, Putin i ich stronnicy, by zagwarantować zwycięstwo swojego kandydata. Tego wieczora w Riazaniu miejscowa milicja udaremniła zamach bombowy na budynek mieszkalny – byłby to już piąty w tym miesiącu. Powiadomieni

przez jednego z mieszkańców milicjanci przyjechali zbyt późno, by ująć sprawców, ale w piwnicy znaleźli trzy pięćdziesięciokilogramowe worki po cukrze wypełnione białym proszkiem, do których dopięty był detonator. Analiza chemiczna przeprowadzona na miejscu następnego ranka wykryła ten sam używany przez wojsko materiał wybuchowy, heksogen, którego użyto we wszystkich poprzednich zamachach bombowych.

Kolejnego wieczora, 23 września, Putin wygłosił w telewizji przemówienie. Pochwalił w nim miejscowe siły porządkowe i czujnych obywateli, którzy zadzwonili na milicję, by zapobiec katastrofie. Wspomniał również pokrótce o trwających nalotach na Grozny. Nie padło ani jedno słowo, które by przeczyło dramatycznym doniesieniom dnia: że w Riazaniu udaremniono atak terrorystyczny. Następnego dnia wydarzyło się coś niewiarygodnego. Dyrektor FSB Nikołaj Patruszew wydał oświadczenie, z którego wynikało, że podłożenie ładunku wybuchowego w piwnicy w Riazaniu było „ćwiczeniem” mającym sprawdzić czujność miejscowych sił bezpieczeństwa i mieszkańców! Patruszew powiedział, że w workach nie było żadnych materiałów wybuchowych, w rzeczywistości zawierały one cukier, a nie heksogen.

Ta niesamowita historia okazała się konieczna, ponieważ siły porządkowe i miejscowe biuro FSB w Riazaniu wykryły już i ujawniły znaczny udział FSB w próbie zamachu bombowego. Przechwycone tamtej nocy podejrzane rozmowy telefoniczne prowadziły do kwatery głównej FSB w Moskwie. Dwóch mężczyzn aresztowanych w Riazaniu nosiło legitymacje FSB i po zwolnieniu zostało przekazanych pod opiekę wysokiego rangą funkcjonariusza z Moskwy. Patruszew próbował oczywiście zacierać ślady zostawione przez własną agencję, ale w jego historii było zdecydowanie za dużo gigantycznych luk.

Wspomnę tylko o najbardziej oczywistej sprzeczności, o której było wiadomo w tamtym czasie: jeśli worki były wypełnione cukrem, to dlaczego podczas badań prowadzonych na miejscu wykryto heksogen i dlaczego FSB szybko zabrało worki do Moskwy na dalsze badania, skoro wiadano, że to cukier? Zbierało się coraz więcej dowodów i niespójności – było ich wystarczająco wiele, by koszmarna



teoria spiskowa o agentach rosyjskich władz, którzy dokonują ludobójstwa w celach politycznych, przyjęła postać oskarżenia, które bardzo trudno odeprzeć, bazując na faktach. Ujawniono na przykład, że jacyś żołnierze w pobliskiej bazie natknęli się wcześniej na worki po cukrze wypełnione jakąś „dziwną substancją”, która okazała się heksogenem.

Na podstawie dogłębnego dochodzenia i analizy tej sprawy były agent FSB Aleksandr Litwinienko napisał miażdżącą książkę *Wysadzić Rosję*. W 2006 roku tego samego Litwinienkę, który stał się ząartym krytykiem Putina, zabito w Londynie przy użyciu rzadkiego izotopu radioaktywnego polonu 210. Zajmujący się tą sprawą niezależny śledczy FSB Michaił Triepaszkina został aresztowany na tydzień przed rozprawą i skazany na cztery lata więzienia. W 2000 roku Duma dwukrotnie odrzuciła wnioski o zwołanie parlamentarnej komisji śledczej na temat tego, co wydarzyło się w Riazaniu. Wszelkie dowody i dokumenty wewnętrzne dotyczące Riazania zostały następnie utajnione na siedemdziesiąt pięć lat. Przyznaję wprawdzie, że mam sporą paranoję, jaka cechuje większość osób urodzonych w państwach totalitarnych, jednak wszystkie opisane wyżej działania wydają się zbyt silną reakcją na trzy worki cukru.

Oczywiście władze potępiały wszelkie sugestie, że zamachy bombowe były własnoręcznie przez nie przygotowaną operacją „pod fałszywą flagą”, mającą podsycić oburzenie i strach. W tamtym czasie w Rosji ta teoria nie przedostała się do głównego nurtu opinii publicznej; była po prostu zbyt potworna, by ludzie chcieli brać ją pod uwagę. W 2000 roku myśl, że władze mogły zlecić rzeź własnych obywateli, była zbyt wstrząsająca. Jednak już w 2002 roku 40 procent Rosjan było przekonanych, że siły bezpieczeństwa były zamieszane w zamachy bombowe na budynki mieszkalne <sup>22</sup>. Wtedy wiedzieliśmy już więcej na temat Riazania, a co ważniejsze, wiedzieliśmy już więcej na temat Władimira Putina. Podejrzenie, że reżim Putina nie miał alergii na rosyjską krew, potwierdziły ujawnione fakty dotyczące skali spustoszenia dokonanego w Czeczenii, a następnie brutalne interwencje podległych władzom sił specjalnych podczas akcji odbijania zakładników w Teatrze na Dubrowce i w Biesłanie w latach 2002 i 2004.

Podobnie było na Zachodzie: mimo że donoszono o ogromnych rozbieżnościach w oficjalnej wersji wydarzeń z Riazania, nikt nie chciał usłyszeć prawdy. Jest to typowy schemat zachowania właściwy wygodnickiemu tchórzostwu. Gdyby uznać potworną prawdę, trzeba by podjąć jakieś działania, wobec tego łatwiej ignorować fakty i udawać, że to kwestia „sporna”, łatwiej mówić, że jest się „zaniepokojonym” z powodu „domniemań”. Odgrywanie takiej farsy jest szczególnie ważne, kiedy ktoś czuje się w obowiązku udawać, że sprawca jakiejś zbrodni jest jego sojusznikiem i że działa w dobrej wierze. Na przykład państwa europejskie wciąż nie chcą uznać, że Putin wypowiedział wojnę Ukrainie. Nawet kiedy wszystko wskazywało na to, że to wojska rosyjskie zestrzeliły cywilny samolot pasażerski nad okupowaną wschodnią Ukrainą, przedstawiciele UE wydawali się zaprzeczać winie Rosji z równą gorliwością co sami Rosjanie. Bo i w tym wypadku, gdyby uznali prawdę, musieliby działać, a nikt nie chce działać.

I w ten sposób popularność Putina ciągle rosła. W październiku 1999 roku w sondażach wysunął się już na prowadzenie przed dobrze rokującego kandydata opozycji Jewgienija Primakowa, który był jednym z najbardziej skutecznych spośród wielu byłych premierów Jelcyna i miał poparcie partii komunistycznej oraz potężnego mera Moskwy Jurija Łużkowa. Wybory były wyznaczone na czerwiec, ale okazało się, że Putin nie musiał czekać aż tak długo, by zasiąść w fotelu prezydenckim.

\*

Najpierw jednak odbyły się grudniowe wybory parlamentarne i w tamtym czasie wyglądało na to, że po raz pierwszy Rosjanie idą do urn tak, jak obywatele innych państw demokratycznych: po prostu po to, by zagłosować na tych kandydatów, którzy w największym stopniu odpowiadają ich poglądom. Wszystkie wcześniejsze wybory miały miejsce w atmosferze kryzysu – tak było zwłaszcza podczas rozpaczliwej walki Jelcyna o przetrwanie w 1996 roku. Nowo powstały blok „Jedność”, zmontowany przez władze zaledwie trzy miesiące wcześniej i popierany przez Putina, wypadł całkiem nieźle; na tyle dobrze, by uniemożliwić komunistom kontrolę

nad Dumą.

Moje odczucia, oparte na stosunkowo normalnym przebiegu wyborów, były optymistyczne. Głosowanie zdominowały skuteczne i kosztowne kampanie polityczne, słynne osobistości i dotychczasowi członkowie Dumy, a społeczeństwo pokazało zdrowy konserwatyzm, decydując się na pozostanie przy znanym złu. Jak żartowałem w tamtym czasie, pojawienie się agresywnych spotów telewizyjnych i obrzucanie się błotem pokazywało, że my, Rosjanie, szybko uczymy się stosować standardy amerykańskich kampanii.

Martwiło mnie natomiast to, że Zachód nadal nie przejawiał żadnych oznak rozwijania długofalowej strategii wobec Rosji. Czy zamierzał zacząć uważać rosyjskie społeczeństwo za dorosłych, którzy są w stanie usłyszeć bolesną prawdę, czy też zachodni przywódcy nadal mieli zamiar traktować nas jak powietrze? Pomoc i wyrazy zrozumienia w związku z Czeczenią były ważne, ale nie powinny być okazywane kosztem zgody na antydemokratyczne praktyki i gigantyczną korupcję.

Straszne problemy Rosji nie mogły zniknąć z dnia na dzień. Podobnie jak dla większości obserwatorów w Rosji i poza jej granicami niepokojące były dla mnie przede wszystkim typowe zagrożenia wiążące się z korupcją, nieudolnością i biurokracją, które każdej władzy utrudniają dynamiczny rozwój kraju. Chociaż miałem nadzieję, że mamy już za sobą te bardziej ponure, mocniej nacechowane ideologicznie wyzwania, parę dni po wyborach napomknąłem o swoich wątpliwościach w „The Wall Street Journal”. Napisałem: „Nie ma żadnej gwarancji, że nacjonalizm da się okiełznać i że nie przybierze na sile, by przyćmić liberalne reformy. Sięgające KGB korzenie pana Putina i wyraźne poparcie wojskowe mogą łatwo okazać się zbyt silnym obciążeniem, by je pokonać”<sup>23</sup>.

Jak się okazało, w obu punktach miałem połowiczną rację. Putin porzucił liberalne reformy już na samym początku. Nacjonalizm jako narzędzie polityczne wskrzesił dopiero później, kiedy mogło to posłużyć jego celom. Wojsko nie stało się już nigdy tak istotnym czynnikiem w polityce, jakim długo było wcześniej, a sięgające KGB korzenie Putina okazały się elementem, który miał określić zarówno jego samego, jak i przyszłość całej Rosji.

Gdy zamachy bombowe na budynki mieszkalne podsyciły płomień zemsty, atak na Czeczenię przybrał na sile. W grudniu zaczęło się oblężenie Groznego, które miało trwać przez dwa miesiące. Kiedy się zakończyło, odwiedzający Grozny dziennikarze pisali, że miasto wyglądało gorzej niż Berlin w 1945 roku. Nie został ani jeden niezniszczony budynek, a w 2003 roku stolica Czeczenii otrzymała od Organizacji Narodów Zjednoczonych będący wątpliwym powodem do dumy tytuł „najbardziej zniszczonego miasta na ziemi”<sup>24</sup>.

Nie lepiej wyglądała sytuacja, jeśli chodzi o straty w ludziach. Uchodźcy rozsiani po całym regionie egzystowali w rozpaczliwych warunkach. Rosyjskie wojska łapały więźniów jak popadnie. Na porządku dziennym było torturowanie i mordowanie jeńców. Niezwykle odważna rosyjska dziennikarka Anna Politkowska, która w czasie drugiej wojny co miesiąc odwiedzała Czeczenię, napisała, że to, co się tam działo, to „oczywista, chociaż trudna do uwierzenia, zdrada ogólnoludzkich wartości. Jest już absolutnie jasne, że Deklaracja Praw Człowieka, która przetrwała nieco ponad pół stulecia, poległa na drugiej wojnie czeczeńskiej”<sup>25</sup>. Jej słowa zyskały potwierdzenie, kiedy Europejski Trybunał Praw Człowieka zaczął wydawać orzeczenia przeciwko władzom rosyjskim na rzecz rodzin niektórych z wielu tysięcy Czeczenów, którzy byli torturowani albo znikli po aresztowaniu ich przez wojsko.

Kiedy Politkowska nie przebywała w Czeczenii, dokumentując osobiste historie rodzin, które rozdzieliła przemoc i zbrodnie wojenne popełniane przez rosyjskie wojska, albo nie pisała relacji dla pisma „Nowaja Gazeta”, dużo podróżowała, starając się zyskać poparcie dla inicjatywy międzynarodowej interwencji humanitarnej, do której nigdy nie doszło. Przez całe lata udawało jej się unikać śmierci w czeczeńskich górach, nękanie ją i kierowano pod jej adresem groźby z każdej strony. W końcu Politkowska została zastrzelona we własnym bloku w Moskwie. Stało się to 7 października 2006 roku, w dniu urodzin Władimira Putina.

W maju 2000 roku zostały zlikwidowane federalne władze Czeczenii, a w ich miejsce prezydent Putin ustanowił rządy bezpośrednie. Walki trwały jeszcze po mianowaniu przez Putina Achmata Kadyrowa na szefa miejscowych władz i miały

trwać przez wiele kolejnych lat, przybierając postać konfliktu partyzanckiego. Grupy Czeczenów nadal przeprowadzały na terenie państwa mniejsze i większe ataki terrorystyczne. A nawet kiedy przemoc zredukowano do „znośnego” poziomu, na całym świecie wciąż pojawiały się reperkusje tego, co zrobiła Rosja w Czeczenii. Głównym towarem eksportowym tego kraju stali się świetnie wyszkoleni, doskonale uzbrojeni radykalni bojownicy i terroryści.

Tak, to nie pomyłka: w poprzednim akapicie użyłem określenia „prezydent” Putin. Został zaprzysiężony 7 maja 2000 roku, na miesiąc przed datą wcześniej wyznaczoną na wybory. Jelcyn miał w zanadrzu jeszcze jedną zaskakującą zagrywkę i 31 grudnia 1999 roku niespodziewanie zrezygnował, dzięki czemu Putin zaczął pełnić obowiązki prezydenta, a taka sytuacja wymagała zorganizowania wyborów w ciągu trzech miesięcy. Putin natychmiast zajął się tym, co najważniejsze, czyli zadbał o bezpieczeństwo i bogactwo dla Borysa Jelcyna i jego rodziny. Tego samego dnia, w którym Putin rozpoczął urzędowanie, został podpisany dekret gwarantujący Jelcynowi i wszystkim jego krewnym wolność od odpowiedzialności karnej, co pokazało prawdziwy powód, dla którego Jelcyn wybrał Putina na swojego następcę: instynkt samozachowawczy.

---

19 David Halberstam, *War in a Time of Peace. Bush, Clinton, and the Generals*, New York 2001, s. 420.

20 Historyjka z filmu *Confidential Report*, znanego także pod tytułem *Pan Arkadin* (1955), na podstawie scenariusza i w reżyserii Orsona Wellesa. Tekst oparty na scenariuszy wydano później jako jedyną powieść Wellesa. Polski przekład cyt. częściowo za: Jean-Claude Carrière, *Krąg łgarzy. Powiastki filozoficzne z całego świata*, t. 1, przeł. Wiktor Dłuski, Warszawa 2013, s. 37–38.

21 Konferencja prasowa premiera Władimira Putina w Astanie, Kazachstan, 24 września 1999; [\[link\]](#); polski przekład za: [\[link\]](#).

22 Sondaż przeprowadzony w kwietniu 2002 roku przez ośrodek badania opinii publicznej Lewada pokazywał, że uważa tak 43 procent Rosjan, podczas gdy 38 procent wyklucza taką możliwość; [\[link\]](#).

23 Garry Kasparov, *Russia's Best Election Yet*, „The Wall Street Journal”, 21 grudnia 1999.

24 BBC News, *Scars Remain Amid Chechen Revival*, 3 marca 2007, [\[link\]](#).

25 Anna Politekowska, *Druga wojna czeczeńska*, przeł. i oprac. Irena Lewandowska, Kraków 2006, s. 14.

## 5 | Prezydent dożywotni

Nagłe dojście Putina do godności osoby pełniącej obowiązki prezydenta zlikwidowało wszelkie ewentualne wątpliwości co do wyników wyborów. Putin nie tylko dostał trzy miesiące na autopromocję jako najbardziej widoczny i najpotężniejszy człowiek w Rosji, dysponując całym aparatem państwowym, ale też wybory miały nastąpić trzy miesiące wcześniej, niż dotychczas spodziewali się jego rywale. W miesiącach poprzedzających dzień wyborów, czyli 26 marca, Putin bez przerwy pokazywał się w telewizji – z jednym wyjątkiem. Kontynuując tradycję Jelcyna, odmawiał udziału w jakichkolwiek debatach z udziałem innych kandydatów.

Putin zwyciężył, otrzymując 53,4 procent głosów, czyli niemal dwukrotnie więcej niż Ziuganow, i uniknął drugiej tury, która musiałaby się odbyć, gdyby nie uzyskał większości. W wieczór wyborczy patrzyłem na napływające do studia telewizyjnego wyniki wraz z kilkoma amerykańskimi gośćmi, którzy z zainteresowaniem obserwowali początek epoki po Jelcynie. Jednym z nich był Chris Cox, kongresmen z Kalifornii, który stał się wielkim orędownikiem rosyjskiej demokracji i stosunków dwustronnych, a także moim osobistym przyjacielem. Wśród pozostałych gości zaproszonych tamtego wieczoru byli James Woolsey, były dyrektor CIA za rządów Billa Clintona, oraz Alexander Haig, pierwszy sekretarz stanu Ronalda Reagana. Pamiętam, że tamtej nocy bardzo uważnie obserwowałem słupek Putina. Po osiągnięciu mniej więcej 47 procent przez jakiś czas utrzymywał się na tym poziomie, po czym w ciągu mniej niż godziny podskoczył do 53 procent i z tego poziomu już się nie ruszył. Putin zostałby postawiony w kłopotliwej sytuacji, gdyby musiał brać udział w dogrywce. Przecież był wybrańcem, więc czas niepewności się skończył.

Nie twierdzę tym samym, że w owym czasie Putin nie zwyciężyłby w całkowicie

uczciwych wyborach. Zwyciężyłby. Ludzie byli zalęknieni, złaknieni stabilności i siły, a to właśnie obiecywał im Putin. Różne grupy chcące liberalnych reform, a w szczególności partia Jabłoko („jabłko”) założona przez Grigorija Jawlinskiego, na którego głosowałem, zostały zdegradowane do pozycji biernych widzów. W umysłach przeważającej części Rosjan nie zaświtała jeszcze myśl, że silniejsza scentralizowana władza może prowadzić do utraty swobód obywatelskich. Nadal mieliśmy w większości wolne media, programy, które otwarcie krytykowały naszych polityków i ich pomysły. Na antenie NTV znakomite satyryczne przedstawienie lalkowe *Kukły* przez całe lata dawało się we znaki Jelcynowi. Władze nie były świętą krową, jaką miały stać się wkrótce.

Terroryzm i fizyczne bezpieczeństwo nie były jedynymi priorytetami wyborców. Wszyscy mieli jeszcze w pamięci krach finansowy z 1998 roku. Chociaż trwał stosunkowo krótko i w 2000 roku gospodarka miała odbić się od dna, by osiągnąć najwyższy w historii wzrost PKB w wysokości ponad 10 procent, istniały poważne obawy co do tego, na ile można ufać bankom i innym instytucjom finansowym – szczególnie z powodu tego, do kogo należały.

Przeciwni Rosjanie kojarzyli z korupcją twarze oligarchów, którzy stali się niewyobrażalnie bogaci dzięki sprzymierzeniu się z Jelcynem w latach dziewięćdziesiątych. Ich widok wywoływał wściekłość: pełno ich było w telewizji i w gazetach, widzieliśmy ich ostentacyjne bogactwo, a jednocześnie ich gangsterzy i ochroniarze toczyli ze sobą walki na ulicach Moskwy. Kampania „prawo i porządek” to jeden z najstarszych oklepanych chwytów w historii wyborów, ale w 2000 roku w Rosji znajdowała prawdziwy oddźwięk.

Innym elementem nastrojów panujących na rosyjskich ulicach była nostalgia za sowieckimi czasami. Nie była to tęsknota za komunizmem, lecz mgliste poczucie, że coś straciliśmy. Trudno to wyjaśnić, ale lata dziewięćdziesiąte nie dały nowego poczucia celu, które wypełniłoby to wrażenie straty, nie przyniosły też tyle dobrobytu, by odwrócić uwagę Rosjan od myślenia o przeszłości. Putin ze swoim żalem po upadku ZSRS był zatem pod tym względem kimś pociągającym. To subtelne, ale istotne rozróżnienie. Ludzie tak naprawdę nie chcieli powrotu do epoki

sowieckiej; po prostu nie chcieli mieć poczucia winy, że o tym myślą.

Putin pojawiał się zasadniczo nieskażony przez korupcję i finansową ruinę kojarzone z administracją Jelcyna. Kryzys finansowy z 1998 roku zmusił Jelcyna do zrobienia porządków wśród swoich ludzi i prezydent wymiół wtedy wszystkich bez różnicy: i złych, i dobrych. Ekipa zajmująca się gospodarką pod kierownictwem Anatolija Czubajsa została zdemonizowana – słusznie i niesłusznie. Czystka dotknęła również młodego zwolennika Jelcyna z grupy Czubajsa, Borisa Niemcowa. Niegdyś Jelcyn widział w nim swojego potencjalnego następcę, teraz Niemcow miał stać się jednym z najmocniejszych głosów opozycji wobec wycofywania demokracji w Rosji przez Putina. Współpracowałem blisko z Borisem przez wiele lat w „zewewnętrznej” (czyli nie mającej udziału we władzach) opozycji i byłem przerażony – choć nie zaskoczony – kiedy 27 lutego 2015 roku w Moskwie go zabito.

Potrzeby Borysa Jelcyna sięgały dużo dalej niż sfera osobista. Oskarżenia o korupcję podnoszono przeciwko niemu i przeciwko członkom jego rodziny – i chodziło nie tylko o „Rodzinę”, jak nazywano jego najbliższy krąg oligarchów i doradców, lecz także o faktycznych krewnych. Dokonane w 1998 roku przetasowania w rządzie potrzęsnęły Jelcynem i uświadomiły mu własną bezbronność. Zanim ustąpił i wymienił Czernomyrdina na Primakowa na stanowisku premiera, w Dumie zaczął przybierać na sile nurt zmierzający do usunięcia prezydenta z urzędu. Jelcyn potrzebował takiego następcy, który byłby mu wdzięczny i lojalny wobec niego, nie miałby własnego elektoratu i byłby na tyle silny, by stawić czoła wrogom Jelcyna, gdyby chcieli go dopaść.

Młodsza córka Jelcyna Tatiana była również jego bliskim doradcą i jedną z głównych szarych eminencji w późniejszym okresie jego administracji. To jej przypisywano nakłonienie ojca do wybrania Putina. Mamy tu zaskakujące podobieństwo do innego wydarzenia z historii, kiedy to w 1933 roku syn niedomagającego niemieckiego prezydenta Paula von Hindenburga Oskar przekonał ojca, by mianował Adolfa Hitlera kanclerzem. W ciągu kilku godzin po śmierci von Hindenburga w 1934 roku Hitler zagarnął całą władzę w państwie dla siebie. Jak na ironię, w 2010 roku Tatiana Jumaszewa (nazwisko po mężu) na swoim blogu przez



chwile i ostrożnie starała się bronić ojca i jego dziedzictwa przeciwko podejmowanym przez reżim Putina próbom napisania na nowo historii lat dziewięćdziesiątych.

Poza tym pakt o nieagresji między Putinem a „Rodziną” był całkiem dobrze przestrzegany. Sądzę, że aż do śmierci Jelcyna faktycznie Putin unikał całkowitego zburzenia rosyjskiej demokracji. Choć miał co nieco na sumieniu i jako prezydent popadł w niełaskę, Jelcyn był prawdziwym bojownikiem o wolność. Gdyby poczuł się w obowiązku zabrać głos w sprawie dyktatorskich manewrów Putina, mogłoby to mieć realne reperkusje sięgające sezonu wyborczego 2008 roku. Jednak kiedy 23 kwietnia 2007 roku Jelcyn zmarł, Putin najwyraźniej przestał odczuwać jakiegokolwiek ograniczenia.

Jelcyn zasługuje na to, by pamiętać go nie tylko z powodu picia i wejścia na czołg podczas sierpniowego puczu. W grudniu 1991 roku zachodni świat przyglądał się podejrzliwie, jak Michaił Gorbaczow został zmuszony do rezygnacji ze stanowiska. Mało kto doceniał Jelcyna za poprowadzenie rewolucji, która w końcu usunęła komunistyczne instytucje i doprowadziła do końca rozpad sowieckiego imperium. To Jelcyn, a nie Gorbaczow, wyciągnął Rosję z drugiej strony zwierciadła i wyprowadził na światło słońca. W bolesnym okresie przejścia Rosjanie stracili złudzenia co do świetlanej przyszłości czekającej tuż za rogiem. Korupcja, bieda, przestępczość i wojna na Kaukazie Północnym sprawiły, że codzienne życie w Rosji stało się okropne, i winą za ten stan rzeczy obarczono głównie Jelcyna.

Kto jednak umiał znaleźć proste rozwiązanie pod koniec 1991 roku, kiedy Związek Sowiecki runął, a jedyną istotną sprawą było samo przetrwanie rosyjskiego państwa i jego obywateli? Siła Jelcyna była jak taran i wystarczyła, by zniszczyć więzienie przeszłości, brakowało mu jednak przygotowania i kreatywności, by zaprojektować pałac przyszłości.

Pomimo tych trudności w 2000 roku Rosjanie żyli w tym samym wymiarze co reszta cywilizowanego świata; sukcesy i porażki w swoim życiu ocenialiśmy według tych samych standardów. Podobnie jak wielu moich rodaków zawsze popierałem

Jelcyna i na niego głosowałem – z wielkimi oczekiwaniami w latach 1989–1993, a w latach 1994–1996 z urazą, bo wówczas jedyną jego zaletą było to, że stanowił przeszkodę dla komunistycznego rewanżyzmu.

Rosnące w okresie ostatnich dwóch lat prezydentury Jelcyna rozczarowanie wynikało z jego braku zdolności przeprowadzenia koniecznych reform i wyplenienia korupcji z politycznego i gospodarczego życia Rosji. Ale, mówiąc szczerze, nie mieliśmy żadnej realnej alternatywy. Oceniając zalety i wady rządów Jelcyna, można podnosić argument, że nie powrywał z korzeniami komunizmu i KGB z rosyjskiej gleby – ale przynajmniej podczas swojej zmiany powstrzymał ich rozrost.

Lenin nadal spoczywa na placu Czerwonym, a dwa zakazy (jeden wydano w 1991, drugi w 1993 roku) zabraniające partii komunistycznej organizowania pochodów pod sztandarami Lenina i Stalina były tylko chwilowe. Jako zagorzały antykomunista jestem jak najdalej od usprawiedliwiania tak łagodnego traktowania pozostałości po zbrodniczym państwie sowieckim. Mimo to rozumiem niepokój, jaki odczuwał Jelcyn w związku z zadaniem ostatecznego ciosu reżimowi, który wypchnął go na szczyty nomenklatury.

Być może najważniejszą rzeczą, jakiej dokonał Jelcyn, było to, czego nie zrobił, gdy przejął władzę. Kiedy po kilku krwawych dniach w Moskwie w październiku 1993 roku zamknięto najczarniejsze karty w pokomunistycznej historii Rosji, Jelcyn odmówił zrobienia tego, co jego przeciwnicy prawie na pewno by zrobili: starcia drugiej strony na proch. Po raz pierwszy w całych rosyjskich dziejach nowy władca nie wyeliminował przegranych, by utrwalić swoją władzę. Co więcej, ostatecznie ludzie ci zostali włączeni w proces polityczny. Jelcyn zarządził natychmiastowe wybory i przyjął niezależny parlament.

Ten zawodowy biurokrata pojawił się znikąd i uzbrojony w instynkt przełamywania barier oraz otwierania od dawna zamkniętych drzwi dosłownie wskoczył do pierwszego szeregu. Mimo to niekonsekwencja Jelcyna była bezgraniczna. Najpierw zostawił regionalnym przywódcom więcej władzy, ale później pogrążył się w tragicznej wojnie w Czeczenii. Prowadził batalię przeciwko specjalnym przywilejom elit, ale potem zapoczątkował łupienie państwa przez

oligarchów. Działał na rzecz wolnych i uczciwych wyborów, ale ostatecznie nie był w stanie zaakceptować tego, że wola społeczeństwa może decydować o władzy najwyższej.

Było widać jak na dłoni, że Jelcyn nie pozostanie u władzy, jeśli wybory będą uczciwe, i nadużycia zaczęły szybko się nasilać. Począwszy od tego momentu, nadejście państwa policyjnego Putina było praktycznie przesądzone. Wystarczyło, że Putin zaczął kierować się własnym instynktem i kontynuował puszczone już w ruch proces. Jelcyn nie zdał ostatniego, najważniejszego egzaminu. Kruche demokratyczne struktury, którym pozwolił się kształtować, nie były w stanie przetrwać w obliczu jego własnej potrzeby władzy i bezpieczeństwa. Jelcyn nie stworzył trwałych instytucji. Zbudowana przez niego struktura opierała się na jego przywództwie, a funkcjonujące swobody istniały tylko dlatego, że to on na nie zezwolił. Tego rodzaju system żadną miarą nie mógł wytrzymać odejścia władcy, który go stworzył.

A co najgorsze, jego upadek wywołał w umysłach Rosjan uprzedzenie do tego, co – błędnie – uważali za niekontrolowany kapitalizm i demokrację. Oligarchowie, którzy przejęli władzę, okazali się ważniejsi niż dobro narodu. Rosyjskie społeczeństwo nie widziało żadnych korzyści z rzekomego błogosławieństwa, jakim miały być wybory i wolny rynek. Nowa elita rządząca powstała z dawnych urzędników i nowych technokratów, połączonych obojętnością wobec wartości liberalnej demokracji. Walki, które między sobą toczyli pod koniec lat dziewięćdziesiątych, chcąc znaleźć następcę Jelcyna, mogły skończyć się inaczej, ale tak czy owak demokracja na pewno by przegrała. Szybko zdali sobie sprawę, że wybory i wolne media mogą jedynie zagrażać ich utrzymaniu się przy władzy. Nieprzypadkowo wybrany osobiście przez Jelcyna jego następca pochodził z KGB.

To, że pewne szanse zmarnowano, było nieuchronne, jeśli się zważy rangę zmian i problemów, przed jakimi stanął Jelcyn. Wciąż jeszcze za wcześnie, by dokonać analiz, co pierwszy rosyjski prezydent mógł zrobić lepiej, jednak stosunkowo łatwo można porównać tamten okres z tym, jak sprawy się potoczyły po przejęciu władzy przez Putina w 2000 roku. Wcześniej panował chaos, ale Jelcyn nigdy nie podniósł ręki na wolność jednostki. Putin całą swoją prezydenturę buduje jako

przeciwieństwo okresu Jelcyna i w dużym stopniu mu się to udaje. Cała władza została poddana bezpośredniej kontroli prezydenta. Wcześniej parlament dwukrotnie próbował odsunąć Jelcyna od władzy; teraz to teatr marionetek. Korupcja oligarchów przeniknęła za mury Kremla, gdzie przybrała oszałamiające rozmiary. Media, które dawniej mogły krytykować Jelcyna, teraz są całkowicie na służbie administracji Putina. Największą różnicę widać na polu gospodarki, chociaż większą część zasługi za jej poprawę trzeba przyznać prostemu faktowi, że za urzędowania Putina cena ropy wzrosła z 10 dolarów za baryłkę do ponad 100. A mimo tego niewyobrażalnego bogactwa płynącego z surowców energetycznych przeciętny Rosjanin w niewielkim stopniu dostrzega poprawę standardu własnego życia.

Borys Jelcyn popełnił wyjątkowo dużo błędów, ale był prawdziwym człowiekiem. Miał swoje zalety, miał i wady, był człowiekiem z krwi i kości. Zamieniliśmy go na cień człowieka, który pragnie jedynie trzymać nas w wiecznym mroku. Długie szeregi Rosjan, którzy czekali, by spojrzeć na trumnę Jelcyna i pożegnać go w moskiewskiej katedrze, udowodniły, że pomimo jego wielu niepowodzeń ludzie czuli, że to, czego próbował, mogło być dobre. Jakże ostry to kontrast w stosunku do tego, co otrzymaliśmy w osobie jego następcy.

\*

Po piętnastu latach jego rządów w Rosji wciąż zdumiewająco dużo ekspertów gubi się w domysłach na temat prawdziwej natury Władimira Putina. Należy się spodziewać, że po części rozważania te pozostaną oparte na przypuszczeniach, ze względu na brak dokumentacji dotyczącej większości wczesnego okresu życia przywódcy Rosji oraz na sprzeczne doniesienia na temat jego osoby i kariery, dające w wyniku niespójne portrety biograficzne. Nawet jego własne wypowiedzi i wywiady o charakterze autobiograficznym sprawiają wrażenie celowo zaciemniających i mylących – bo oczywiście taki jest ich cel.

Pierwsze lata życia Putina nie są obiektem mojego zainteresowania ani przedmiotem tej książki. Badaniem ciężkich doświadczeń z jego dzieciństwa

spędzonego w Leningradzie i próbami oddzielenia w jego biografii faktów od fikcji zajęli się inni autorzy, którzy uznają te tematy za bardziej wartościowe niż ja. Podejrzewam, że znacznej części informacji w tym zakresie nigdy nie poznamy, dopóki Putin będzie u władzy, a i potem też może się to nie udać. Dlatego przytoczę opinie i analizy kilku autorów, których szanuję, po czym przejdę do okresu, w którym Putin był już u władzy. Rosyjska dziennikarka Masza Gessen wie o Putinie praktycznie wszystko, co wiedzieć się da. Ze zwykłą sobie przenikliwością tak opisuje jego charakter w znakomitej biografii wydanej w 2012 roku pod tytułem *Putin. Człowiek bez twarzy*:

Putin, jak większość obywateli ZSRR z jego pokolenia, nigdy nie był politycznym idealistą. Jego rodzice mogli wprawdzie wierzyć w sprawę szerzenia komunizmu w świecie, ostateczny triumf sprawiedliwości proletariackiej czy inne frazesy głoszone w czasach, w których dorastał ich syn, ale wcale nie jest powiedziane, że tak właśnie było. Putin też nigdy nie odwoływał się do tych haseł. [...] Jak wielu innych ludzi tamtej generacji wiarę w komunizm, który nie przekonywał już nikogo, zastąpił wiarą w instytucję. Putin oddał serce i umysł KGB oraz imperium, które miał ochraniać – ZSRR <sup>26</sup>.

Nowa biografia, której nie miałem jeszcze szansy naprawdę przestudiować, nosi tytuł *Mr. Putin. Operative in the Kremlin*, a jej autorami są Hill i Gaddy. Mój wzrok przykuł poniższy fragment pochodzący z początku książki, ponieważ jest wnikliwym wyjaśnieniem zachowania Putina podczas większej części jego publicznego życia. Dobrze pasuje do mojego określenia Putina jako pokerzysty, który jest mistrzem w odczytywaniu intencji swoich przeciwników. Przypomnijmy sobie ten opis, kiedy będziemy omawiać opinie innych światowych przywódców na temat ich spotkań z Putinem. Najprawdopodobniej ich zdanie odzwierciedla dokładnie to, co Putin chciał, by sobie pomyśleli.

Putina mniej interesuje przedstawianie jakiejś konkretnej wersji rzeczywistości niż obserwowanie, jak inni reagują na tę informację. Inni są dla niego uczestnikami gry, którą on prowadzi. To on decyduje o informacji na wejściu; oni reagują. On ocenia. Ich reakcje na jego dane wejściowe pokazują mu, za kogo go uważają – ale reagując,

inni pokazują mu również, kim sami są, czego chcą, na czym im zależy. Ze swojej strony Władimir Putin ujawnia im bardzo mało. A nawet zadaje sobie wiele trudu, stosując często wymyślne metody, by zbić z tropu innych uczestników. Jako prezydent i premier prezentował się jako niezliczone różne osoby. Od 2000 roku pan Putin jest największym międzynarodowym mistrzem performance'u w polityce<sup>27</sup>.

Dodałbym jednak do tego, że w ciągu ostatnich paru lat charakter Putina zaczął się szybko pokrywać ze spektaklem, który odgrywa. Rosyjski prezydent musiał ciągle zmieniać swoje zachowanie: najpierw przypochebiać się największym państwom demokratycznym, a po chwili dyszeć gniewem z ich powodu, by podsycać poparcie w kraju. Wówczas na wierzch wychodził prawdziwy Putin, a warstwy kolejnych masek mogły opaść. I nie chodziło tylko o to, że Putin postępował zgodnie z własną naturą – jak skorpion na grzbiecie żaby – lecz także o to, że pozwolono mu z tą naturą się zrastać, pozwolono mu ją realizować.

Oto ostateczna odpowiedź na pytanie, czy ludzie rodzą się dyktatorami, czy się nimi stają. Podobnie jak w wypadku większości kwestii dotyczących natury i wychowania wpływ mają oba czynniki, których wzajemna równowaga w każdym wypadku osiągnięta jest przy różnym ich udziale. W 2000 roku Putin nie wiedział, że chce być dyktatorem. (W odróżnieniu od Hitlera i Stalina, których wczesne pisma i wypowiedzi aż nazbyt wyraźnie ukazują, o czym marzyli). Opowieści dobrze poinformowanych osób z 1999 roku sugerują nawet, że Putin przestraszył się propozycji Jelcyna, że zrezygnuje przed końcem kadencji i już zawczasu wepchnie go na fotel prezydencki<sup>28</sup>. Putin miał instynkt sprzymierzania się z władzą i przekonywania władzy do siebie. Nie potrafił ufać niczemu, jeśli tego nie kontrolował. Wobec tego próbował kontrolować wszystko. W odróżnieniu od totalitaryzmu Związku Sowieckiego, który całą kontrolę przekazał systemowi, Putin dążył do totalitaryzmu sprawowanego przez jedną osobę: siebie samego.

Kiedy w 2000 roku Putin objął urząd prezydenta, w jego otoczeniu oddziaływało wiele potężnych sił. Rozmaici doradcy Jelcyna (w tym jego córka) i oligarchowie nadal dzierżyli władzę za murami Kremla i poza nimi. Do tej grupy należała wieloletnia szara eminencja Jelcyna: Boris Bieriezowski, oraz jego koledzy

Aleksander Wołoszyn i Roman Abramowicz. Bieriezowski znał się z Putinem od lat i to jemu przypisuje się wywindowanie go z urzędniczego biurka na stanowisko premiera.

Wprawdzie reformy Jelcyna znacznie osłabiły pozycję Dumy w stosunku do prezydentury, ale nadal stanowiła ona ważny czynnik, którego nie można było całkowicie ignorować. Media były poddane znaczącemu wpływowi władz, jednak wciąż istniało wiele różnych możliwości w tej sferze i dziennikarstwo polityczne, mimo że stronicze i pełne jadu, cieszyło się wolnością.

Ponieważ często przechwalam się swoją zdolnością przewidywania, powinienem też trochę powiedzieć o własnych błędach. Dwa dni po objęciu urzędu przez Putina napisałem eulogię na temat kadencji Jelcyna i starałem się wejść w optymistyczny ton w odniesieniu do przyszłości pod rządami Putina. Mój artykuł z 3 stycznia 2000 roku w „The Wall Street Journal” nie wspominał o przeszłości Putina w KGB ani o przerażających dokonaniach w zakresie łamania praw człowieka w Czeczenii. Skupiłem się na spuściźnie Jelcyna, a wszelkie przewidywania były utrudnione, ponieważ Putin stanowił nadal w większości niewiadomą. Poza tym jak każdy patriota chciałem jak najlepiej dla swojego państwa. Zagraniczna pomoc i inwestycje wciąż miały wielką wagę dla Rosji – była to sprawa, którą bez wątplenia miałem na względzie, publikując na łamach amerykańskiego dziennika. Pisałem:

Jestem przekonany, że pan Jelcyn szczerze wierzył, że przekształcenie Rosji w pełnoprawny kraj demokratyczny jest konieczne, i chciał mieć pewność, że nowy silny władca na Kremlu będzie w stanie ochronić cenne demokratyczne reformy. Dopiero czas pokaże, czy pan Putin potrafi być dobrym prezydentem. Jednak dziś możemy stwierdzić tyle: że w obecnych okolicznościach pan Jelcyn postawił na właściwego konia [...]. Narzuca się pytanie, jak ekipa pana Putina poradzi sobie z narastającymi problemami gospodarczymi Rosji, ale bez wątplenia będą oni poszukiwać jakiegoś rozwiązania w tych konstytucyjnych ramach, które stworzył pan Jelcyn. Postępując w ten sposób, wniosą swój wkład w ostateczne historyczne zwycięstwo pierwszego prezydenta Rosji<sup>29</sup>.

Oczywiście okazało się, że Jelcyn chciał na Kremlu silnego władcy, który ochroni cenne bogactwo, jakie zgromadził wraz ze swoją rodziną i współpracownikami, a nie demokratyczne reformy. A ja zwyczajnie nie potrafiłem sobie wyobrazić, że same konstytucyjne ramy zostaną tak szybko i tak brutalnie wzięte na celownik. Podobnie jak większość sądziłem, że Putin będzie faworyzował własnych przyjaciół i że będzie bardziej metodyczny, a nie że natychmiast pokieruje całym państwem z powrotem w stronę totalitaryzmu.

Dochodzimy wobec tego do sił zewnętrznych w stosunku do Rosji, do zachodnich rządów i inwestorów, którzy właściwie zrezygnowali z Rosji, kiedy dekada dobiegła końca. Zamiast wykorzystać swoją znaczącą zdolność skutecznego wywierania nacisku do wsparcia reform i demokratycznych instytucji, największe państwa wolnego świata ograniczyły swoje inwestycje do nuklearnego rozbrojenia i innych stosunkowo prostych form współpracy. Wprawdzie wyżej sygnalizowałem już wyraźnie, że nie uznaję mitu rosyjskiego upokorzenia, jednak można było zrobić dużo więcej, gdyby Zachód był autentycznie zainteresowany przyszłością Rosji.

George Soros był uczestnikiem i świadkiem wielu wydarzeń związanych z próbami zreformowania i przebudowy rosyjskiej gospodarki w okresie posowieckim. Jego fundusz inwestycyjny był pod wieloma względami równie ważnym czynnikiem co Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Soros był również bardzo rozczarowany słabym i pełnym hipokryzji zaangażowaniem się Zachodu pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Kiedy Putin obejmował urząd prezydenta, Soros już widział, co się święci. Dużo wcześniej niż większość obserwatorów rozumiał, w którą stronę Putin poprowadzi państwo. W lutym 2000 roku ten słynny inwestor napisał artykuł dla gazety „Moskowskije Nowosti”. W większości był on poświęcony opisowi walnej zakulisowej rozprawy między Czubajsem a Bierzowskim oraz krytyce Zachodu za to, co Soros uważał za nieumiejętność odpowiedniego wsparcia Rosji. Pomiędzy te dwa wątki Soros wplótł te oto słowa na temat przyszłości nowego reżimu Putina:

Jednak państwo budowane przez Putina raczej nie będzie się opierać na zasadach społeczeństwa otwartego. Nadal będzie wykorzystywał uczucie strachu, które pojawiło



się po wybuchach w budynkach mieszkalnych. To państwo będzie się starać ugruntować swoją władzę nad życiem prywatnym i będzie walczyć o przewagę Rosji w świecie. Będzie autorytarne i nacjonalistyczne. Nie da się przewidzieć rozwoju wydarzeń, ale też widać wyraźnie, że ta perspektywa się pojawia i że można jej było uniknąć, gdyby zachodnie wolne społeczeństwo stosowało się do zasad wolnego społeczeństwa<sup>30</sup>.

Kiedy mówimy o ludziach, którzy przejrżeli Putina, i to przejrżeli go bardzo wcześnie, najwyższe laury trzeba przyznać Andriejowi Piontkowskiemu. Ten jeden z najbystrzejszych umysłów w dziedzinie analizy politycznej ma też niezwykle cięty język. W styczniu 2000 roku nazwał putinizm „najwyższym i ostatecznym stadium bandyckiego kapitalizmu” oraz „dobiciem” rosyjskiego narodu. Artykuł, który napisał w lutym 2000 roku dla „The Russian Journal”, zasługuje na uwiecznienie dla potomności, ponieważ jego autor ujrzał bardzo wyraźnie to, czego większość z nas jedynie się obawiała. Piontkowski zaczyna swój tekst od styczniowego Światowego Forum Ekonomicznego w Davos, na którym z rozbawieniem przyglądał się delegacji rosyjskich władz próbującej odpowiedzieć na pytanie: „Kto to jest Putin?”.

Ci dystyngowani dżentelmeni, którzy w kularach zajmowali się agresywną promocją swojego produktu pod marką „Władimir Putin, następny rosyjski prezydent”, nie wiedzieli, jak się zachować: żaden nie chciał – albo nie odważył się – zabrać głosu publicznie. Jakby ktoś zapytał o zmarłego: „albo mówi się o nim dobrze, albo wcale”. Tyle że Putin jak najbardziej nadal żyje i jest w doskonałej politycznej formie<sup>31</sup>.

Następnie Piontkowski opisuje, jak sam odpowiedział na to pytanie podczas dyskusji, w której brał udział następnego dnia. Jak zawsze Andriej walił prosto z mostu:

„Nie udawajcie, że nie wiecie, kim jest Putin” – oto moja odpowiedź. Po prostu nie jesteście gotowi przyjąć prawdy. Nie wiem o Putinie więcej niż wy. Jednak to, co wiem, wystarcza mi do dokonania własnej oceny, oceny zwykłego rosyjskiego wyborcy na temat tego kandydata na urząd prezydenta – że ten człowiek jest niebezpieczny dla mojego państwa i dla świata.

To człowiek, który wykazał się kompletnym brakiem poszanowania dla ludzkiego

życia, cynizmem i hipokryzją, a także gotowością do użycia wojny i śmierci tysięcy rosyjskich żołnierzy oraz niewinnej ludności cywilnej jako narzędzi piarowskich w swojej kampanii wyborczej. To człowiek, który wznosił toast z okazji rocznicy urodzin Stalina, kazał przywrócić tablicę pamiątkową upamiętniającą byłego szefa KGB Jurija Andropowa na murach Łubianki – kwatery głównej Federalnej Służby Bezpieczeństwa – i marzy o tym, by w centrum Moskwy znowu zobaczyć pomnik rzeźnika Feliksa Dzierżyńskiego, twórcy sowieckiej tajnej policji.

Dalej Piontkowski odnosi się do losu dziennikarza Andrieja Babickiego, który został uprowadzony przez rosyjskie siły zbrojne w Czeczenii, a potem przez samego Putina został oskarżony o zdradę z powodu relacji, które kandydat na prezydenta uznał za zbyt życzliwe dla czeczeńskich bojowników. Piontkowski tak zakończył swój artykuł:

Ta gra ma również doniosłe znaczenie polityczne. Nie tylko Babickiego torturuje się w obozach filtracyjnych. Nas wszystkich trzyma się w jednym wielkim obozie filtracyjnym za bramą wiodącą do „nowego wspaniałego świata Putina-Stasi”. Sprawdza się tam, czy pasujemy do tego świata, który nas czeka. Ile potrafimy przełknąć w milczeniu? Jak szybko i jak łatwo można nas złamać? Ci, którzy nie staną na wysokości zadania, zostaną bezlitośnie wyrzuceni i uznani za odpady.

nie pytajcie mnie, kim jest Putin. I nie pytajcie mnie, komu bije dzwon Putina. Bije on wam.

W 2005 roku popiersie Feliksa Dzierżyńskiego przywrócono na dawne miejsce na dziedzińcu budynku milicji przy ulicy Pietrowka 38 w Moskwie. Jego wyniosły pomnik z placu Łubiańskiego, rozebrany w 1991 roku, wciąż czeka na swój powrót.

\*

Putin został zaprzysiężony 7 maja 2000 roku. Stanął w obliczu całego wachlarza wpływów zewnętrznych, nie mówiąc o wątej gospodarce i trwającej wojnie w Czeczenii. Z imponującym naciskiem zaczął natychmiast pracować nad ujarzmieniem lub wyeliminowaniem wszystkiego i wszystkich, którzy mogli ograniczać jego władzę. Jego pierwszy dekret dotyczył zapewnienia ochrony Jelcynowi, jak to bez wątplenia obiecał. Dekrety, które wychodziły szybko jedne po

drugich w kolejnych dniach, były poświęcone albo umacnianiu pozycji wojska, albo likwidacji rosyjskich instytucji demokratycznych.

Oligarchowie, którzy nie stanęli po właściwej stronie w walce o władzę, szybko przekonali się, co to znaczy przegrać z Putinem. Władimir Gusiński, baron medialny, którego stacja NTV była pierwszym niezależnym kanałem telewizyjnym w Rosji, został uznany za osobę zbyt blisko związaną z merem Moskwy Jurijem Łużkowem, którego prezydenckie ambicje Gusiński finansował. Putin uznał Gusińskiego za niegodnego zaufania i potencjalnie niebezpiecznego, dlatego szybko wyciągnął wobec niego konsekwencje. W ciągu kilku dni od objęcia przez Putina urzędu prezydenta do kierowanej przez Gusińskiego spółki medialnej wkroczyła milicja. W czerwcu on sam został zatrzymany pod jakimś dziwnym zarzutem i spędził trzy dni w areszcie. Po zwolnieniu za kaucją wyjechał do Hiszpanii, gdzie później w tym samym roku był na krótko zatrzymany w wyniku wysłania na wniosek rosyjskich władz przez Interpol międzynarodowego listu gończego. (To jeden z pierwszych przykładów tej taktyki, polegającej na nadużywaniu międzynarodowych instytucji do prześladowań o charakterze politycznym). Majątek medialny Gusińskiego ostatecznie pochłonęło państwo, co było odwetową formą renacjonalizacji, która również stała się znanym schematem działania.

Ale i Bieriezowski nie przetrwał dużo dłużej. Będąc teraz również członkiem Dumy, opublikował list z protestem przeciwko proponowanej przez Putina ustawie, która miała zdegradować gubernatorów regionalnych i poddać ich zwierzchnictwu władzy centralnej. Bieriezowski pisał, że zagraża to rosyjskiej demokracji – a oczywiście o nic innego w tej ustawie chodziło. Sześć tygodni później, 17 lipca, Bieriezowski oddał mandat deputowanego, podobno w proteście przeciwko ofensywie antydemokratycznego ustawodawstwa Putina. Po dwóch miesiącach wymieniania się krytycznymi opiniami i pogrózkami w mediach śledczy federalni postawili na nowo Bieriezowskiemu w październiku dawny zarzut o oszustwo. Wystarczyło mu to, by wyjechać z kraju, a w końcu osiadł w Londynie. Podobnie jak to było z Gusińskim, to, co zostało z rosyjskiego majątku Bieriezowskiego, zostało mu zabrane albo też musiał odsprzedać to oligarchom cieszącym się wyższą oceną

własnej lojalności.

Być może Putin po prostu uznał Bieriezowskiego za osobę zbyt silną i wiedzącą zbyt dużo, by go przy sobie trzymać. Ten oligarcha wiedział o całym mnóstwie ciemnych sprawek, bo w wielu z nich sam brał udział. Kontrolował również kilka celów o bardzo dużym znaczeniu, koncern naftowy Sibneft i kanał telewizyjny ORT, znany później jako Pierwyj kanał (Program Pierwszy). Putin szybko zdał sobie sprawę, że dużo skuteczniej jest kontrolować media całkowicie, niż je cenzurować, dlatego pozbył się pośredników.

Środki masowego przekazu dostały się w ręce ludzi życzliwych Putinowi i jego najbliższym współpracownikom. Tej „cenzurze za pomocą przejęcia” towarzyszyła cenzura bardziej konwencjonalna: funkcjonowały listy wyszczególniające *personae non gratae* i tematy zakazane. Władza w mediach została scentralizowana w ten sam sposób co władza polityczna – i w tym samym celu: by móc rabować państwowe zasoby, nie wywołując powszechnego buntu. Korupcja epoki Jelcyna wryła się w zbiorową pamięć Rosjan tylko dlatego, że w tamtym czasie wiedzieliśmy o niej dzięki doniesieniom prasowym. W latach dziewięćdziesiątych rywalizujący ze sobą oligarchowie toczyli ze sobą wojnę, wykorzystując w niej własne środki masowego przekazu. Nie była to walka prowadzona uczciwie ani choćby przyzwoicie, ale większość faktów wychodziła na jaw, a tysiące rzetelnych dziennikarzy pracowało nad tym, by rosyjska opinia publiczna mogła poznać prawdę.

Obsesja Putina na punkcie mediów wezbrała po tym, jak w sierpniu w wyniku wypadku na Morzu Barentsa zatonął okręt podwodny Kursk z napędem jądrowym. Zginęło stu osiemnastu marynarzy, przy czym po pierwszych eksplozjach dwudziestu trzem z nich początkowo udało się uratować i żyli jeszcze przez kilka godzin, a może dłużej, schroniwszy się w odizolowanym przedziale i czekając na ekipy ratunkowe, które dotarły jednak dopiero po kilku dniach. Kursk był dumą rosyjskiej floty: zwodowany w 1994 roku był uznawany – podobnie jak swego czasu Titanic – za „niezatapialny”. Z powodu cięć w budżecie jednostka była bardzo rzadko wykorzystywana i niewiele częściej konserwowana, podobnie jak całe rosyjskie uzbrojenie w tamtym okresie. Kiepskie wyszkolenie załogi i skorodowane

wyposażenie doprowadziły do katastrofy, kiedy na pokładzie wybuchła stara ćwiczebna torpeda, powodując zatonięcie okrętu w lodowatej wodzie i jego opadnięcie na dno na głębokość stu metrów.

Putin był wtedy na wakacjach w Soczi i postanowił przeczekać tam cały kryzys. Przypuszczalnie w żaden sposób nie mógłby uratować marynarzy uwięzionych na pokładzie Kurska – ale wtedy nie mógł tego wiedzieć. Bez dyskusji przyjął stwierdzenie marynarki wojennej, że rozpoczęto operację ratunkową. Jak później przyznał, to, że pokazywano go odpoczywającego nad Morzem Czarnym, podczas gdy gdzie indziej rozgrywała się tragedia, zostało bardzo źle odebrane. Przez prawie tydzień nikt nie wiedział, czy ktoś ocalał. Relacje telewizyjne pokazywały na przemian obrazy zrozpaczonych rodzin marynarzy, bazę marynarki wojennej w Widiajewie i prezydenckiego grilla w Soczi. Rosyjska marynarka wojenna odrzuciła propozycje pomocy, które nadeszły natychmiast ze Stanów Zjednoczonych, Francji, Niemiec, Norwegii i innych krajów.

Dopiero po pięciu dniach i wielu nieudanych próbach dotarcia rosyjskich ekip ratunkowych do uwięzionych marynarzy Putin przyjął międzynarodową pomoc. 19 sierpnia, cały tydzień po zatonięciu Kurska, na miejsce dotarł norweski okręt. Dwa kolejne dni zajęło zbadanie zatopionego wraku i potwierdzenie, że nikt nie ocalał. Prawie natychmiast marynarka wojenna, w tym kilku jej najwyższych oficerów, zaczęła wymyślać jakieś historie na temat przyczyn katastrofy. Ich ulubioną wersją była ta, że do zatonięcia doszło wskutek kolizji z okrętem podwodnym NATO – na poparcie tej teorii spiskowej nie było nawet cienia dowodu. Przedstawiciele władz nie przestali sugerować teorii o kolizji nawet po potwierdzeniu ponad wszelką wątpliwość dowodów na dwie eksplozje we wnętrzu okrętu. (Kontrolowane przez państwo media w Rosji podają tę teorię jeszcze dziś, mimo że powstały w 2002 roku oficjalny raport potwierdził przyczynę w postaci wybuchu wadliwej torpedy).

Rosyjskie media, szczególnie stacja telewizyjna Borisa Bieriezowskiego, mocno krytykowały reakcję władz, nazywając ją bezduszną i nieudolną, w czym nie było cienia przesady. Nagranie ukazujące Putina i innych nieczułych przedstawicieli władz, na których wylewają swoje żale członkowie rodzin poległych marynarzy,

uświadomiło Putinowi, jakim zagrożeniem mogą być media dla jego początkowej popularności. Pokazując w ten sposób, że totalitarny instynkt jest w nim znacznie silniejszy niż jakkolwiek jego skłonność do reform, zamiast zreorganizować wojsko, które doprowadziło do tego potwornego wypadku i spartoliło operację ratunkową, albo publicznie ukarać nieudolnych dowódców, Putin skierował się przeciwko mediom, które to relacjonowały.

A zatem nim minęło pół roku od objęcia prezydentury przez Putina, dwóch najbardziej wpływowych rosyjskich oligarchów znalazło się na wygnaniu, konstytucyjna struktura władzy w państwie została radykalnie przesunięta w stronę Moskwy, a wolne środki masowego przekazu upadały jedne po drugich jak kostki domina. Pół roku!

Zasadniczy mit, jaki budowano wokół tych wydarzeń, głosił, że Putin niczym dobry szeryf po prostu robi porządek w mieście. Naród rosyjski miał oligarchów w pogardzie i uważał ich za przestępców stojących ponad prawem. I oto pojawia się Putin, silny facet ze służby bezpieczeństwa, żeby pokazać wszystkim, że dłużej tak nie będzie. Całkiem niezłe! Nawet jeśli po to, by to zrobić, przesuwiał granice legalności, jak inaczej mógł postąpić? – brzmiał powtarzany refren.

Nieważne, że Putin zagarnął prywatny majątek Gusińskiego i Bieriezowskiego, po czym przekazał go w ręce innych, bardziej lojalnych oligarchów albo pozostawił pod bezpośrednią kontrolą państwa. Rządy Putina nie rozprawiły się z korupcją, lecz ją sankcjonowały. Była to wyjątkowa metoda robienia porządku w mieście: namaszczanie jednej grupy „przedsiębiorców” przy jednoczesnym demonizowaniu innej.

Nie chciałbym zostać źle zrozumiany: nieszczególnie współczuję pierwszemu pokoleniu oligarchów, którzy plądrowali Rosję po upadku ZSRS. Oni i ich partnerzy z polityki oraz mafii wykorzystali brak kontroli ze strony Jelcyna i połączyli siły, by udaremnić największą szansę, jaką miała Rosja na drodze ku gospodarce rynkowej i demokracji. Gigantyczne rozmiary korupcji sprawiły, że i tak trudne zadanie przeprowadzenia reform stało się niemożliwe, a minimalny standard życia niezbędny dla stabilności ekonomicznej znajdował się poza zasięgiem społeczeństwa na tyle

długo, by przyjęło ono Putina – albo kogoś do niego podobnego – z otwartymi ramionami.

Odrzucam natomiast mitologizowanie, jakie uprawiają ludzie chwalcący Putina na tle Jelcyna z powodu postępu, jaki dokonał się w zakresie zwalczania korupcji, reform instytucjonalnych i wzrostu gospodarczego. Jeśli chodzi o walkę Putina z korupcją, to nie wydaje mi się, by zalegalizowanie złodziejstwa, a następnie przechwalanie się spadkiem przestępczości, należało uznać za postęp. Faktyczny wskaźnik przestępczości w Rosji rósł nieustannie aż do 2002 roku, kiedy dochody z szybujących w niebo cen ropy zaczęły mieć szerszy wpływ. Później Putin uciekł się do podobnego manewru pacyfikacyjnego w Czeczenii, kiedy nadał dominującemu wataźce Achmatowi Kadyrowowi oficjalny status władcy i hojnie go wynagrodził.

Na poparcie tych machinacji można podnieść argument praktyczny, jednak uważam go za cyniczny i niemoralny, jak również w dłuższej perspektywie szkodliwy dla interesu narodowego. Zmniejszanie natężania przemocy na ulicach i konfliktów poprzez wybranie sobie jednego mafijnego klanu przy jednoczesnym pozbyciu się pozostałych dokonuje się ogromnym kosztem. Wobec braku wolnych mediów, systemu sądowego, którego musieliby się obawiać, oraz jakiegokolwiek konkurencji popierani przez Putina oligarchowie byli niczym szkodniki, których naturalnych wrogów, czyli zjadających ich drapieżników, wytępiono. Wybrani zwycięzcy mieli za sobą pełnię władzy państwowej i szeroko otwarty rosyjski skarbiec.

Gdyby Putin pojawił się, grożąc, że postąpi ze wszystkimi tak, jak wybiórczo postąpił tylko z nielicznymi – to znaczy, gdyby we właściwy sposób zadbał o praworządność – mielibyśmy do czynienia z zupełnie inną sytuacją. Putin mógł położyć kres łupiestwu, mógł powiedzieć zarówno swoim przyjacielom, jak i wrogom, że przyjęcie na koszt rosyjskiego narodu już się skończyło. Początkowo wydawało się, że rozprawienie się z Gusińskim i Bieriezowskim to być może przykład dany właśnie w tym celu. W końcu skoro potrafił tak szybko usunąć dwóch najbardziej wpływowych i najbogatszych oligarchów, to inni pewnie powinni się podporządkować. Tymczasem jednak okazało się, że do pozostałych Putin skierował

inne przesłanie: było to przesłanie mafijnego dona. Albo poprzysięgnięcie wierność wobec *capo*, żeby kraść w ramach jego systemu, albo z dnia na dzień wasza wolność i majątki mogą zniknąć. Pierwszy rok urzędowania Putina pokazywał coraz wyraźniej, że to, co dobre dla Putina i jego przyjaciół, jest dużo ważniejsze niż to, co dobre dla Rosji. I dziś nadal widać to bardzo wyraźnie.

Wiele uchwalonych reform dotyczących działalności gospodarczej nigdy nie zostało wprowadzonych w życie zgodnie z założeniami. Twierdzenie, że po roku 2000 miały miejsce udane reformy instytucjonalne, jest z gruntu fałszywe, mimo że po dziś dzień pozostaje ono podstawową legendą systemowych liberałów – z których wielu, co niezwykle, nadal jest w rządzie. Utrzymują oni, że uchwalono ważne ustawy obniżające podatki, ułatwiono rozpoczęcie działalności gospodarczej i tak dalej. Jednakże moim zdaniem „reformy instytucjonalne” to nie tylko dokumenty na papierze: Duma zatwierdzała każdą decyzję, która przychodziła z góry. W dyktaturze formalna treść prawa nie ma znaczenia. Liczy się to, jak prawo się stosuje. Reformy mają charakter instytucjonalny jedynie wówczas, gdy mają realny wpływ na sposób życia.

A gdyby jakimś cudem nie było jeszcze całkowicie jasne, w którym kierunku Putin prowadził swoje państwo, dochodzimy do jednej z tych symbolicznych chwil, które potrafią powiedzieć równie dużo co ustawodawstwo i prześladowania. Jesienią 2000 roku, podobno w odpowiedzi na skargi ze strony rosyjskich sportowców, że nowy rosyjski hymn z 1990 roku wprawia ich w zakłopotanie, ponieważ nie ma słów, które mogliby śpiewać, Putin przywrócił dawny hymn sowiecki. Oczywiście nie z dawnymi, oryginalnymi stalinowskimi słowami ani nie z tymi zaktualizowanymi w 1977 roku, które aż za mocno wryły mi się w pamięć. Czyli zamiast napisać nowe słowa do nowego rosyjskiego hymnu, przywrócono dawną melodię sowiecką, zlecając napisanie do niej nowych słów, i to temu samemu autorowi. I wprawdzie wolę, rzecz jasna, nowe: „Siłę nam daje nasza wierność ojczyźnie”, od: „Najeźdźców podłych z drogi zmieciemy” z 1944 roku lub: „W zwycięstwie wiecznych idei komunizmu” z roku 1977, to jednak symbolizm tkwiący w przywróceniu sowieckiej melodii był jednocześnie oczywisty



i wstrząsający<sup>32</sup>. Słowa się zmieniają, ale pieśń pozostaje ta sama.

---

26 Masha Gessen, *Putin. Człowiek bez twarzy*, przeł. Julia Szajkowska, Magda Witkowska, Warszawa 2012, s. 140–141.

27 Fiona Hill, Clifford Gaddy, *Mr. Putin. Operative in the Kremlin*, Washington, 2015, wydanie Kindle, lokalizacje 322–327.

28 Opisuje to Tatiana Jumaszewa, córka i bliska doradczyni Jelcyna, na swojej stronie internetowej; wersję tę przytacza także „The Telegraph” z 23 stycznia 2010, [\[link\]](#).

29 Garry Kasparov, *Yeltsin Offers New Hope for the New Year*, „The Wall Street Journal”, 3 stycznia 2000.

30 George Soros, *Bitter Thoughts with Faith in Russia*, „Moskowskije Nowosti”, luty 2000.

31 Andrei Piontkovsky, *For Whom Putin Tolls?*, „The Russia Journal”, 21–27 lutego 2000.

32 Krytycy amerykańskiego przekonania o własnej wyjątkowości tacy jak Putin powinni pamiętać, że w tekście nowego rosyjskiego hymnu również znajdziemy takie oto słowa: „Tyś jedna na świecie! Jedynaś ty taka!”.

## 6 | W poszukiwaniu duszy Putina

Ktokolwiek w tym momencie twierdzi jeszcze, że wciąż nie jest pewien, jaka jest prawdziwa natura Putina, musi albo żartować, albo być głupi, albo oszukiwać. Nie ma sensu tracić czasu na żartownisiów czy głupców, jakkolwiek użyteczni mogą być w znaczonych talii kart Putina, jednak na oszustów trzeba zwracać baczną uwagę. Przynajmniej od dekady ci, którzy bronią Putina, albo czerpią z tego jakąś korzyść, albo są niebezpiecznymi ignorantami. Można komuś wybaczyć, że optymizm i dyplomacja zaślepiły go na chwilę i przesłoniły mu charakter oraz ambicje Putina. Jedną z mocnych, a zarazem słabych stron liberalnych społeczeństw demokratycznych jest kredyt zaufania, jakiego udziela się nawet wrogom. Jeśli Putin naprawdę był antydemokratycznym zbirzem, musiał tego dowieść.

I dowodził, rok po roku, a jego zachodni obrońcy jeden po drugim przenosili się z obozu „ignorantów” do obozu „czerpiących korzyści”. Do Putina ustawiała się kolejka klientów: od koncernów energetycznych starających się o dostęp do rosyjskich zasobów ropy po europejskich premierów i kanclerzy gotowych zaprzedać strategiczne interesy swoich państw, aby zrobić na boku własny interes. Dlatego mimo dyktatorskich zagrywek w Rosji bez trudu poszerzał swój międzynarodowy fan club.

Gdy tylko Putin pojawił się na międzynarodowej scenie, każdy zagraniczny przywódca i ekspert musiał mieć o nim jakąś opinię. Kiedy dziś przegląda się te materiały w relacjach medialnych i wspomnieniach, należy uznać je za mistrzowskie osiągnięcie w pewnej trudnej sztuce, a mianowicie: jak powiedzieć coś miłego, nie mówiąc niczego – i jednocześnie zaliczyć dobry występ w decydującej dyscyplinie sportów politycznych, czyli zapewnić sobie ochronę własnego tyłka. Nie trzeba dodawać, że wspomnienia pisane z perspektywy czasu są dużo bardziej krytyczne

w stosunku do Putina niż komentarze pisane do bieżących wydarzeń. Jedyne nieliczni są na tyle uczciwi, by się przyznać, że mylili się co do Putina – albo jeszcze gorzej: że dali mu się nabrać.

Można odnieść ogólne wrażenie, jakby wszyscy wiedzieli, że Putin wykazuje niepokojące skłonności do despotyzmu, ale nikt nie uważał, żeby warto było podejmować jakiegokolwiek próby przeciwstawiania się tym skłonnościom na wczesnym etapie, kiedy dużo łatwiej byłoby to zrobić. W końcu – rozumowano – stosunki Rosji z Zachodem były już i bez tego pogorszone, a Rosjanie i tak potrzebowali silnego władcy. Dlaczego zatem nie zacząć z nadzieją od nowa, skoro ten nowy człowiek już jest?

Dla zachodnich przywódców była to trudna sytuacja. Putin bardzo sprawnie mówił o reformach i posowieckich trudnościach Rosji, nie miał żadnych obciążeń charakterystycznych wcześniej dla Jelcyna, nie był też chełpliwy jak on. Kiedy jednak zachodni przywódcy patrzyli, co Putin robi, wówczas jego obraz znacznie się zmieniał. Zapytałem niedawno swojego znajomego Steve’a Sestanovicha, który przez wiele lat był pracownikiem amerykańskiego Departamentu Stanu, co w tym wczesnym okresie najbardziej go zaskoczyło lub zaniepokoiło u Putina <sup>33</sup>. Odpowiedź Steve’a stanowi znakomite wprowadzenie do tego, z jakim trudem Zachód próbował zrozumieć nowego rosyjskiego przywódcę i co to znaczyło dla Rosji:

Od samego początku „putinizm” to był kłopotliwy pakiet i szczerze mówiąc, nie wiedzieliśmy, jak sobie z nim radzić. Z jednej strony mieliśmy reformistyczną retorykę programu jego kampanii wyborczej oraz otwarte wypowiedzi na temat tego, jak daleko Rosja została w tyle za Zachodem. Wszystko to wydawało się obiecujące. Jednak równoległe dokonywało się nieustanne zamykanie niezależnych mediów – a kampania w Czeczenii prowadzona była zgodnie ze strategią spalonej ziemi. To było niepokojące. Kim był ten facet?

Pamiętam pewną rozmowę, jaką wiosną 2000 roku odbyła w swoim gabinecie Madeleine Albright z pewnym rosyjskim gościem, jedną z najbardziej wpływowych postaci epoki Jelcyna. Poprosiła mnie, żebym wziął w niej udział. Nasz gość powiedział: „Chcę wam powiedzieć, że Rosja ma teraz najlepszego następcę Borysa

Jelcyna, jakiego tylko moglibyśmy się spodziewać. Nasz prezydent zamierza również wycofać się z części naszych demokratycznych osiągnięć. Najpierw zamierza zaatakować wolność prasy. W tym względzie my, którzy go popieramy, liczymy na was, że mu się przeciwstawicie”. Wszedłem z tego spotkania, myśląc: jak to w ogóle możliwe, żeby się w tym wszystkim połąpać? <sup>34</sup>

Mógłbym się pokusić o parę przypuszczeń co do tego, kim był ów Rosjanin goszczący tamtego dnia w gabinecie amerykańskiej sekretarz stanu Albright, ale nie ma to większego znaczenia. Kimkolwiek był tamten gość, całkiem właściwie ocenił, co zamierza zrobić Putin oraz jak powinny na to reagować Stany Zjednoczone. I nietrudno zrozumieć dylemat, jaki zaczynał się rysować przed Sestanovichem i całą administracją, zwłaszcza jeśli się pamięta, że w tamtym czasie prezydentem był nadal Bill Clinton.

Ostatni rok Clintona na urzędzie prezydenta już i tak był skomplikowany. Dopiero co udało mu się przetrwać impeachment związany ze skandalem seksualnym z Monicą Lewinsky, w wyniku którego stracił znaczną część energii i wiarygodności, jakie mu jeszcze zostały. W lutym pękła bańka internetowa, odbierając amerykańskiej gospodarce sporo optymizmu. Był to również rok wyborów i wiceprezydent Al Gore walczył z George’em W. Bushem o fotel po Clintonie.

Także polityka zagraniczna przyprawiała Clintona o ból głowy. Każdy amerykański prezydent próbuje w ostatnim roku urzędowania rozwiązać problem izraelsko-palestyński i Clinton nie był w tym względzie wyjątkiem. Odkąd w 1995 roku zabójstwo Icchaka Rabina powstrzymało proces pokojowy zgodny z porozumieniami z Oslo, Clinton nie zrobił wiele aż do lipca 2000 roku, kiedy to zorganizował szczyt w Camp David z udziałem Ehuda Baraka i Jasira Arafata. Nie osiągnięto na nim żadnego porozumienia, co mogło zaskoczyć jedynie kogoś, kto absolutnie nie zna historii. Parę miesięcy później, po wizycie Ariela Szarona na Wzgórzu Świątynnym, wybuchła druga intifada. Uzupełnieniem obrazu przemocy był zorganizowany przez Al-Kaidę atak zamachowców samobójców na USS Cole w Jemenie, który pozbawił życia siedemnastu marynarzy.

Krótko mówiąc, Clinton nie był w stanie zająć zdecydowanego stanowiska

wobec twardego i niełatwego do rozczytania nowego rosyjskiego przywódcy. Biały Dom wciąż składał gołosłowne deklaracje w sprawie uśmierzenia potworności dokonujących się w Czeczenii, zawsze usilnie podkreślając, że „Czeczenia to nie Kosowo”, zgodnie ze słynnym powiedzeniem brytyjskiego premiera Tony’ego Blaira<sup>35</sup>. Rosję wciąż bolało to, w jak obcesowy sposób Stany Zjednoczone i NATO w 1999 roku obeszły się z rosyjskimi interesami prowadzonymi z Serbią, i Putin raz po raz do tego wracał.

Podczas ostatniej wizyty prezydenta Clintona w Moskwie 3 czerwca 2000 roku obaj przywódcy omówili typową amerykańsko-rosyjską listę kontrolną zagadnień związanych z bronią jądrową, handlem i amerykańską obroną raketową (ta ostatnia w ciągu kolejnych lat miała stać się jednym z ulubionych tematów Putina). Trzeba przyznać administracji Clintona, że podczas tej wizyty przynajmniej wspomniała o swobodach obywatelskich. Madeleine Albright odwiedziła Radio Swoboda, którego nieupiększone relacje z Czeczenii doprowadziły do uprowadzenia jego dziennikarza Andrieja Babickiego.

Clinton udzielił godzinnego wywiadu rozgłośni Echo Moskwy, należącej do grupy Media-Most Władimira Gusińskiego, którego środki przekazu odmówiły udzielenia poparcia Putina podczas wyborów. Clinton wydawał się zaskoczony, kiedy zadano mu pytanie, czy kiedykolwiek użył uprawnień przysługujących policji przeciwko krytykom albo mediom. „Nigdy nie zrobiłem niczego takiego. To nielegalne!”<sup>36</sup> Po odczekaniu dokładnie tygodnia od wyjazdu Clintona z Moskwy Gusińskiego aresztowano.

Większość Europy również wolała ukrywać swoje niepokoje związane z krwawymi jatkami w Czeczenii i przyjąć Putina bez żadnych warunków. Dwaj najważniejsi europejscy przywódcy, Tony Blair w Wielkiej Brytanii i Gerhard Schröder w Niemczech, byli z natury przeciwni konfrontacji, szczególnie kiedy w perspektywie były duże transakcje i na rynki mogło wpłynąć mnóstwo rosyjskich pieniędzy. (Silvio Berlusconi, który z czasem stał się najbardziej entuzjastycznie nastawionym partnerem i najbardziej zagorzałym obrońcą Putina, w 2001 roku miał ponownie zostać premierem we Włoszech). Jacques’a Chiraca we Francji trzeba

trochę pochwalić, bo w tamtym czasie jego rząd stanowczo protestował przeciwko potwornościom w Czeczenii, a nawet przyjął przedstawiciela czeczeńskiego prezydenta na forum Zgromadzenia Narodowego. Jednak to zwycięstwo trwało straszliwie krótko i kiedy w październiku Putin przyjechał do Paryża, Chirac wzniósł toast za niego i jego żonę Ludmiłę słowami: „Za nas, żebyśmy zapisali nową kartę stosunków francusko-rosyjskich”. Jak się mówi po francusku „naciśnąć przycisk reset”?

W tym okresie poprzeczkę w dziedzinie dogadzania Putinowi zdążył już ustawić wysoko Blair, kiedy wykonał dziwaczny manewr, jakim była niespodziewana prywatna wizyta u Putina w Sankt Petersburgu w przeddzień rosyjskich wyborów prezydenckich w marcu 2000 roku. Organizacje broniące praw człowieka i brytyjska prasa napadły na Blaira, zarzucając mu, że w gruncie rzeczy poparł w ten sposób Putina, podczas gdy z rozkazu tego ostatniego dokonywano „masowych egzekucji ludności cywilnej, arbitralnych aresztowań mężczyzn z Czeczenii, systematycznych pobić, tortur, a od czasu do czasu także gwałtów”<sup>37</sup>. Zamiast porozmawiać właśnie o tym, Blair wraz z żoną zwiedzili Muzeum Ermitażu, carski Pałac Letni, oraz „spędzi[li] wieczór w operze, biorąc udział wraz z państwem Putinami w premierze *Wojny i pokoju* Siergieja Prokofjewa”. W czasie swojej wizyty Blair odmówił spotkania z jakimikolwiek innymi kandydatami czy przedstawicielami opozycji.

Roku 2000 ja też nie zaliczam do swoich najlepszych lat. Większą część drugiej połowy 1999 roku spędziłem na uruchamianiu zaprojektowanej z rozmachem strony internetowej poświęconej szachom, Kasparov Chess Online, która zadebiutowała akurat w chwili, gdy z bańki internetowej zaczęło uchodzić powietrze. Mimo wszystko był to fascynujący okres i jestem dumny z niektórych projektów, które wykonaliśmy, jednak podobnie jak bardzo wiele innych internetowych przedsięwzięć zaledwie po paru latach nasza strona się wypaliła. W październiku odbyłem pierwszy mecz w obronie tytułu mistrza świata od pięciu lat, a walczyłem przeciwko własnemu rodakowi Władimirowi Kramnikowi. Przybyłem do Londynu w znakomitej formie, pełen pomysłów i pewny siebie. Miesiąc później po raz pierwszy przegrałem w meczu o tytuł, w dodatku nie wygrawszy ani jednej partii.

Kramnik był lepiej ode mnie przygotowany i lepiej ode mnie zagrał, a ja padłem ofiarą własnego samozadowolenia po piętnastu latach na szczycie. Było to dla mnie druzgocące doświadczenie i mając trzydzieści siedem lat, po raz pierwszy przez krótką chwilę zastanawiałem się nad odejściem na emeryturę. Jednak pragnienie udowodnienia, że wciąż jestem najlepszym graczem na świecie, było zbyt silne i zachowałem pierwszą pozycję w rankingu aż do wycofania się z zawodowych szachów w 2005 roku.

Liząc rany i przygotowując się do comebacku, miałem mnóstwo czasu, by ocenić rezultaty pierwszego roku Putina jako prezydenta. Wiele zawartych poniżej myśli na temat początku rządów Putina zawarłem w komentarzu napisanym do „The Wall Street Journal” z 4 stycznia 2001 roku, zatytułowanym *The Russian President Trades on Fear* (Rosyjski prezydent wykorzystuje strach), który ku mojemu wielkiemu niepokojowi wciąż jest dziś bardzo aktualny. Zdecydowanie wolałbym móc przyznać, że myliłem się w tym artykule, a nie w tamtym, optymistycznym, napisanym rok wcześniej. Putin ma w zwyczaju postępować w taki sposób, że moje proroctwa okazują się trafne, ale jako Rosjanin czuję się tym bardzo rozczarowany.

Nagła rezygnacja Borysa Jelcyna 31 grudnia 1999 roku sprawiła, że sylwestrowy wieczór spędziłem na pisaniu o jego roli w rosyjskiej historii. Ponieważ ustępujący prezydent wskazał swojego następcę (co w rosyjskiej polityce oznacza pewny wybór), starałem się przewidzieć parametry polityki Władimira Putina. Niestety, moja prognoza, oparta na założeniu, że młody pragmatyczny rosyjski przywódca będzie wzmacniał demokratyczne procesy wewnątrz państwa, zwalczał korupcję i łagodził zakręty nierównej polityki zagranicznej Borysa Jelcyna, okazała się noworocznymi pobożnymi życzeniami.

Po roku z perspektywy czasu mogliśmy już widzieć wyraźniej. Putin miał wszelkie atuty, o jakich mógł marzyć nowy prezydent. Jego wskaźniki poparcia społeczeństwa przypominały nam pełne entuzjazmu pierwsze dni Kremla Jelcyna, a w 2001 roku sondażom w Rosji można było jeszcze nieco ufać – w odróżnieniu od tego, jak wygląda to dziś. Ogromna dewaluacja rubla po kryzysie finansowym z sierpnia 1998 roku pobudziła mocno nastawioną na eksport rosyjską gospodarkę.

Z kolei wysokie ceny ropy przyczyniły się do powstania rezerw walutowych, jakich nie miał do dyspozycji żaden pokomunistyczny rosyjski rząd.

A mimo to zmarnowano owo potężne dodatnie saldo. Niestety kagiebowskie korzenie Putina przeniknęły do stylu rządzenia, który nie był ani reformistyczny, ani demokratyczny. Wspólnym wątkiem w całej jego polityce wewnętrznej i zagranicznej były próby wykorzystywania strachu – strachu Rosjan, że ich państwo atakują wrogie siły zewnętrzne (Czeczeni, NATO albo zwolennicy wolnego rynku; a zwykle wszyscy razem), oraz strachu mieszkańców Zachodu, że bez silnego, pragmatycznego przywódcy Rosja znowu stanie się niezdyscyplinowana, niestabilna i potencjalnie agresywna. Piętnaście lat później Putinowska taktyka wzniecania paniki pozostała bardzo podobna i równie skuteczna.

Zamiast zdławić prawdziwe wrogie siły w Rosji – korupcję, niewiedzę, rozdęty aparat państwowy – Putin zρέcznie zmienił reguły gry. Pod powierzchownym sukcesem rosyjskiej gospodarki musiała jeszcze nastąpić zmiana strukturalna. Mimo wprowadzenia pewnych reform do kodeksu podatkowego przykre reformy wewnętrzne zostały pogrzebane przez różne potężne lobby nomenklatury, kasty mających silną pozycję urzędników i funkcjonariuszy, których władza zależy od potężnych mecenasów. Korupcja kwitła, a system sądowniczy pozostawał zbyt nieskuteczny, by mógł być siłą stabilizującą. Tysiące rosyjskich żołnierzy zginęły w konflikcie czeczeńskim, którego pokłosem były niezliczone ofiary wśród czeczeńskiej ludności cywilnej, ruiny czeczeńskich miast i wsi oraz setki tysięcy uchodźców walczących o przetrwanie. Zapowiadana jako operacja antyterrorystyczna kontynuowana przez Putina wojna w tym kraju okazała się kolejnym przedsięwzięciem biznesowym dla rosyjskich generałów i ich czeczeńskich odpowiedników.

Nowa strategia Putina wobec rosyjskich regionów stanowiła dziwną mieszankę stylu sowieckiego Biura Politycznego i carskiego władania rosyjskim imperium. By zachować przywileje władzy, rosyjscy gubernatorzy byli ulegli wobec władz centralnych, zyskując w zamian poszerzone kompetencje w stosunku do tradycyjnie słabego samorządu terytorialnego. Idąc w ich ślady, niemal wszyscy rosyjscy



przywódcy polityczni ochoczo wspierali wszelkie prezydenckie inicjatywy. Podam jeden przykład: pomysł Putina, by wskrzesić dawny sowiecki hymn, uzyskał poparcie ponad 80 procent członków parlamentu. (Zazwyczaj Putin postępował tak, jakby jedynie spełniał wolę narodu. „Naród i ja możemy popełniać błędy” – tak odpowiedział, kiedy kwestionowano stosowność przywrócenia sowieckiej pieśni).

Putinowska doktryna polityki zagranicznej była w gruncie rzeczy poszerzoną wersją strategii wewnętrznej i pokazywała, w jak oportunistyczny sposób miał funkcjonować jej autor przez następne piętnaście lat. Jedną i drugą można trafnie podsumować, nadając im nazwę: „Zarządzanie Bandyckim Państwem Sp. z o.o.”. Gdziekolwiek pojawiały się punkty zapalne na arenie światowej albo „zagrożenia” dla wewnętrznego spokoju Rosji, pojawiał się tam nowy prezydent z jakimś środkiem nacisku.

Putin był wszędzie! Martwi was północnokoreański program nuklearny? Rosyjski prezydent już nawiązał osobiste stosunki z Kim Dzong Ilem i był gotów odgrywać rolę pośrednika na Półwyspie Koreańskim. Saddam Husajn, Muammar Kaddafi czy Baszar al-Asad – Putin chętnie spieszył, by wspaniałomyślnie zaoferować pomoc wszystkim tym znakomitym przywódcom. To, czy faktycznie udzielił im kiedykolwiek jakiejś wartościowej pomocy, było całkowicie inną kwestią.

W Afganistanie, czyli na znanym gruncie, Putin zaproponował, by rosyjska machina wojskowa pomagała w poszukiwaniu Osamy bin Ladena. To nieważne, że ta obecność pozwoliła rosyjskim generałom zachować kontrolę nad głównymi drogami przerzutu narkotyków z Afganistanu do Europy przez państwa Azji Środkowej. Będąc głównym dostawcą broni konwencjonalnej i technologii jądrowych dla Iranu, Rosja trzymała w ręku klucze do irańskich ambicji militarnych i Putin wielokrotnie pobrzękiwał tymi kluczami tuż przed nosem amerykańskich i europejskich negocjatorów.

Strategia Putina we wczesnej fazie opierała się na jego odczytywaniu historii. Zamykanie oczu przez Zachód na rosyjską wojnę domową w 1919 roku i traktat pokojowy Wielkiej Brytanii z Hitlerem zawarty w Monachium w roku 1938 utorowały drogę niektórym z najpotworniejszych tragedii dwudziestego wieku.

W 1961 roku John Fitzgerald Kennedy ograniczył ataki amerykańskiego lotnictwa wspierającego siły przeciwne Fidelowi Castro, pozwalając, by zostały zmasakrowane przez działającą pod sowieckim dowództwem kubańską armię. Ośmielony tą demonstracją słabości Związek Sowiecki wysłał na Kubę pociski jądrowe. Kubański kryzys raketowy z października 1962 roku niemal doprowadził ludzkość do nuklearnego kataklizmu.

Były również bardziej współczesne przykłady ograniczania zachodniego zaangażowania w kluczowych momentach rozwoju różnego typu kryzysów: początkowo bierne podejście do agresywnych planów Husajna w 1990 roku oraz poparcie dla integralności terytorialnej Jugosławii w roku 1991, by wymienić tylko dwa. W każdym z tych wypadków morał z historii był ten sam: reagowanie w porę na tego typu niebezpieczne gry wszczynane przez wrogów demokracji drastycznie obniża cenę, jaką trzeba płacić za ich powstrzymanie.

Podróż Putina na Kubę w grudniu 2000 roku w celu ożywienia przyjaźni Rosji z dyktaturą Castro ukazała geopolityczną strategię rosyjskiego prezydenta i jego dryg do taktyki. Rok po tej wizycie, wywołując zaniepokojenie w Waszyngtonie, Putin ogłosił zamknięcie bazy wywiadu w Lourdes na Kubie, największej zagranicznej rosyjskiej bazy wojskowej na świecie. Putin rozpaczliwie szukał cięć wydatków i zamknięcie bazy było kolejną okazją do zdobycia punktów u nowej administracji Busha dzięki zrobieniu czegoś, co i tak zrobić musiał. Zrobił to samo jeszcze raz, zamykając w 2002 roku bazę nad Zatoką Cam Ranh w Wietnamie, bazę irytującą zarówno USA, jak i Chiny, które niebawem miały stać się dla Rosji priorytetowym klientem. (W lipcu 2014 roku, kiedy Putin szukał sposobu na wybicie z głowy Amerykanom popierania Ukrainy, wrócił na Kubę, by umorzyć 90 procent długu tego państwa z czasów sowieckich i ogłosić ponowne otwarcie bazy w Lourdes).

Chociaż łatwo było wykazać słabości Rosji, Putin wtrącał się, gdzie tylko mógł. Lubił dotykać zwłaszcza czułych punktów i dawnych ran. Ciągłe wysuwał groźby i składał obietnice, co do których nie było wiadomo, czy będzie w stanie je spełnić, nawet gdyby chciał. Rosja nadal miała swojego przedstawiciela w Radzie Bezpieczeństwa ONZ i kiedy zamierzała udaremnić jakąś amerykańską inicjatywę,

często znajdowała sojusznika w Chinach. Andrew Ryvkin z „The Guardian” inteligentnie zauważył, że ta technika Putina w polityce zagranicznej to „fotobombing” – czyli psucie kadru z drugiego planu.

Niektóre manewry Putina z wczesnego okresu można było traktować po prostu jako sprytne wykorzystanie słabych kart, ale ujawniają one również jego prawdziwe priorytety w tych pierwszych latach. Polityka zagraniczna była drugorzędna, prawie nieistotna wobec umacniania władzy w kraju. Putin nie mógł sobie pozwolić na tracenie czasu albo wpływu przez zajmowanie się zewnętrzną presją. Robienie przyjaznych gestów wobec potężnych przywódców pozwoliło mu zyskać na czasie, którego potrzebował: wymieniał realną władzę za granicą na większą swobodę w rozprawianiu się z problemami wewnątrz kraju. Zamykanie baz wojskowych złościło rosyjskich nacjonalistów, ale nie byli jeszcze wtedy zbyt ważnym czynnikiem politycznym i wkrótce Putin poprzyciągał wielu z nich do swojego obozu. Biorąc pod uwagę słabą krajową gospodarkę i rozpadające się wojsko, Rosja nie mogła w tamtym czasie zrobić wiele więcej, ale okazało się to skutecznym sposobem na przywrócenie jej mocarstwowego wyglądu i samopoczucia na arenie świata.

Drobne kłopoty pozostawione bez nadzoru zamieniają się w prawdziwe problemy. Gwałtowny wzrost cen ropy miał trwać przez siedem lat, dając Putinowi do dyspozycji biliony dolarów; tych pieniędzy używał do rozprawiania się z problemami w kraju, do kupowania wpływów za granicą i do modernizacji sił zbrojnych. Umocniwszy swoją pozycję dzięki przyjaznym stosunkom z przywódcami wielkich państw demokratycznych, Putin stał się *de facto* przywódcą państw, które irytowała niekwestionowana amerykańska dominacja w latach dziewięćdziesiątych. Szansa na to, by zmienić kształt porządku świata na korzyść demokracji, właśnie się kończyła. Niepowstrzymany przez nikogo Putin umocnił władzę w Rosji, a następnie przeszedł od fotobombingu do prawdziwego bombardowania.

\*

Dwie najbardziej znaczące rozmowy telefoniczne dwudziestego pierwszego wieku

zostały przeprowadzone 11 i 12 września 2001 roku. Obydwoje zainicjował Władimir Putin, dzwoniąc do George'a W. Busha po atakach Al-Kaidy na World Trade Center i Pentagon. Pierwszy telefon, który zadzwonił zaledwie parę godzin po atakach, odebrała w bunkrze pod Białym Domem Condoleezza Rice, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego w administracji Busha – prezydent był nieosiągalny, ponieważ znajdował się na pokładzie Air Force One. Oto opis tej rozmowy przytoczony przez Rice w jej wydanych w 2011 roku wspomnieniach zatytułowanych *No Higher Honor*:

„Chciałam rozmawiać z Siergiejem Iwanowem, ale słuchawkę podniósł Putin. »Panie prezydencie – powiedziałam – prezydent nie może w tym momencie odebrać pańskiego telefonu, ponieważ właśnie zmienia miejsce pobytu. Chciałam pana poinformować, że amerykańskie wojska wchodzą w stan podwyższonej gotowości«. »Już o tym wiemy i odwołaliśmy swoje ćwiczenia oraz obniżyliśmy stan naszej gotowości – powiedział. – Czy możemy zrobić coś jeszcze?«. Podziękowałam mu i przez krótką chwilę przez głowę przemknęła mi myśl: *zimna wojna naprawdę się skończyła*”<sup>38</sup> (podkreślenie w oryginale).

Putin dodzwonił się do Busha nazajutrz. Oto opis tej rozmowy z wydanej w 2010 roku książki amerykańskiego prezydenta *Kluczowe decyzje*: „Kiedy rozmawiałem z nim następnego dnia, powiedział mi, że ogłosił minutę ciszy, aby wyrazić solidarność ze Stanami Zjednoczonymi. Zakończył słowami: »Dobro zatriumfuje nad złem. Chcę, żebyś wiedział, że w tej walce będziemy po tej samej stronie«”<sup>39</sup>.

Dzięki dwóm rozmowom telefonicznym, które w sumie zajęły mu prawdopodobnie sześćdziesiąt sekund i nie kosztowały go absolutnie nic, Putin scementował swoją przyjaźń i sojusz z administracją George'a W. Busha. Uwaga wypowiedziana przez Busha trzy miesiące wcześniej na temat tego, jak spojrział Putinowi głęboko w oczy i mógł czytać w jego duszy, pod względem retorycznym postawiła go w kłopotliwej sytuacji, ale to była prawdziwa solidarność. A przynajmniej została przyjęta jako prawdziwa i właśnie ów odbiór ma znaczenie – znaczenie większe, niż kiedykolwiek mogłaby mieć jakakolwiek faktyczna współpraca.

Putin dokładnie widział, na czym polega ta okazja. Pierwszy telefon był najważniejszy, mimo że nie udało się porozmawiać z amerykańskim prezydentem. Dzięki niemu Putin wrył się w pamięć o tej chwili, w myślenie Busha i już na zawsze w zapis dziejów jako „pierwszy zagraniczny przywódca, który zadzwonił do Busha 11 września”. Podczas drugiej rozmowy ten znany wszystkim zimny kagiebieta użył również słów, które uczuciowy i pełen współczucia Bush musiał bardzo docenić w tym traumatycznym momencie. Solidarność, walka, chwila ciszy, dobro i zło... To było doskonałe przedstawienie, a będące jego owocem niezliczone dywidendy trwały przez kolejnych siedem lat.

Ówczesne doniesienia na temat tych rozmów i ich rzekomego znaczenia dla nowego porządku świata były nie mniej entuzjastyczne. „Zimna wojna naprawdę się skończyła” i teraz historyczni wrogowie mieli zjednoczyć się w tej nowej wielkiej wojnie, wojnie przeciwko terrorowi; to był consensus. Putin jako pierwszy uświadomił sobie, jak cenna może być niejasno sformułowana, nigdy nie kończąca się wojna, chociaż całkiem niedługo mieli to zrozumieć również inni.

Putin skwapliwie wykorzystał szansę, by przedstawić 11 września jako kolejny front w wojnie przeciwko terrorowi, którą Rosja od tyłu już lat toczyła w Czeczenii. To, że nigdy nie było żadnych dowodów na to, że Czeczeni należeli do jakiegoś globalnego dżihadu, nie przeszkadzało Kremlowi stale tak twierdzić. Zarówno Bush, jak i Rice wcześniej stanowczo wypowiadali się przeciwko łamaniu praw człowieka w Czeczenii, ale po 11 września to się skończyło. Michaił Kasjanow, który był w tamtym czasie premierem Putina, powiedział później, że to było jak cudowny lek, który sprawił, że znikła cała krytyka.

Złożona przez Putina obietnica pomocy w tym wypadku była realna, a Rosja dysponowała znajomością terenu i kontaktami, które mogły przydać się Amerykanom w ich działaniach przeciwko talibom. Podobne atuty w ręku miało kilku despotów z Azji Środkowej, którzy niemal równie szybko co Putin zdali sobie sprawę, że jest to dla nich szansa na uniknięcie presji Stanów Zjednoczonych w sprawie ich własnych godnych pożałowania dokonań w zakresie łamania praw człowieka. Kiedy Al-Kaida i talibowie znikli z Afganistanu, a administracja Busha zwróciła wzrok na

Saddama Husajna i Irak, Putin wrócił do swojego zwykłego obstrukcjonizmu.

\*

Cóż złego jest w solidarności i współpracy przeciwko wspólnemu wrogowi po jakimś potwornym nieszczęściu? Oczywiście nic. Nie uważam też, by administracja Busha była zbyt naiwna i nie zdawała sobie sprawy, że Putin zawsze szuka korzyści dla siebie. Zgodnie z tym, co administracja Busha w tamtym czasie dawała do zrozumienia – a jej członkowie opisali to potem wyraźniej w swoich licznych wspomnieniach – była to kwestia priorytetów. Skoro Putin mógł pomóc w Afganistanie i udzielić danych wywiadowczych, które mogły ocalić życie Amerykanom, w takim razie było to dużo ważniejsze niż wywieranie na niego nacisku w sprawie swobód obywatelskich w Rosji.

Trudno sobie wyobrazić, by wiele osób nie zgodziło się z takim stanowiskiem, a jeśli ten kompromis był jedyną możliwą opcją, ja sam bym się z nim zgodził. Problem leży gdzie indziej: przekonanie, że każda współpraca z despotycznymi reżimami wymaga przymykania oczu na łamanie praw człowieka, jest błędne. Podobnie zgodna z moralnością polityka zagraniczna nie wyklucza podejmowania pragmatycznych działań w okresie kryzysu. Zgodna z moralnością polityka zagraniczna oznacza, że w pewnych sprawach ma się jasne stanowisko bez względu na wszystko oraz że się o nim nie zapomina, kiedy to jest wygodne. Jest to sprawa zasadnicza, ponieważ w innym wypadku prawa człowieka i kwestie moralne stają się po prostu jeszcze jedną kartą przetargową na stole do gry w geopolitykę. Nieprzypadkowo właśnie tak Putin i inne dyktatury traktują prawa człowieka. Wykorzystują każdą okazję, kiedy mają możliwość wywierania nacisku, kiedy mogą jakoś pomóc na krótką metę, aby tym bardziej umocnić swoje represyjne reżimy i uniknąć międzynarodowego potępienia. Wolny świat musi sam przestrzegać wyższych standardów, jeśli spodziewa się, że będzie do tego zachęcać innych.

Pokrewne błędne przekonanie głosi, że włączanie praw człowieka do tematów omawianych przy stole negocjacji osłabia politykę zagraniczną albo nawet zagraża bezpieczeństwu narodowemu. Spróbujmy najpierw spojrzeć w szerszej

perspektywie: zgodzimy się chyba, że im więcej jest na świecie liberalnych państw demokratycznych, tym bezpieczniejsi będziemy wszyscy. „Nigdy” to ryzykowne słowo w każdej dyskusji, ale na pewno można powiedzieć tyle, że zdrowe państwa demokratyczne prawie nigdy nie toczą ze sobą wojen. W długiej perspektywie strategia działania na rzecz tworzenia kolejnych państw demokratycznych i ich sukcesu wzmacnia bezpieczeństwo narodowe. Przekonanie, że można osiągać cele polityki zgodnej z moralnością, stosując moralny kompromis, jest z gruntu błędne. Nie można iść do przodu, jeśli stawia się kroki do tyłu – choćby były one bardzo małe.

W 2014 roku przypadała dwudziesta piąta rocznica śmierci sowieckiego fizyka Andrieja Sacharowa, który był światłem przewodnim w walce o prawa człowieka. Odkrywając w tamtym czasie na nowo niektóre jego wykłady i artykuły, byłem pod ogromnym wrażeniem jasności jego myśli poświęconych temu mętnemu tematowi. Oczywiście wiedziałem, że był bardzo odważny i że mówił jak ktoś, kto stoczył najtrudniejsze bitwy moralne, w jakich obliczu może stanąć człowiek. „Ojciec sowieckiej bomby wodorowej” stał się ważnym głosem na rzecz nierozprzestrzeniania broni jądrowej. Bohater Związku Sowieckiego stał się jego więźniem i najskuteczniejszym krytykiem. Jego przedwczesna śmierć w 1989 roku zmieniła bieg dziejów świata, bo jestem mocno przekonany, że jego obecność poprowadziłaby Rosję w stronę lepszej drogi niż ta, którą obraliśmy bez niego. Sacharow był dla nas postacią pokroju Mandeli i bez niego zbyt łatwo przyszło nam udawać, że możemy zostawić zbrodnie Związku Sowieckiego za sobą, nie stawiając im tak naprawdę czoła.

Trzy lata wolności, jakiej zaznał Sacharow przed śmiercią, w dużej mierze zawdzięczał właśnie tego rodzaju postawie moralnej, za jaką się opowiadał. Na odbywającym się w październiku 1986 roku w Reykjavíku szczycie, w którym brał udział Michaił Gorbaczow i Ronald Reagan, amerykański prezydent sprawił zawód Gorbaczowowi, obstając przy amerykańskim projekcie Inicjatywy Obrony Strategicznej. Nastąpiło załamanie całej serii składanych przez obie strony śmiałych propozycji drastycznej redukcji, a nawet całkowitego zlikwidowania, arsenałów

nuklearnych. W tamtym czasie wiele osób krytykowało Reagana, a nawet on sam rozpaczał nad możliwymi skutkami, jak jednak wiemy z perspektywy czasu, to, że w Reykjavíku Stany Zjednoczone nie ustąpiły ani o krok, było poważnym ciosem dla nadziei Gorbaczowa na uratowanie Związku Sowieckiego.

Gorbaczow wrócił do kraju, zdając sobie sprawę, że skoro ostatnią deską ratunku nie chciał być dla niego Reagan, to jedynym sposobem, by ZSRS mógł przetrwać, były radykalne reformy w zakresie polityki wewnętrznej. Zaczęła się pieriestrojka. Jednym z pierwszych działań Gorbaczowa, aktem o potężnym ładunku symbolicznym, było powiadomienie Andrieja Sacharowa o zwolnieniu go z trwającego od sześciu lat wygnania wewnętrznego i o zaprzestaniu nękania. W marcu 1989 roku Sacharowa wybrano do nowego parlamentu, ale zaledwie dziewięć miesięcy później zmarł na niewydolność serca.

Sacharow nie był bujającym w obłokach idealistą. Bronił uniwersalnych zasad, ale był doskonale świadom ograniczeń zawężających próby wpływania na sowiecki reżim. Kiedy w 1973 roku pisał list błagalny do amerykańskiego Kongresu, by uchwalił ustawę, która ostatecznie stała się znana jako poprawka Jacksona-Vanika, zamiast wygłaszać piękne mowy, zajął się bieżącą sytuacją – żydowską emigracją z ZSRS. Sacharow był przebiegłym taktykiem słowa. Wiedząc, że nie może otwarcie nawoływać do uchwalania ustaw, które zostałyby uznane za odwetowe wobec jego własnej ojczyzny, Sacharow pisał, że ZSRS „rozwija się w warunkach izolacji, która jest nie do przyjęcia”<sup>40</sup>, i argumentował, że taka poprawka zmniejszyłaby ową izolację, a zatem byłaby w rzeczywistości korzystna dla ZSRS.

Był to sprytny i pełen ironii manewr, ponieważ poprawka Jacksona-Vanika została wymyślona w celu wywarcia presji na Sowietów, by złagodzili przepisy emigracyjne – miały one zostać powiązane ze stosunkami handlowymi – i wyraźnie była narzędziem służącym izolacji sowieckiego reżimu, a nie jego angażowaniu we współpracę. Natomiast angażowała we współpracę sowieckie społeczeństwo i do niego bezpośrednio wyciągała dłoń z ofertą przyjaźni i wolności – to była ta decydująca różnica. Czyż można sobie wyobrazić skuteczniejszą krytykę Związku Sowieckiego niż miliony jego obywateli pragnących wolności? Sowiecki ambasador



Anatolij Dobrynin, omawiając w swoich wspomnieniach kwestię tej poprawki, napisał, że jeśli ktoś chciał wyemigrować, było to wyrazem „dezaprobaty dla naszego socjalistycznego raję”, a „jeśli ktoś miał czelność chcieć wyjechać, było to odbierane jak niewybaczalna zniewaga!”<sup>41</sup>.

List Sacharowa do Kongresu wykorzystywał również stosowaną przez dysydentów taktykę „obywatelskiego posłuszeństwa”, domagając się, by sowieckie władze przestrzegały własnych praw oraz prawa międzynarodowego. „Poprawka nie stanowi ingerencji w wewnętrzne sprawy krajów socjalistycznych, ale jest zwykłą obroną prawa międzynarodowego, bez którego nie może być wzajemnego zaufania”<sup>42</sup>. Tę samą taktykę przyjął również ruch antyputinowski. Nasze protesty często były oparte na żądaniach, by władze stosowały się do rosyjskiej konstytucji, bo ona – w teorii – gwarantuje wolność zgromadzeń i słowa, które reżim Putina stale narusza.

List Sacharowa został opublikowany parę dni później na całej stronie w „The Washington Post”, co wywołało wściekłość Leonida Breżniewa i dziwaczne oświadczenie, że list jest „nie tylko czynem antypaństwowym lub antysowieckim, ale wręcz trockistowskim”<sup>43</sup>. Jak na ironię, administracja Richarda Nixona była również wściekła z powodu publikacji tego listu.

Sacharow był przeciwnikiem *détente* – słowo to on i inni dysydenci słusznie uważali za eufemizm dla polityki ustępstw. Będący również dysydem i współpracownikiem Sacharowa Natan Szaranski podsumował opór wobec ich ruchu ze strony obozu „realistów” pod wodzą sekretarza stanu Nixona Henry’ego Kissingera, który uważał sowieckich dysydentów za wichrzycieli grożących wykolejeniem jego starannie wyważonej Realpolitik. Szaranski pisze: „Zdaniem Kissingera poprawka Jacksona była próbą osłabienia planów gładkiego podzielenia geopolitycznego tortu między supermocarstwa. I tak było. Jackson uważał, że Sowietom trzeba się przeciwstawić, a nie ich łagodzić”<sup>44</sup>.

Szaranski sam wypowiadał się i pisał z niezwykłą elokwencją na temat polityki zgodnej z moralnością, w dalszej części zacytował jednak swojego przyjaciela: „[Sacharow] konsekwentnie kierował do tych cudzoziemców jedno przesłanie: że praw człowieka nigdy nie wolno traktować jedynie jako kwestii humanitarnej. Były

one dla niego również sprawą międzynarodowego bezpieczeństwa. Jak to zwięźle ujął: »państwo, które nie szanuje praw własnego społeczeństwa, nie będzie szanować praw sąsiadów«. Rosja Putina to doskonały przykład tej prawdy.

Ów pogląd na temat polityki zgodnej z moralnością podzielał inny słynny dysydent, piszący na zesłaniu Aleksandr Sołżenicyn, który dla zobrazowania tego zagadnienia odwoływał się do amerykańskich ojców założycieli. Podczas prelekcji wygłoszonej w Nowym Jorku 9 lipca 1975 roku Sołżenicyn powiedział: „Ludzie, którzy stworzyli wasze państwo, nigdy nie stracili z oczu swoich moralnych drogowskazów. Nie wyśmiewali się z absolutnej natury pojęć »dobro« i »zło«. Swoją praktyczną politykę sprawdzali na tej moralnej busoli. I cóż się okazuje? Że praktyczna polityka obliczona na podstawie rozważań moralnych jest najbardziej dalekowzroczna i najbardziej pożyteczna”.

Jeśli wolno by mi było skondensować prozę Sołżenicyna i nadać jej postać aforyzmu, to powiedziałbym, że polityka, która jest najbardziej moralna, okazuje się również najskuteczniejsza. Pogląd przeciwny prowadzi do błędnych kompromisów, które zagrażają wolności, a nie zwiększają naszego bezpieczeństwa.

Po wielu latach dyskusji, kiedy w 2011 roku Stany Zjednoczone w końcu uchylły poprawkę Jacksona-Vanika, nie byłem zadowolony z momentu, w którym uchwalano tę zmianę. Wprawdzie granice Rosji były otwarte, więc pierwotny cel poprawki przestał być aktualny. Jednak zniesienie tego przełomowego dla praw człowieka ustawodawstwa w chwili, gdy Władimir Putin na powrót pogrążył Rosję w totalitarnym mroku, było tragicznym pomysłem.

Podstawową funkcją tych ograniczeń było stawić czoła ZSRS, zamiast go łagodzić; był to bardzo donośny i wyraźny głos mówiący, że wolność jednostki ma znaczenie. Poprawka Jacksona-Vanika stanowiła relikwinię minionej epoki, ale był to potężny symbol. Jej uchylenie bez uchwalenia w jej miejsce innej ustawy byłoby sygnałem, że albo Stany Zjednoczone nie dbają już o te uniwersalne prawa, albo że w oczach Ameryki Rosja Putina nie jest reżimem autorytarnym.

W 2011 roku włączyłem się w globalną kampanię rozpoczętą przez Billa Browdera na rzecz uchwalenia ustawy Magnitskiego, której jedną z funkcji miało

być zastąpienie poprawki Jacksona-Vanika poprzez uwrażliwienie na nowo amerykańskiej (a później europejskiej) polityki zagranicznej na łamanie praw człowieka w Rosji. Wygłosiłem szereg prelekcji w Dystrykcie Kolumbii oraz pisałem artykuły i komentarze zachęcające Kongres i administrację Obamy, by nie premiować Putina za niszczenie rosyjskiego społeczeństwa obywatelskiego i za prześladowanie osób ujawniających jego zbrodnie.

Właśnie wtedy, przygotowując te przemówienia, stałem się wielkim fanem senatora ze stanu Waszyngton Henry'ego „Scoopa” Jacksona, który w latach siedemdziesiątych był głównym motorem działań na rzecz oparcia amerykańskiej polityki zagranicznej na moralności. Chętnie przytoczyłbym na kolejnych stronach wiele mocnych wypowiedzi Jacksona, wyjaśniających, dlaczego Ameryka musi pozostać wierna swoim ideałom wolności i demokracji poprzez czynne wspieranie i bronienie ich poza własnymi granicami.

Moim ulubionym cytatem jest zakończenie płomiennego przemówienia Jacksona z 27 września 1972 roku na forum Senatu. W ten sposób opowiadał się za poprawką, która miała nosić jego imię: „Możemy i musimy dochować wiary swoim własnym najwyższym tradycjom. Nie wolno nam teraz, jak to uczyniliśmy niegdyś, ulec tyranii, kiedy są ludzie – podejmujący większy ryzyko niż my – którzy odważają się stawiać opór”<sup>45</sup>. Jackson przytoczył również słowa z odczytu wygłoszonego przez Solżenicyna podczas odebrania Nagrody Nobla w 1972 roku: „Nie ma już SPRAW WEWNĘTRZNYCH na naszej zatłoczonej ziemi!”<sup>46</sup>.

Kiedy w 2013 roku zostałem zaproszony przez Hillsdale College, by podczas jakiegoś wydarzenia organizowanego w stanie Waszyngton, czyli rodzinnym stanie Jacksona, wygłosić prelekcję na temat Rosji, skwapliwie wykorzystałem tę okazję. Hillsdale to bardzo konserwatywna pod względem politycznym instytucja, rodzaj „konserwatywnego Harvardu”, dlatego z radością odgrywałem rolę oponenta, powołując się podczas swojego odczytu na Jacksona, jak również na innego demokrate, Harry'ego Trumana. Obaj byli zdecydowanymi zwolennikami wykorzystywania amerykańskiej potęgi i autorytetu moralnego do obrony ludzi na całym świecie przed dyktaturą. Niestety z kilkoma godnymi uwagi wyjątkami obecne

pokolenie demokratów całkowicie zarzuciło tę postawę. Po wykładzie podeszła do mnie starsza pani, która mieszkała w pobliżu i dobrze pamiętała, że kiedyś popierała Scoopa Jacksona (a może i Trumana!). Mówiła o nim: „jedyny demokrat, na jakiego kiedykolwiek głosowałam!”.

Administracja George’a W. Busha otwarcie działała na rzecz „agendy wolności” (zwanej także doktryną Busha), programu, z którego Scoop Jackson byłby dumny. Zalecał on czynne wspieranie wolności za granicą – jest to program, który nawiasem mówiąc, i ja wspierałem w niemal wszystkich jego aspektach. Mimo to jednak kiedy przyszło zająć się Rosją, administracja Busha wpadła w pułapkę niespójności i kompromisów. Komentarz Rice po zakończonej rozmowie telefonicznej z Putinem 11 września: „zimna wojna naprawdę się skończyła”, mówi sam za siebie. Zimna wojna zakończyła się ponad dziesięć lat wcześniej!

Wymowę tej uwagi wzmocnia to, co Rice powiedziała kiedyś podczas programu *Charlie Rose*, chyba w roku 2009 – że „Rosjanom powodzi się lepiej niż w ZSRS”. Po raz kolejny można było odnieść wrażenie, jakby lat dziewięćdziesiątych w ogóle nie było. Nad stopniem represyjności można dyskutować podczas jakiejś debaty naukowej czy historycznej, ale robienie tego, kiedy równocześnie ludzie są więzieni i zabijani, jest niemoralne. Nawet jeśli woda opadła, nadal wystarczy, by była głęboka na pół metra, żeby w niej utonąć, zwłaszcza kiedy ma się związane ręce <sup>47</sup>.

Owszem, zimna wojna się skończyła, ale Putin prowadził już następną wojnę – i nie chodzi o wojnę w Czeczenii czy wojnę przeciwko terrorowi. Putin prowadził wojnę przeciwko rosyjskiej demokracji i przeciwko każdemu, kto mógłby stanąć mu na drodze w realizowaniu tej misji zniszczenia. Tamte rozmowy telefoniczne z Bushem z 11 września stanowiły uderzenia wyprzedzające, były precyzyjnie celowanym manewrem Putina mającym osłabić potencjalny wpływ Stanów Zjednoczonych w sytuacji, gdyby chciały utrudniać mu rozprawianie się z przeciwnikami w kraju.

Niestety ta taktyka okazała się całkiem skuteczna i dopiero kiedy Putin najechał Gruzję w 2008 roku, Bush i jego administracja uznali, że stało się źle, i usztywnili swoją politykę. W tamtym czasie Bush kończył już urzędowanie, a rosyjska

demokracja znajdowała się na łożu śmierci i nie dało się jej pomóc – w odróżnieniu od sytuacji z początku dekady, kiedy Putin był jeszcze bezbronny i zagraniczna presja mogła się taką pomocą stać.

\*

Gdy patrzymy, co działo się w Rosji po 11 września, możemy przy okazji przeanalizować również jedną z najważniejszych prawidłowości umożliwiających zrozumienie rządów Putina: im mniejszą odczuwał presję z zewnątrz, tym miał silniejsze zapędy dyktatorskie wewnątrz Rosji. Pomimo maski twardziela i odpowiadającej jej retoryki Putin, szczególnie w ciągu pierwszych paru lat urzędowania, był wrażliwy na presję z zewnątrz dotyczącą naruszania swobód obywatelskich i innych nadużyć. Dopiero później, kiedy pieniądze z ropy zaczęły płynąć strumieniem i rozprawił się ze wszystkimi potencjalnymi wewnętrznymi rywalami, Putin zmienił kurs i zaczął ostentacyjnie okazywać obojętność na zewnętrzne naciski.

W mrocznym okresie ZSRS świat rozumiał, że ludzie tacy jak Andriej Sacharow, Siergiej Kowalow i Natan Szaranski są bohaterami, ponieważ stawiają opór bez stosowania przemocy. Współczesny styl ucisku praktykowany przez Putina jest inny i ma na Zachodzie wielu orędowników, którzy nie chcą odróżniać reżimu Putina od ciemzonego przez niego rosyjskiego społeczeństwa. Kiedy na przykład w 2006 roku brałem udział w dyskusji panelowej w telewizji BBC (program był nagrywany w Moskwie, ale oczywiście nie został wyemitowany w Rosji), jeden z brytyjskich telewidzów napisał, wyrażając zdumienie, jak swobodnie mówiliśmy o sprawach, które – jak się wyraził – jeszcze nie tak dawno temu doprowadziłyby do naszej egzekucji. Taka postawa: że Rosjanom „powodzi się teraz lepiej” i że powinniśmy dziękować Bogu, przynosi ogromne szkody sprawie naszej demokracji. Tkwiący w niej absurdalny relatywizm uzasadnia represje.

Zimna wojna i groźba nuklearnego zniszczenia powodowały, że wszyscy z ogromną uwagą śledzili każdy ruch Rosji. Gdy tylko to zagrożenie przeminęło, zachodni przywódcy woleli pochować głowy w piachu i udawać, że wszystko jest

w jak najlepszym porządku, szczególnie kiedy po 11 września mieli pilniejsze i bardziej widoczne problemy, z którymi należało się uporać. Po to, by na Zachodzie pojawili się zwolennicy czynnej moralnej polityki zagranicznej, trzeba było trwającego przez całe pokolenie zagrożenia dla samego istnienia ludzkości, trzeba było realnej i wyobrażonej groźby komunizmu. Natomiast przerzucenie całej sfery praw człowieka na organizacje pozarządowe – takie jak Amnesty International – zajęło rządów państw zaledwie parę lat. Prawa człowieka przestały być sprawą rządów.

Tymczasem Putin, nie musząc już martwić się o nic więcej, co mogłoby mu przeszkadzać od zewnątrz, miał wolną drogę. Kontynuował proces „konsolidacji” mediów, zamykając niezależne stacje telewizyjne i dając wyraźnie do zrozumienia prasie, że pewne tematy są zakazane. Nękanie opozycji politycznej stało się coraz bardziej systematyczne. Nawet politycy o uznanej pozycji i odnoszący sukcesy biznesmeni nie mogli już sprzeciwiać się wprowadzanym przez Putina zasadom czy strategiom bez podejmowania znaczącego ryzyka, że przekreślą własną karierę, stracą wolność, a nawet życie.

Ostatnie wątpliwości co do tego, czy reżim Putina jest gotów posunąć się do rozlewu krwi, rozwiały się w trakcie kryzysu związanego z zakładnikami w moskiewskim Teatrze na Dubrowce w 2002 roku. Sporej wielkości oddział czeczeńskich bojowników przez cztery dni więził tam prawie osiemset pięćdziesiąt osób. Wieczorem 23 października, kiedy zaczął się atak, w teatrze odgrywano rosyjski musical pod tytułem *Nord-Ost*.

Nie ma tu potrzeby opisywać wszystkich makabrycznych szczegółów oblężenia, zwłaszcza że niemal wszystkie pozostają sporne. Szczególnie zależy mi na uniknięciu jakiegokolwiek wrażenia, że sympatyzuję z terrorystami – mimo że skupiam się na reakcji władz. Terrorysty to skorpiony; znamy ich naturę i słusznie potępiamy ich za ich działania. Jednakże prawdziwa natura reżimu Putina podczas tamtych wydarzeń była nieco wątpliwa i stanowi temat do dyskusji.

Napastnicy żądali natychmiastowego wycofania wszystkich rosyjskich wojsk z Czeczenii i powiedzieli, że chcą „dać mieszkańcom Moskwy poczuć to, co dzieje

się codziennie w Czeczenii”. Byli ciężko uzbrojeni: mieli karabiny maszynowe, granaty i improwizowane ładunki wybuchowe. Pierwszej nocy uwolnili dużą grupę zakładników, od stu pięćdziesięciu do dwustu osób, złożoną w większości z dzieci, kobiet, muzułmanów i obcokrajowców. Kolejnego dnia terroryści zgodzili się na negocjacje z udziałem kilku osób publicznych, między innymi polityka opozycji Borisa Niemcowa i dziennikarki Anny Politkowskiej, wieloletniej korespondentki wojennej z Czeczenii.

Chociaż wszystkie te rozmowy potwierdzały, że terroryści są gotowi zginąć, uwolnili kolejną dużą grupę zakładników, w większości obcokrajowców. 25 października przyjęli od Czerwonego Krzyża żywność, soki i leki dla zakładników. Przywódca terrorystów Mowsar Barajew udzielał wywiadów prasie, powtarzając, że są gotowi na śmierć, i mówiąc: „jesteśmy tu w szczególnym celu: by zakończyć wojnę”<sup>48</sup>. Biorąc pod uwagę tak dużą i dobrze przygotowaną grupę doświadczonych bojowników oraz tak dużą liczbę zakładników, zapowiadało się na długie oblężenie.

W tamtym czasie nadal grałem zawodowo w szachy i pod koniec października w słoweńskim mieście Bled po raz ostatni prowadziłem rosyjską drużynę do zdobycia złotego medalu na olimpiadzie szachowej. Wiadomości o kryzysie związanym z zakładnikami w Teatrze na Dubrowce były wstrząsem dla wszystkich uczestników olimpiady, ale największym oczywiście dla tych z nas, którzy urodzili się w Związku Sowieckim i dla których słowo „Czeczenia” było czymś więcej niż jakąś mało znaną nazwą geograficzną.

Doskonale pamiętam gorące dyskusje toczone na korytarzach na temat tej dramatycznej sytuacji, kiedy patrząc sobie w oczy, wszyscy dawali wyraz tej samej nadziei: „Władze nie zdecydują się na użycie siły. Nie pozwolą, żeby zginęły setki ludzi”.

Rano 26 października rosyjskie siły specjalne przeprowadziły szturm na teatr. Jednocześnie do budynku wtłoczono toksyczny gaz. Relacje ocalałych oraz rozpaczliwy głos jednego z zakładników świadczą o tym, że i oni, i terroryści wiedzieli o gazie, a niektórzy napastnicy mieli maski przeciwgazowe. Terroryści, zamiast dokonać egzekucji zakładników, strzelali do rosyjskich oddziałów – to

kolejny fakt, który wyszedł na jaw dopiero później i stał w sprzeczności z początkowymi oficjalnymi doniesieniami, że większość zabitych została zastrzelona. Wszystkich czterdziestu napastników zabito w wyniku szturmów wraz z ponad stu trzydziestoma zakładnikami: wszyscy ci zakładnicy z wyjątkiem jednego zostali zabici albo bezpośrednio w wyniku działania gazu, albo pośrednio – w wyniku śmiertelnego zakrztuszenia się w stanie nieprzytomności oraz w wyniku nieudzielenia im na czas pomocy medycznej. Miejscowe szpitale nie były w stanie przyjąć wszystkich zatrutych zakładników, a w dodatku lekarze nie wiedzieli, jak ich leczyć, ponieważ władze odmówiły podania informacji na temat rodzaju użytego gazu. Natychmiast po wydarzeniu przedstawiciele władz mówili, że szturm został spowodowany przez terrorystów, którzy zaczęli rozstrzeliwać zakładników. Dopiero parę dni później okazało się, że ta informacja była nieprawdziwa: inni przedstawiciele władz i dowódcy stwierdzili, że atak planowano już od pierwszego dnia.

Pomimo kontrowersyjnych doniesień, że przynajmniej jeden z terrorystów był znanym agentem FSB, nie sposób stwierdzić, czy siły specjalne wiedziały, że większość ładunków wybuchowych w teatrze stanowiły atrapy, czyli że użycie gazu przed szturmem na teatr tak naprawdę nie było konieczne. Rosyjski parlament odmówił wszczęcia dochodzenia na temat postępowania władz podczas oblężenia, co wyjaśnia, dlaczego do dziś tak wiele jest w tej sprawie niewiadomych. Polityka władz po ataku, polityka obstrukcjonizmu albo rozprzestrzeniania dezinformacji na temat każdego aspektu tej operacji, sprawia, że trudno nie myśleć o najgorszym.

Łatwo jest stwierdzić cynicznie, że paręset niewinnych osób, które zginęły z rąk władz, to lepiej niż siedemset, które mogły polec z rąk terrorystów. Nawet z perspektywy czasu matematyka jest nie do obalenia. Nie sposób powiedzieć, co by się stało w alternatywnym wszechświecie, gdyby negocjacje trwały. Jedyne jasne wnioski, jakie płynęły z tej potwornej tragedii, były takie, że bez względu na to, co mówił Putin, wojna w Czeczenii się nie zakończyła oraz że reżim Putina nie dba o ludzkie życie bardziej niż terroryści – i chyba władzom chodziło o to, żeby właśnie to dać do zrozumienia.



Jeśli jednym z celów tej szybkiej i śmiertelnej interwencji było wysłanie odstraszej wiadomości do Czeczenów, że nie ma mowy o negocjacjach, to celu tego nie udało się osiągnąć. Dwa lata później oblężenie szkoły w Biesłanie doprowadziło do jeszcze bardziej brutalnej i katastrofalnej interwencji wojsk przeciwko czeczeńskim terrorystom, skutkiem której była śmierć niemal czterystu ludzi, w tym stu osiemdziesięciorga sześciorga dzieci. (Skutkiem, który zdecydowanie można przypisać oblężeniu Teatru na Dubrowce, było zakończenie okresu *quasi-niepodległości* NTW z powodu niezadowolenia Putina ze sposobu relacjonowania tamtego kryzysu przez tę stację).

Rosja Putina nie uważa zadania śmierci własnym obywatelom za poważne przestępstwo, za które należy ukarać winnych jego popełnienia przedstawicieli władz. A nawet – przyznawszy po cichu odznaczenia i awanse wielu organizatorom szturm na Dubrowce – reżim Putina posunął się jeszcze dalej, wydając tym samym nieograniczone pozwolenie na wykonywanie wszelkich jego niemoralnych rozkazów. Wobec braku zorganizowanego oporu ze strony społeczeństwa ten autorytarny reżim w wersji soft przez kolejną dekadę stopniowo nabierał złowieszczych cech faszystowskiej dyktatury.

\*

Pomiędzy oblężenia Teatru na Dubrowce i szkoły w Biesłanie wcisnęło się jeszcze inne wydarzenie będące kamieniem milowym w procesie ustalania zasięgu i siły władzy państwowej w Rosji Putina. 25 października 2003 roku aresztowano najbogatszego człowieka w Rosji, Michaiła Chodorkowskiego, i oskarżono go o oszustwo. Zastosowano w stosunku do niego plan, który okazał się później modelem dla podobnych działań: biznesmena skazano, a jego firmę, giganta naftowego Jukos, bezzwłocznie pokawałkowano. Majątek firmy rozdano lub sprzedano po okazyjnych cenach firmom kontrolowanym przez najbliższych kumpli Putina. Kiedy Chodorkowskiego zwolniono w grudniu 2013 roku – po drugim wyroku skazującym, który był jeszcze bardziej niedorzeczny niż pierwszy – Jukosu już nie było.

Jak powiedziałem wcześniej, niewielu Rosjan było skłonnych wyrażać współczucie dla oligarchów, którzy do swoich olbrzymich fortun doszli w początkach prywatyzacji. Jeśli powiedzenie, że „za każdą wielką fortuną kryje się zbrodnia”, jest słuszne w stosunkowo przejrzystej gospodarce rynkowej na Zachodzie, to podwójnie słuszne było na Dzikim Wschodzie w latach dziewięćdziesiątych: w Rosji i innych posowieckich republikach. Tamtejszych oligarchów uważano w najlepszym razie za pozbawionych skrupułów przedsiębiorców, a w najgorszym za grabieżców i przestępców, za ludzi, którzy wykorzystali koneksje polityczne do gromadzenia nieopisanych bogactw, podczas gdy przeciętni Rosjanie walczyli o przetrwanie. No i było to w dużej mierze prawdą – z jednym zastrzeżeniem: samo potępienie zwycięzców za to, że złamali zasady w grze, w której praktycznie żadne zasady nie obowiązują, nie wnosi niczego konstruktywnego.

Wielu prześladowanych oligarchów było również Żydami, a antysemityzm (zwykle subtelny i zakamuflowany ze strony mediów, pozbawiony natomiast subtelności i rażący ze strony nacjonalistów) odgrywał swoją rolę w politycznych i publicznych kampaniach przeciwko nim. To, że paru najbardziej lojalnych oligarchów Putina również było Żydami, osłabiało tę linię krytyki podczas prowadzonych przez niego czystek, nie ulega jednak wątpliwości, że żydowskie pochodzenie wykorzystywano przeciwko tym, których państwo wzięło na celownik.

Ten powrót do kolejnej koszmarnej sowieckiej tradycji raczej mnie nie zaskoczył. Pomimo wielu moich sukcesów sportowych, które przynosiły chlubę ojczyźnie, od czasu do czasu kwestia mojej przynależności etnicznej pojawiała się przy okazji pytań o moją lojalność w trakcie rywalizacji z Karpowem, który szczyił się „godnym szacunku pochodzeniem” z rosyjskiego centrum, podczas gdy ja byłem „wybuchowym połączeniem”. A odkąd rozpocząłem działalność w ruchu antyputinowskim, coraz częściej, radykalnie częściej zaczęto mnie nazywać „Weinstein”, czyli nazwiskiem mojego ojca. Tymczasem jeszcze w dzieciństwie, wkrótce po śmierci ojca, zamieniono mi je na ormiańskie nazwisko matki, „Kasparowa”.

Nie wiem, czy uznać to za paradoksalne, czy po prostu wstrętne, że antysemitki chór odezwał się ponownie w rymsztoku rosyjskiego internetu, odkąd w 2014 roku Putin rozpoczął wojnę z Ukrainą. Według kremlowskiej propagandy nowe demokratyczne władze w Kijowie są pełne faszystów i nazistów, jak przystało na każdego, kto został przez Rosję ogłoszony jej wrogiem, więc Rosja musiała interweniować, by bronić nie tylko etnicznych Rosjan, ale i biednych Żydów! W odpowiedzi związek organizacji i społeczności żydowskich na Ukrainie wystosował list otwarty mówiący, że twierdzenia prezydenta Putina na temat wzrostu antysemityzmu w ich państwie „nie odpowiadają rzeczywistości” i „być może pomyłono w nich Ukrainę z Rosją, gdzie żydowskie organizacje odnotowały w ostatnim roku wzrost antysemityzmu”<sup>49</sup>. Ukraina ma również niższy wskaźnik antysemitycznych incydentów od niemal wszystkich innych państw w Europie, w których takie statystyki się prowadzi, także od Francji i Niemiec. Równocześnie do prowadzonej przez Kreml wojny informacyjnej włączono opowieści o żydowskich oligarchach „rządzących Ukrainą”, próbując najwyraźniej sprowokować mieszkających na Ukrainie słowiańskich pobratymców Rosji do powstania przeciwko nim – albo może dać Putinowi pretekst do zajęcia się tą sprawą.

Na kanwie owych przewrotnych oskarżeń powstał świetny dowcip, który słyszałem, będąc na Ukrainie w grudniu 2014 roku. Rosjanin ogląda wiadomości telewizyjne i dzwoni w panice do swojego znajomego Żyda mieszkającego na Ukrainie: „Mosze, czy to prawda, że w twoim państwie władzę przejęli faszyci i ultranacjoniści?”. „Tak – odpowiada znajomy – w naszej synagodze jest ich pełno!”

Wróćmy do roku 2003 i do aresztowania Chodorkowskiego: jego historię przedstawiano jako cios wymierzony w sprawiedliwość, w reformy, jako krzywdę zwykłych ludzi. W rzeczywistości pod każdym względem było dokładnie odwrotnie. W tamtym czasie mało kto stawiał pytania, dlaczego do zatrzymania biznesmena dochodzi właśnie w 2003 roku, skoro przestępstwa, o których popełnienie się go oskarża, miały rzekomo mieć miejsce w latach dziewięćdziesiątych. Rzut oka na

ówczesną działalność Chodorkowskiego zarówno w Jukosie, jak i poza tą firmą ukazuje prawdziwe motywy stojące za jego uwięzieniem.

Gusińskiego i Bieriezowskiego przepędzono dwa lata przed aresztowaniem Chodorkowskiego. Obaj stanowili wyraźne i aktualne zagrożenie dla Putina ze względu na posiadane przez nich holdingi medialne i wpływy polityczne. Natomiast Chodorkowski ze swoją firmą z branży naftowej w pierwszych latach rządów Putina świetnie prosperował. Jukos był gotów wykorzystać rosnące w zawrotnym tempie ceny ropy do modernizacji przestarzałego sowieckiego sprzętu, jaki odziedziczył, oraz próbować zakładać międzynarodowe spółki. Dążył do tego, by być pierwszą wielką rosyjską firmą mającą szansę stać się przedsiębiorstwem naprawdę międzynarodowym. Według Putina to było zagrożenie. Zamierzał zadbać o zachowanie pełnej kontroli Kremla nad gigantami zajmującymi się wydobywaniem ropy i gazu, nad „państwowymi potentatami”.

Chodorkowski popełnił również grzech polegający na tym, że osobiście angażował się w politykę i społeczeństwo obywatelskie, ale nie był zainteresowany złożeniem przysięgi wierności Putinowi ani próbami bezpośredniego rywalizowania z nim w ustawionej grze w wybory. Szef Jukosu założył fundację Otwarta Rosja i wykorzystywał ją do sponsorowania dziesiątków programów oraz organizacji charytatywnych w całym państwie, odmawiając cały czas szukania na Kremlu aprobaty dla tych działań. Oświadczył nawet publicznie, że będzie popierał kandydatów opozycji, podczas gdy inni oligarchowie przynosili teczki z pieniędzmi, by wspierać polityczne szanse Putina.

Rosyjski Państwowy Uniwersytet Humanistyczny (RGGU) to bardzo licząca się instytucja w Moskwie. Na mocy umowy podpisanej z Jukosem miała otrzymać granty naukowe o wartości stu milionów dolarów. Po aresztowaniu Chodorkowskiego nastąpiła nagła zmiana władz RGGU i nowy rektor odmówił przyjęcia pieniędzy od Jukosu. Chodorkowski nie używał swojego bogactwa do kupowania angielskich klubów piłkarskich, jak to zrobił w czerwcu tego samego roku kumpel Putina Roman Abramowicz z londyńską Chelsea. Nawet jeśli robił to po części po to, by poprawić swoją reputację, Chodorkowski inwestował w Rosji i ta działalność sprawiła, że

dla Putina stał się prawdziwym zagrożeniem; prawdziwym pod każdym względem. Putin nie miał nad nim władzy i Chodorkowski nie był skorumpowany.

Chodorkowskiego cechowała również odwaga, która w roku 2003 zaczęła graniczyć z ryzykanctwem. W lipcu aresztowano jego bliskiego partnera w interesie, Płatona Lebiediewa, i nie było wątpliwości, kto będzie następnym na liście. Kolejny partner, Leonid Niewzlin, postąpił mądrze i latem wyprowadził się do Izraela. Tymczasem Chodorkowski, zamiast wyjechać albo się zamknąć, mówił otwarcie jeszcze więcej, publicznie potępiając państwową i korporacyjną korupcję, która hamowała rozwój Rosji. Na konsekwencje nie trzeba było długo czekać.

Chodorkowskiemu postawiono liczne oskarżenia o oszustwa i unikanie płacenia podatków – typowa metoda Kremla. Jego proces był jednym wielkim dowodem na to, że w reżimie Putina nie są potrzebne żadne dowody. Jak na ironię, Jukos płacił dużo wyższe podatki w przeliczeniu na baryłkę niż jakakolwiek inna spółka z branży naftowej. Nie zamierzam twierdzić, że jestem ekspertem w zakresie wszystkich finansowych i prawnych krętactw, które stosowano w latach dziewięćdziesiątych, by w rekordowym czasie kilka dziesiątków ludzi stało się miliarderni. Jest jednak oczywiste, że nieliczni mieli czyste ręce, jeśli patrzeć na to zgodnie ze standardami reszty świata. Na początku Chodorkowski nie różnił się za bardzo od wszystkich innych. Jednak jego wizja przyszłości była tak radykalna, że bał się go nie tylko Putin, lecz również inni oligarchowie. Gdyby przeprowadzono dochodzenie w sprawie wszystkich nieuczciwych układów, gdyby skontrolowano i pociągnięto do odpowiedzialności wszystkich oligarchów, mogłoby to mieć dobry wpływ na prawo i porządek w Rosji.

Tymczasem zamiast tego odbył się proces pokazowy przeciwko człowiekowi, którego Putin uznał za osobistego wroga. Jeśli prowizoryczny charakter samego procesu to za mało, żeby to dostrzec, to warto zauważyć, że prześladowania i oskarżenia skierowano również przeciwko wielu innym osobom związanym z Jukosem i z samym procesem. Lebiediewa skazano i maltretowano w więzieniu, mimo że był poważnie chory. Dręczono i oskarżano wielu innych pracowników Jukosu. Nawet obrońcy Chodorkowskiego, Karinnie Moskalenko, groziło

pozbawienie uprawnień adwokackich przez prokuraturę. Ta metoda stała się wizytówką Putina jako mafiosa: jeśli rzucasz wyzwanie pionowi władzy, on nie tylko dopadnie ciebie i twój majątek, ale też twoich pracowników, przyjaciół, rodzinę i każdego, kto się ośmieli bronić.

W maju 2005 roku Chodorkowski i Lebiediew usłyszeli dziewięcioletnie wyroki i zostali wysłani do obozów. Reszta świata zareagowała na to typową papką słowną: że „niepokoi się” o niezależność rosyjskiego sądownictwa i że „nalega” na rosyjskie władze, by zachowywały pewne standardy. Na obecnym etapie jestem całkiem pewien, że amerykański Departament Stanu miał specjalny formularz listu wyrażającego takie zaniepokojenie i każdorazowo wystarczało tylko wpisać do niego odpowiednie nazwiska i daty. Ten list, który zwykle wystosowywał po cichu któryś z urzędników niższego szczebla, miał być często wykorzystywany w kolejnych latach, kiedy w Rosji piętrzyły się nadużycia Putina, a przywódcy wolnego świata z uporem obejmowali go serdecznie na arenie międzynarodowej.

Aresztowanie Chodorkowskiego doprowadziło do sformułowania wiele mówiącej uwagi amerykańskiego ambasadora Alexandra Vershbowa: „Mamy nadzieję, że odbędzie się uczciwy proces, *zgodny z rosyjskimi standardami prawa*” (podkreślenie dodane) <sup>50</sup>. Kiedy w artykule opublikowanym na łamach „The Financial Times” skrytykowano praktyki rosyjskiej Prokuratury Generalnej, rosyjski minister finansów, wicepremier Aleksiej Kudrin, uchylił się od tych zarzutów, mówiąc, że były „pewne nieprawidłowości”.

Na potrzeby amerykańskich i zachodnioeuropejskich czytelników powinienem wymienić część tych „nieprawidłowości”: przeszukanie gabinetów adwokatów, którzy odwiedzali swoich klientów w więzieniu; przeszukanie gabinetów członków parlamentu; oraz nieudzielenie członkom parlamentu zgody na odwiedzanie Chodorkowskiego w więzieniu, co stanowi pogwałcenie rosyjskiego prawa. Żaden sąd na Zachodzie nie zgodziłby się rozpatrywać tego pozwu, ponieważ dowody uzyskano w sposób niezgodny z prawem, ale to były „rosyjskie standardy prawa”. Podobnie jak dwa ulubione określenia Putina, „demokracja kierowana” i „dyktatura prawa”, jest to wiele mówiący oksymoron.

Uwięzienie Chodorkowskiego miało inny jeszcze cel oprócz usunięcia krytyka i rywala ze sceny: było ostrzeżeniem skierowanym do pozostałej części świata rosyjskiego biznesu: grajcie zgodnie z regułami ustalonymi przez Kreml i nie wtrącajcie się do polityki. Był to punkt zwrotny w Rosji: władze oficjalnie zrezygnowały ze ścigania osób łamiących prawo, a zamiast tego same się nimi stały. Zmieniły charakter państwa: dotychczas to bandyckie elementy mające znajomości wśród urzędników wysokiego szczebla wykorzystywały władzę państwową, by kraść; teraz państwo samo podejmowało inicjatywę: nękało, więziło i łupiło, biorąc na celownik każdego, kto okazywał się nielojalny wobec centrum.

Sprawa Chodorkowskiego i Jukosu pokazała, jakie związki ustanowił reżim Putina między prawem własności a władzą. Kto nie ma władzy, nie ma kontroli nad swoją własnością. To z kolei wskazuje na koniec demokracji. Wybory były skazane na fałszowanie przez sprawujących władzę, ponieważ gdyby stracili władzę polityczną, straciliby też swój majątek. Kiedy zbliżały się wybory prezydenckie w 2004 roku, Putin i jego kumple mieli zdecydowanie za dużo do stracenia, by ryzykować, że może ich wyrzucić z Kremla coś tak łatwego do ustawienia jak wybory.

Koniec rosyjskiej demokracji i totalna centralizacja władzy na Kremlu były pod pewnym względem jedynie skutkami ubocznymi prozaicznego głównego celu – kradzieży. Atak wymierzony w Jukos miał na celu redystrybucję własności na rzecz firm naftowych będących własnością kumpli Putina. Zamiast staromodnej socjalistycznej redystrybucji teraz zapanowała zasada „zabierać bogatym i dawać jeszcze bogatszym”. Cały ogromny kraj przekształcono w rodzaj odkurzacza majątkowego wykorzystującego władzę państwową do ściągania wszystkiego do Moskwy, gdzie rozdzielano to między ustosunkowanych sojuszników i ustawione firmy, a w rządzenie inwestowano tyle tylko, by ludzie nie wychodzili na ulice, a państwo się nie rozpadło. Nigdy nie brakowało środków w budżecie na propagandę i służby bezpieczeństwa wewnętrznego.

Brutalnie skuteczny sposób, w jaki podzielono i ograbiono Jukos, sprawił, że znowy przetargowe i sztuczki z podstawionymi firmami z lat dziewięćdziesiątych

zaczęły wyglądać na amatorszczyznę. Reżim Putina wkrótce miał rozciągnąć swoje wzmacniające jego pozycję działania na prawa zwykłych obywateli. Jeśli wydawało nam się, że w latach dziewięćdziesiątych ktoś okradał naród rosyjski, to kolejna dekada pokazała nam, że jeszcze nic tak naprawdę nie widzieliśmy.

\*

W 2009 roku, kiedy zbliżał się termin zwolnienia Chodorkowskiego, rosyjscy prokuratorzy wytoczyli przeciw niemu nowe oskarżenia, jeszcze bardziej niedorzeczne niż tamte wcześniejsze. Oskarżono go w gruncie rzeczy o to, że ukradł całą ropę, za którą według pierwszego oskarżenia miał nie zapłacić podatku. Tego rodzaju sprawy sądowe wyjaśniają, dlaczego Rosjanie i inne narody żyjące w totalitarnych reżimach nie traktują dzieł Gogola, Kafki i Bułhakowa jako powieści fantastycznych ani nawet surrealistycznych. Państwo nie musi być logiczne ani rozsądne, musi jedynie osiągać swoje cele.

Dyktatury odczuwają perwersyjną potrzebę stosowania się do protokołu, przeprowadzania wyborów i procesów sądowych, nawet jeśli ich wynik jest z góry przesądzony. Wolny świat często nagradza odgrywanie takich fars i chętnie zawiesza swoje niedowierzanie. Rosja udaje, że ma wybory i system sędziowski; wolny świat udaje razem z nią, od czasu do czasu dając wyraz symbolicznemu zaniepokojeniu, przytaczając nieprawidłowości i próbując zawstydzić bezwstydnym. Dyktatorzy traktują wszystkie te szумы w tle jako żalosną politykę ustępstw (bo przecież tak właśnie jest) i zajmują się swoimi sprawami. Bystry obserwator totalitarnego sposobu myślenia, polski autor Stanisław Jerzy Lec, napisał: „Czy jeżeli ludożerca je widelcem i nożem – to postęp?”.

Zakończenie nowego procesu, które miało miejsce w listopadzie 2010 roku, dało Chodorkowskiemu możliwość wygłoszenia przejmującej mowy końcowej na temat stanu i przyszłości Rosji. Sama w sobie mowa ta jest aktem oskarżenia, ważnym dokumentem dla tamtej chwili i dla historii. Przytoczę tylko kilka jej fragmentów, ale warto odszukać i przeczytać cały ten tekst.

Wstyd mi za moje państwo.



Ten proces nie dotyczy tylko mnie i Płatona, lecz nawet tych wszystkich niewinnych, którzy ucierpieli w wyniku tej rozprawy z Jukosem, których nie zdołałem uchronić, ale o których myślę każdego dnia.

Co myśli dziś przedsiębiorca, sprawny menedżer czy po prostu każdy wykształcony, twórczy człowiek, gdy patrzy na nasz proces, spodziewając się jego łatwego do przewidzenia wyniku? Oczywisty wniosek każdego myślącego człowieka jest przerażająco prosty – biurokracji wszystko wolno. Prawo własności nie obowiązuje, a jednostka nie ma żadnych praw w zetknięciu z systemem. Sąd nie broni praw, nawet tych formalnie zagwarantowanych przepisami, albo dlatego, że też się boi, albo dlatego, że jest częścią systemu.

Nic dziwnego, że ludzie myślący nie próbują nawet realizować się tu, w Rosji. [...]

Nadzieja jest motorem wielkich reform i gwarantem ich sukcesu. Jeśli zgaśnie i zamieni się w tępe rozczarowanie, co wyprowadzi Rosję z obecnej stagnacji?

Na wynik tego procesu czekają miliony. W kraju i na całym świecie. Czekają z nadzieją, że Rosja jednak stanie się wolnym krajem, gdzie prawo stoi ponad samowolą urzędnika. Krajem, w którym popieranie opozycyjnych partii nie będzie powodem do represjonowania. Gdzie służby specjalne będą bronić obywateli i prawa, a nie biurokratów przed obywatelami i prawem. Gdzie przestrzeganie praw człowieka nie będzie zależało od nastroju władcy. Gdzie władza będzie zależała od obywateli, a sąd tylko od prawa i od Boga bądź sumień sędziów.

Wierzę, że to nastąpi.

Nie jestem człowiekiem idealnym, ale jestem człowiekiem idei. Tak jak każdemu trudno mi żyć w więzieniu. Nie chciałbym tam umrzeć. Ale jeśli będzie trzeba, nie zawaham się. Dla mojej wiary jestem gotów poświęcić życie. Mam nadzieję, że to udowodniłem. [...]

Wyrok, jaki zapadnie w tym procesie, jakkolwiek by był, przejdzie do historii Rosji. Więcej nawet, ukształtuje przyszłość następnych pokoleń. Historia zapamięta wszystkie nazwiska, także prokuratorów i sędziów, tak jak zapamiętała nazwiska z ponurej sławy procesów sowieckich.

Chcę wierzyć, że sąd godnie wytrzyma [...] naciski. Rozumiem trudną sytuację sądu i życzę męstwa<sup>51</sup>.

To słowa i marzenia wielkiego człowieka – bez względu na jego dawne grzechy czy późniejszą działalność. Pięć tygodni później sędzia wydłużył wyroki

Chodorkowskiego i Lebiediewa do 2017 roku; później skrócono je do roku 2016, a następnie do 2014 w wyniku apelacji. Jednak Putin skrywał oczywiście w zanadrzu jeszcze więcej sztuczek.

Trzy lata później zaskoczył wszystkich, łącznie z Chodorkowskim, ogłaszając, że go zwolni, co też uczynił 20 grudnia 2013 roku. Wiązało się to prawdopodobnie z naciskami ze strony Niemiec – Chodorkowski dziękował byłemu niemieckiemu ministrowi spraw zagranicznych Hansowi-Dietrichowi Genscherowi za pomoc w zwolnieniu go z więzienia – oraz z tym, że Putin chciał pozapinać wszystko na ostatni guzik przed zimowymi igrzyskami olimpijskimi rozpoczynającymi się w Soczi w lutym 2014 roku. Chodorkowski ściągał na siebie zbyt wiele uwagi, bo został uznany przez Amnesty International za więźnia sumienia, a ponieważ podczas olimpiady oczy świata miały być zwrócone na Rosję, ktoś taki stanowiłby kuszący cel. Dla Putina była to również okazja, by odegrać swoją ulubioną rolę „dobrego cara”, okazując łaskę powalonemu wrogowi; a także szansa uzyskania czegoś w zamian za niewiele go kosztujące zwolnienie Chodorkowskiego jedenaście miesięcy przed terminem. Putin unikał również w ten sposób kłopotu związanego ze wszczynaniem trzeciego procesu, w trakcie którego musiałyby dojść do eskalacji oskarżeń o zbrodnie rangi co najmniej morderstwa, by uzasadnić dalsze przetrzymywanie Chodorkowskiego w więzieniu.

Tego samego dnia, kiedy wyszedł na wolność, Chodorkowski wyjechał do Niemiec, by odwiedzić chorą matkę. Na samym początku zachowywał się dość powściągliwie, ale wkrótce zaczął wypowiadać się przeciwko reżimowi Putina i wznowił swój program Otwartej Rosji.

Historia Chodorkowskiego nie ma jeszcze swojego epilogu. Podobnie jak w wypadku bardzo wielu innych rosyjskich historii taki epilog nie może powstać, dopóki Putin wciąż jest u władzy. Jeśli chodzi o ambicje Chodorkowskiego, to kiedy rozmawiałem z nim krótko po jego zwolnieniu, powiedział mi cicho, ale śmiało: „Na miejscu Putina nie wypuściłbym kogoś takiego jak ja”.

---

33 W toku wszystkich naszych trwających wiele lat dyskusji przenikliwość i doświadczenie Steve’a sprawiły, że stał się jednym z moich ulubionych „szerpów” w odniesieniu do sposobów i przyczyn takiego a nie innego

patrzenia na Rosję przez amerykańskich urzędników odpowiedzialnych za politykę zagraniczną. Bardzo polecam artykuły i książki Steve'a, nawet te, z którymi się nie zgadzam.

34 Prywatny e-mail od Steve'a Sestanovicha do autora, 19 kwietnia 2015.

35 Ian Traynor, Michael White, *Blair Courts Outrage with Putin Visit*, „The Guardian”, 11 marca 2000, [\[link\]](#).

36 Wywiad z prezydentem Billem Clintonem w radiu Echo Moskwy, 4 czerwca 2000. Cyt. za: Michael Wines, *Clinton in Moscow. The State of Democracy*, „The New York Times”, 4 czerwca 2000.

37 Malcolm Hawkes, oświadczenie Human Rights Watch, 11 marca 2000. Cyt. za: „The Guardian”, [\[link\]](#).

38 Condoleezza Rice, *No Higher Honor. A Memoir of My Years in Washington*, New York 2011, wydanie Kindle, lokalizacje 1450–1454.

39 George W. Bush, *Kluczowe decyzje*, przeł. Patrycja Pietrzak, Wojciech Grzelczak, Warszawa 2011, s. 229.

40 Andrei Sakharov, *A Letter to the Congress of the United States, August 21, 1973*, [w:] *Sakharov Speaks*, New York 1974, s. 211. Wraz z Aleksiejem Nawalnym zapożyczyliśmy tę technikę, nazywając ustawę Magnitskiego „antyputinowskim, a zatem bardzo prorosyjskim elementem amerykańskiego prawodawstwa”.

41 Anatoly Dobrynin, *In Confidence*, New York 1995, s. 163.

42 Andrei Sakharov, *A Letter to the Congress of the United States, August 21, 1973*, cyt. za: Christopher Andrew, Wasilij Mitrochin, *Archiwum Mitrochina I. KGB w Europie i na Zachodzie*, przeł. Magdalena Maria Brzeska, Rafał Brzeski, Poznań 2009, s. 498.

43 Tamże.

44 Natan Sharansky, Ron Dermer, *The Case for Democracy. The Power of Freedom to Overcome Tyranny and Terror*, New York 2004, s. 3.

45 Z jakiegoś powodu ten niezwykły dokument historyczny trudno znaleźć nawet w naszej epoce totalnej informacji. Pierwszy wynik wyszukiwania tego cytatu w Google to moje własne konto na Twitterze! Pełne brzmienie przemówienia można znaleźć w wersji do ściągnięcia na stronie internetowej Jackson Foundation, [\[link\]](#).

46 Z szacunku dla autora zachowuję wielkie litery, którymi Solżenicyn zapisał słowa „spraw wewnętrznych” w rękopisie swojego odczytu z okazji przyznania mu Nagrody Nobla.

47 Kolejna niechlubna wypowiedź pani Rice odnosiła się do rządzonej przez dyktatora Alaksandra Łukaszenkę Białorusi i nazywała ten kraj „ostatnią prawdziwą dyktaturą, jaka ostała się w sercu Europy” w 2005 roku. Zapamiętano te słowa i powtarzano je bez końca, tyle że w wersji o Łukaszence jako „ostatnim dyktatorze w Europie”. Co gorsza, pani Rice powiedziała to, będąc w Moskwie! Nawet jeśli w 2005 roku mało kto gotów był nazwać Putina dyktatorem, po co mu się tak przypochlebiać? W 2014 roku Łukaszenka w pewnym sensie się odegrał, mówiąc, że skoro Putin najechał na Ukrainę, to nikt już nie będzie nazywał jego ostatnim dyktatorem Europy. I miał rację.

48 Cytaty pochodzą z różnych rosyjskich doniesień medialnych; część z nich dostępna jest w języku angielskim w materiale BBC: *Hostage-takers „Ready to Die”*, 25 października 2002, [\[link\]](#).

49 Masha Kondrachuk, Stephen Ennis, *Jews Reject Russia Claims of Ukraine Anti-Semitism*, 12 listopada 2014, [\[link\]](#).

50 Cytowane w rosyjskim raporcie zamieszczonym na portalu Grani.ru w październiku 2003 roku. Ambasador Vershbow wyraził również zaniepokojenie stanem rosyjskiego wymiaru sprawiedliwości, która jest „stosowana selektywnie”.

51 Nagranie mowy końcowej Chodorkowskiego jest dostępne pod adresem: [\[link\]](#); tekst polski: przeł. Ludwika Włodek-Biernat, [\[link\]](#).

## 7 | Z szachownicy prosto w ogień

Lista rzeczy, co do których mój dziadek, twardogłowy sowiecki komunista, nigdy by nie uwierzył, że mogą zdarzyć się za mojego życia, jest bardzo długa, a to, że zostałem szachowym mistrzem świata, nie kwalifikuje się nawet do pierwszej dziesiątki. Jedną z wyższych pozycji na tej liście zajęłoby wygłoszenie przeze mnie przemówienia na temat wagi „amerykańskich wartości” kapitalizmu i wolności do ubranych w smokingi słuchaczy na Manhattanie. Podobnie jak to, że po odczycie w Wyoming na temat zagrożenia, jakim jest Rosja Putina, włożyłem na głowę pożyczony kowbojski kapelusz.

Przypuszczam jednak, że wydarzenie numer jeden miało miejsce 17 sierpnia 2012 roku w moskiewskim gmachu sądu. A nawet nie w samym budynku, lecz przed nim. Tego dnia zostałem aresztowany i pobity przez policję podczas akcji protestacyjnej przeciwko wyrokowi dla trzech członkiń dziewczęcej grupy punkowej Pussy Riot, które skazano za zorganizowanie i sfilmowanie antyputinowskiego protestu w jednej z moskiewskich cerkwi. Wyrok skazujący zapadł w tym samym Chamowniczym Sądzie Rejonowym, który dwa lata wcześniej orzekał w sprawie Michaiła Chodorkowskiego. Nie będąc w stanie wejść do sądu z powodu tłumów, stałem na chodniku na zewnątrz i spokojnie rozmawiałem z paroma zagranicznymi dziennikarzami (żaden z rosyjskich dziennikarzy nie odważył się nawet do mnie zbliżyć), kiedy przyjechała policja i dosłownie mnie porwała.

Zgodnie z prawem – przynajmniej w teorii – policja musi poinformować obywatela, dlaczego go aresztuje. Na miejscu było mnóstwo świadków, istnieją nawet nagrania z mojego uprowadzenia, które pokazują, że nic takiego nie miało miejsca. Zamiast tego widać, jak niesiony z nogami w powietrzu krzycząc: „O co jestem oskarżony? Za co mnie zatrzymujecie?” (jak również kilka innych słów,

których wolałbym nie objaśniać swojej kilkuletniej córeczce). Wepchnęli mnie do przygotowanego policyjnego busa i zamknęli drzwi. Ale ich nie zablokowali.

W odruchu, którego wkrótce miałem pożałować, otworzyłem drzwi i jeszcze raz zażądałem informacji na temat tego, co mi się zarzuca. Przerwałem w pół słowa, bo wypadłem z busa, wyciągnięty przez tłum policjantów stojących na zewnątrz. Wykręcili mi ręce, kilkakrotnie uderzyli mnie w głowę i tułów, po czym wciągnęli mnie z powrotem do busa i popchnęli do tyłu. Jakiś fotograf z Holandii zdążył zrobić mi zdjęcie pokazujące, jak dwaj policjanci przyciskają mnie do tylnej ściany busa: jeden wykręca mi rękę do tyłu, a drugi ściska mnie za gardło.

W odniesieniu do wydarzeń tamtego dnia nie jestem obiektywny, ale nie wydaje mi się, żeby zbliżający się do pięćdziesiątki nieuzbrojony szachista stanowił tak straszne zagrożenie dla armii policyjnych oddziałów prewencji. Jednak wprawdzie siniaki nie znikły mi zbyt prędko, na szczęście nie odniosłem żadnych trwałych obrażeń. Nastrój miałem na tyle dobry, że potrafiłem się roześmiać, kiedy policja wydała oświadczenie, że rozważa wniesienie dodatkowych zarzutów przeciwko mnie z powodu ugryzienia jednego z funkcjonariuszy w palec podczas ich ataku. No cóż, nie jestem bynajmniej wegetarianinem, chociaż kiedy parę lat temu skończyłem pięćdziesiąt lat, za radą lekarza musiałem ograniczyć jedzenie czerwonego mięsa. Jednak mogę oświadczyć z pełnym przekonaniem, że gdybym chciał zasmakować w ludzkim mięsie, tak jak to się mówi o tygrysach bengalskich, to nigdy nie ugryzłbym nikogo w szarży niższej od generała.

Wiedzieliśmy, że w moskiewskiej sali sądowej nikt nie liczyłby się ani ze świadkami, ani z żadnymi dowodami, dlatego rzuciliśmy się razem z przyjaciółmi, żeby zebrać jak najwięcej zdjęć, filmów i zeznań oraz opublikować je gdzie tylko się da przed moim procesem. Mieliśmy nadzieję, że jeśli dla całego świata byłoby całkowicie oczywiste, że nie złamałem żadnego prawa, to władze znalazłyby się w zbyt kłopotliwej sytuacji, by skazać mnie za „udział w nielegalnej demonstracji”. Był to rok 2012, kiedy wciąż było do pomyślenia, że coś jeszcze może postawić rząd Putina w kłopotliwej sytuacji.

Od razu przyznaję: mam to ogromne szczęście, że sława związana z moim

nazwiskiem zapewniła mi sporą dozę ochrony. W ciągu paru chwil wiadomość o moim zatrzymaniu i pobiciu oraz towarzyszący temu materiał filmowy dostały się do mediów. Siła mediów społecznościowych sprawiła, że tysiące ludzi pomogły moim przyjaciołom i mnie przeglądać setki zdjęć i filmów, dzięki czemu można było wykazać, że policjant, który chciał oskarżyć mnie o napaść, rozciął sobie palec jeszcze przed moim aresztowaniem. W odróżnieniu od większości Rosjan potraktowanych podobnie do mnie – lub gorzej – ja dysponowałem wiedzą i środkami, które pozwoliły mi zorganizować kampanię we własnej obronie.

Tydzień później, po dziewięciu godzinach spędzonych w sądzie, ku ogromnemu zaskoczeniu wszystkich obecnych, w tym także i mojemu, zostałem uniewinniony. Być może był to w ogóle pierwszy taki wypadek w okresie Rosji Putina, kiedy uniewinniono kogoś od tego typu zarzutów w taki sposób. Jak na ironię, wcześniej, kiedy mnie uwięziono w 2007 roku, byłem jedną z pierwszych osób, które zostały skazane na podstawie nowych drakońskich przepisów o zgromadzeniach. W oświadczeniu, które wydałem po uniewinnieniu, dziękowałem wszystkim, którzy wyrażali swoje poparcie, i apelowałem do tych, którzy mi pomogli, by nie przestawali się angażować w podobne działania.

„Ten wynik pokazuje siłę solidarności. Solidarność oznacza coś więcej niż wyłożenie pieniędzy i oddanie głosu. Solidarność to wspólne poczucie, że wolność liczy się wszędzie, że ma znaczenie dla każdego, nie tylko w państwie, w którym się mieszka. Ważne, żeby nie przestawać się angażować. Im więcej ludzi będzie zwracało na takie rzeczy uwagę i wywierało oddolną presję, tym więcej spraw będzie kończyć się tak jak moja, a tym mniej jak sprawa Pussy Riot. Każdy może zrobić coś ważnego dla świata!”

Była to chwila zaprawiona kroplą goryczy. Kiedy przed budynkiem sądu dokonywano aresztowań, które dotknęły mnie i wiele innych osób, na sali sądowej trzy młode kobiety z Pussy Riot zostały skazane na dwa lata w kolonii karnej. Dwudziestoczteroletnia Maria Alochina, dwudziestodwuletnia Nadieżda Tołokonnikowa i trzydziestoletnia Jekatierina Samucewicz wykonały krótką „punkową modlitwę” w moskiewskiej katedrze Chrystusa Zbawiciela, a w nagraniu

wymieniły Putina z nazwiska. Łatwo zgadnąć, który z tych czynów władze uznały za większe świętokradztwo.

Wróć jeszcze później do tych dzielnych kobiet i ich historii, która stała się międzynarodową sensacją i potwierdziła przed całym światem, że reżim Putina przyjął ostatecznie kurs na zatwardziały despotyzm. Jednak najpierw chciałbym wyjaśnić, jak doszło do tego, że stałem wtedy przed budynkiem sądu i wpłatałem się w historię, w którą mój dziadek nigdy by nie uwierzył. W tym celu musimy opuścić Moskwę i udać się do Hiszpanii, do niewielkiego andaluzyjskiego miasta Linares.

\*

W 1975 roku, mając dwanaście lat, brałem udział w swoich pierwszych indywidualnych rozgrywkach szachowych na poziomie krajowym, w mistrzostwach młodzieży Związku Sowieckiego. Dziesięć lat później w Moskwie zostałem najmłodszym mistrzem świata w dziejach. 10 marca 2005 roku w Hiszpanii rozgrywałem ostatni poważny mecz szachowy, zwyciężając po raz dziewiąty w superturnieju w Linares. Po trzech dekadach zawodowej gry w szachy, z których przez ostatnie dwie byłem na pierwszym miejscu listy rankingowej, postanowiłem wycofać się z zawodowych szachów.

W naszych czasach to rzadkość, by ktoś odchodził na emeryturę, gdy wciąż jest na szczycie; ja jednak jestem człowiekiem, który potrzebuje celu i chce zrobić coś ważnego dla świata. Niech inni oceniają moje osiągnięcia i dokonania, ale ja sam uznałem, że w szachach nie odgrywałem już istotnej roli. Ponowne sięgnięcie po niekwestionowane mistrzostwa świata było poza moim zasięgiem ze względu na polityczny chaos w szachowym świecie, dlatego moje aspiracje zostały ograniczone do niedającego satysfakcji powtarzania tych samych turniejów.

Zawsze wyznaczałem sobie ambitne cele i miałem na tyle szczęścia, że większość z nich realizowałem. Osiągnąłem wszystko, co było do osiągnięcia na arenie szachowej. Tymczasem uznałem, że są inne dziedziny, w których nadal mogę robić coś ważnego, w których mogę wyznaczać sobie nowe cele i znajdować nowe kierunki dla spożytkowania swojej energii. Wśród tych nowych projektów znalazła

się praca nad książką poświęconą podejmowaniu decyzji zatytułowaną *Jak życie naśladuje szachy*, jak również wygłaszanie wykładów i prowadzenie seminariów poświęconych temu zagadnieniu. Kolejny mój pomysł dotyczył promowania szachów w szkolnictwie. Mająca siedzibę w Stanach Zjednoczonych Kasparov Chess Foundation (KCF) działa na rzecz wspierania nauki gry w szachy w szkołach i zajmowała się opracowaniem planu takiej edukacji w ramach szkolnych lekcji. Obecnie KCF ma swoje ośrodki w Brukseli, Johannesburgu, Singapurze oraz Meksyku, w jej programach biorą udział tysiące szkół, a zakresem swoich działań obejmuje szeroki wachlarz wydarzeń i programów szkoleniowych.

Jednak z tym wszystkim mogłem poczekać. Zasadniczym powodem mojej decyzji z 2005 roku, by całkowicie zostawić szachy, była oczywiście polityka – albo to, co za politykę się uznaje w autokracji. Od wielu lat byłem żarliwym zwolennikiem demokracji w Rosji i czasami angażowałem się w działalność polityczną, kiedy jeszcze kampanie, poparcie i głosy rzeczywiście się liczyły. W 2005 roku wszystko to w dużej mierze nie odgrywało już żadnej roli w kształtowaniu struktury władzy w Rosji, ale nadal mieliśmy nadzieję. Dzięki temu, że okres sprawowania władzy prezydenckiej był ograniczony do dwóch kadencji, w 2008 roku prezydentura Putina miała dobiec końca, jeśli tylko nie zechciałby zaryzykować pełnym wykluczeniem ze sceny politycznej i nie uchyliłby całkowicie konstytucji. Skoro Putin nie kandydował, postawiliśmy sobie za cel nadanie naszemu ruchowi wystarczającego rozmachu, żeby wprowadzić na listę jakąś naprawdę demokratyczną alternatywną kandydaturę. Nie miałem pojęcia, jak mogłoby do tego dojść, ale wiedziałem, że muszę spróbować. Jak napisałem w „The Wall Street Journal” parę dni po wycofaniu się z zawodowych szachów, moje wejście w działalność polityczną miało również charakter osobisty:

Kiedy patrzę na swojego ośmioletniego syna, wiem, że stawka tej potyczki jest najwyższa z możliwych. Wielu zamożnych Rosjan posyła dzieci do zagranicznych szkół, z dala od niebezpieczeństw, które tworzą nasze autorytarne władze. Większość moich rodaków nie ma takiej możliwości. Ja mam, ale chcę, żeby mój syn dorastał w kraju, w którym się urodził. Nie chcę, żeby musiał się martwić, czy nie zostanie



wcielony do wojska i nie będzie musiał walczyć w bezprawnie wypowiedzianej wojnie, nie chcę, żeby musiał się bać represji ze strony dyktatury. Chcę, żeby mój syn mieszkał w wolnym państwie i żeby był dumny ze swojego kraju oraz ze swojego ojca [...]. W Rosji są miliony ludzi podobnych do mnie, którzy chcą wolnej prasy, praworządności i uczciwych wyborów. Teraz będę zajmował się walką na rzecz tych ludzi i tych spraw <sup>52</sup>.

Mój syn Wadim ma teraz osiemnaście lat i nie wie, jak wygląda życie w wolnej Rosji. Wszystkiego, co wie na temat demokracji i swobód obywatelskich, dowiedział się w ten sam sposób, w jaki dowiedziałem się ja, gdy byłem nastolatkiem w ZSRS: dzięki wyjazdom za granicę i czytaniu zagranicznych wiadomości. On i jego pokolenie mają przynajmniej dostęp do internetu, który wciąż jest w Rosji stosunkowo swobodny. W 2005 roku również po raz trzeci się ożeniłem i to w głównej mierze właśnie swojej żonie Daszy zawdzięczam to, że obecna faza mojego życia jest szczęśliwa i udana. Urodzona w 2006 roku nasza córka Aida wychowuje się w wolnym kraju. Jednak wbrew temu, co sobie zakładałem, tym krajem są Stany Zjednoczone, a nie Rosja.

\*

Parę miesięcy przed moim wycofaniem się z zawodowych szachów światowym sumieniem wstrząsnął kryzys związany z zakładnikami w szkole w Biesłanie. Umieszczam tę historię w tym miejscu, niezgodnie z chronologią, ze względu na wpływ, jaki to wydarzenie miało na moją decyzję o porzuceniu szachów, i z powodu mojego własnego doświadczenia, jakim była wizyta w tym miejscu w roku 2005.

1 września 2004 roku czeczeńscy separatyści wzięli tysiąc stu zakładników w szkole w Osetii Północnej, graniczącym z Gruzją rosyjskim regionie Kaukazu. W Rosji jest to dzień pierwszego dzwonka albo Dzień Wiedzy, rozpoczęcie roku szkolnego, kiedy rodzice i członkowie rodziny towarzyszą dzieciom podczas uroczystości w szkole. Trzydziestu bardzo ciężko uzbrojonych terrorystów zajęło szkołę i stłoczyło zakładników w sali gimnastycznej. W budynku podłożono improwizowane ładunki wybuchowe (prawdziwe – w odróżnieniu od tych w Teatrze na Dubrowce), a część zakładników zabito natychmiast.

Zgodnie z przewidywaniami na zewnątrz szkoły zapanował chaos, ponieważ różne grupy regionalnych i centralnych służb bezpieczeństwa oraz sił politycznych utworzyły odrębne obozy. Rodzice i inni mieszkańcy nie chcieli opuścić terenu wokół szkoły, a motywem wielu z nich była chęć zapobieżenia szturmowi oddziałów wojska na szkołę. Wspomnienia z Teatru na Dubrowce wciąż były bardzo świeże. Żądania napastników były podobne do tych z 2002 roku: wycofanie rosyjskich wojsk z Czeczenii oraz uznanie jej niepodległości. Według niektórych doniesień chcieli również uznania Czeczenii przez Organizację Narodów Zjednoczonych.

Domagali się także obecności kilku regionalnych polityków, którzy mieli służyć za mediatorów, między innymi prezydenta Osetii Północnej Aleksandra Dzasochowa oraz prezydenta sąsiedniej Inguszetii Murata Ziazikowa. Żaden z nich nie przyjechał do Biesłanu. Dzasochow mówił później, że przyjazd uniemożliwiono mu siłą, a tygodnikowi „The Time” powiedział, że „pewien bardzo ważny generał z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych powiedział [mu]: »Otrzymałem rozkaz, by pana aresztować, jeśli spróbuje pan tam pojechać«”<sup>53</sup>.

Proszono również dziennikarkę Annę Politkowską, należącą do nielicznej grupy Rosjan, którym ufali Czeczeni. Natychmiast wyruszyła do Biesłanu, ale nie dotarła na miejsce. Podczas lotu podano jej zatrutą herbatę, która wywołała śpiączkę. W niewielkim ośrodku zdrowia w Rostowie otarła się o śmierć, po czym wróciła do Moskwy na leczenie. Jak stwierdziła, to na pewno rosyjskie siły bezpieczeństwa ją „zneutralizowały, ponieważ wiedziały, że wybiera się do Biesłanu nawiązać rozmowy”<sup>54</sup>.

Wzgardzony przywódca czeczeńskiego ruchu niepodległościowego Asłan Maschadow, za którego głowę Moskwa wyznaczyła nagrodę w wysokości dziesięciu milionów dolarów, ustami swojego rzecznika potępił atak i dał do zrozumienia, że byłby gotów osobiście interweniować. Dzasochow później powiedział, że był otwarty na negocjacje, chciał zaoferować terrorystom możliwość bezpiecznego opuszczenia szkoły oraz uwolnić część więzionych partyzantów, aby zagwarantować bezpieczeństwo pozostałym zakładnikom.

Jednak w trakcie negocjacji stało się coś nieprawdopodobnego. 3 września,

trzeciego dnia oblężenia, dokładnie w chwili gdy do budynku zbliżali się ratownicy, by zabrać stamtąd ciała dwudziestu zabitych, salą gimnastyczną wstrząsnęły dwie eksplozje. Jedna z nich wywołała pożar na dachu. To znamienne, że po raz kolejny powstało kilka różnych teorii na temat źródła tych pierwszych eksplozji i jeszcze więcej na temat strzelaniny, która się w ich wyniku wywiązała. Połowa z nich pochodziła od tych samych przedstawicieli władz, a podawane przez nich historie zmieniały się z dnia na dzień. Według niektórych doniesień przypadkowo wybuchła część materiałów wybuchowych wniesionych do szkoły przez terrorystów. Inne relacje mówią, że to rosyjski snajper zastrzelił terrorystę, który upadając, zdetonował ładunek.

Równie zagmatwane jest to, kto dowodził akcją na zewnątrz, kto i kiedy wydał rozkaz otwarcia ognia; a wraz z upływem czasu po tragedii wszystko stawało się tylko coraz bardziej bezładne. Kiedy rozpoczęła się chaotyczna strzelanina prowadzona zarówno z sali gimnastycznej (pełnej zakładników, z których wielu było zbyt odwodnionych i osłabionych, by móc uciekać), jak i w jej kierunku, uzbrojeni cywile przyłączyli się do oddziałów miejscowej milicji i wojska używającego broni ciężkiej. Zapanował śmiertcionośny chaos. Dopiero gdy na dachach sąsiednich budynków mieszkańcy znaleźli ogromne łuski, ujawniono, że wojsko strzelało do sali pełnej dzieci z armat czołgowych i miotaczy ognia. Właściwie zaraz po zakończeniu wymiany ognia na miejsce tragedii wjechały spychacze i wywrotki, by wywieźć gruz (a w nim część ludzkich szczątków) i wszystko inne, co mogło posłużyć jako materiał dowodowy do zrekonstruowania przerażających wydarzeń tamtego dnia. Zeznania mieszkańców znajdujących się przed budynkiem oraz zakładników ze środka wielokrotnie przeczyły oświadczeniom władz na temat przebiegu zdarzeń. W łatwo dających się zweryfikować kwestiach – na przykład jakiej broni użyto i w którym momencie – władze przyłapano na kłamstwie tyle razy, że nie sposób przyjmować w dobrej wierze żadnego z oficjalnych komunikatów.

W odróżnieniu od sytuacji po oblężeniu Teatru na Dubrowce tym razem miało się odbyć kilka oficjalnych dochodzeń w sprawie Biesłanu. Jedno z nich zakończyło się w 2005 roku, a prowadził je członek parlamentu Osetii Północnej, który faktycznie

był na miejscu w dniu, w którym dokonano szturmu na szkołę. W 2006 roku Zgromadzenie Federalne opracowało dwa obszerne sprawozdania. W Dumie większość miała partia Putina Jedna Rosja i rangę oficjalnego raportu zyskało sprawozdanie opracowane pod nadzorem jej przedstawiciela. Drugi raport opracował Jurij Sawieliew, członek rosyjskiej nacjonalistycznej partii Rodina („Ojczyzna”), a jednocześnie uznany ekspert w dziedzinie rakiet i materiałów wybuchowych. Raport Sawieliewa dużo bardziej zgadza się z zeznaniami świadków z zewnątrz oraz samych zakładników pod względem ustaleń na temat użytej broni i kolejności wydarzeń. Sawieliew i jego kolega przedstawili własny raport i odmówili podpisania się pod wersją oficjalną. W 2007 roku przerwali milczenie i oskarżyli władze o próbę zatuszowania faktów przez publikację oficjalnego sprawozdania <sup>55</sup>.

W 2006 roku David Satter napisał artykuł, w którym przygląda się dowodom:

Wersję rodziców z Biesłanu wsparły ustalenia komisji parlamentu Osetii Północnej. W raporcie ogłoszonym 29 listopada 2005 roku komisja uznała, że pierwszy wybuch był skutkiem albo miotacza ognia, albo wystrzału z granatnika z zewnątrz budynku.

Jednakże najmocniejsze potwierdzenie znalazło się w raporcie ogłoszonym przez Jurija Sawieliewa, członka komisji śledczej Zgromadzenia Federalnego i cenionego eksperta w dziedzinie fizyki spalania [...]. Sawieliew doszedł do wniosku, że pierwszy wybuch był wynikiem strzału z miotacza ognia oddanego o 13.03 z piątego piętra budynku znajdującego się obok szkoły. Drugi wybuch nastąpił 22 sekund później, a wywołał go granat odłamkowo-burzący o sile wybuchu równoważnej 6,1 kilograma trotylu wystrzelony z innego pięciopiętrowego budynku przy tej samej ulicy. Według Sawieliewa te eksplozje wywołały katastrofalny pożar i zawalenie się dachu szkolnej sali gimnastycznej, co doprowadziło do śmierci większości zakładników. Rozkaz wstrzymania ognia wydano dopiero po dwóch godzinach. Skutkiem tego zakładnicy, których można było uratować, spłoneli żywcem <sup>56</sup>.

Nawet dane na temat liczby ofiar są sporne i przez wiele tygodni były regularnie korygowane. Wywiady z członkami rodzin ofiar i ocalałymi pomogły wypełnić luki w oficjalnych danych. Ostateczne liczby to trzystu trzydziestu czterech zabitych zakładników, w tym sto osiemdziesięcioro sześcioro dzieci. Ponad siedemset osób

zostało rannych, a wiele wymagało amputacji w wyniku ran od odłamków. Wielu zabitych spłonęło żywcem. Sporna jest również liczba ocalałych i zabitych terrorystów. Oficjalne źródła podają, że napastników było trzydziestu dwóch, a przeżył jeden. Inne doniesienia mówią, że terrorystów było dużo więcej, nawet siedemdziesięciu pięciu, a wielu z nich uciekło. Zabitych zostało przynajmniej dziesięciu członków sił bezpieczeństwa, w tym wszystkich trzech dowódców grupy szturmowej.

Do ataku na szkołę w Biesłanie przyznał się czeczeński dowódca Szamil Basajew, który twierdził, że pierwotnie miał też nadzieję zaatakować jakąś szkołę w Sankt Petersburgu albo w Moskwie. Zapowiedział także więcej takich ataków. Nie doszło jednak do nich, a Basajew zginął w wybuchu w 2006 roku. I znowu nikt nie potrafił dokładnie powiedzieć, jak zginął, tyle że w tym wypadku mało kogo to obchodziło, o ile tylko faktycznie nie żył.

Dla pogrążonych w żałobie biesłańskich rodzin władze były jedynym celem w ich zasięgu. Nie sposób domagać się odpowiedzi od terrorystów ani od nieżyjących. Jedyne schwyty terrorysta, Nurpaszi Kułajew, szybko został skazany i znikł gdzieś w rosyjskim systemie więziennym. Grupa wsparcia Matki Biesłanu poparła apelacje od wyroku dla niego w nadziei na uzyskanie informacji o ataku podczas publicznego procesu. Ich łzy nie skłoniły wprawdzie władz do wzięcia odpowiedzialności za tę tragedię, jednak po Biesłanie przeprowadzono faktycznie radykalne reformy w rządzie. Niestety niewiele z nich wiązało się z poprawą bezpieczeństwa rosyjskiego społeczeństwa.

Zaledwie dwa tygodnie po Biesłanie Putin zwołał wszystkich osiemdziesięciu dziewięciu gubernatorów z całego kraju oraz własny gabinet i rozmawiał z nimi przez kilka godzin. Po paru wstępnych uwagach na temat Biesłanu Putin powiedział, że odpowiedzialnością władz powinna być większa skuteczność i jedność w rządzeniu i w państwie. Każdy, kto wie cokolwiek o dyktaturze, w takich słowach dostrzeże sygnał ostrzegawczy – i nie był to wyjątek. Poza paroma naturalnymi reakcjami w postaci wzmocnienia ustaw przeciwko terroryzmowi i poszerzenia kompetencji sił porządkowych celem większości wprowadzonych reform było dalsze osłabienie

demokratycznych instytucji w Rosji. Putin miał teraz bezpośrednio mianować gubernatorów: nie miało już być wyborów lokalnych. Wybory do Dumy zmieniły charakter z wyborów bezpośrednich na wybory z list partyjnych, co gwarantowało bezterminowe zachowanie mandatów przez uznanych polityków. Inne reformy były wymierzone w same podstawy systemu demokratycznego, utrudniając rejestrację partii politycznych. Oczywiście wszystko to nie miało nic wspólnego z Biesłanem czy z walką z terroryzmem ani niczym innym poza tym, że Putin dostrzegł szansę na dodatkowe scentralizowanie władzy na Kremlu.

-

Bycie osobą powszechnie znaną stanowiło dla mnie atut, gdy rozpoczynałem karierę aktywisty politycznego, miało to jednak również pewne wady. Byłem narażony na oskarżenia, że jestem neofitą, dyletantem, którego nie będzie interesować ciężka praca: budowanie sojuszków i słuchanie ludzi. Postanowiłem ze wszystkich sił wykorzenić takie wyobrażenie i wyruszyłem w podróż po Rosji, by słuchać, co ludzie myślą na temat stanu państwa, i by upowszechnić przesłanie, że inna przyszłość jest możliwa.

Pamiętajmy również, że opozycja nie miała dostępu do środków masowego przekazu, dlatego musieliśmy udzielać się osobiście, jeśli chcieliśmy, by nasz głos w ogóle był słyszalny. Niemal w każdym innym kraju słynny sportowiec porzucający dotychczasową karierę, by wkroczyć do polityki, byłby wielkim wydarzeniem. Jednak ponieważ moje poglądy na temat Putina były już dobrze znane, ogłoszone przeze mnie wycofanie się z szachów zostało zrelacjonowane w rosyjskich mediach wyłącznie w perspektywie sportowej. Natomiast kilku słynnych rosyjskich hokeistów, między innymi Fietisow i Trietjak, publicznie poparło Putina – i im poświęcono wiele uwagi. Ja nie miałem szansy dostać się do telewizji i opowiedzieć o swoich planach na przyszłość. Nie tylko nie byłem zapraszany do studia, ale na tym etapie nawet relacje telewizyjne na żywo były praktycznie zakazane, aby uniknąć wszelkich niewygodnych tematów politycznych.

Wiedziałem, że nie będzie łatwo. Już czułem, że znajduję się w obszarze

zainteresowania, jakim otaczano każdą ważniejszą postać z opozycji: zainteresowania kremlowskich oprychów i ich pełnomocników. Były to grupy uciążliwych dowcipnisiów, ale też i niebezpiecznych przestępców, a wszystkich zatrudniali ci, do których należało dbanie o to, by wszelki oddolny ruch opozycyjny napotykał natychmiastowy i silny opór. Grupy młodzieżowe, które nazywaliśmy „Putin-Jugend” na wzór ich nazistowskich poprzedników, wysyłały swoich członków, żeby przeszkadzały mi krzykami i rzucaniem we mnie różnymi rzeczami, jeśli tylko chciałem gdzieś przemawiać, i oczywiście tych grup nigdy nie niepokoiła milicja. W kwietniu podczas jakiegoś wydarzenia w Moskwie pewien młody mężczyzna walnął mnie w głowę drewnianą szachownicą. A gdziekolwiek się pojawiałem i cokolwiek mówiłem, byłem oczywiście cały czas śledzony i nagrywany przez poważniejszych członków służb bezpieczeństwa. Tak wygląda zaufanie systemu totalitarnego.

Jednak nie zamierzałem się łatwo poddać. Uznałem, że ważne będzie również jeżdżenie po kraju, ponieważ środowiska opozycyjne mocno ciążyły ku Moskwie i (w mniejszym stopniu) ku Sankt Petersburgowi. Poparcie dla Putina było dużo większe poza obwodnicami Moskwy, daleko w regionach, gdzie gospodarka bardziej mogła zależeć od władzy, a jedynym źródłem wiadomości były kontrolowane przez Kreml kanały telewizyjne. Wybrałem się do Irkucka na wschodzie, cztery tysiące dwieście kilometrów od Moskwy. Pojechałem do Rostowa, a potem na południe na Kaukaz. Rozmawiałem z rybakami, kolejarzami i studentami. Wtedy też byłem w Biesłanie.

Najpierw odwiedziłem cmentarz, albo raczej Nowy Cmentarz, bo tak go nazywają tutejsi ludzie. Dziesięć miesięcy po ataku wciąż trwały tam prace budowlane. Idąc przez ten cmentarz, wstrząśnięty bliskością horroru, którego doznali ci ludzie i w kontakcie z którym na co dzień żyją ci, co ocaleli, kładłem kwiaty na każdym grobie. Wyobraźcie sobie kolejne rzędy mogił, a na każdym ta sama data śmierci: 3 września 2004, 3 września 2004, 3 września 2004 – i tak trzysta trzydzieści razy. Kolejne rzędy z datami urodzin z lat dziewięćdziesiątych, a niektóre z lat po roku 2000. To był najboleśniejszy dzień w moim życiu.

Ale miałem jeszcze wygłosić w mieście prelekcję, więc wziąłem się w garść, na ile tylko potrafiłem, i udałem się do miejscowego domu kultury. Jak można się było spodziewać, był zamknięty na cztery spusty, a w środku panowała ciemność. To był element zwykłego pakietu nękania i izolacji, jakiego używano przeciwko przedstawicielom opozycji. Gdziekolwiek jeździłem, okazywało się, że w sali konferencyjnej jest akurat jakiś dziwny problem z prądem albo wodą. Kiedy leciałem samolotem, nie dostawaliśmy zezwolenia na lądowanie, a autobusy dojeżdżały w niewłaściwe miejsca. U celu podróży dowiadywałem się od tamtejszych mieszkańców, że grożono im pobiciem albo utratą pracy, jeśli przyjdą mnie posłuchać. Wobec tego znaczną część czasu spędzałem na przemawianiu na zewnątrz, na ulicach albo w hotelowych holach czy restauracjach. Również hotelom zabraniano dawać pokoje mnie i moim kolegom.

To samo stało się nawet w Biesłanie, w miejscu, które jak żadne inne na świecie zasługuje na pokój i nienaruszalność. Z tego powodu nie chciałem tam jechać, ale równocześnie czułem, że muszę to zrobić. Musiałem tam być – nie po to, żeby uprawiać politykę, lecz po to, by na własne oczy zobaczyć to, co się tam stało, i pokazać tym rodzinom, że nie zostały zapomniane. W tamtym momencie niemal wszyscy mieszkańcy winili władze, że bardziej im zależało na zabiciu terrorystów niż na ocaleniu życia zakładników.

W tej części podróży towarzyszyła mi rosyjska dziennikarka Masza Gessen i dla odświeżenia własnej pamięci polegam na jej reportażu z mojej wizyty, ponieważ moje wspomnienia są zmaczone niezwykle silnymi emocjami tamtego dnia. Poniżej przytaczam bezpośrednio dwa akapity z jej tekstu. Pierwszy – by pokazać, że nie przesadzam w kwestii nękania przez wyrostków, a drugi – by oszczędzić sobie dalszego bólu, jaki wywołuje we mnie ponowne przeżywanie tego dnia.

Dokładnie w tej chwili rozległ się głuchy trzask, bardzo przypominający wystrzał z broni palnej, i krzyk jakiejś kobiety: „Garri! Garri!”. Tłum się rozpierzchł, a ochroniarze Kasparowa wykonywali dziwaczne ruchy, starając się jednocześnie zasłonić swojego szefa i powstrzymać ludzi przed tratowaniem się podczas ucieczki ze schodów. Okazało się, że młody człowiek potrząsnął gwałtownie trzymaną butelką



keczupu, po czym wymierzył w Kasparowa i mocno nadusił plastik. Kasparow był cały brudny – jego głowę, klatkę piersiową i prawy rękaw niebieskiego, sportowego płaszcza pokrywała czerwona, lepka maź. Na schodach przed wejściem do domu kultury zrobiło się zupełnie pusto. Pozostał na nich tylko przezroczysty plastikowy worek z kilkoma pękniętymi jajkami, które przed upadkiem na ziemię uderzyły w zadaszenie, wydając wspomniany wcześniej trzask. Stojąca z nami przed budynkiem starsza kobieta usiłowała wytrzeć Kasparowowi twarz chusteczką. „Proszę mi wybaczyć, proszę mi wybaczyć”, szeptał raz po raz, usiłując przeprosić, że swoim przyjazdem wywołał kolejny incydent w pogrążonym w żalobie mieście.

[...] Tłum wokół niego stopniowo gęstniał, wchłaniając ludzi ze znajdujących się na jego szlaku domów i bloków. Wspólnie weszli do środka przez wielkie dziury w ścianach budowli, która była niegdyś salą gimnastyczną. [...] Wchodząc do sali gimnastycznej, Kasparow ciężko westchnął. „O mój Boże, o mój Boże”, wyszeptał. Kobiety rozeszły się po kątach i zaczęły lamentować; wkrótce całą salę wypełnił tłumiony, przenikliwy dźwięk. Kasparow wyglądał na zdruzgotanego. Miał zaczerwienione oczy, lekko otwarte usta. Kiwał głową. Stało się zupełnie jasne, że w tym miejscu nie może być mowy o jakiegokolwiek dyskusji, że tę przestrzeń przesycą wszechobecny żal. Kasparow poprosił, by oprowadzono go po szkole. Krocząc pośród tłumy, teraz już mniej więcej stuosobowego, mówił: „Oglądam tę szkołę i myślę: Jak ludzie w Moskwie mogą sobie spokojnie chodzić, coś mówić, nadal kłamać? Pośród nich jest ktoś, kto wydał rozkaz otwarcia ognia. Jeżeli tej osobie ujdzie to na sucho, wszyscy będziemy temu winni!”<sup>57</sup>.

Tylko trzech przedstawicieli władz oskarżono o cokolwiek w związku z wydarzeniami w Biesłanie. Wszyscy trzej byli miejscowymi oficerami policji z Osetii Północnej, a oskarżono ich o zaniedbania polegające na niezapewnieniu szkole ochrony. Być może nawet system sądowniczy Putina nie był w stanie znieść tak rażącej próby szukania kozłów ofiarnych, bo wszystkich trzech amnestionowano. Kiedy w maju 2007 roku sędzia odczytał dekret o amnestii, grupa dwudziestu pięciu Matek Biesłanu zdemolowała salę sądową. Trudno uznać tych oficerów za odpowiedzialnych za to, co się wydarzyło, ale byli jedynym celem dla bezsilnej wściekłości rodzin.

Dochodzimy do punktu, w którym możemy rozłożyć swoje przerażenie

i wściekłość na tych, którzy ponoszą za to winę – terrorystów, morderców, którzy wymyślili i przeprowadzili ten atak – i tych, którzy nie spełnili ciężącego na nich obowiązku bronienia i ocalenia życia, a następnie odmówili przyjęcia odpowiedzialności za te zaniedbania. Chaos, błędy, akty przemocy i tuszowanie faktów zdarzają się oczywiście również w państwach demokratycznych. Ludzie popełniają błędy i robią potworne rzeczy na całym świecie; niestety wydaje się, że nie jesteśmy w stanie całkowicie zapobiec tego rodzaju tragediom (choć można z pewnością twierdzić, że zdradzieckie dyktatury są źródłem większości z nich). Dlatego prawdziwym testem dla naszych instytucji jest to, jak sobie radzą z tymi błędami i okropnościami, czy potrafią zachować zaufanie i poprawiać bezpieczeństwo.

Reakcje władz na ataki terrorystyczne w Teatrze na Dubrowce i w Biesłanie oraz ich następstwa ukazały bardzo wyraźnie, że reżimu Putina nie interesuje zaufanie rosyjskiego społeczeństwa ani jego bezpieczeństwo. Przywódca Rosji nie potrzebuje ludzi ani ich zaufania. Ma ropę, gaz, całkowitą władzę nad mediami i rządem oraz szybko rosnące siły bezpieczeństwa. W odróżnieniu od tego, z czym mamy do czynienia w demokracji, gdzie utrata wiary społeczeństwa w administrację szybko powoduje utratę pracy tejże administracji, bycie dyktatorem oznacza, że człowiek nigdy nie musi przeproszać ani nawet w ogóle zajmować się takimi sprawami.

\*

Drugim motywem mojej trasy objazdowej było nawiązywanie kontaktów z innymi aktywistami w całym kraju. Wciąż istniały różne partie opozycyjne i organizacje pozarządowe walczące o powstrzymanie fali nasilającej się marginalizacji. Kiedy Putin mocniej chwycił za kark społeczeństwo obywatelskie, prześladowania objęły nawet grupy zupełnie małe lub całkowicie nieszkodliwe. Uchwalono ustawy, które ograniczały zagraniczne finansowanie organizacji pozarządowych i podwyższały kary dla protestujących – kolejny wyraz ciągłego pogotowia na wypadek jakiejś „pomarańczowej” działalności. W życie weszła cała masa ustaw „antyekstremistycznych”, napisanych tak nieostrym i mało konkretnym językiem, by

każdą krytykę pod adresem władz można było uznać za akt ekstremistyczny podlegający karze wieloletniego więzienia.

Rosyjska opozycja w latach 2005–2008 stanowiła mieszaninę polityków liberalnych, młodych aktywistów o najrozmaitszych orientacjach politycznych i starej gwardii obrońców praw człowieka. Niektórzy politycy byli banitami, których wyrzucił reżim Putina. Należeli do nich były premier Michaił Kasjanow i doradca ekonomiczny Andriej Iłłarionow. Był też Boris Niemcow, wicepremier w czasie prezydentury Jelcyna, i Władimir Ryzkow, jeden z ostatnich ocalałych niezależnych członków Dumy. Georgij Satarow był dawniej bliskim współpracownikiem Jelcyna, pomagającym w opracowaniu nowej rosyjskiej konstytucji. Była to dość mocna grupa, tyle że cała ta moc została jej odebrana.

Na dalszej orbicie znajdowali się „poważani” politycy z epoki Jelcyna próbujący kurczowo trzymać się swoich wpływów we władzach, kiedy polityczny świat zawałił im się pod stopami. Te osoby, na przykład byli kandydaci na prezydenta: Irina Chakamada i Grigorij Jawlinski, założyciel partii Jabłoko, usiłowały protestować od środka, pozostając w znośnych stosunkach z Putinem. W końcu ludzie ci zdali sobie sprawę, że Putinowi nie są potrzebni – nawet jako lojalna opozycja. Niektórzy się poddali i dla pieniędzy przyłączyli się do Putinowskiej farsy demokracji, podczas gdy inni całkowicie porzucili politykę. Nieliczni dołączyli do nas, opozycji „radykałnej” czy też „zewnątrznej”.

W szeregach obrońców praw człowieka znalazła się sędziwa Ludmiła Aleksiejewa, będąca członkiem założycielem Moskiewskiej Grupy Helsińskiej i jedną z nielicznych wciąż aktywnych osób z grona sowieckich dysydentów. Lew Ponomariow był jednym z założycieli Memoriału, jednej z pierwszych rosyjskich organizacji broniących praw człowieka. Do „młodych wilków” należeli lider Awangardy Czerwonej Młodzieży Siergiej Udalcow i charyzmatyczny aktywista młodzieżowy z nurtu liberalnego Ilja Jaszyn. Parę lat później na najwybitniejszą postać z nas wszystkich wyrósł były działacz partii Jabłoko Aleksiej Nawalny dzięki ostremu stylowi, w jakim opisywał swoje świetnie udokumentowane dochodzenia antykorupcyjne, które znalazły ogromną rzeszę czytelników w internecie.

Poza tym byli „niełojalni nacjonałiści”, radykałowie, w większości młodzi, zrzeszeni w grupach takich jak Partia Narodowo-Bolszewicka pisarza Eduarda Limonowa, która w tamtych latach nie była aż tak przerażająca, jak wskazywałaby jej nazwa, ale i tak wystarczająco straszna, by bała się jej szanowana opozycja liberalna. Jednak chcieli demonstrować sprzeciw wobec Putina i domagać się wolności słowa oraz uczciwych wyborów, a tylko to było dla mnie ważne.

Oprócz polityków, organizatorów i aktywistów sporo intelektualnej siły ognia czekało w pogotowiu w niezliczonych szeregach rosyjskich pisarzy, dziennikarzy i intelektualistów rozczarowanych powrotem Rosji do mrocznych czasów. Byli też adwokaci o wielkim sercu, którzy poświęcali długie godziny pracy, występując jako obrońcy protestujących i aktywistów przed nieuzasadnionymi oskarżeniami za darmo albo za niewielką zapłatą. Szefowie kampanii politycznych i inni pracownicy kilkunastu opozycyjnych grup, w tym mojego Zjednoczonego Frontu Obywatelskiego, organizowali protesty, prowadzili seminaria szkoleniowe i dbali o łączność, dostając za to skromne wynagrodzenie, a często ponosząc wielkie ryzyko osobiste.

I nagle w sam środek tego wszystkiego zostałem wrzucony ja. Wśród liberałów w rodzaju Niemcowa i Iłarionowa czułem się jak u siebie, bo dzielali moją ideologię wolnego rynku i bliskiego sojuszu z Europą, zdawałem sobie jednak również sprawę, że na tym etapie postawienie się Putinowi ma niewiele wspólnego z ideologią. To, czego się było zwolennikiem, nie miało wielkiego znaczenia, bo w ogóle nie było szansy, żeby kiedykolwiek pojawiła się okazja wprowadzenia tych poglądów w życie. Dyskusje toczące się między kandydatami opozycji przypominały rozmowę grupy głodnych ludzi bez grosza przy duszy, którzy spierają się, co zamówić w wykwintnej restauracji.

Robiłem już, co tylko się dało, na froncie międzynarodowym: przemawiałem na forach zagranicznych parlamentów i pisałem artykuły wstępne w zagranicznej prasie, zachęcając zachodnich przywódców do wywierania silniejszego nacisku na Putina w związku z jego antydemokratycznym postępowaniem. W Rosji miałem nadzieję wykorzystać swój brak powiązań z partiami politycznymi jako atut i budować mosty nad przepaściami dzielącymi rozbieżne ruchy opozycyjne, tak byśmy mogli się

zjednoczyć i rozwiązać jedyny problem, który naprawdę był ważny: jak najszybciej położyć kres Putinowi i putinizmowi.

Zanim wycofałem się z zawodowej gry w szachy, w 2004 roku pomogłem utworzyć Komitet 2008: Wolne Wybory oraz Wszechrosyjski Kongres Obywatelski. Wcześniej obserwowałem niezadowolenie aktywistów z każdej strony. Byli zmęczeni tym, że muszą tańczyć, jak im Putin zagra, a jednocześnie widzą, że przywódcy ich partii idą na układy dla jakichś marnych subwencji. Kongres Obywatelski został wymyślony jako platforma pozwalająca na zjednoczenie, ale nie spełnił tych oczekiwań, ponieważ siły działające z obu stron politycznego spektrum nie były w stanie porzucić mentalności rodem z epoki Jelcyna, mentalności wojny domowej, i pracować wspólnie ze swoimi tradycyjnymi przeciwnikami ideologicznymi.

W 2005 roku stworzyłem własną małą grupę nastawioną na działania społeczne, Zjednoczony Front Obywatelski, żeby mieć jakąś podstawę funkcjonowania i adres. Następnie wziąłem się do pracy, wyszukując strategiczne cele w kalendarzu – dni i okresy, w których opozycja mogłaby w największym stopniu wykorzystać swoje ograniczone zasoby. Wyznaczenie sprecyzowanych dat było ważne z tego względu, żebyśmy mieli poczucie celu i nadzieję. Kiedy po raz pierwszy wkroczyłem na całego na rosyjską arenę polityczną, miałem wrażenie, jakbym usiadł do toczącej się już od jakiegoś czasu partii szachów, przy czym niezależnie od wybranego przeze mnie wariantu jej dokończenia ostatecznie i tak groził mi szach mat. Zdałem sobie sprawę, że naszym pierwszym zadaniem jako siły opozycyjnej jest po prostu przetrwać, przekazać wiadomość, że istniejemy, że sprzeciwiamy się reżimowi Putina i że walczymy. Jak łatwo zgadnąć, w sytuacji, kiedy wszystkie stacje telewizyjne i główne dzienniki były kontrolowane przez państwo, stanowiło to bardzo trudne zadanie.

W opozycji panował chaos, tym jednak, co wszystkich nas łączyło, było przekonanie, że naszym jedynym ocaleniem jest demokracja. W 2006 roku liberałowie, obrońcy praw człowieka, nawet komuniści – wszyscy zgadzali się co do tego, że gdyby dać rosyjskiemu społeczeństwu możliwość wyboru w ucziwie

przeprowadzonym głosowaniu, naród odrzuciłby podjętą przez Putina próbę przywrócenia naszemu państwu charakteru totalitarnego. I nieważne było, że potem zasiedlibyśmy po przeciwnych stronach sali. Najpierw musieliśmy uratować demokrację.

To łączenie się różnych grup opozycji miało również kilka pozytywnych skutków ubocznych. Lewicowcy i ci, którzy nadal opłakiwali Związek Sowiecki, kiedy sami poczuli się wyeliminowani, wreszcie uznali, jak ważna jest liberalna demokracja i wolność polityczna. Liberałowie (pod tą nazwą rozumie się w Rosji osoby takie jak ja, które są zwolennikami wolnego rynku i społeczeństwa otwartego, sympatyzującego z Zachodem) nauczyli się akceptować potrzebę głoszonych przez lewicę programów zapewniających stabilność społeczną i gospodarczą. Jedność nie tylko wzmocniła sprzeciw wobec władzy Putina, lecz również uwybraźniła i rozwinęła konkretne cele poszczególnych grup składających się na nasz ruch. Nie chcę przez to powiedzieć, że byliśmy jedną wielką szczęśliwą rodziną, ale przynajmniej byliśmy razem.

Uważałem, że aby uzyskać realny wpływ, musimy mieć wspólne stanowisko w jednej fundamentalnej sprawie: można albo współpracować z Kremlm, albo poświęcić się rozmontowywaniu tego reżimu. Na tym etapie stało się już jasne, że nie da się niczego zmienić od środka. W pewnym sensie decydującym krokiem było upodobnić się do Kremla: nasz ruch powinien być pozbawiony ideologii. Połączyły się siły ze wszystkich stron politycznego spektrum. Latem 2006 roku nabraliśmy wystarczającego impetu, by przejść do ofensywy, i przed lipcowym szczytem G8 w Sankt Petersburgu zorganizowaliśmy w Moskwie Kongres Innej Rosji.

Na kongres zjechali aktywiści z całego kraju, by dzielić się swoimi pomysłami i wzajemnie się wspierać. Zaprosiliśmy również międzynarodowe media i mówców z całego świata, którzy nie bali się stanowczo wyrażać poparcia dla demokracji w cieniu Kremla. Razem z moimi współprzewodniczącymi z Kongresu Obywatelskiego rozesłaliśmy niezliczone zaproszenia, a kiedy to było konieczne, żerowaliśmy na ludzkiej wdzięczności albo stosowaliśmy naciski. Ostatecznie wiele wybitnych postaci wyraziło swoje poparcie w formie oświadczeń, choć niewiele

rządów G8 odważyło się otwarcie nas poprzeć. Wybraliśmy taką nazwę – Kongres Innej Rosji – chcąc powiedzieć światu, że stabilna, demokratyczna Rosja, jaką pokazuje Putin, to nie rzeczywistość.

Rosyjskie władze na każdym kroku starały się nas nękać; być może byliśmy irracjonalnymi optymistami, ale interpretowaliśmy to jako oznakę postępu: „Zaniepokoiłiśmy ich!”. Gdyby naprawdę było to miarą sukcesu, powinienem być dumny, że siły bezpieczeństwa przeprowadziły nalot na moje skromne biuro Zjednoczonego Frontu Obywatelskiego parę dni przed naszym marszem w Moskwie, który odbył się 16 grudnia i był pierwszym z serii, jak je nazwano, marszów sprzeciwu. Tysiące ludzi wyszły na ulicę, w pokojowy sposób wyrażając poparcie dla nas, idąc pod transparentami z napisem „Nie zgadzamy się” – mimo że sił milicyjnych było pięć razy więcej.

Kolejny marsz był jeszcze większy i wyrażał jeszcze silniejszy sprzeciw: odbył się w Sankt Petersburgu 3 marca 2007 roku. Odmówiono nam zezwolenia na zorganizowanie wiecu, ale ponad sześć tysięcy ludzi zignorowało zakaz i wzięło udział w największym dotychczas proteście politycznym w epoce Putina. Rozumiem, że wygląda to mało imponująco, ale było to coś nowego i ryzykownego, więc czuło się potężną falę energii. W państwach demokratycznych protesty są codziennością, jest to coś, w czym można uczestniczyć podobnie jak w innych wydarzeniach społecznych, nawet jeśli samemu nie ma się tak mocnych przekonań jak ich organizatorzy. Jednak w Rosji wyjście na ulice kojarzyło się z zamieszkami, z tragedią. Wielu uczestników naszych marszów wykonało ogromny krok, „radykalizując” w ten sposób swoją postawę, przeciskając się przez kordony OMON (paramilitarnych oddziałów prewencyjnych) i skandując: „Rosja bez Putina!”.

Ja sam czułem tę energię na ulicach i podobało mi się to. Kiedy wycofałem się z szachów, mówiono mi, że przez swój wybuchowy, niedyplomatyczny charakter nie nadaję się do działalności politycznej. Na szachownicy byłem agresywnym graczem, atakowałem, a w środowisku szachowym nawet jako mistrz świata byłem marudnym buntownikiem, jak wobec tego miałem zamiar dostosować się do misternego świata

sojuszów i dyplomacji? Mam nadzieję, że w tym zakresie wyszedłem polityce naprzeciw. Słuchałem i okazywałem szacunek – przez połowę czasu. Potem spierałem się z kolegami, którzy wiedzieli i zrobili więcej, ponieważ chciałem, żebyśmy wszyscy razem przeszli na nowy poziom współpracy i konfrontacji. To był jedyny sposób, by zbudować koalicję, która obejmowała byłych premierów i niedoszłych bolszewików. A kiedy trzeba było wziąć udział w marszu, mój donośny głos i twarda głowa były atutem, a nie słabym punktem.

Tamtego dnia dziesiątki uczestników marszu zostały zaatakowane przez oddziały prewencji – była to jedyna forma przemocy, do jakiej doszło. Jest bardzo ważne, by podkreślać, że w trakcie tych wielu marszów nie zdarzyło się, żeby protestujący przewrócili choćby jeden samochód czy zbili choćby jedną szybę. Jednak oczywiście w kontrolowanych przez Kreml mediach demonizowano całą sprawę, przedstawiając nas jako agresywnych chuliganów, a reporterzy skupiali kamery na paru starciach z milicją, które rzecz jasna ona sama sprowokowała. W 2007 roku w całym kraju odbyło się kilkanaście marszów sprzeciwu, choć większość miała miejsce w Moskwie i Sankt Petersburgu.

W listopadzie podczas wiecu w Moskwie zostałem aresztowany i tym razem zgodnie z nową ustawą wymierzoną w demonstracje skazano mnie na pięć dni więzienia. Nie było to nic przyjemnego, chociaż można powiedzieć, że moje doświadczenie przypominało zamknięcie w złotej klatce: rozdawałem autografy strażnikom oraz milicjantom i ogólnie słyszałem od nich wiele pełnych współczucia uwag na temat stanu państwa. Próbował mnie odwiedzić nawet mój dawny rywal z mistrzostw świata Anatolij Karpow. Odmówiono mu, ale byłem mu bardzo wdzięczny za ten gest, zwłaszcza że mieliśmy równie przeciwne poglądy polityczne, jak różniliśmy się pod względem stylu gry w szachy.

W miarę jak coraz bardziej widoczny stawał się rozdźwięk między Rosją Putina a rządami Stanów Zjednoczonych i Europy, Zachód zaczynał powoli zajmować nowe dyplomatyczne stanowisko. Po latach starań, by traktować Putina jak równego sobie, zachodni politycy zaczęli mówić, że wprawdzie istnieją pewne różnice między Rosją a krajami zachodnimi, jednak te różnice są drugorzędne i mieszczą się



„w dopuszczalnym przedziale”, by użyć słów jednego z urzędników Unii Europejskiej.

Dla mnie i kilkunastu moich kolegów protestujących na rzecz demokracji ten „dopuszczalny przedział” wynosił niewiele ponad dziesięć metrów kwadratowych. Taką powierzchnię ma cela więzienna, jaką kilku z nas zajmowało przez pięć dni, odbywając karę za „nieposłuszeństwo rozkazom milicjanta” podczas wiecu opozycji w Moskwie. To oskarżenie moskiewski sąd rejonowy dodał po fakcie i próżno go szukać w spisanych odręcznie zeznaniach aresztujących mnie funkcjonariuszy. Był to najmniej rzucający się w oczy z wielu bezprawnych aspektów mojego zatrzymania i procesu.

Po naszym wiecu, w którym wzięło udział kilka tysięcy ludzi, próbowaliśmy się zejść z inną grupą, spotykającą się pod przewodnictwem znanego obrońcy praw człowieka Lwa Ponomariowa. Stamtąd mieliśmy zamiar zanieść petycję z protestem do biura Centralnej Komisji Wyborczej (CKW). Milicja zablokowała podziemne przejścia dla pieszych, więc musieliśmy przejść przez szeroką jezdnię i wkrótce zostaliśmy zablokowani przez kolejne oddziały milicji. Kiedy milicjanci się zbliżyli, zacząłem rozmawiać z ich dowódcą generałem majorem Wiaczesławem Kozłowem, którego poznałem wcześniej. Ostrzegł nas, że mamy zawrócić, i powiedział, że nie zostaniemy dopuszczeni pod biuro CKW. Zaproponowałem, że wyślemy małą delegację złożoną z dwudziestu ludzi, żeby złożyli petycję, a on ponownie kazał nam zawrócić, co też uczyniliśmy.

Oczywiście twierdzenie, że rozkazy wydawał dowódca milicji, jest nieścisle. To ubrani po cywilnemu oficerowie FSB dowodzili nawet na komisariacie, a samo moje zatrzymanie było tak samo zaaranżowane, jak późniejszy proces. Kiedy przez tłum przepchnęły się specjalne siły bezpieczeństwa OMON, żeby mnie aresztować, wszyscy słyszeliśmy w ich krótkofalówkach: „Tylko żeby mi złapać Kasparowa”.

Od chwili uwięzienia nie wolno nam było spotkać się z adwokatem, nawet kiedy na komisariacie postawiono nam zarzuty. Po trzech godzinach procesu sędzia powiedziała, że rozprawa zostanie odroczone do następnego dnia. Dziesięciu innych uczestników protestu faktycznie trzymano na komisariacie bez adwokata przez dwa

dni przed przesłuchaniem, zamiast ich zwolnić, tak jak to powinno mieć miejsce w wypadku zarzutów o charakterze administracyjnym. Jednak potem sędzia opuściła miejsce przewodniczenia, po czym wróciła, by nas powiadomić, że się przesłyszeliśmy i mój proces będzie kontynuowany! Był to bez wątpienia kolejny przykład procederu, który nazywamy w Rosji „sędzia na telefon”. Polega to na tym, że przed ogłoszeniem wyroku sędzia wychodzi nie po to, by się zastanowić, lecz po to, by odebrać telefon z góry.

Podobnie jak to było na ulicy i na komisariacie, o wszystkim decydowali agenci FSB i oddziały OMON. Obronie nie było wolno powołać żadnych świadków ani przedstawić żadnych materiałów, na przykład nagrań wideo i zdjęć z marszu oraz aresztowań. Kiedy ten proces pokazowy się skończył, zostałem zabrany do milicyjnego więzienia przy ulicy Pietrowka 38 w Moskwie, gdzie nastąpił ciąg dalszy naruszeń proceduralnych. Nie dotyczyło to sposobu traktowania mnie, który był pełen szacunku i tak gościnny, jak tylko pozwalała mała klatka z metalowymi meblami i dziurą w podłodze zamiast toalety. Nie pozwolono mi do nikogo zadzwonić, a wszyscy chcący mnie odwiedzić zostali odprawieni z kwitkiem. Nawet mojej adwokat Oldze Michajłowej oraz członkowi Dumy Władimirowi Ryżkowowi zakazano mnie odwiedzać, mimo że byli do tego uprawnieni.

Kolejnym moim zmartwieniem było to, co będę jadł, bo przyjmowanie jakichkolwiek pokarmów podawanych przez personel więzienny było wykluczone. (Podobnie nigdy nie latałem Aerofłotem, chyba że nie miałem innego wyjścia, a kiedy już latałem, zawsze zabierałem na pokład samolotu własne jedzenie i picie. Wśród ludzi opozycji paranoja już dawno temu stała się przestarzałym pojęciem). W niedzielę dzięki coraz większej presji z zewnątrz pozwolono mi odebrać paczki z jedzeniem przekazane mi przez matkę.

Jak przystało na zakończenie tej historii, nawet mojego zwolnienia dokonano nielegalnie. Zamiast pozwolić mi wyjść z budynku więzienia do czekającego tłumu mediów i zwolenników, spośród których wielu również było aresztowanych i nękanych podczas pikietowania, zostałem potajemnie wywieziony na komisariat, na którym wcześniej mnie oskarżono. Stamtąd samochodem pułkownika zostałem

zawieziony prosto do domu. Może ktoś pomyśleć, że milicja chciała mi w ten sposób pomóc, ale było oczywiste, że władze chcą uniknąć sceny świętowania, do którego by doszło przed więzieniem w chwili mojego zwolnienia.

Kiedy w kwietniu 2014 roku zostałem aresztowany i ukarany grzywną w wysokości czterdziestu dolarów, niektórzy żartowali z tego, jak niewielka była ta kwota. Z kolei pięć dni w moskiewskim więzieniu też trudno uznać za najgorszy los, jaki można sobie wyobrazić. Niektórzy komentatorzy podejrzewali nawet, że sam sprowokowałem swoje aresztowanie dla zyskania rozgłosu, że był to wyraz dalekowzroczej strategii szachisty. Przede wszystkim nie chodziło o samą karę: chodziło o zasadę. Mamy mieć w Rosji rządy prawa czy nie? Po drugie, nie miałem zamiaru zostać męczennikiem ani kierować ruchem opozycyjnym z więzienia. Nie miałem co do tego złudzeń przed faktem, a po nim mogłem to potwierdzić: że nawet na krótki czas nie jest to przyjemne miejsce pobytu.

I nie były to szachy, w których można prowadzić beznamiętne kalkulacje. Ta walka toczyła się o honor i moralność. Nie mógłbym prosić ludzi, żeby wychodzili protestować na ulice, gdybym tam z nimi nie był. Podczas sobotniego wiecu powiedziałem, że nasz slogan powinien brzmieć: „Musimy pokonać strach”, i poczuwałem się do obowiązku być wiernym tym słowom.

Należy również zwrócić uwagę na to, że owe zatrzymania były jedynie wierzchołkiem góry lodowej, niewielkim dostrzegalnym ułamkiem. Tego rodzaju rzeczy działy się w całej Rosji codziennie. Działaczy opozycji albo po prostu osoby, którym akurat zdarzyło się wejść w drogę władzom, nęcano i aresztowano regularnie pod fałszywymi zarzutami posiadania narkotyków, głoszenia ekstremizmu albo – to najnowszy trend – posiadania nielegalnego oprogramowania.

W czasie tych pięciu dni, które spędziłem w więzieniu, miałem okazję rozmawiać z wieloma „zwykłymi odbiorcami” kremlowskiej propagandy. Ich nastawienie było na ogół życzliwe i nie wykazywali żadnych oznak, że wierzą w rozliczne kłamstwa, które na temat opozycji szerzą Kreml i wspierane przez niego grupy młodzieżowe. Dla tych ludzi nadal byłem sowieckim mistrzem i pomysł, że jestem „amerykańskim agentem” brzmiał w ich uszach tak niedorzecznie, jak to było

w istocie.

Dlaczego zatem pan Putin tak się bał, skoro było tak dobrze? Putin jest – a przynajmniej wtedy wciąż jeszcze był – człowiekiem racjonalnym i pragmatycznym, nie miał skłonności do melodramatów. Znał dane liczbowe, skąd więc ta brutalność i autorytarne prowadzenie kampanii, skoro wiedział, że on i Jedna Rosja bez trudu zwyciężą?

Odpowiedź brzmi: Putin coraz bardziej zdawał sobie sprawę z tego, jak krucha jest struktura jego władzy. Zamiast mówić jak car, wzniesiony wysoko nad tłumem, zaczynał brzmieć jak kolejny zwykły owładnięty paranoją despota, którego otaczają wrogowie. Jak napisał George Bernard Shaw, „najbardziej niespokojnym człowiekiem w więzieniu jest jego naczelnik”.

A zatem była to demagogia i ta demagogia trwała dalej. Agresywna proputinowska młodzieżówka Nasi wypuściła plakat świętujący już zawczasu „miażdżące zwycięstwo” Putina w wyborach parlamentarnych 2 grudnia. Plakat przestrzegał również przed „wrogami narodu rosyjskiego” – czyli także przede mną – którzy mogą próbować kwestionować wyniki wyborów. Te określenia pasowały jak ulał do własnej retoryki Putina mówiącej o zagrożeniach i lękach. Przygotowywano grunt pod zwiększenie ucisku.

Równolegle do organizowania społecznych protestów Inna Rosja podejmowała również działania w celu ustanowienia sieci łączności, która znajdowałaby się poza potężnym zasięgiem Kremla. Chcieliśmy ujawniać popełniane codziennie przestępstwa i przekazywać te informacje odpowiednim ludziom z mediów i rządów wolnego świata. W miarę upływu czasu, kiedy wypowiedziana społeczeństwu obywatelskiemu i społecznym protestom wojna nieustannie się zaostrzała, doszedłem do przekonania, że to właśnie ten międzynarodowy zasięg naszej działalności jest najbardziej obiecującym kierunkiem natarcia. Putin tak bardzo skorzystał na gospodarczych i politycznych kontaktach z Zachodem, że w kraju był praktycznie nie do obalenia. Odcięcie go od tej zagranicznej akceptacji było najważniejsze. Niestety, przywódcy tak zwanych głównych państw demokratycznych świata w niewielkim stopniu byli zainteresowani tym, by dochować wiary wyznawanym

przez siebie ideałom.

\*

Nic nie było równie mocnym symbolicznym wyrazem braku woli stawienia czoła Putinowi jak szczyt G8 w Sankt Petersburgu, który odbył się w dniach 15–17 lipca 2006 roku. Grupa G7 była raczej nieformalnym klubem niż organizacją. Do tej dziwnie przypadkowej grupy należeli przywódcy siedmiu największych uprzemysłowionych państw demokratycznych. (Jako pierwsze spotkały się w 1976 roku Wielka Brytania, Kanada, Francja, Niemcy, Włochy, Japonia i Stany Zjednoczone. Pod względem PKB Brazylia i Indie niedawno przeskoczyły Kanadę i Włochy – albo wkrótce tak się stanie). Borysa Jelcyna zaproszono w charakterze kogoś w rodzaju uczestnika honorowego w 1998 roku i tę tradycję przeniesiono na Władimira Putina. Goszczenie przez Rosję spotkania w roku 2006 stanowiło jej oficjalne wejście do klubu, który wiele osób już od lat nazywało G8, zamiast używać niewygodnej nazwy „G7+1”.

Podajmy ich nazwiska: Stephen Harper, Kanada; Jacques Chirac, Francja; Angela Merkel, Niemcy; Romano Prodi, Włochy; Jun’ichirō Koizumi, Japonia; Tony Blair, Wielka Brytania; George W. Bush, Stany Zjednoczone. Zwykle zapraszano również przewodniczącego Komisji Europejskiej, dlatego w szczycie odbywającym się w Wielkim Pałacu Konstantynowskim w Strelnej koło Sankt Petersburga wziął także udział José Manuel Barroso.

Była to wielka chwila dla Putina i równie ponura dla rosyjskiej demokracji. Putin tak samo uwielbiał spotykać się i pokazywać się z tymi ludźmi, będącymi uosobieniem demokracji, jak gardził tym, co podobno sobą ucieleśniali. Wcześniejsze zaproszenie Jelcyna na szczyt G7 było miłym gestem, któremu towarzyszyła nadzieja, że wszelkie nawiązywanie dodatkowych kontaktów z Rosją będzie dobre dla wszystkich. Tymczasem G8 stało się idealnym przykładem na to, jakie szkody może wyrządzić polityka zaangażowania. Putin wykorzystywał każdą sesję zdjęciową i każdy uścisk dłoni, bo później mógł afiszować się tymi demokratycznymi referencjami w ojczyźnie. Dotarcie przez opozycję z jej

przesłaniem na temat demokracji do rosyjskiego społeczeństwa było już i tak wystarczająco trudne, a co dopiero mówić o sytuacji, w której każdy kanał telewizyjny pokazywał, jak przywódcy wolnego świata obejmują Putina jak kogoś równego sobie. Cały czas miałem nadzieję, że Zachód odzyska swój zbiorowy charakter i że udział Rosji w grupie G8 zostanie uzależniony od tego, czy nasz kraj naprawdę będzie państwem demokratycznym. Tymczasem dopiero najazd Putina na Ukrainę w 2014 roku doprowadził w końcu do zawieszenia członkostwa Rosji w G8.

Podczas pobytu w Sankt Petersburgu prezydent Bush spotkał się z grupą rosyjskich szefów organizacji pozarządowych i przedstawicieli opozycji – przynajmniej tak mu powiedziano. Trudno powiedzieć, czy Bush wtedy o tym wiedział, ale każdy uczestnik tego spotkania musiał zostać uprzednio zaaprobowany przez Kreml. Nikt z nich moim zdaniem nie zasługiwał na miano przedstawiciela opozycji, być może z wyjątkiem Aleksiejewej, która należała do dawnych sowieckich dysydentów. Niezależnie od tego, jak absurdalna była ta farsa, Tony Blair nie podjął nawet takiego symbolicznego wysiłku i pozwolił się przyćmić własnej żonie Cherie Blair, która podczas tego szczytu spotkała się z grupą przedstawicieli organizacji pozarządowych.

Kiedy obserwowałem, w jak pojednawczy sposób Zachód obchodził się w tamtym okresie z Rosją, przychodził mi na myśl ulubiony cytat przypisywany Winstonowi Churchillowi: „Bez względu na to, jak świetna jest strategia, od czasu do czasu powinieneś patrzeć na rezultaty”. Przez pięć lat prezydent Bush mówił o utrzymywaniu otwartego dialogu z Putinem i o tym, jak ciężko pracuje, by przekonać rosyjskiego przywódcę, że „to w jego interesie leży przyjęcie wartości rozumianych w stylu zachodnim i wartości uniwersalnych”<sup>58</sup>. Brzmiało to całkiem sensownie, ale nie musieliśmy opierać się na teorii. Mieliśmy już osiągnięcia, które mogliśmy przeanalizować, i było jasne, że strategia rozmów i polityki ustępstw wobec Rosji zawiodła.

Kiedy zbliżał się tamten szczyt G8, od dawna był już czas najwyższy, by zachodni przywódcy zajęli twardsze stanowisko, jeśli chcieli, by ich retoryka mówiąca

o wspieraniu demokracji w Rosji brzmiała choćby odrobinę wiarygodnie. Szczyt w Sankt Petersburgu stanowił dla uczestniczących w nim przywódców szansę, żeby naocznie przekonać się, jak zły obrót przybrały sprawy. Gdyby ci sami ludzie, którzy tak często mówili, że otrzymują z Rosji „mieszane sygnały”, otworzyli oczy, wówczas zobaczyliby, że jedyną mieszanką, jaka się liczy, jest mieszanka ropy, pieniędzy i władzy.

Bush i przywódcy europejscy najwyraźniej byli przekonani, że najlepiej lekceważyć takie sprawy, by skłonić Rosję do współpracy w zakresie bezpieczeństwa i energii. Jednak jak słusznie przepowiadał Sołżenicyn, to cyniczne i moralnie odrażające stanowisko okazało się również całkowicie nieskuteczne. Moskwa stała się jak za dawnych czasów sojusznikiem wichrzycieli i antydemokratycznych władców na całym świecie. Udzielanie nuklearnej pomocy Iranowi, eksport technologii broni raketowej do Korei Północnej, samolotów wojskowych do Sudanu, Birmy i Wenezueli, zaprzyjaźnianie się z Hamasem – oto jak Putin odpłacił Zachodowi za to, że ten przez osiem lat milczał w sprawie praw człowieka w Rosji.

A mimo to przywódcy G7 nie chcieli uznać, że to absurd, by prosić Rosję o pomoc w sprawie Iranu, Korei Północnej czy Hamasu, skoro wysokie ceny surowców energetycznych, jakich administracja Putina wymaga dla utrzymania się przy władzy, napędza właśnie napięcie powstające dzięki kolejnym wystrzelonym północnokoreańskim rakietom i kolejnym irańskim groźbom nuklearnym. Rosja nadal blokowała oenzetowskie sankcje przeciwko tym bandyckim państwom; jedyną zagadką pozostaje, dlaczego Zachód wciąż traktował Rosję Putina jak sojusznika.

Zwłaszcza Europejczycy udawali również, że Putin jest jakąś odmianą demokracji, a postępowali tak z troski o interesy gospodarcze własnych krajów. Oczywiście można oczekiwać od własnych przywódców, że do pewnego stopnia będą dbali o interesy swojego kraju. We Francji Sarkozy działał na rzecz Renaulta i spółki petrochemicznej Total. W Niemczech Merkel działała na rzecz Mercedesa-Benza oraz Deutsche Telekom. A oczywiście Berlusconi działał na rzecz spółek... Berlusconiego.

Kontakty gospodarcze zapewniały dopływ miliardów dolarów, których Putin potrzebował, by rozszerzać represje w kraju. Ta wymiana handlowa miała pomagać liberalizować i modernizować rosyjskie praktyki biznesowe, tymczasem cały jej przepływ poszedł w inną stronę. Najważniejszym rosyjskim towarem eksportowym była korupcja, a nie ropa czy gaz. Oligarchowie Putina zapraszali zagranicznych inwestorów i zagraniczne firmy do uczestnictwa w lukratywnych umowach zawieranych w Rosji i z pomocą zachodnich banków oraz polityków zawsze chętnych wziąć swoją dolę prali ich pieniądze w londyńskich oraz nowojorskich pierwszych ofertach publicznych (IPOs).

Po sześciu latach ciągłego rozprawiania się z opozycją, któremu nikt się nie sprzeciwiał, putinizm wszedł w drugą fazę. Kiedy w 2000 roku Putin przejmował władzę w Rosji, pytanie brzmiało: „Kim jest Putin?”. W roku 2007 przybrało ono postać: „Jaka jest natura Rosji Putina?”. Ten reżim przez cały czas jego władzy był niezwykle konsekwentny, a mimo to zagraniczni przywódcy i zachodni dziennikarze wciąż udawali zdziwienie totalnym lekceważeniem ich opinii przez Putina. Rosyjski prezydent potrzebował zachodniej pomocy i wsparcia, póki jeszcze umacniał swoją władzę w Rosji. Kiedy zakończył to zadanie, nie musiał już udawać, że przejmuje się tym, co myśli reszta świata.

Raz po raz słychać było wołanie: „Czy Putin nie zdaje sobie sprawy, jak źle to wygląda?”. Dowiadywaliśmy się o zamordowaniu kolejnego wybitnego rosyjskiego dziennikarza, o uwięzieniu kolejnego niezaprzyjaźnionego z Kremlem biznesmena, o zagranicznej firmie wyrolowanej z własnych inwestycji w Rosji, o pobiciu przez milicję manifestantów domagających się demokracji, widzieliśmy, jak gaz i ropę wykorzystuje się jako oręż w polityce, a rosyjską broń i technologię raketową sprzedaje się do państw finansujących terroryzm, na przykład do Iranu i Syrii – a zachodni przywódcy mówili: „Putin popełnił błąd!”. Dlaczego? W odróżnieniu od polityków w państwach demokratycznych Putin nie przejmował się, jak wygląda to, co robi, jeśli tylko był pewien, że nikt nie kiwnie palcem, by go powstrzymać. Jedyne wizerunek, na którym mu zależało, to wizerunek twardego władcy w kraju, a jawne ignorowanie słabych skarg zachodnich przywódców tylko mu w tym



pomagało.

Należało postawić pytanie, jaki rodzaj rządów może utrwać takie zachowanie oraz dokąd ten rodzaj rządów zaprowadzi. Reżim Putina funkcjonował w układzie pozbawionym odniesień moralnych, czyli całkowicie odmiennym od tego, którego istnienia zachodnie państwa usiłowały się domyślać za średniowiecznymi czerwonymi murami Kremla. W 2007 roku dzięki swoim artykułom i prelekcjom zostałem etatowym interpretatorem Putina.

Jego rządy w ciągu tego okresu przejściowego od kruchej demokracji do pełnej dyktatury stanowiły coś wyjątkowego na osi historii. Po części była to oligarchia, którą sprawowała mała klika ściśle ze sobą powiązanych bogatych władców. Częściowo był to system feudalny, złożony z na wpółautonomicznych lenn, w których zbierano renty feudalne od chłopów pańszczyźnianych, pozbawionych wszelkich praw, a mniejsi lordowie płacili większym. Na to wszystko nałożona była demokratyczna warstwa farby, na tyle gruba, by zasłużyć na wejście Rosji do grupy G7 oraz zapewnić bezpieczeństwo pieniądзом oligarchii w zachodnich bankach.

Jak napisałem w „The Wall Street Journal” w lipcu 2007 roku, jeśli ktoś naprawdę chce dogłębnie zrozumieć reżim Putina, musi udać się do księgarni. Nie po to, by kupić dzieła Karola Marksa czy Adama Smitha. Ani też Monteskiusza czy Machiavellego – chociaż autor, o którego chodzi, ma włoskie korzenie. Pomińmy tymczasem *Doktrynę faszyzmu* Mussoliniego (ale zachowajmy ją na później...) i cały dział politologii. Przejdźmy bezpośrednio do półek z beletrystyką i weźmy do koszyka wszystkie książki, których autorem jest Mario Puzo. Dobrze będzie zacząć od trylogii *Ojciec chrzestny*, ale nie pomijajmy *Ostatniego Dona*, *Omerty* i *Sycylijczyka*.

Pięcie się w górę Władimira Putina i jego klanu z Sankt Petersburga opisywano jako przejaw makiawellizmu, lepiej jednak oddaje je to, jak działał Don Vito Corleone: sieć zrad, tajemnica i rozmyte granice między tym, czym jest biznes, czym rządy, a czym przestępstwo – wszystko jak w książkach Puzo.

Historyk patrzący na Kreml w 2007 roku mógłby dostrzec tam elementy państwa korporacyjnego Mussoliniego, junt latynoamerykańskich i meksykańskiej maszyny

pseudodemokratycznej Partii Rewolucyjno-Instytucjonalnej. Wielbiciel książek Puzo rozumie rządy Putina trafniej: jako surową hierarchię, wymuszanie, zastraszanie, wizerunek twardego władcy, długą serię wygodnych zgonów wśród głównych krytyków, eliminowanie zdrajców, kodeks tajności i lojalności, a nade wszystko upoważnienie do utrzymywania przyływu dochodów. Innymi słowy: mafia.

Dopóki jest się lojalnym wobec *capo*, ma się jego ochronę. Jeśli ktoś z wewnętrznego kręgu występuje przeciwko *capo*, zostaje pozbawiony życia. Kiedy najbogatszy człowiek w Rosji, Michaił Chodorkowski, chciał zejść z drogi przestępstwa i prowadzić swoją firmę petrochemiczną Jukos jako legalną korporację, a nie kolejny trybik należącego do Putina holdingu KGB SA, szybko znalazł się w więzieniu na Syberii, jego firmę rozmontowano i splądrowano, a jej szczątki wchłonął państwowy aparat mafijny Rosnieftu i Gazpromu. Prywatne spółki pochłaniało państwo, a równocześnie majątek przedsiębiorstw państwowych przechodził w prywatne ręce. Państwo i władza w korporacjach zwały się ze sobą. Stały się przewrotnym połączeniem Adama Smitha i Karola Marksa, w którym zyski prywatyzowano, a koszty nacjonalizowano.

Aleksandr Litwinienko był agentem KGB, który złamał kodeks lojalności i uciekł do Wielkiej Brytanii. Gorzej jeszcze, bo pogwałcił prawo omerty, udając się do prasy, a nawet wydając książki na temat niecnych uczynków Putina i jego żołnierzy. Zamiast zginąć podczas wędkowania w staromodnym stylu *Ojca chrzestnego*, w listopadzie 2006 roku został zabity w Londynie w sposób, który był pierwszym odnotowanym przypadkiem nuklearnego terroryzmu. Kreml odmówił wydania głównego podejrzanego o morderstwo i w końcu Wielka Brytania odłożyła tę sprawę, ale wszczęła ją na nowo w 2014 roku, kiedy dokonany przez Putina najazd na Ukrainę w końcu przekonał Brytyjczyków, że dalsze próby prowadzenia polityki angażowania jego reżimu nie są już możliwe.

Przez siedem lat, poczynając od wybrania Putina, aż do zabójstwa Litwinienki, Zachód próbował zmienić Kreml uprzejmymi słowami i dostosowywaniem się do niego. Zachodni politycy wierzyli, że będą w stanie włączyć Putina i jego klikę do funkcjonującego w wolnym świecie systemu uczciwego handlu i godnej zaufania

dyplomacji. Tymczasem stało się odwrotnie. Kreml nie zmieniał swoich standardów; narzucał je światu zewnętrznemu. Mafia korumpuje wszystko, czego dotknie. Targowanie się w zakresie praw człowieka zaczyna wydawać się możliwe. Jako dodatkową korzyść Putin i jego kumple uzyskali od zachodnich przywódców i firm pieczęć legalności, co czyni tychże przywódcy oraz firmy współwinnymi ich przestępstw.

Przy tak wysokich cenach surowców energetycznych pokusa, by sprzedać się Kremlowi, była niemal jak propozycja nie do odrzucenia, a wielu nawet nie próbowało z nią walczyć. Schröder i Berlusconi nie oparli się jej i całkowicie się skompromitowali. Potem byliśmy świadkami widowiska, w którym Nicolas Sarkozy promował interesy francuskiej firmy energetycznej Total na złożu gazowym Sztokman. Również w tym wypadku staraliśmy się ostrzegać każdego, że zagraniczne firmy i inwestorzy nie są odporni. Shell przekonał się o tym, kiedy w 2006 roku Kreml wyrolował go ze złóż gazowych Sachalin-2, a British Petroleum doświadczyło tego na własnej skórze w 2008 roku, kiedy dyrektor generalny tej spółki uciekł z Rosji, bojąc się o własne życie. Oczywiście obie te firmy wkrótce przybiegły z powrotem, prosząc o więcej. Jeśli chce się inwestować w holding KGB SA, należy pamiętać, że są to bardzo, ale to bardzo aktywni udziałowcy.

Na wypadek gdyby ktoś nie pamiętał historii z Gazpromem, Gerhardem Schröderem i jego drogim przyjacielem Władimirem, warto przypomnieć jej szczegóły. Nie dlatego, by należało się przejmować, co ze swoim czasem robi Schröder, lecz z powodu stosowanych przez Kreml metod, jakie bez najmniejszego zażenowania ujawnił ten układ światu. To, co dla Putina było kolejnym małym kroczkiem, stanowiło gigantyczny skok w zakresie korupcji na Zachodzie. Kiedy Putin dokonał najazdu na Ukrainę w 2014 roku, to właśnie takie układy i tysiące innych niemal uniemożliwiły Europie odcięcie się od Rosji, nie mówiąc już o przeprowadzeniu skutecznego bojkotu.

Zaledwie kilka dni po tym, jak w listopadzie 2005 roku Schröder przestał być kanclerzem Niemiec, zadbał o to, by osobiście nie dołożyć się do wysokiego bezrobocia, jakie po sobie zostawiał. Przyjął mianowicie wysokie stanowisko

w rosyjskim gigancie energetycznym Gazprom. Tej właśnie firmie powierzono kontrowersyjny projekt gazociągu, który Schröder aktywnie wspierał jako kanclerz. Wątpliwy charakter etyczny tego posunięcia oraz szybkość, z jaką go dokonano, spowodowały pojawienie się oczywistych pytań, czy Schröder nie nadużył władzy swojego urzędu, by ustawić ten układ, zwłaszcza że przez większość kampanii przeciwko Angeli Merkel jego szanse w sondażach były bardzo słabe. Jednak prace przygotowawcze zmierzające do zapewnienia Schröderowi nowej pracy zostały zaplanowane z wyprzedzeniem i były elementem dobrze zorganizowanej operacji, w której najpierw zadbano o kapitał, a dopiero później o personel.

Najpierw w sierpniu Matthias Warnig, szef rosyjskich operacji w niemieckim Dresdner Bank, zawarł umowę na kupno 33 procent akcji Gazprombanku. (Dresdner Bank pomógł również Kremlowi wybrać najlepsze kąski z Jukosu). A zatem Warnig otrzymał najwyższe stanowisko w North European Gas Pipeline Company. W końcu wszystko było gotowe na pojawienie się pana Schrödera.

Poza tym dzięki temu układowi wszystko pozostawało w rodzinie, ponieważ Warnig był szpiegiem działającym dla wschodnioniemieckiej tajnej policji Stasi w tym samym czasie, kiedy Putin nadzorował pracę agentów KGB w Dreźnie. Jak powiedział sam Putin, nie ma takiego pojęcia jak były agent KGB. W rzeczywistości to był mniej ważny wątek: że najpotężniejszych niemieckich polityków i biznesmenów można kupić tak samo, jak rosyjski oligarcha może kupić arystokratyczną bawarską posiadłość, żeby zyskać dostęp do wytwornego towarzystwa. Znaczniejszą i bardziej mroczną część tej historii stanowiło to, w jaki sposób Putin zamienił zasoby energetyczne państwa w centralny element swojej klikii rządzącej. Ci ludzie całkowicie wymazali linie dzielące publiczną i prywatną władzę i majątek.

W Rosji wszyscy zastanawiali się: „Czy to państwo kieruje Gazpromem, czy Gazprom kieruje państwem?”. Putin nadał priorytetowe znaczenie zacieśnianiu diabelskich więzi między wewnętrznymi i zewnętrznymi celami swojego reżimu a firmą, która dostarcza większość gazu ziemnego do Europy Środkowej i Wschodniej. To nie są przedsiębiorstwa państwowe; to jest państwo. W tamtym

czasie prezesem Gazpromu był Dmitrij Miedwiediew, który niedawno został wicepremierem. Wiceszef administracji prezydenckiej Putina Igor Seczin kierował innym rosyjskim olbrzymem energetycznym, Rosnieftem. Jednak nie był to jedyny powód, dla którego nie przeprowadzono dochodzenia w sprawie podejrzanego przejęcia przez Rosnieft głównego skarbu Jukosu, Jugansknieftiegazu, w ramach sfigowanej aukcji. Określenie *la famiglia* rozumiano dosłownie: córka Seczina wyszła za mąż za syna ówczesnego rosyjskiego prokuratora generalnego Władimira Ustinowa.

Schröder zatem nie zatrudnił się po prostu w jakiejś rosyjskiej firmie; znalazł pracę w administracji Putina. Za cenę, jaką Gazprom i reżim Putina zapłaciły, dając to stanowisko Schröderowi, kupiły sobie legalność w oczach Zachodu. Układy podobne do tego zapewniały Putinowi również bezcenną strawę propagandową dla społeczeństwa. Dzięki temu mógł na przykład trąbić o tym, jakiego wyczynu dokonał, mając w kieszeni byłego niemieckiego kanclerza, a równocześnie kontrolowane przez państwo media przedstawiały to jako przykład, że Zachodowi zależy jedynie na pieniądzach i ropie.

Wszędzie na świecie reżimy totalitarne uwielbiają opowiadać swoim obywatelom, że mimo całej deklarowanej przez Amerykanów i mieszkańców Europy Zachodniej troski o demokrację i prawa człowieka są oni równie skorumpowani jak miejscowi przywódcy. Działania na rzecz demokracji w Rosji i wszędzie indziej doznają niepowetowanych szkód, kiedy ktoś taki jak Schröder, były przywódca trzeciego co do wielkości uprzemysłowionego państwa demokratycznego, ochoczo sprzymierza się z autorytarnymi oprychami. Wykorzystywanie energii jako broni politycznej to wypróbowana i sprawdzona taktyka, a zatrudnienie Schrödera pozwoliło Gazpromowi działać z jeszcze większą pewnością bezkarności.

To była nowa strategia Kremla: pozyskiwać i uciszać Zachód dzięki werbowaniu jego wybitnych przedstawicieli. Kiedy wszyscy są winni, nikt nie jest winny – tak głosi ta logika. Mogliśmy się już przekonać, jaką cenę płaci się za tego rodzaju politykę zamykania oczu na ograniczanie swobód obywatelskich i zbrodnie wojenne w Czeczenii. Dzięki tej nowej taktyce zachodni przywódcy musieli nie tylko walczyć

z głosem sumienia, ale też opierać się pokusie napełnienia własnych kont bankowych. Wszystkich ogarniał ten sam toksyczny obłok ropy, gazu, polityki, zastraszania i represji.

My, członkowie rosyjskiej opozycji, od dawna mówiliśmy już, że wprawdzie Putin to nasz problem, ale wkrótce stanie się problemem całego świata. Nasze ostrzeżenia w dużej mierze ignorowano. Kiedy po latach głuchych pomruków i sygnałów ostrzegawczych w 2008 roku ta groźba zmaterializowała się pod postacią rosyjskich czołgów wtaczających się do Gruzji, przywódcy wolnego świata byli całkowicie nieprzygotowani, by sobie z nią poradzić. Polityka angażowania zawiodła, ale Zachód nie znał żadnych innych sztuczek, których mógłby spróbować. Wydalanie dyplomatów i ograniczanie oficjalnych wizyt nie przyniosło żadnych rezultatów. Moja odpowiedź wtedy była taka sama jak dziś: równocześnie ograniczać kontakty i stosować nacisk ekonomiczny związany z obecnym zaangażowaniem, by wywierać presję na jego beneficjentów w Rosji.

Jak na ironię, elity Putina lubią przechowywać swoje bogactwo tam, gdzie mogą mieć zaufanie do rządów prawa, a po święcie miłości grupy G8 w Sankt Petersburgu Putin i jego zamożni stronnicy mieli wszelkie podstawy, by sądzić, że ich pieniądze są bezpieczne na Zachodzie. Gdyby ograniczono im do nich dostęp albo choćby zagrożono takim ograniczeniem, przyniosłoby to zasadniczy skutek odstraszący. Tymczasem jak zwykle postawiono na biznes i politykę ustępstw. Główne mity dotyczące polityki angażowania głoszą, że (1) dzięki niej dokonuje się liberalizacja państw tłumiących wolność oraz że (2) zapewnia ona możliwość wywierania na nie nacisku, jeśli do takiej liberalizacji nie dochodzi. Pierwsze twierdzenie okazało się fałszywe. Drugie zawiodło, ponieważ wolny świat nie chce wykorzystać swojej możliwości wywierania presji w taki sposób, w jaki bardzo chętnie robią to dyktatury.

Nawiasem mówiąc, nigdy nie wzywałem do bojkotu Rosji. Wolny świat prowadzi również wielkie interesy z Chinami, Arabią Saudyjską i innymi państwami autokratycznymi, ale nie dostarcza ich przywódcom demokratycznych referencji w taki sposób, jak to się dzieje w odniesieniu do Putina. I trudno sobie wyobrazić,

by elity rządzące z innych agresywnych bandyckich państw mieszkały w luksusie w zachodnich stolicach. Słudusi i oligarchowie są lojalni wobec Putina, ponieważ on jest *capo di tutti capi* i daje im ochronę. W Rosji mogą robić, co chcą, a póki pozostają lojalni, mogą się bogacić i wywozić swoje pieniądze do Stanów, do Londynu, gdziekolwiek. Właśnie dlatego nalegałem na wprowadzenie ustawodawstwa, które by ich odcięło od tego rurociągu i zaszkodziło zdolności Putina do chronienia swojej kliki – i właśnie dlatego Rosja tak zżarcie walczyła, by zapobiec uchwaleniu tego rodzaju ustawodawstwa.

Nie było powodu, by przestawać prowadzić interesy z Rosją. Złudzenie polegało na tym, że w kontaktach z nią może w ogóle chodzić o cokolwiek więcej. Mafia zabiera i zabiera, a jeśli już daje, powoduje to liczne zobowiązania.

---

52 Garry Kasparov, *The Great Game*, „The Wall Street Journal”, 14 marca 2005.

53 Jef F.O. McAllister, Paul Quinn-Judge, Yuri Zarakovich, *The Talks that Failed*, „The Time”, 13 września 2004.

54 Jef F.O. McAllister, *Communication Breakdown*, „The Time”, 12 września 2004.

55 *Beslan School Siege Inquiry „a Cover-up”*, „The Herald” (szkocki), 10 lutego 2007, [\[link\]](#).

56 David Satter, *The Truth About Beslan*, „Weekly Standard” t. 12, nr 9, 13 listopada 2006.

57 Masha Gessen, *Putin. Człowiek bez twarzy*, przeł. Julia Szajkowska, Magda Witkowska, Warszawa 2012, s. 198–199.

58 Prezydent George W. Bush, przemówienie do organizacji działającej na rzecz demokracji Freedom House, 29 marca 2006.

## 8 | Operacja „Miedwiediew”

Borys Jelcyn zmarł 23 kwietnia 2007 roku. Wyżej, w rozdziale piątym, wychwalałem już jego samego i jego spuściznę, chciałbym jednak skupić się na pewnym pomijanym aspekcie związanym z jego odejściem. Prawdopodobnie zarówno stan jego zdrowia, jak i zawarty z Putinem traktat pokojowy sprawiły, że po opuszczeniu urzędu prezydenta 31 grudnia 1999 roku Jelcyn praktycznie zniknął ze sceny. Jedyna sytuacja, kiedy pamiętam, że jego nazwisko pojawiło się w wiadomościach, było to wspólne z Michaiłem Gorbaczowem publiczne, choć umiarkowane, skrytykowanie nastawionych na zagarnięcie władzy reform Putina po Biesłanie.

Putin również wydawał się dotrzymywać swojej części zobowiązań zawartej z Jelcynem umowy. Putinowski reżim nigdy nie ścigał nikogo z rodziny Jelcyna ani z jego szerszej „Rodziny” sojuszników i kumpli. Chociaż Jelcyn trzymał się w cieniu, myślę, że Putin pamiętał o jego istnieniu. Może i Putin stał się ojcem chrzestnym, ale Jelcyn był ojcem założycielem rosyjskiej niepodległości i demokracji. Całkowite zniszczenie dziedzictwa Jelcyna jeszcze za jego życia mogłoby być ryzykowne nawet dla Putina. Kiedy Jelcyn umarł, przecięta została kolejna wątkiła nić kępująca Putina i powstrzymująca go przed totalitaryzmem. Jelcyn ograniczył swoją prezydenturę do dwóch kadencji i z pewnością oczekiwałby, że jego następcą również zostawi władzę innym.

Miało to ogromne znaczenie, ponieważ w 2007 roku Putin stanął przed najważniejszą decyzją w całym swoim życiu. Jego druga kadencja na urządzie prezydenta zbliżała się do końca i zgodnie z rosyjską konstytucją nie mógł ubiegać się o to stanowisko ponownie. Wybory miały się odbyć 2 marca. Najpierw trzeba było się zająć wyborami do Dumy, które odbywały się 2 grudnia 2007 roku. Było



z góry przesądzone, że partia Putina Jedna Rosja zwycięży zdecydowanie, ale robiliśmy, co się dało, by wytropić „nieprawidłowości”, które i tak miały miejsce. Rzecz w tym, że sztuka ustawiania wyborów polega tym, by same wybory straciły jakiegokolwiek znaczenie. Nie trzeba się martwić, kto głosuje ani nawet kto liczy głosy, jeśli kontroluje się cały proces, począwszy od tego, kto pojawia się na listach wyborczych.

Jedna Rosja, z urzędującym prezydentem na pierwszym miejscu swojej listy, miała przewagę pod każdym możliwym względem, zarówno w sferze legalnej, jak i nielegalnej. Grupom opozycyjnym, w tym także naszej koalicji Inna Rosja, uniemożliwiono tworzenie własnych list wyborczych, uchwalając specjalnie w tym celu nowe drobiazgowo przepisy wyborcze. W wyborczą niedzielę ludziom szukającym innej możliwości pozostała jedynie opcja oddania głosu na ludzi będących w większości i tak zwolennikami Putina albo na partie, które za cenę pozostania w parlamencie czy na listach wyborczych zgodziły się nie sprzeciwić się Putinowi.

Do pierwszej kategorii należała Sprawiedliwa Rosja, której pierwszym posunięciem po wyborach była propozycja przedłużenia prezydentury Putina. Co za opozycja! Do drugiej kategorii zaliczali się komuniści, którzy otrzymali – albo może „którym pozwolono otrzymać” – 11,6 procent głosów (mniej więcej 20 procent według niezależnych obliczeń), co dało im pięćdziesiąt siedem spośród czterystu pięćdziesięciu miejsc w Dumie. Ten niski wynik rozzłościł przywódcę komunistów Giennadija Ziuganowa, któremu – jak głosiły plotki – Kreml obiecał w zamian za lojalność przynajmniej dziewięćdziesiąt miejsc. Ziuganow zaczął stawiać zarzuty dotyczące nieprawidłowości wyborczych. W jednym z artykułów po wyborach napisałem żartem: „Nie chcę nic mówić, Giennadij, ale mówiłem ci, że tak będzie!”. Powtarzano też wtedy dowcip, że różnica między demokracją a systemem Putina jest taka, jak różnica między dwoma krzesłami: jedno jest drewniane, a drugie elektryczne.

W praktyce nie miało to większego znaczenia, ale najbardziej obciążające ze wszystkich tych oficjalnych statystyk były wyniki podawane w miejscach takich jak

Czeczenia i Dagestan, gdzie w niewielkim stopniu nadzorowano lokale wyborcze. Przy dziwacznej frekwencji wynoszącej 99,5 procent okazało się, że 99 procent czeczeńskich głosów oddano na Jedną Rosję. Nie zapominajmy, że jest to partia kierowana przez Putina, sprawcę drugiej wojny czeczeńskiej, która zrównała czeczeńską stolicę Grozny z ziemią. Jak zwykle prawda wychodzi na jaw w działaniach sługusów za bardzo pragnących zadowolić swoich panów na Kremlu. Moja żona skomentowała to ponuro, że jedynymi osobami, które w Czeczenii nie głosowały, byli ci, którzy akurat zmarli w dniu wyborów.

Można się tylko domyślać, co szefowie Jednej Rosji pomyśleli o Hugo Chávezie, który tego samego dnia przegrał w referendum, bo zabrakło mu marnego jednego procenta. Co za amator! Tymczasem pomimo braku realnej alternatywy na listach wyborczych oraz mimo całego matactwa Jedna Rosja ledwo przekroczyła próg 50 procent w Sankt Petersburgu i Moskwie. To nie przypadek, że mieszkańcy tych miast mieli dużo większy dostęp do wiadomości nie pochodzących od Kremla dzięki większej liczbie użytkowników internetu oraz dzięki działalności Echa Moskwy, jedynej radiostacji, w której nadal można było usłyszeć szeroki wachlarz poglądów.

Wyraźny znak, że Putin uważa te wybory za ważne, pojawił się wówczas, gdy wygłosił kilka desperackich przemówień, by zdobyć więcej głosów. Język, jakiego używał, przestrzegając przed „wrogami wewnętrznymi” i „szakalami” wspieranymi przez Zachód, nie był już tylko podszyty nienawiścią: ta nienawiść była w nim jawna. Jego rosyjski nie był już rosyjskim, lecz raczej językiem, który można nazwać putinowskim, z klasycznym austriacko-niemieckim akcentem.

Po co zadawał sobie tyle trudu, skoro władza Kremla była już najwyraźniej absolutna? Przede wszystkim powinniśmy pamiętać, że nawet Stalin w okresie wielkiego terroru zorganizował wybory w 1937 roku. Wyniki tamtej niedzieli też nie pozostawiały żadnych wątpliwości, potwierdzając nasz powrót do rządów wszechpotężnego jednopartyjnego państwa. Jednak wybory były dla reżimu Putina ważne z kilku względów, poczynając oczywiście od tych finansowych: dotyczących Putina. Bliskie relacje Putina z zachodnimi przywódcami stanowiły dla jego rządzących oligarchów gwarancję, że ich pieniądze są bezpieczne. Gdyby na tym

etapie zbyt jawnie pozbył się ostatnich pozostałości demokracji, ów wygodny układ mógłby się skończyć, a takiego ryzyka Putin nie był jeszcze w stanie podjąć.

Pierwsze sygnały były złe. Nicolas Sarkozy pozował na twardziela, ale najwyraźniej po paru drinkach z Putinem kolana mu zmiękły. Francuski prezydent bez zwłoki zadzwonił do swojego rosyjskiego odpowiednika, by pogratulować mu wspaniałego zwycięstwa. Putin zawsze uważnie przyglądał się tym sygnałom z Zachodu, wypatrując w nich oznak ewentualnego realnego nacisku. Większość komentarzy na temat jawnie oszukańczych wyborów nie była przychylna, szczególnie w mediach, jednak cóż mogło być w nich groźnego, skoro zadzwonił do niego Sarkozy i stary kumpel Putina Tony Blair?

Kolejnym celem kampanii prowadzonej przez Kreml było zapewnienie reżimowi pseudodemokratycznej przykrywki dla ewentualnych przyszłych machinacji, które mogły okazać się konieczne dla utrzymania władzy po wyborach prezydenckich 2 marca. Putin nie mógł startować w nich ponownie, a przynajmniej konstytucja mówiła, że nie może, on zaś obiecał, że jej nie zmieni – o ile ktoś chce ufać obietnicy podpułkownika KGB.

Po ośmiu latach, w ciągu których reżim Putina korzystał z rekordowo wysokich cen ropy i łatwych kompromisów ze strony Zachodu zajętego „wojną przeciwko terroryzmowi”, nastąpił kryzys. Niebawem trzeba było wyznaczyć kandydata Kremla na prezydenta. Czy miał być słabą marionetką, która doprowadziłaby – na prośbę „społeczeństwa” albo może w wyniku konieczności ratowania państwa – do powrotu Putina? Czy może udałoby się znaleźć kogoś na tyle głupiego, by wkroczył na scenę i podjął ryzyko, że na niego spadnie wina, kiedy zaniedbana rosyjska infrastruktura i gospodarka w końcu upadną? Czy może zmienić system przez takie wypatroszenie konstytucji, żeby Putin mógł zachować władzę w jakiejś nowej roli?

Po przyjacielskiej wizycie Putina w Iranie w październiku 2007 roku napisałem w pewnym artykule, że być może zastanawia się teraz nad nowym tytułem dla siebie – takim, który znacząco przewyższyłby błahe obowiązki premiera czy nawet dawny majestat sekretarza generalnego partii. „Najwyższy przywódca ajatollah Putin” brzmi nieźle – tak pisałem i byłem pewien, że Putin zawsze marzył o tym, by

kierować wszystkim zza kulis, bez tych niepotrzebnych kłopotów i pozorów prezydentury. Ten mój żart był bliższy prawdy, niż mogłem przypuszczać.

\*

Miałem ochotę powtórzyć w tej książce swego rodzaju protest, który zastosowałem w artykule na temat stanu Rosji w 2009 roku: ani razu nie wymieniłem w nim nazwiska Dmitrija Miedwiediewa. Całkowite zignorowanie byłoby odpowiednim sposobem potraktowania człowieka, który sprawował urząd prezydenta Rosji od 2008 do 2012 roku, kiedy oddał go Władimirowi Putinowi jak pies, który odnosi kij swojemu panu. Nie ma sensu zaciemniać tej opowieści ze względu na osobisty protest, mimo to moje uwagi na temat tego człowieka będą krótkie.

Miedwiediew jako człowiek był i jest całkowicie nieistotny. Jednak pomysł wprowadzenia *jakiegoś* Miedwiediewa, pomysł wprowadzenia młodego liberalnego prezydenta, który mógłby skierować państwo z powrotem na drogę ku nowoczesności – taki pomysł był całkiem, całkiem niezły. Można sobie prawie wyobrazić Putina wraz z ludźmi z jego wewnętrznego kręgu, jak projektują w laboratorium idealnego Miedwiediewa. Musiał mieć młodzieńczy wygląd, jasne spojrzenie i być w stanie perorować w reformistycznym żargonie przed inteligencją oraz zachowywać powagę, uprzejmie przyznając, że może nie wszystko w Rosji jest takie wspaniałe, ale zdecydowanie się poprawi. Na wszelki wypadek Miedwiediew nie mógł również mieć własnego intelektu, ambicji ani zaplecza politycznego. W końcu musiał też być niższy od Putina i mieć jeszcze mniej charyzmy niż on, co naprawdę bardzo rzadko idzie w parze. Na szczęście dla Putina tak się złożyło, że akurat kogoś takiego miał pod ręką, we własnym gabinecie.

10 grudnia 2007 roku Putin z wielką pompą udzielił poparcia swojemu wicepremierowi Dmitrijowi Miedwiediewowi, który miał objąć po nim urząd prezydenta. Jego kandydatura szybko została wysunięta przez Jedną Rosję oraz jej marionetkowe partie i tydzień po uzyskaniu błogosławieństwa od Putina Miedwiediew był już oficjalnie kandydatem. Jego pierwszym i najważniejszym zadaniem było ogłoszenie, że gdyby mu się poszczęściło i gdyby zwyciężył

w wyborach, mianowałby Władimira Putina premierem. Putin uprzejmie przyjął tę propozycję i tak też się stało. (Aby kandydować w wyborach, Miedwiediew ustąpił również ze stanowiska prezesa Gazpromu, co wywołało żarty, że został zdegradowany do rangi prezydenta Rosji).

Za przykład, jak reagowali na tę wiadomość niemal wszyscy zachodni przywódcy, niech posłuży jedna z takich reakcji. Następnego dnia po udzieleniu przez Putina poparcia Miedwiediewowi sekretarz stanu Condoleezza Rice prowadziła rozmowę przy okrągłym stole z redakcją gazety „USA Today”. Omawiano Irak, Iran, a następnie zajęto się obszarem, w którym Rice była niegdyś ekspertem, czyli Rosją. Najpierw wygłosiła kilka mocnych uwag na temat tego, że „procesy demokratyczne w Rosji postąpiły krok w tył” i „w tych warunkach nie sposób mówić o wolnych i uczciwych wyborach”. Następnie jednak Rice powiedziała, że zna Miedwiediewa i że jest to człowiek „inteligentny”, „należący do innego pokolenia”<sup>59</sup> – tak jakby jedno albo drugie miało tu jakiegokolwiek znaczenie (bez względu na to, czy opinie te były zgodne z prawdą, czy nie).

Spośród wiele mówiących uwag pani Rice najmocniejsza padła w odpowiedzi na pierwsze pytanie poruszające temat pana Miedwiediewa jako kolejnego prezydenta. Oficjalny zapis tej wypowiedzi brzmi tak:

Sekretarz Rice: Cóż, zdaje się, że w marcu mają mieć jeszcze wybory.  
(Śmiech).

Na pewno wszyscy uczestnicy spotkania setnie się ubawili, słysząc, jak pani Rice nazywa wyborami nieuchronne wprowadzenie Miedwiediewa na urząd prezydenta. I szczerze mówiąc, nasze wybory faktycznie były śmiechu warte. Jednak dlaczego kolejne pytanie zadane pani Rice nie brzmiało: „W takim razie dlaczego Rosja nadal należy do G7, skoro rosyjskie wybory to taka farsa?”, albo: „Dlaczego administracja Busha poświęciła tyle czasu, krwi i pieniędzy, starając się zbudować demokrację w Iraku i w innych miejscach, a jednocześnie praktycznie ignoruje to, co Putin zrobił z państwem będącym największym eksporterem ropy na świecie, które dysponuje również największym w świecie arsenałem jądrowym?”. Nie chodzi oczywiście

o to, by ktokolwiek miał się opowiadać za inwazją na Rosję czy oczekiwać tego od Busha, ale można było chyba wymagać odrobiny konsekwencji od człowieka, który tak aktywnie wspierał program nazwany przez siebie „amerykańską agendą wolności”.

Parę dni przed wspomnianym wywiadem pani Rice magazyn „The Time” ogłosił Putina człowiekiem roku 2007. Gołym okiem widać było, jak bardzo redakcja starała się przekonywać, że to wyróżnienie „nie jest wyrazem poparcia” i że przyznała je człowiekowi, który trafiał na pierwsze strony gazet ze względu na działania zmieniające świat „na lepsze lub na gorsze”. Niemniej jednak artykuł wychwalał polityka wybranego na człowieka roku za to, że przywrócił swojemu państwu wysoką pozycję na arenie międzynarodowej, położył kres „anarchii” i odzyskał narodową dumę. Magazyn wyrażał troskę z powodu „niepokojących” notowań Putina w zakresie przestrzegania praw człowieka<sup>60</sup>.

Dokładnie to samo można było powiedzieć o Adolfie Hitlerze w roku 1938, kiedy to on został człowiekiem roku magazynu „The Time”. „Faszyzm – jak pisała wówczas redakcja – odkrył, że wolność: prasy, słowa, zgromadzeń, jest potencjalnym zagrożeniem dla jego bezpieczeństwa”<sup>61</sup>.

I tu również te słowa tak samo pasują do zdobywcy tytułu za rok 2007. Większość głosów podnoszących przeciwko Putinowi dotyczyła „rzekomych” nadużyć albo pochodziła bezpośrednio od znanych krytyków, co moim zdaniem świadczy o tym, że dziennikarze uchylają się od swojej roli przytaczania faktów jako faktów. Zwróćmy też uwagę, jaki czas wybrano na ogłoszenie tego wyróżnienia: tuż po ustawionych wyborach parlamentarnych, które ukoronowały ciąg sukcesów pana Putina w zakresie wykorzeniania demokracji w całej Rosji.

Oczywiście artykuł w „The Time” został odtrąbiony przez kremlowską propagandę jako kolejny wyraz poparcia dla Putina i prowadzonej przez niego polityki. Nacisk kładziono na mit, że Putin zbudował „silną Rosję”, podczas gdy w rzeczywistości wraz ze swoimi kumplami wydrążył państwo od środka.

2 marca dokończono koronacji Miedwiediewa na króla niczego i zniszczono ostatni pozostały element demokracji w Rosji, czyli zmianę władzy. Zgodnie

z oczekiwaniami same wybory były kompletną lipą, a Kreml nie starał się nawet zacierać śladów. Kandydatów opozycji zmuszono do wycofania się z rywalizacji. Państwowe media sprzyjały Miedwiediewowi, natomiast innych kandydatów albo oczerniały, albo po prostu pomijały ich milczeniem. Pierwsze wyniki z kilku nadmiernie entuzjastycznych okręgów wyborczych wskazywały, że Miedwiediew otrzymał ponad 100 procent głosów.

Wynik Miedwiediewa na poziomie 70 procent był odrobinę słabszy niż 71 procent Putina z 2004 roku, co było dodatkową wskazówką, kto tak naprawdę rządzi – gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości. Można się zastanawiać, po co władze kłopotowały się fałszowaniem wyników, skoro już i tak wypracowały sobie tyle nieuczciwej przewagi. Był to zaplanowany pokaz lojalności ze strony regionalnych polityków i urzędników, mający dowiedzieć, że potrafią zapewnić takie wyniki, jakich zażąda Kreml, i że te wyniki zapewnią. Nie tak działa demokracja, natomiast właśnie tak działa mafia.

My, członkowie rosyjskiej opozycji, z niecierpliwością czekaliśmy na to, co reszta świata powie na temat powrotu Rosji do absolutnego despotyzmu. Liczyliśmy na to, że teraz to już na pewno przywódcy wolnego świata zdobędą się na ostrą krytykę, skoro wcześniej pozwolili Rosji przyłączyć się do grupy G7 i traktowali Putina jak równego sobie demokratycznego przywódcę. Wydawało nam się oczywiste, że będą oburzeni, bo zostali wystrychnięci na dudka. Być może, mieliśmy nadzieję, wystarczająco mocna presja z zewnątrz pokona siłę tego skandalicznego przekazania władzy i pomoże osłabić morderczy uścisk, w jakim Kreml trzyma Rosję.

Tymczasem to, co się wydarzyło, nie mogło być bardziej miażdżące. Zachodnie rządy jeden po drugim przyłączały się do owacji dla Miedwiediewa z powodu jego niezwykłego zwycięstwa, chociaż większość przekazała to budzące niesmak zadanie swoim rzecznikom. W jednym czy dwóch oświadczeniach próbowano wpleść parę słów na temat przykrych „incydentów” w trakcie rosyjskich wyborów.

Takich skrupułów nie miał francuski prezydent Nicolas Sarkozy. Zatelefonował do Miedwiediewa, by mu pogratulować i zaprosić go do Francji. (Za oczywiste

uwazam, że wieloletni partnerzy biznesowi Putina Silvio Berlusconi i Gerhard Schröder wysłali nowemu prezydentowi osobiste liściki). Wyrażona przez Zachód akceptacja Miedwiediewa jako demokratycznie wybranego przywódcy była kolejnym punktem zwrotnym. Padła ostatnia przeszkoda mogąca zagrozić zachowaniu władzy przez Putina na zawsze. Był to sygnał, że Stany Zjednoczone i Unia Europejska przyłączą się do nawet najbardziej absurdałnej szarady, aby uniknąć konfrontacji.

Dla rosyjskiej opozycji reakcja Zachodu była katastrofą. Nasza koalicja złożona z nacjonalistów, lewicowców i liberałów miała ze sobą niewiele wspólnego poza wiarą w siłę demokratycznego procesu. Nie mając dostępu do środków masowego przekazu i będąc narażonymi na ciągłe prześladowania, nasi członkowie próbowali szerzyć wiedzę na temat wagi tych zasad. Tymczasem tym jednym posunięciem wolny świat ogłosił, że demokracja to przekręt, że to jak zwykle przykrywka dla interesów, tak jak zawsze to mówili Putin i jego sojusznicy.

Pięć miesięcy później, w sierpniu, w okresie, który nazwałem wówczas kulminacją poczucia bezkarności Putina, wojska rosyjskie najechały na sąsiednią Gruzję, kiedy tylko nadarzył się pierwszy śladowy pretekst w Osetii Południowej. Putin nie miał powodów sądzić, że powinien bać się konsekwencji takiej drobnostki jak ukaranie sąsiedniego państwa, w którym rządził jego osobisty wróg, gruziński prezydent Micheil Saakaszwili. Putin był zawsze dobry w odczytywaniu intencji innych światowych przywódców i po raz kolejny miał rację.

Porządek świata wyznaczają zasady, ale opierają się one w większości na systemie honorowym i rzadko bywają wystawiane na próbę. Putin przekonał się, że brutalne metody jego świata rodem z KGB są równie skuteczne na scenie globalnej. Na dany znak przemoc powróciła na Kaukaz, gdzie Putin zyskał sobie reputację dyktatora, kiedy po raz pierwszy pojawił się na rosyjskiej scenie politycznej w 1999 roku. Może to był prezent dla Miedwiediewa. Wojna zawsze się przydaje dla poprawienia wewnętrznej reputacji nowego rosyjskiego prezydenta.

Prawdziwa katastrofa, wydarzenie, które dało Putinowi pewność siebie pozwalającą mu wszcząć rozlew krwi poza granicami własnego kraju, miała miejsce



3 marca 2008 roku, nazajutrz po wyborach. Był to dzień, w którym międzynarodowa społeczność wolnych krajów miała szansę podnieść alarm w sprawie dyktatury Putina, wysłać jednoznaczną wiadomość, że liczy się demokracja. Takiego alarmu nikt nie podniósł. Wybory nie były ważne. Ważna była reakcja świata.

Kiedy najgorsze sceny przemocy między Rosją a Gruzją w sprawie Osetii Południowej dobiegły końca, przypomniałem sobie pewną rozmowę, którą odbyłem w 2005 roku w Moskwie z jednym z wysoko postawionych urzędników Unii Europejskiej. Rosja cieszyła się wtedy dużo większą wolnością niż dziś, ale ataki Putina na demokratyczne prawa zaczynały już przybierać na sile.

„Co musiałyby się stać – spytałem tego urzędnika – żeby Europa przestała traktować Putina jak demokratę? Może gdyby zakazano działalności wszystkich partii opozycyjnych? Albo gdyby zaczęto strzelać do ludzi na ulicach?”

Wzruszył ramionami i odpowiedział, że nawet w takim wypadku UE niewiele mogłaby zrobić, i dodał, że „podtrzymywanie kontaktów zawsze będzie najlepiej rokować zarówno dla mieszkańców Europy, jak i Rosji”. Przypuszczam, że obywatele Gruzji i Ukrainy by się z tym nie zgodzili. Dokonany przez Rosję najazd na Gruzję był bezpośrednim wynikiem niemal dekady tego połączenia bezradności i łudzenia się Zachodu. Kiedy Putina nie spotkała żadna kara po Gruzji, odebrał to jako zachętę do wejścia na Ukrainę sześć lat później.

W odpowiedzi na rosyjski najazd na Gruzję UE zwołała swój pierwszy nadzwyczajny szczyt od czasu wybuchu wojny w Iraku. Szybko odroczone zaplanowane spotkania na temat układu o partnerstwie z Rosją do czasu wycofania przez Kreml swoich wojsk na pozycje sprzed 7 sierpnia. Oświadczenie UE, które dodatkowo osłabił dumny Silvio Berlusconi, zawierało zdanie: „Oczekujemy od Rosji odpowiedzialnego zachowania i dotrzymania przez nią wszystkich zobowiązań”, oprócz niezawodnych zwrotów: „głęboko zaniepokojona” i „zdecydowanie potępia”<sup>62</sup>. Ależ musieli się uśmieć Putin oraz jego kumple miliarderzy i kagiebiści, słysząc takie urocze sformułowania.

7 maja za zamkniętymi drzwiami Dmitrij Miedwiediew został zaprzysiężony na prezydenta Rosji. Putina zapytano, czy chce zgodnie z tradycją zawiesić w swoim

gabinecie portret nowego prezydenta. Putin aż się wzdrygnął, ale opowiadano dowcip, że w rzeczywistości miał już portret Miedwiediewa, siedzącego w fotelu prezydenta i patrzącego na portret Putina. Zgodnie z rosyjską konstytucją to Miedwiediew teraz rządził. Jednak ponieważ dotychczas nic nie wskazywało na to, by był osobą niezależną i miał jakikolwiek autorytet, można było bezpiecznie założyć, że wciąż potrzebował zgody Putina, by pójść na Kremlu do toalety. Prawdziwe „gładkie przekazanie władzy”, by użyć doskonałego w swej ironii określenia niemieckiej kanclerz Angeli Merkel, polegało na tym, że władza przeszła wraz z Putinem z urzędu prezydenta na urząd premiera.

\*

W ciągu ostatnich dziesięciu lat ponad tysiąc razy pojawiałem się w międzynarodowych mediach, a niemal wszystkie moje wystąpienia wiązały się z rozmowami na temat Rosji i Putina. Często producenci programu pytają wcześniej uczestników, jak chcieliby, by się do nich zwracać podczas nagrania i co powinno się znaleźć obok nazwiska w podpisie na ekranie. Czasami nie pytają. Mój życiorys jest długi i skomplikowany, dlatego przywykłem do tego, że w takich sytuacjach słyszę najrozmaitsze określenia. Podobnie jest z zapowiadaniem moich odczytów czy wystąpień podczas spotkań ze światem biznesu i polityki. Stosowane zwroty są zawsze miłe i zwykle pochlebne, ale często zawierają różnego typu błędne informacje na mój temat zaczerpnięte z szybkiego wyszukiwania w Google’u. Często muszę zaraz potem spieszyć ze sprostowaniami i żartuję, że te zapowiedzi mnie zawsze interesują, ponieważ dowiaduję się o sobie wielu nowych rzeczy!

„Garri Kasparow, rosyjski obrońca praw człowieka i były szachowy mistrz świata” – to nie powinno być zbyt trudne, prawda? Jestem również prezesem Fundacji Praw Człowieka (Human Rights Foundation) z siedzibą w Nowym Jorku oraz pracownikiem naukowym (senior visiting fellow) Oxford Martin School, gdzie regularnie prowadzę wykłady i seminaria. Jestem również bardzo dumny, że przewodniczę innej fundacji, Kasparov Chess Foundation, edukacyjnej organizacji non profit o globalnym zasięgu, oraz że jestem umiarkowanie popularnym autorem

i mówcą. Jednak wszystkiego tego jest za dużo, żeby zmieściło się na pasku z nazwiskiem w telewizji.

Jedyny tytuł, którego naprawdę nie lubię, a słyszę go dość często, to: „Garri Kasparow, były kandydat na prezydenta Rosji”. Jest on nie tylko nieprecyzyjny, ale też mylący w szkodliwy sposób. Owszem, Inna Rosja i inne opozycyjne grupy organizowały wewnętrzne prawyборы, aby w 2008 roku wysunąć swoich kandydatów, i brałem w nich udział. Owszem, oddawaliśmy głosy przez internet i osobiście na wybranych kandydatów i byłem jednym ze zwycięzców. Owszem, kilku z nas próbowało zarejestrować się jako kandydaci i byłem w tej grupie. Jednak czy naprawdę byłem kandydatem na prezydenta?

Kiedy ludzie mieszkający w demokratycznych państwach rozmawiają ze mną o listach wyborczych, programach, kampaniach i innych normalnych elementach wyborów w każdym wolnym kraju, muszę przerywać im w pół słowa. To wszystko nigdy naprawdę w Rosji nie istniało – nie istniało w roku 2008, a tym bardziej dziś. W Rosji opozycja nie próbuje zwyciężyć w wyborach; my próbujemy *mieć* wybory. Zaczęliśmy z optymizmem w 2004 roku, mając nadzieję, że odejście Putina może otworzyć drogę do takich wyborów, których ważność można by zakwestionować. W 2007 roku, kiedy reżim coraz ostrzej rozprawiał się z marszami sprzeciwu i innymi przejawami naszej działalności, zdaliśmy sobie sprawę, że te nadzieje są niewielkie. Aż do chwili gdy 10 grudnia Putin i Miedwiediew obwieścili swoje plany, nie wiedzieliśmy dokładnie, jak i kiedy spadnie topór, ale wiedzieliśmy, że jest bardzo ostry i wisi tuż nad naszymi głowami.

Putin namaścił Miedwiediewa, jakby wykonał gest, który pewien znajomy z Meksyku nazwał „*el dedazo*” – energetyzujące dotknięcie palcem, przypominające obraz Boga z Kaplicy Sykstyńskiej Michała Anioła, Boga przekazującego życie Adamowi. W tym momencie wynik wyborów przestał już stać pod znakiem zapytania. System nigdy by nie pozwolił, by ktokolwiek w ten sposób wyznaczony mógł zrobić coś innego, niż wygrać – i to z ogromną przewagą. Było również całkiem oczywiste, że Kreml nie chce, żeby listę kandydatów na prezydenta zaśmiecać zbyt dużą liczbą nazwisk. Kampanie kandydatów opozycji stały się

dziwną grą polegającą na zmuszaniu władz do wymyślania różnych sposobów, by nas wykluczyć.

Przeszkód do przeskoczenia nie brakowało, a Centralna Komisja Wyborcza (CKW), której przewodniczył pacholek Putina Władimir Czurow, z oddaniem dbała, by nie udało się to nikomu poza zatwierdzonymi kandydatami. Główna przeszkoda była na pierwszy rzut oka praktycznie nie do pokonania. Kandydat niezależny musiał zebrać dwa miliony podpisów w zaledwie pięć tygodni, a z każdego regionu mogło pochodzić tylko czterdzieści tysięcy. Dlatego w Moskwie, bez względu na to, ile głosów się zebrało, liczyło się tylko czterdzieści tysięcy. Wobec tego trzeba było mieć podpisy z minimum pięćdziesięciu regionów. Poza tym dwa tygodnie z tego pięcioletniego okresu stanowiły dni wolne od pracy. Wreszcie, jeśli by już udało się zebrać podpisy, można było ich przedstawić tylko 2,2 miliona, nie więcej, więc jeśli 10 procent z jakiegokolwiek powodu zostałyby uznane za nieważne, wypadało się z gry.

Przekonałem się, że już samo dotarcie do etapu zbierania głosów jest trudne. Każdy kandydat miał obowiązek zorganizować konwencję zatwierdzającą jego kandydaturę z udziałem co najmniej pięciuset zwolenników zgromadzonych pod jednym dachem i podpisać oświadczenie o kandydowaniu w obecności przedstawiciela Ministerstwa Sprawiedliwości, który musiał obserwować to wydarzenie osobiście. Jednak podobnie jak podczas moich podróży po kraju okazało się, że w Moskwie nie można było znaleźć żadnego miejsca, w którym chciano by wynająć mi salę w tym celu. No dobrze, nie do końca mówię prawdę, bo udało nam się podpisać umowę na wynajęcie sali na 13 grudnia, a nawet zapłaciliśmy za nią z góry. Jednak dwa dni przed spotkaniem zostaliśmy powiadomieni, że „z przyczyn technicznych sala nie jest dostępna w tym dniu”. Oczywiście 14 grudnia ta sama sala była w pełni gotowa, by gościć konwencję zatwierdzającą kandydaturę Bogdanowa, nowego sługusa Kremla.

A zatem nie zaszedłem nawet tak daleko, by uzyskać w terminie zatwierdzenie swojej kandydatury – po to tylko, aby wraz z paroma innymi przedstawicielami opozycji zaznać przyjemności odrzucenia swoich papierów przez pana Czurowa.

Były premier Michaił Kasjanow poszedł w zaparte, odwołując się do Sądu Najwyższego po tym, jak CKW uznała, że zbyt wiele podpisów dołączonych do wniosku o zatwierdzenie jego kandydatury zostało podrobionych. Oczywiście jego odwołanie odrzucono.

Dzięki temu po raz kolejny na liście kandydatów zostali sami podejrzani, ci sami co zwykle: dyżurny nacjonalista, wariat Żyrinowski; dyżurny komunista, jaskiniowiec Ziuganow; oraz Putin, reprezentowany przez swój cień, Miedwiediewa. Na okrasę pozwolono również pojawić się na liście kandydatów Andriejowi Bogdanowowi, który udawał opcję liberalną. Dopuszczono nawet do tego, by otrzymał 1,8 procenta głosów, po czym zniknął w niebycie, z którego się wyłonił.

Inna Rosja i pozostałe organizacje opozycyjne urządziły wewnętrzne prawyборы, próbując zaszczerpić w Rosji prawdziwe doświadczenie demokracji, chcąc je rozpropagować w kraju, który miał go bardzo mało. Wolontariusze otwierali punkty wyborcze, gdzie tylko się dało: w salach gimnastycznych, w pubach, po domach, a często musieli to robić w pośpiechu, zanim wpadła milicja, by ich przymknąć i skonfiskować całe wyposażenie. Mieliśmy deklaracje ideowe, debaty programowe, nawet dyskusje online i offline. Na każdym poziomie wszystko to istniało całkowicie poza oficjalnym życiem politycznym.

Mieliśmy jeszcze inny cel: chcieliśmy w jak najgłośniejszy i najbardziej wyraźny sposób wystawić oficjalne wybory na pośmiewisko, bo niczym innym nie były. Wystarczająco już dużo zachodnich obserwatorów i ministerstw spraw zagranicznych nieprzekonująco ubolewało nad „zgłaszanymi nieprawidłowościami” i „stronniczością mediów” w trakcie rosyjskich wyborów. Putin stał się dyktatorem, i kropka – nadszedł czas, by wreszcie to powiedzieć. Nie był ani prezydentem, ani premierem, nie spełniał żadnej innej funkcji, która kojarzyłaby się z legalnością albo demokracją. Wiedzieliśmy, że nie powiedzą tego rosyjskie media, że nie wskażą na to rosyjscy politycy.

Tragiczne było to, że poza granicami Rosji sprawy nie wyglądały wcale dużo lepiej. Przywódcy państw nie byli zainteresowani sprzeciwianiem się Putinowi, co

było oczywiste już od dłuższego czasu. Mniej oczywiste było – i nadal jest – dlaczego większość najważniejszych mediów wolnego świata również zgadza się na tę farsę. Po raz kolejny słyszeliśmy od obserwatorów i zagranicznej prasy o „uchybieniach w systemie” oraz „nierównym dostępie do mediów”. Rada Europy była krytyczna, ale odmówiła potępienia wyborów. Nawet kiedy przewodniczący delegacji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy powiedział o rosyjskich wyborach, że „nadal nie były wolne i nadal nie były uczciwe”, dodał, że „zasadniczo odzwierciedlają wolę ludzi”. Zgadza się, wolę garstki ludzi na Kremlu.

Ta uwaga na temat „woli ludzi” to dobra okazja, by przedstawić szereg argumentów, które potrafię wyrecytować z pamięci po kilkudziesięciokrotnym obalaniu ich w trakcie moich występów w mediach. Nazywam je „mitami Rosji Putina”, a na pierwszym miejscu tej listy jest argument „Putin cieszy się popularnością”.

Teraz, kiedy Putin dzierży władzę od piętnastu lat, kiedy w ciągu sześciu lat zdążył najechać już drugie europejskie państwo i pokazuje się w telewizji, warcząc o rosyjskiej broni jądrowej, niektórym osobom może być trudno przypomnieć sobie, jak inaczej był postrzegany jeszcze nie tak dawno temu. Aż do 2010 roku moje surowe opinie na temat Putina nadal regularnie budziły zaskoczenie u całkiem wykształconych odbiorców międzynarodowych wiadomości.

„Jednak Rosja to państwo demokratyczne i Putin został wybrany, prawda?”

„No dobrze, być może wybory są ustawione, ale Putin cieszy się ogromną popularnością i i tak by wygrał”.

„Cóż, Rosjanie i tak uwielbiają silnych władców, a on przecież rozprawił się z przestępczością i postawił na nogi gospodarkę, prawda?”

Przestępczość i gospodarkę już omawialiśmy. Putin rozprawił się jedynie z tymi, którzy nie chcieli być lojalni wobec niego; lojalnych wciągnął do systemu jako partnerów. Nie pozostawił złudzeń: albo ktoś kradł razem z nim, albo był przeciw niemu. Wiadomo, że trudno dokładnie oszacować funkcjonowanie gospodarki kraju, który powoli demontował tkwiący w stanie zastoju i skorumpowany socjalistyczny raj. Jednak przed objęciem władzy przez Putina rosyjski PKB zwiększał się

w równym rytmie, w miarę jak bolesne reformy rynkowe przynosiły skutki. Sowiecki przemysł żadną miarą nie był w stanie bezpośrednio rywalizować z Zachodem czy Dalekim Wschodem, ale mimo to ten potencjał przemysłowy był mocny i funkcjonował. W 2000 roku wzrost PKB wynosił ponad 10 procent, był nawet wyższy od przeciętnego wskaźnika wzrostu państw byłego bloku sowieckiego, które przechodziły do gospodarki rynkowej.

Ważnym czynnikiem było również to, że cena ropy w 1999 roku spadła do 13 dolarów za baryłkę, wobec tego nowy rosyjski przemysł eksportowy póki co nie był bynajmniej siłą napędową gospodarki. Siłę rosyjskiej gospodarki pod rządami Putina najlepiej widać nie w liczbach pokazujących PKB, lecz na wykresie ceny ropy. Poczynając niemal dokładnie od chwili, kiedy Putin przejął władzę, ta cena wystrzeliła do ponad 100 dolarów za baryłkę, obniżając się jedynie w okresie finansowego kryzysu lat 2008–2009.

Rosja jest największym producentem ropy na świecie, pomimo że sowiecka infrastruktura została tylko nieznacznie zmodernizowana. To ta powódź bogactwa płynącego z ropy, przekształcająca Rosję w petrodyktaturę, pozwoliła Putinowi tworzyć iluzję stabilności wewnętrznej i przekupywać lub zastraszać krytyków za granicą. Jeśli ktoś twierdzi, że nieważne, skąd pochodzą pieniądze, póki wystarcza dla emerytów i policji, to zdaje się, że dokładnie tak sądzono na Kremlu – przez jakiś czas.

Rosja nie ma rozwijającego się sektora przemysłu i technologii, nie ma tętniącego życiem środowiska biznesu i przedsiębiorczości, nie ma podstawy opodatkowania przedstawicieli klasy średniej – dokonuje się jej postępujące drażnienie pod względem demograficznym. Ci, którzy nie mają znajomości ani środków pozwalających im się rozwijać, albo walczą o przetrwanie, albo wyjeżdżają z kraju. Błyszczące centra miast w Sankt Petersburgu i Moskwie ostro kontrastują z coraz bardziej zubożałymi dalszymi regionami. Jeśli do tego równania dodamy brak politycznej odpowiedzialności, to otrzymamy narastający społeczny kryzys.

Putin i jego klika dowiedli swojej niechęci do radzenia sobie z rzeczywistością

gospodarką oraz nieudolności, kiedy próbowali to robić. To, czego naprawdę im trzeba, to ostatnia rzecz, którą zgodzą się zrobić: poluzować ścisłą kontrolę, aby rosyjski biznes mógł doświadczyć prawdziwego kapitalizmu zamiast jego wersji stworzonej przez układ koleśi. Chodorkowski był jedynie najbardziej rzucającym się w oczy przykładem tego, co dzieje się z właścicielami firm próbującymi kapitalizmu na własną rękę, bez zgody państwa, ale podobnych do Chodorkowskiego jest wiele tysięcy innych.

Co do popularności Putina, to słyszę ten argument cały czas. I pytam: skąd ta pewność? Jeśli cieszy się popularnością, to dlaczego tyle czasu i wysiłku poświęcił zajęciu dominującej pozycji w mediach, wyeliminowaniu rywali i wprowadzeniu skomplikowanego systemu pozwalającego na fałszowanie mniejszych i większych wyborów? Skoro Putin jest taki popularny, to dlaczego nie przeprowadza wolnych i uczciwych wyborów i nie dopuszcza istnienia wolnych mediów? Prześladowanie blogerów i aresztowanie samotnego protestującego stojącego na miejskim rynku z tablicą z antyputinowskim hasłem w ręku jakoś mi nie pasuje do zachowania władcy, który cieszy się popularnością.

Cała definicja aprobaty i popularności demokratycznego przywódcy nie znajduje zastosowania w państwie autokratycznym. Kiedy w mieście jest tylko jedna restauracja, która ma w menu tylko jedno danie, a nikomu nie wolno otworzyć innej restauracji, to czy ta jedyna jest popularna? Piętnaście lat propagandy stworzyło potężny kult jednostki. Zgodnie z nim Putin to jedyny człowiek, który potrafi kierować Rosją i ją obronić, a wszyscy jego krytycy to niebezpieczni zdrajcy, których należy wsadzić do więzienia albo zabić. (Jak to się często dzieje). Każdego, kto mógłby wyrosnąć na jego rywala, demonizuje się i tłumi.

Prowadzi to do innego mitu: że opozycja była po prostu niewystarczająco kompetentna i charyzmatyczna, by stanowić wyzwanie dla Putina. Kto wie? Przywołuję ten argument nie po to, by bronić własnej roli czy własnej pozycji, lecz po to, by zilustrować, jak absurdalne jest mówienie o rosyjskiej opozycji tak, jakby była jakąś małą, niezaradną partią w prawdziwym systemie demokratycznym. Naszym członkom zakazywano występować w mediach, rzucono na nich



oszczerstwa, uniemożliwiano organizowanie spotkań i wieców, często doświadczali przemocy fizycznej, napaści i nękania ze strony milicji, blokowano im możliwość pojawienia się na listach wyborczych. Jakież olśniewające i spójne musielibyśmy mieć przesłanie, jakże potężny musiałby być nasz przywódca, by poprowadzić nas do zdobycia władzy w takich okolicznościach?

Po roku 2008 coraz bardziej oczywiste stawało się, że Putin może opuścić Kreml jedynie nogami do przodu: albo w trumnie, albo wywleczony przez tłum. Dopóki cieszył się kontaktami gospodarczymi z wolnym światem i mógł zapobiec wyjściu miliona Rosjan w proteście na plac Czerwony, nigdzie się nie wybierał. Ten pierwszy element – kontakty – był istotny dla drugiego. Dopóki płynęły pieniądze za nieprzebrane bogactwa naturalne Rosji – ropę, gaz, metale, drewno – Putina było stać na pensje, świadczenia i armie policyjnych oddziałów prewencji, które powstrzymywały ludzi przed wyjściem na ulice.

Jeśli chodzi o ankiety, to Rosja nie jest Stanami Zjednoczonymi ani Francją. Kiedy anonimowy głos w słuchawce telefonu pyta siedzącego w domu przeciętnego Rosjanina o opinię na temat człowieka, który ma wszechwładzę w państwie, trzeba naprawdę wielkiej odwagi, by przekazać coś innego niż pełne entuzjazmu poparcie. Szczerze mówiąc, to, że Putin nie uzyskuje poparcia na poziomie 99 procent, jak to się udawało Saddamowi Husajnowi i Muammarowi Kaddafiemu – aż do ostatniej chwili, kiedy nie mieli już władzy nad życiem i śmiercią własnych obywateli – jest świadectwem odwagi wielu moich rodaków.

Zastanawiam się, czy teraz, kiedy w czasie wojny na Ukrainie i po podkreśleniu do maksimum faszystowskiej propagandy kultu jednostki wskaźnik poparcia Putina przekroczył 90 procent, zagraniczne media przestaną w końcu tak łatwowiernie podawać te liczby. Despotyczny władca Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew, który jest u władzy od 1989 roku, właśnie został „ponownie wybrany” w kwietniu 2015 roku, uzyskując 97,7 procent głosów. (Przy frekwencji wynoszącej oczywiście 95 procent). Z radością mogę powiedzieć, że rzut oka na nagłówki wiadomości dotyczących tego niezwykłego wyborczego wyczynu przekonuje mnie, że bardzo nieliczne zachodnie środki masowego przekazu dają wiarę tak nieodpartej

popularności Nazarbajewa w kazachskim społeczeństwie. Czy Putin również będzie musiał przebić poziom 98 procent, zanim jego rzekoma popularność doczeka się tego samego sceptycyzmu?

To, że różni Nazarbajewowie, Putinowie i Chameneiowie wciąż kłopotczą się urządzaniem wyborów, stanowi ciekawą i godną zastanowienia zagadkę. Dzisiejsi dyktatorzy wyciągnęli lekcje z doświadczeń swoich poprzedników i połączyli tę wiedzę ze współczesnymi metodami kontroli informacji i wizerunku. Rozumieją symboliczne znaczenie głosowania, nawet jeśli nie mają ochoty podporządkowywać się jego sile. To, że w ogóle czują potrzebę organizowania jakichkolwiek wyborów, bez względu na to, jak jawnie byłyby oszukańcze, świadczy w pewnym stopniu o skutecznej presji z zewnątrz, jak również o pragnieniu legalności, o chęci bycia uznawanym za członka klubu prawowitych przywódców.

Chcąc nazwać te dyktatury, możemy używać określenia „hipokracja” albo *demokratura* – to drugie wymyślił człowiek mający ogromne doświadczenie w relacjonowaniu wydarzeń z Rosji Putina, niemiecki dziennikarz Boris Reitschuster. Ich przywódcy tylko częściowo są zainteresowani nabieraniem własnych obywateli za pomocą złudzenia, że mają jakiś głos w procesie rządzenia. Wszechobecne siły bezpieczeństwa i całkowite panowanie nad środkami masowego przekazu doskonale służą celom dyktatora. Na obecnym etapie niewielu ludzi w Rosji naprawdę wierzy, że ta wyborcza farsa to prawda. Sondáže służą również społeczności międzynarodowej i samym ustalonym z góry zwycięzcom.

Przypominam przytoczony wcześniej przykład żenującego – albo raczej bezwstydnego – telefonu Sarkozy’ego z „serdecznymi gratulacjami” dla Miedwiediewa po jego zwycięstwie w 2008 roku. Rosyjskie media szeroko trąbiły o tej rozmowie oraz innych panegirykach płynących z zagranicy – była to kolejna oznaka tego, jak ważna jest cała ta farsa dla Putina i jego sojuszników.

Chodzi tu oczywiście o coś więcej niż zaspokojenie własnego ego czy o zaproszenia na spotkania na szczycie. Rządząca oligarchia przechowuje swoje majątki za granicą, więc ochłodzenie ciepłych stosunków między przywódcami Rosji a Zachodem mogłoby stanowić zagrożenie dla tych aktywów wartych

niezliczone miliardy dolarów. Sarkozy agresywnie i z pewnym powodzeniem promował w Rosji francuskie firmy, na przykład Alcatel, Total i Renault. Biorąc to pod uwagę, można przypuszczać, że telefon od Sarkozy'ego mógł być jedną z najbardziej lukratywnych rozmów w dziejach.

A zatem nie, nie uważam się za byłego kandydata na prezydenta Rosji. To był protest przeciwko łamaniu praw obywatelskich, kampania budząca świadomość korupcji i sposób na to, by pomóc ludziom odkryć, jak to może być w prawdziwej demokracji. Nie można mówić o prawdziwych kandydatach, jeśli nie ma prawdziwej demokracji.

\*

„Jak to się dzieje, że jeszcze żyję? Kiedy naprawdę o tym pomyślę, to jest to cud”. Te słowa wypowiedziała Anna Politkowska, rosyjska dziennikarka śledcza, która przez wiele lat nieustraszenie zapuszczała się w najgłębsze otchłanie pustoszonej przez wojnę Czeczenii. Scena, w której wypowiada te pamiętne zdania, znalazła się w filmie dokumentalnym *Letter to Anna* nakręconym przez szwajcarskiego reżysera Erica Bergkrauta. Film miał premierę w Stanach Zjednoczonych 26 czerwca 2008 roku podczas Human Rights Watch Film Festival w Nowym Jorku. W naszej chronologii to dobry moment, by ponownie wspomnieć o jej pracy i odwadze. Była bez wątpienia w równej mierze bojowniczką i partyzantką co dziennikarką – i nie starała się tego ukrywać. Jej pasja sprawiała, że to, co robiła, było tym ważniejsze, tym bardziej niezapomniane.

Reportaże Politkowskiej na temat potworności dokonujących się w Czeczenii zwykle przybierały postać rozmów z rodzinami, które rozerwała wojna. Dziennikarka służyła również jako swego rodzaju spowiednik rosyjskim żołnierzom, nawet oficerom, którzy wstydzili się tego, czego w imieniu Rosji dokonywano w Czeczenii. Tego typu praca uczyniła z niej wroga numer jeden dla długiej listy potężnych ludzi i grup, o których brutalności mogliśmy się już wielokrotnie przekonać. Dlatego wiadomość o zamordowaniu tej czterdziestoletniej kobiety w październiku 2006 roku była potwornym wstrząsem, ale nie zaskoczeniem.

W trosce o obiektywizm przytaczam tu dwie opinie: jedną autora rodem z KGB, a drugą – pewnego sławnego dysydenta. Dwa dni po śmierci Politkowskiej prezydent Putin zapytany o nią na konferencji prasowej w Niemczech (a nie w Rosji, oczywiście, bo tam nigdy by nie pozwolono na zadanie takiego pytania) twierdził, że „swoją śmiercią wyrządziła władzom Rosji większą szkodę niż swoimi publikacjami”<sup>63</sup>. Z kolei były czeski prezydent Václav Havel stwierdził w marcu 2008 roku, podczas pokazu filmu o Politkowskiej, który zdobył w Pradze nagrodę: „Dobrze by było, żeby wielu ludzi mogło obejrzeć ten film. Zwłaszcza spośród tych polityków, którzy obcałowują się i obściskują z rosyjskimi politykami, prawie nieprzytomni od smrodu ropy i gazu!”<sup>64</sup>. Dotarcie do tego filmu może być trudne – znalazłem go na YouTube po niemiecku i po rosyjsku, ale nie udało mi się znaleźć wersji angielskiej – jednak zdecydowanie warto go poszukać. Ukazuje rzadki przebłysk wymarłego gatunku. Kiedy zabito Annę, niezależne dziennikarstwo w rodzaju tego, które ona uprawiała, w Rosji dawno już pogrzebano.

11 czerwca 2008 roku podczas Światowego Kongresu Rosyjskiej Prasy w Moskwie Miedwiediew przyrzekał „wspierać wolność mediów”. Coś się miało zmienić? Nic na to nie wskazywało. Miedwiediew trąbił o potrzebie „internetu w grażdance” oraz krytykował zamykanie rosyjskojęzycznych przedsiębiorstw prasowych i informacyjnych w byłych sowieckich republikach, gdzie miejscowe języki umacniały swoją pozycję po latach restrykcji epoki sowieckiej. Miedwiediew dodał również, że rosyjska telewizja jest „jedną z telewizji o najwyższej jakości na świecie”<sup>65</sup>.

W tamtym czasie paranoja Kremla dotycząca tego, kto i co pojawi się w rosyjskiej telewizji, osiągnęła nowy punkt kulminacyjny. Władimir Pozner, prezes Akademii Rosyjskiej Telewizji, przyznał, że jeśli chce kogoś gościć w swoim programie, przedstawia listę takich osób radzie nadzorczej opiniującej Pierwyj kanał (Program Pierwszy), która następnie informuje go, kogo może, a kogo nie może zapraszać. Rzecz jasna osoby takie jak Niemcow, Nawalny i ja sam nigdy nie pojawiły się w jego programie.

Oprócz wzrostu cen ropy o ponad 700 procent najważniejszą przyczynę tego, co

postrzegano jako sukces reżimu Putina, stanowiło podporządkowanie rosyjskiej prasy Kremlowi. Oligarchowie z lat dziewięćdziesiątych może i okradali Rosję za plecami jej obywateli, ale przynajmniej mogliśmy się o tym dowiedzieć dzięki mediom. Te czasy się skończyły i elitarny krąg oligarchów skupionych wokół Putina ma władzę i bogactwa, o jakich nie śniło się świecie Jelcyna. W 2000 roku, kiedy Putin przejął stery, na publikowanej przez magazyn „Forbes” liście największych miliarderów nie było Rosjan. Do roku 2005 znalazło się ich na niej już trzydziestu sześciu. W roku 2008 było osiemdziesięciu siedmiu, więcej niż Niemców i Japończyków razem wziętych – w państwie, w którym 13 procent naszych obywateli żyło poniżej krajowego progu ubóstwa wynoszącego sto pięćdziesiąt dolarów na miesiąc. Putin i jego obrońcy za granicą chełpili się rosnącym PKB Rosji, ale przypominało to podawanie średniej temperatury wszystkich pacjentów w szpitalu. Według danych z 2015 roku (nawet po roku zachodnich sankcji i spadających cen ropy) na liście „Forbesa”, która i tak nie obejmuje kilku najbliższych kumpli Putina, nadal jest osiemdziesięciu ośmiu rosyjskich miliarderów. Uważam za rzecz nie do pomyślenia, by taki człowiek jak Putin, który ma władzę nad życiem i śmiercią ponad osiemdziesięciu ośmiu miliarderów, sam nie był bogatszy od nich wszystkich. Pojawiające się od czasu do czasu przecieki na temat tajemniczych pałaców nad Morzem Czarnym i ogromnych przelewów na nieistniejące konta dodają kolejnych poszlak do twierdzenia, że obecnie Putin jest prawdopodobnie najbogatszym człowiekiem na świecie.

\*

25 października 2011 roku wygłaszałem prelekcję na temat Rosji w Heritage Foundation w Waszyngtonie. W tamtym czasie Gruzja doświadczała silnej presji ze strony Stanów Zjednoczonych i innych krajów, by zgodzić się na przystąpienie Rosji do Światowej Organizacji Handlu (World Trade Organization, WTO), pomimo że pod okupacją wojsk rosyjskich nadal znajdowały się dwie olbrzymie części suwerennego terytorium Gruzji, tak jak to było od najazdu w 2008 roku. Liczne głosy pojawiające się w mediach, a nawet część rządów różnych krajów wciąż nazywa

Abchazję i Osetię Południową „terytoriami spornymi”, a nie okupowanymi, ignorując to, że zostały one zabrane Gruzji przez Rosję przy użyciu sił zbrojnych.

Pomimo silnego nacisku (w postaci między innymi bojkotów ekonomicznych) ze strony Rosji po tamtym najeździe mała Gruzja pozostała pod rządami Saakaszwilego wyzywająco prodemokratyczna i prozachodnia. Mimo to nie było wątpliwości, że włączenie Rosji do Światowej Organizacji Handlu miało dla Europy i USA większe znaczenie niż obrona praw i terytorium jednego z sojuszników. Administracja Putina z lubością przechwalała się, jak udało jej się nie dopuścić do przyjęcia Gruzji i Ukrainy do NATO w okresie rządów George’a W. Busha, a członkostwo w WTO miało być kolejnym tego typu sukcesem.

W ramach swojego wystąpienia wyświetliłem slajd przedstawiający kilka teczek z etykietami w stylu akt KGB. Najpierw pokazałem teczkę operacji „Jukos” i operacji „Kadyrow”. Omówiliśmy już obszernie sprawę firmy Chodorkowskiego. Natomiast Ramzan Kadyrow to czeczeński watażka, który chwalił się, że pierwszego rosyjskiego żołnierza zabił, gdy miał piętnaście lat. W 2007 roku Putin powierzył mu władzę nad spustoszoną Czeczenią. Agenci Kadyrowa zabijali wrogów Putina w innych rosyjskich miastach, jak również na obcej ziemi <sup>66</sup>. To, co zrobił Putin z rosyjskim Kaukazem, trudno porównać z czymkolwiek innym na świecie. Nie interesuje go podejmowanie prób lepszego zintegrowania tych ludzi, którzy są przecież rosyjskimi obywatelami. Kadyrow wciąż sprawuje władzę w Czeczenii i stał się najbardziej lojalnym żołnierzem Putina. Przekonamy się jeszcze, jak długo będzie trwała ta lojalność, jeśli skończy się napływ pieniędzy z Moskwy.

Kolejnateczka nosiła etykietę „Operacja »Miedwiediew«”. Opisałem ją jako najskuteczniejszą ze wszystkich operacji Putina. Była to odmiana starej sowieckiej gry polegającej na tym, by pozwolić Zachodowi myśleć, że istnieje szansa na awans osób o umiarkowanych poglądach albo na ewentualny rozdzwitek w hierarchii. Wszyscy prześcigali się w domysłach, co też tam się dzieje na Kremlu, tracąc tylko czas i energię. Zgodne z przewidywaniami ogłoszenie przez Putina, że w 2012 roku będzie chciał odebrać prezydenturę, wyraźnie pokazało, że Miedwiediew nie był nigdy niczym więcej niż mistyfikacją (jak mówiło wielu z nas), że nie był nigdy

niczym więcej niż cieniem. Jednak Stany Zjednoczone straciły sporo czasu na próby wzmacniania wyimaginowanej „frakcji Miedwiediewa”, marząc o rozłamie między Putinem a Miedwiediewem i fantazjując o liberalnych reformach, mimo że wszelkie oznaki świadczyły o czymś dokładnie przeciwnym.

We wrześniu 2008 roku spotkałem się krótko z prezydentem Bushem w Nowym Jorku podczas lunchu, na którym gościł dysydentów z całego świata. Ostro krytykował wtedy Putina, ale było to tuż po sierpniowym najeździe Rosji na Gruzję, który w zgodnej opinii rozwścieczył Busha (także według jego własnych słów). W swoich pamiętnikach zatytułowanych *Kluczowe decyzje* Bush pisze: „Najbardziej obawiałem się tego, że Rosjanie pójdą aż do Tbilisi i obalą demokratycznie wybranego Saakaszwilego. Było jasne, że nie mogli pogodzić się z istnieniem demokratycznej Gruzji z prozachodnim prezydentem na czele. Zastanawiałem się, czy byliby tak agresywni, gdyby NATO zaakceptowało przyznanie Gruzji Planu Działań na Rzecz Członkostwa”<sup>67</sup>.

Odpowiedź prawie na pewno brzmi „nie”, choć nie za bardzo można się o tym przekonać, bo zachodni przywódcy konsekwentnie unikają nawet prób przeciwstawiania się Putinowi. A mimo to ten sam błąd powtórzono sześć lat później w odniesieniu do Ukrainy, czyli kolejnego państwa na czarnej liście Putina: Ukrainie w 2008 roku nie udało się uzyskać statusu kraju objętego Planem Działań na rzecz Członkostwa wskutek sprzeciwu ze strony Niemiec i Francji, które mówiły całkiem otwarcie, że ich postawa wynika z niechęci do irytowania Rosji. (A oto inna niezapomniana uwaga z książki Busha: „Podczas obiadu w Petersburgu w ramach grupy G8 większość przywódców kwestionowała postępowanie Putina w sprawie demokracji w Rosji, tylko Jacques Chirac tego nie zrobił, a nawet ogłosił, że Władimir wykonuje kawał dobrej roboty jako prezydent Rosji – i to nie nasza sprawa, w jaki sposób to robi”. Najwyraźniej francuski prezydent był większym entuzjastą *fraternité* niż *liberté*).

W dalszej części swojej książki Bush poświęca dość dużo miejsca agendzie wolności i różnym związanym z nią chwilom rozczarowania oraz satysfakcji. Tę część książki kończy słowami: „Podczas swojej prezydentury spotkałem się z ponad

setką dysydentów. Ich trudne położenie może wydawać się posępne, ale nie pozbawione nadziei. Jak powiedziałem w orędziu podczas drugiej inauguracji, agenda wolności wymaga »wytężonej pracy całych pokoleń«.

Tak, zdecydowanie tego wymaga, ale wszelka nadzieja na śmiałe amerykańskie wsparcie dla praw człowieka i demokracji za granicami zgasła raptownie wraz z ogłoszeniem wyników amerykańskich wyborów w 2008 roku.

---

59 Rozmowa redakcji „USA Today” z sekretarzem stanu Condoleeą Rice, 11 grudnia 2007, [\[link\]](#).

60 Wszystkie cytaty pochodzą z serii artykułów poświęconych Putinowi w sekcji *Person of the Year* w numerze „The Time” z 19 grudnia 2007 roku. Znalazł się wśród nich wywiad, w którym pytano Putina, dlaczego wybory w Rosji nie były bardziej otwarte i dlaczego mnie uwięziono. Oto zdumiewająca odpowiedź Putina: „Dlaczego pan Kasparow, kiedy został zatrzymany, mówił po angielsku, a nie po rosyjsku? Kiedy jakiś polityk zabiega o uwagę innych narodów niż własnego narodu rosyjskiego, to coś to znaczy”. Oczywiście w tamtym momencie zwracałem się po angielsku do zgromadzonych licznie zagranicznych reporterów, a wcześniej przemawiałem po rosyjsku.

61 *Adolf Hitler. 1938 TIME Man of the Year*, „The Time”, 2 stycznia 1939.

62 Cytaty z konkluzji prezydencji z nadzwyczajnego posiedzenia Rady Europejskiej na temat sytuacji w Gruzji, które odbyło się w Brukseli 1 września 2008 roku, [\[link\]](#).

63 Tę uwagę wypowiedział Putin do dziennikarzy w Niemczech 10 października 2006 roku, cztery dni po zamordowaniu Politkowskiej.

64 Václav Havel, cytowany powszechnie zaraz po tym wydarzeniu; jego wypowiedź została przytoczona w materiałach informacyjnych na temat filmu.

65 Wszystkie cytaty pochodzą z relacji prasowych przytaczających wypowiedzi Miedwiediewa podczas Światowego Kongresu Rosyjskiej Prasy w Moskwie 11 czerwca 2008 roku.

66 Zamordowanie w 2009 roku w Dubaju rywala Kadyrowa Sulima Jamadajewa wzbudziło największą sensację. Policja w Dubaju oskarżyła o to zabójstwo kuzyna Kadyrowa (i członka Dumy Państwowej). Brat Sulima Jamadajewa, Ruslan, został zabity w Moskwie w 2008 roku.

67 George W. Bush, *Kluczowe decyzje*, przeł. Patrycja Pietrzak, Wojciech Grzelczak, Warszawa 2011, s. 508 (kolejne cytaty: s. 506–507, 510).



## 9 | Odwaga fałszywej nadziei

Berlin to idealne miejsce dla amerykańskiego prezydenta, a także dla potencjalnego prezydenta, by przemawiać do świata na temat wolności i wspólnie wyznawanych wartości. Wizyta kandydata na prezydenta Baracka Obamy w Berlinie 24 lipca 2008 roku przywołała wspomnienia słynnych przemówień wygłoszonych w tym mieście przez jego rodaków: Johna F. Kennedy'ego i Ronalda Reagana, przemówień, które broniły zajmowanych pozycji, rzeczywistych i metaforycznych, przeciwko Związkowi Sowieckiemu i tyranii, jaką on stanowił w Europie Wschodniej. Mimo że linia wyznaczająca te pozycje, czyli mur berliński, oraz sam ZSRS obecnie już nie istnieją, dyktatury posiadające broń jądrową wciąż stanowią zagrożenie – a o tym amerykański senator w Berlinie nie wspomniał.

Sceneria dla berlińskiego występu Obamy została ustawiona już kilka tygodni wcześniej, kiedy senator z Illinois odrzucił propozycję swojego przeciwnika, senatora Johna McCaina, by wyrzucić Rosję i wykluczyć Chiny z grupy G8. Odpowiedź Obamy sugerowała, że z Rosją i Chinami zwyczajnie nie da się współpracować w kwestiach gospodarczych i związanych z nierozprzestrzenianiem broni jądrowej, jeśli jednocześnie staje się w obronie demokracji i praw człowieka.

Nie tylko jest to nieprawda, ale wielokrotnie dowiedziono, że prawdą jest twierdzenie dokładnie przeciwne. Do zawierania umów handlowych, kontroli zbrojeń i realizacji innych wzajemnie korzystnych projektów nie jest konieczna milcząca aprobatą dla dyktatury. Senator Obama opowiedział się za zaproszeniem Chin do wspólnego wypracowania „międzynarodowych zasad ruchu drogowego”. To ta sama pokrętna logika, która doprowadziła Organizację Narodów Zjednoczonych do włączenia Chin, Kuby, Rosji i Arabii Saudyjskiej do swojej Rady Praw Człowieka. Czy naprawdę chcemy żyć w świecie, w którym będą

obowiązywały zasady opracowane ze zgodą takich reżimów?

Podczas gdy Obama mówił, jak ważne jest uzyskanie pomocy ze strony Rosji dla powstrzymania nuklearnych ambicji Iranu, Agencja Reutera doniosła, że Teheran właśnie kupuje od Kremla zaawansowany raketowy system przeciwlotniczy S-300. Jeśli to był poziom współpracy, jaki osiągnął Zachód dzięki włączeniu Rosji do G8, to trudno sobie wyobrazić, czego obawiał się Obama w wypadku, gdyby trzeba było Rosję wyrzucić. Nieoczekiwane echo tamtych wydarzeń rozległo się całkiem niedawno, w kwietniu 2015 roku, kiedy ponownie usłyszeliśmy o irańskim programie nuklearnym i mających go chronić rosyjskich rakietach S-300. Niepokojące jest to, że Obama dziś już jako prezydent nie wydaje się tym ani trochę bardziej zaniepokojony niż w 2008 roku, gdy był dopiero kandydatem.

W Berlinie Obama ciągle wspominał o berlińskim moście powietrznym z 1948 roku. A w jednym z wcześniejszych wywiadów powiedział, że chciałby „wrócić do tego rodzaju polityki zagranicznej, która cechowała administrację Trumana z Marshalllem, Achesonem i Kennanem”<sup>68</sup>. To dziwna wypowiedź, ponieważ prezydent Truman, którego szanuję jako wielkiego bohatera, na wszystkich frontach świata walczył przeciwko oddawaniu komunistom choćby piędzi ziemi. Poza tym „człowiek z Missouri” psuł szyki nie komu innemu, tylko brutalnemu Józefowi Stalinowi, który nie krył się ze swoim pragnieniem globalnej dominacji. Truman nie tylko ocalił Berlin Zachodni, ale i Koreę Południową, i Tajwan, a również Europa Zachodnia wiele mu zawdzięcza. (W świetle obecnych wydarzeń warto także zauważyć, że Truman zmusił też Stalina do zakończenia sowieckiej okupacji Iranu w 1946 roku). A teraz zestawmy jego bezkompromisowość z poglądami doradców Obamy z kampanii: Madeleine Albright i Williama Perry’ego, którzy w administracji Billa Clintona byli sekretarzami odpowiednio: stanu i obrony. Oni również krytykowali propozycję McCaina, by reagować na łamanie praw człowieka przez wielkie mocarstwa czymś więcej niż gołosłownymi deklaracjami.

W tym samym berlińskim przemówieniu Obama pytał, czy Zachód będzie bronił „praw człowieka dysydentów w Birmie, blogera w Iranie albo wyborcy w Zimbabwie”. To godne pochwały wezwanie, ale co z więzieniem politycznym

w Chinach albo skazanym blogerem w Rosji? Zarówno Mugabe, jak i Miedwiediew doszli do władzy w wyniku jawnie sfałszowanych wyborów. Hipokryzja polegająca na potępianiu słabych dyktatur przy jednoczesnym braniu w objęcia tych silnych niszczy amerykańską i europejską wiarygodność i podkopuje każdą próbę stworzenia globalnego przywództwa; tak naprawdę wydaje się, że zachęca ona mniejsze państwa autokratyczne do stawiania sobie ambitniejszych celów. Wielcy przywódcy kształtują się jedynie wówczas, gdy podejmują wielkie wyzwania. Ci z nas, którzy żyli za żelazną kurtyną, byli wdzięczni Ronaldowi Reaganowi, że w 1987 roku nie pojechał do Berlina po to, by potępić brak wolności w – dajmy na to – Angoli.

Z wyjątkiem stanowiska Obamy w sprawie Iraku wypowiedzi kandydata głoszącego zmianę brzmiały w dużej mierze tak, jak gdyby utrwał destruktcyjne podwójne standardy administracji George'a W. Busha. Tymczasem konserwatywny podobno John McCain nie wydawał się przesadnie staromodny, kiedy proponował, że skoro coś się stłukło, to trzeba spróbować to naprawić. Danie Rosji i Chinom pełnej swobody działania w zakresie praw człowieka, byle zatrzymać te kraje „przy stole”, doprowadziło do dalszej pomocy zbrojeniowej i nuklearnej dla Iranu, do wejścia w posiadanie broni nuklearnej przez Koreę Północną oraz do tego, że i Rosja, i Chiny ingerowały w rozwiązanie tragicznych problemów Darfuru i Zimbabwe. Czy wszystko to i tak by się wydarzyło, gdyby Stany Zjednoczone i Europa zagroziły podjęciem znaczących kroków odwetowych? Tego nie wiemy, ale McCain przynajmniej chciał się przekonać.

W 2008 roku i dziś na Kremlu oraz w Ogólnochińskim Zgromadzeniu Przedstawicieli Ludowych zamiast komunistycznych ideologów rządzą machinacje kapitalistów i nacjonalistów. Nie stanowią namacalnego zagrożenia, przed jakim stali prezydenci Truman, Kennedy i Reagan. A mimo to Obama wciąż niechętnie odnosi się do perspektywy starcia się z wrogami demokracji dla obrony wartości, które tak przekonująco i głośno zachwala w swoich przemówieniach. Zimna wojna się skończyła, a demokracja stała się globalnym standardem nie dlatego, że zachodni przywódcy jedynie bronili swoich wartości, lecz dlatego, że agresywnie je promowali.

11 września 1858 roku inny polityk z Illinois, który wkrótce miał kandydować na prezydenta, Abraham Lincoln, powiedział: „Naszą bronią jest zachowanie tego ducha, który ceni wolność jako dziedzictwo wszystkich ludzi, we wszystkich krajach, wszędzie”<sup>69</sup>. Nie tam, gdzie to wygodne. Nie w państwach, w których nie ma wielkich rezerw surowców energetycznych i broni jądrowej. Wszędzie.

W Berlinie Obama największe brawa otrzymał po słowach, w których zasugerował, że za jego prezydentury zakończą się unilateralizm i militarne awanturnictwo epoki George’a W. Busha. W tym punkcie kampanii nikt nie wątpił, że Obama potrafi wygłaszać wspaniałe przemówienia. Jednak reakcje publiczności w Berlinie oraz amerykańskich wyborców jasno pokazały, że bardziej niż cokolwiek innego jest to wiec przeciwko Bushowi. W 2008 roku Amerykanie i reszta świata byli wyczerpani po dwóch długich kampaniach wojskowych w Afganistanie i Iraku; kampaniach, którym brakowało wyraźnego celu i widocznego punktu dojścia.

Trzeba uczciwie przyznać, że Obama reprezentował swoich wyborców. Nawet najbardziej niewzruszeni zwolennicy agendy wolności George’a W. Busha rozumieli, że ich sprawie poważnie zaszkodził nadzwyczajny koszt i czas trwania wojen w Afganistanie i Iraku oraz będących ich następstwem niekończących się procesów tworzenia państwa i zapewnienia jego bezpieczeństwa. Ludzki i finansowy kapitał Ameryki był na wyczerpaniu, ale – co nawet ważniejsze – podobnie wyczerpany był jej kapitał polityczny.

Pogłębiająca się katastrofa w Iraku odwróciła uwagę jedyne światowe supermocarstwa od jego szerszych celów i osłabiła Stany Zjednoczone politycznie, jak również militarnie. Wobec groźby, że władze amerykańskiego Kongresu popełnią ten sam błąd i nie dostrzegą, że Irak jest tylko jednym elementem całej układanki, czas było wrócić do podstaw planowania strategicznego.

Trzydzieści lat poświęconych zawodowemu uprawianiu szachów zaszczepiło we mnie przekonanie o tym, jak ważne jest, by nigdy nie tracić z oczu szerszej perspektywy. Zbyt wyłączone skupienie uwagi na jednej części szachownicy może szybko doprowadzić do załamania całej pozycji. Ameryka i jej sojusznicy byli tak skupieni na Iraku, że ustępowali pola na całej pozostałej części mapy świata. Korea

Północna zdobyła broń jądrową, w Ameryce Łacińskiej wybuchł wyścig zbrojeń, a petrodyktatury Iranu i Wenezueli kwitły dzięki rosnącym cenom ropy. W 2006 roku kryzys w Bagdadzie zepchnął na bok nawet mgliste cele wypowiedzianej przez prezydenta Busha zagadkowej wojny z terroryzmem.

Nadszedł czas, by uznać klęskę amerykańskiej polityki zagranicznej po 11 września. Być może uderzenia wyprzedzające i obalenie dyktatorów niekoniecznie były dobrym planem, ale przynajmniej były w ogóle jakimś planem. Jeśli się atakuje Irak, należy także uwzględnić możliwość, że trzeba będzie uderzyć i na Iran, i na Syrię. Niespójność to ten rodzaj strategicznej ułomności, którego niemal nigdy nie da się przewyciężyć. Stany Zjednoczone wplątały się w nadzorowanie irackiej wojny domowej, a jednocześnie w innych miejscach musiały bezradnie iść na ustępstwa. Ta tragiczna sytuacja była wynikiem jedynej rzeczy gorszej od złej strategii: nieumiejętności dostrzeżenia – albo przyznania przed samym sobą – że strategia zawiodła.

W ciągu czterech lat od rozpoczęcia w marcu 2003 roku amerykańskiej inwazji na Irak Korea Północna testowała broń jądrową. Iran otwarcie chwalił się swoim programem wzbogacania uranu, a jednocześnie pompował pieniądze w Hezbollah i Hamas. W Afganistanie narastał odradzający się ruch talibów. Prawie uchodząc powszechnej uwadze, Somalia zaczynała być bezpieczną przystanią dla Al-Kaidy. A co najgorsze, Ameryka zawodziła w zakresie swojej podstawowej misji – tej, która tkwi u podstaw wszystkich tych działań: by dbać o wzrost, a nie zmniejszanie bezpieczeństwa własnych obywateli.

Jak to często bywa, ziarna tej powszechnej katastrofy zasiano w trakcie jedyne prawdziwego sukcesu, jaki odniósł Zachód. Atak na talibów i Al-Kaidę w Afganistanie zakończył się tak wielkim powodzeniem w zakresie pierwotnego celu – rozgromienia Al-Kaidy i jej talibskich protektorów – że Stany Zjednoczone i ich sojusznicy nie zrozumieli wszystkich tego przyczyn. Prawie wszyscy gracze światowej sceny zyskali na ataku na Afganistan. Pogrom sunnickich talibów ucieszył Iran. Rosja i Chiny nie przepadały za religijnym ekstremizmem w pobliżu własnych granic. Indie z zadowoleniem patrzyły, jak USA przypuszczają bezpośredni atak na

muzułmańskich terrorystów. Tylko Pakistan został poddany uciążliwej presji, chociaż nawet tam prezydent Muszarraf potrafił na tyle dobrze grać na dwa fronty, by stworzyć wrażenie, że jest ważnym sojusznikiem dla Zachodu, a jednocześnie przepływ terrorystów i broni przez jego granice dokonywał się całkowicie swobodnie. Muszarraf udoskonalił sposób działania polegający na tym, by kreować siebie na ostatnią linię obrony przed ekstremistami dla uzyskania nietykalności własnej dyktatury – ten sam wybieg stosuje również wielu arabskich despotów.

Sukces w Afganistanie był wynikiem nie tylko spójnej opinii całego świata, której sprzyjało współczucie dla Stanów Zjednoczonych po 11 września, ale też tego, że złoczyńcy w tej konfrontacji byli bez wątpienia źli i wiedzieliśmy, gdzie się ukrywają. Jak pokazały późniejsze wydarzenia, skuteczne bombardowanie terrorystów zdarza się rzadko.

Państwa koalicji padły ofiarą tego, co nazywam „siłą przyciągania sukcesu z przeszłości”, brzemieniem własnych sukcesów. Uczenie się na podstawie porażek jest czymś oczywistym, ale zbyt często nie udaje nam się zdać sobie sprawy z przyczyn własnych sukcesów; traktujemy je jako oczywistość. Stany zaatakowały Irak nieświadome dużo większej trudności zadania, jakie miało czekać je tam po wojnie, nieświadome tego, jak to zadanie będzie się komplikować z powodu coraz bardziej wrogiego nastawienia świata do militarnego awanturnictwa Ameryki. To, co było stosunkowo proste w latach 1991–1992, okazało się dużo trudniejsze dwanaście lat później bez zgodnego światowego poparcia.

Jest to lekcja na temat inicjatywy. W szachach mówi się, że jeśli strona mająca inicjatywę – pozycję pozwalającą na nabranie impetu w ataku – nie wykorzystuje jej, to kontratak drugiej strony jest nieunikniony i będzie bardzo mocny. Wolny świat po upadku ZSRS miał przytłaczający impet pod każdym możliwym względem, zwłaszcza psychologicznym. Gdyby agenda promowania wolności George’a W. Busha istniała w latach 1992–1999, kiedy złoczyńcy byli już w rozsypce, przyniosłaby potężny pozytywny efekt.

W 2008 roku obietnice Obamy, że doprowadzi do powrotu amerykańskich wojsk do kraju i nigdzie ich nie będzie wysyłał, wyrażały jedynie to, co amerykańskie

społeczeństwo (a w każdym razie jego większość) chciało usłyszeć. Mówienie tego, co ludzie chcą słyszeć, to oczywiście niewielka część zakresu obowiązków polityka, ale współcześnie jest to tak naprawdę jedyny liczący się element zakresu obowiązków kandydata.

Bez wątplenia wybór Baracka Obamy na nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych miał realny wpływ na to, w jaki sposób wielu ludzi w pozostałych częściach świata postrzegało Amerykę. Obama reprezentował nowe pokolenie przywódców i bardzo różnił się od swoich poprzedników: zarówno wypowiedziami, jak i powierzchownością.

W Rosji największe zainteresowanie wzbudził wygląd Obamy – był to pierwszy czarnoskóry przywódca jakiegokolwiek światowego mocarstwa, a nie tylko Ameryki. Jego zwycięstwo wyznaczało koniec wciąż propagowanej przez wiele osób w Rosji wizji Ameryki, wykorzystywanej w ramach sztuczki zwanej *whataboutism*, opatentowanej przez Sowietów dla odpierania oskarżeń o represje. „No, ale w USA linczują Murzynów!” Prawie powszechnie, a nie tylko w Rosji, uważa się, że „w Ameryce bogaci biali protestanci i Żydzi wyzyskują czarnych i Latynosów”. Nagle stało się tak, jakby wszyscy zobaczyli, że Ziemia jest ponad wszelką wątpliwość okrągła.

Obama przez bardzo krótki czas miał szansę wykorzystać ciekawość i życzliwość świata. Kolejne kryzysy, jakie przed nami stanęły w 2008 roku, były zbyt duże, by nowy prezydent mógł się cieszyć długim okresem ochronnym.

Inną zaletą Obamy było po prostu to, że nie był George’em W. Bushem, który – po części słusznie, po części nie – zaczął symbolizować wszelkie możliwe problemy, jakie kiedykolwiek wiązały się z Ameryką, Amerykanami i amerykańską potęgą w świecie. Stereotypy dotyczące osoby Busha stanowiły zlepek cech przypisywanych sztampowo Amerykanom, cech, które znaczna część świata uwielbiała nienawidzić: bogaty, niezrozumiały, nieinteresujący się światem, natarczywie religijny i pochopny w działaniu. Obama rozsadzał te stereotypy, ale jak napisałem dzień po jego zwycięstwie nad McCainem: „Liczne żale świata do Busha szybko pojawią się u drzwi Obamy, jeśli nie uda mu się poprzeć swojej porywającej

retoryki zdecydowanym działaniem”<sup>70</sup>.

Obejmujący urząd prezydent miał przed sobą sprawy, które długo miały nie schodzić z pierwszych stron gazet: kryzys finansowy, Irak, Iran i Afganistan. Mimo to musiał znaleźć czas i odwagę, by zająć się pewnym posiadającym broń jądrową państwem autokratycznym, które kontrolowało znaczą część światowej ropy i gazu. W cytowanym artykule prosiłem nowego prezydenta, by „dał jasno do zrozumienia, że nie uważa rosyjskiego społeczeństwa za wroga Stanów Zjednoczonych”. Podobnie jak w większości państw autorytarnych reżim Putina nie reprezentuje interesów większości swoich obywateli. (Gdyby tak było, nie musiałby być autorytarny, by utrzymać się przy władzy). Kremlowska propaganda bardzo się stara przedstawiać Amerykę jako przeciwnika Rosji. Dzięki temu, że zaczynał od nowa, Obama miał okazję zadać cios temu wizerunkowi, wypowiadając się przeciwko naszemu dyktatorskiemu przywódcy w Rosji i stając po stronie ludzi uciskanych przez Putina.

Oczywiście z kontaktami Obamy z oficjalnym prezydentem Rosji Dmitrijem Miedwiediewem i prawdziwym przywódcą Rosji Władimirem Putinem wiązały się różne skomplikowane zagadnienia. Jednak zasadniczy wybór był prosty. Obama mógł traktować ich jak innych demokratycznych przywódców albo mógł być uczciwy. Mógł wykorzystać to, że otrzymał niemal siedemdziesiąt milionów głosów, podczas gdy Miedwiediew potrzebował tylko jednego – głosu Putina. Gdyby Obama od początku wyraźnie i otwarcie nazwał rządy Putina dyktaturą, mógł pomóc przynieść nadzieję i zmianę całkowicie innemu elektoratowi: stu czterdziestu dwóm milionom Rosjan.

Pierwszy międzynarodowy kryzys, na jaki Obama musiał odpowiedzieć, nadszedł w rzeczywistości parę miesięcy przed wyborami, kiedy w oderwanym od Gruzji regionie Osetii Południowej rosyjskim i wspieranym przez Rosjan wojskom w końcu udało się wywołać otwartą wojnę z Gruzją. Po wielomiesięcznych przygotowaniach do tego momentu rosyjskie okręty przeprowadziły blokadę gruzińskich portów, a rosyjskie wojska błyskawicznie wdarły się do Gruzji i zajęły kilka miast. Było to o wiele więcej niż – jak twierdził Kreml – działania



zmierzające do zaprowadzenia pokoju i wyglądało na to, że wojska rosyjskie mogą dotrzeć do samej gruzińskiej stolicy, Tbilisi.

Trudno było wyraźniej pokazać różnice między kandydatami, niż zrobiły to ich początkowe reakcje na użycie siły z 8 sierpnia 2008 roku. Obama potępił przemoc i apelował: „Teraz Gruzja i Rosja powinny okazać powściągliwość”. McCain: „Rosja powinna natychmiast i bezwarunkowo wstrzymać działania wojenne i wycofać wszystkie wojska z suwerennego terytorium Gruzji”. Po kłótni medialnej z powodu nieśmiałych komentarzy Obamy i po dodatkowych dowodach, że Rosja jest agresorem, kandydat demokratów w pośpiechu wydał nowe oświadczenie, poprawiając sformułowania i potępiając „agresywne działanie”<sup>71</sup> Rosji.

Różnice były radykalne, a miały jedynie się powiększać. Jak napisano 9 sierpnia w „Politico”: „Oświadczenie Obamy stawia go w jednej linii z Białym Domem, Unią Europejską, NATO i szeregiem europejskich mocarstw, podczas gdy już pierwsze oświadczenie McCaina [...] przybliżyło go do linii moralnej przejrzystości i amerykańskiego poczucia wyjątkowości propagowanej przez pierwszą kadencję prezydenta Busha”<sup>72</sup>.

Zaledwie dwa dni później było już jasne, że moralna przejrzystość McCaina była właściwa, a stanowisko Obamy żenujące – bez względu na to, jak bardzo stawiało go „w jednej linii” z innymi. Putin wydał podobne oświadczenia, wzywając obie strony do okazania powściągliwości i zaprzestania działań wojennych, podczas gdy jego wojska błyskawicznie wdarły się do Gruzji i zapewniły osłonę sojusznikom z Osetii Południowej, żeby mogli oczyścić ten region z rdzennych Gruzinów. 11 sierpnia obaj kandydaci wydali dłuższe oświadczenia. Tekst Obamy sprowadzał się w gruncie rzeczy do przyznania, że za pierwszym razem się pomylił, chociaż życzliwe media nie przedstawiły tego w ten sposób. Ale mimo że winą za eskalację przemocy obarczył Putina, w zakończeniu nie skupił się na tym, jaka powinna być w tym konflikcie rola Ameryki, lecz Rosji:

„Postawię sprawę jasno: dążymy do tego, by w przyszłości podejmować wspólne działania i utrzymywać kontakty z rosyjskimi władzami oraz żyć w przyjaźni z narodem rosyjskim. Chcemy, by Rosja odgrywała przysługującą jej

słusznie rolę wielkiego państwa, jednak z tą rolą wiąże się odpowiedzialność, by działać jako siła postępu w tym nowym stuleciu, a nie cofanie się do konfliktów przeszłości. Dlatego Stany Zjednoczone i społeczność międzynarodowa muszą wypowiedzieć się stanowczo przeciwko tej agresji, a na rzecz pokoju i bezpieczeństwa”.

Nie do wiary. I pamiętajmy, że to było to *surowsze* oświadczenie, które Obama wydał po tym, jak przez dwa dni dostawał cięgi za zbyt miękkość wobec Rosji. „Przysługująca Rosji słusznie rola wielkiego państwa”? Putin przejeżdżał czołgami przez europejskie państwo, a Obama na Hawajach mówił o dyktatorze z KGB, który ma działać jako siła postępu.

John McCain od dawna był zagorzałym zwolennikiem przechodzenia Gruzji ku prozachodniej demokracji podczas rewolucji róż w roku 2003 i po niej, kiedy Gruzini wybrali na prezydenta wykształconego w Stanach Zjednoczonych reformatora Micheila Saakaszwilego. W swoim dłuższym oświadczeniu z 11 sierpnia kandydat republikanów nie owijał w bawełnę, korzystając z okazji, by pokazać swoje kwalifikacje w polityce zagranicznej i wykorzystać gruziński konflikt do obnażenia naiwności kryjącej się za pojednawczym podejściem Obamy do polityki zagranicznej. McCain znakomicie ukazał Gruzję na tle szerszej perspektywy, która wyjaśnia, dlaczego Stany Zjednoczone powinny się zajmować tym państwkiem na Kaukazie:

„Konsekwencje rosyjskich działań wykraczają daleko poza to, że są zagrożeniem dla integralności terytorialnej i niepodległości demokratycznej Gruzji. Rosja stosuje przemoc przeciwko Gruzji częściowo w tym celu, by zastraszyć innych swoich sąsiadów, na przykład Ukrainę, decydujących się obrać kurs na Zachód i wyznawać zachodnie wartości polityczne i ekonomiczne. W związku z tym los Gruzji powinien bardzo obchodzić Amerykanów i wszystkich ludzi, którzy z radością powitali koniec podzielonej Europy i niepodległość byłych sowieckich republik”<sup>73</sup>.

McCain również właściwie zdiagnozował rosyjski najazd jako konsekwencję zachodniego niezdecydowania: „Decyzja NATO, by wstrzymać Plan Działań na rzecz Członkostwa dla Gruzji, mogła zostać przez Rosję uznana za zielone światło

dla atakowania Gruzji, dlatego zachęcam sojuszników z NATO do ponownego rozważenia tej decyzji”. McCain z mocą zakończył swoje oświadczenie: „Musimy przypomnieć rosyjskim przywódcom, że przywileje, jakimi się cieszą, będąc częścią cywilizowanego świata, wymagają od nich poszanowania wartości, stabilności i pokoju świata. Historia świata często jest pisana w odległych, mało znanych państwach. Dziś jest pisana w Gruzji. Na krajach pierwszoplanowych spoczywa odpowiedzialność za to, by ta historia nadal była zapisem postępu ludzkości na drodze ku szanowaniu wartości i bezpieczeństwa wolnych obywateli”.

Czy ktokolwiek może czytać te wypowiedzi i nie wierzyć, że świat byłby dziś bezpieczniejszym, bardziej demokratycznym miejscem, gdyby trzy miesiące później wybrano Johna McCaina? Albo czy może wątpić, że ewidentna nieśmiałość Obamy ośmieliła Putina do zaatakowania Ukrainy? Oczywiście nie sposób się tego dowiedzieć, byłbym jednak gotów założyć się o wszystko, że we wszechświecie, w którym McCain byłby prezydentem, Putin nie najechałby na Ukrainę. W Stanach Zjednoczonych McCaina przedstawia się często jako podżegacza wojennego, ale nawoływania do przyjaźni nie powstrzymują takich ludzi jak Władimir Putin, tylko ich ośmielają. To prawdziwa tragedia: tysiące Ukraińców, jak również liczni Rosjanie cierpią dziś dlatego, że administracja Obamy tego nie wiedziała.

\*

Obama również oblał jako prezydent swój pierwszy test w kategorii „telefon o trzeciej rano”, kiedy w czerwcu 2009 roku obywatele Islamskiej Republiki Iranu wysypali się w proteście na ulice, a uczestnicy „zielonej rewolucji” ryzykowali życie w obronie oddanych głosów. Była to niezwykła chwila. Putin i inni członkowie „osi despotów” pilnie śledzili wydarzenia w Iranie i zachodne reakcje. Chcieli wiedzieć, czy użycie śmiertelnej broni przeciwko pokojowym demonstrantom spotka się z jakąś znaczącą karą. O dziwo, europejscy przywódcy wykazali niezwykłą asertywność i surowo potępiли działania reżimu w Iranie, podczas gdy początkowa reakcja z drugiej strony Atlantyku nie była obiecująca.

Dopiero w drugim oświadczeniu, po tygodniu od początku irańskiego powstania,

prezydent Obama dał wyraz temu, że zdaje sobie sprawę z tego, jak ważne jest, by ująć się za sprawiedliwością i niestosowaniem przemocy, nawet jeśli odmówił bezpośredniego wyrażenia poparcia dla tysięcy Irańczyków, którzy ryzykowali życie, by bronić swoich ideałów. Rozumiałem niechęć Obamy wobec dostarczania irańskiemu reżimowi okazji do przypięcia protestującym łatki amerykańskiego poparcia. Jednak czy przywódca wolnego świata nie mógł znaleźć groźniej brzmiących słów niż te o „świadectwie”, kiedy było oczywiste, że ajatollah Chamenei oraz Mahmud Ahmadineżad ani trochę się nie przejmują, czy ktoś patrzy im na ręce?

Skrajnej ostrożności Obamy bronili między innymi senator Richard Lugar i Fareed Zakaria na antenie CNN. Zakaria porównał nawet tę sytuację do nieśmiałej reakcji George’a H.W. Busha na nieuchronnie zbliżający się w 1989 roku upadek ZSRS i utratę sowieckiej kontroli nad Europą Wschodnią. Jednak czy kiedykolwiek jakaś dyktatura użyła siły w odwecie za publicznie wygłoszone uwagi jakiegoś obcego przywódcy? Dyktatorzy dokonują swoich kalkulacji, wążąc własne siły i możliwe konsekwencje ich użycia, a nie na podstawie pretensji i sprzeczek między politykami. Prezydent Eisenhower w 1956 roku nic nie powiedział i z pewnością nie powstrzymało to sowieckich czołgów, które wjeżdżały do Budapesztu. W 1968 roku też nie powiedziano za wiele i brutalna sowiecka rozprawa z Czechosłowacją nie przestała zbierać swojego krwawego żniwa. Bez względu na to, co by powiedział Obama czy ktokolwiek inny, irański reżim użyłby całej siły, jaką dysponował, by zachować władzę.

7 lipca 2009 roku Obama wygłosił przemówienie w New Economics School w Moskwie. Było to oczywiście bardzo dobre przemówienie. Poza naturalnymi uzdolnieniami w tym zakresie Obama miał w swoim zespole kilku znających się na tematyce rosyjskiej łebskich pomocników, między innymi przyszłego ambasadora w Rosji Mike’a McFaula, którego znałem już wcześniej od kilku lat i darzyłem go szacunkiem za jego poparcie dla kolorowych rewolucji.

Przemówienie Obamy było mocne i niosło konsekwentne przesłanie. Podczas konferencji prasowej po spotkaniu z Obamą, w którym brałem udział wraz z innymi

przywódcami opozycji, powiedziałem, że to przemówienie zawierało „mniej, niż potrzebujemy, ale więcej, niż oczekiwaliśmy”. Obama wielokrotnie powtarzał, że tym, co ważne w stosunkach między Ameryką a Rosją, są kontakty między ludźmi, a nie ich reżimami – i były to dokładnie te słowa, na które liczyłem. Obama otworzył bezpośrednie linie łączności, zamiast posługiwać się tylko oficjalnymi kremlofskimi kanałami.

Idealnie byłoby oczywiście, gdyby podał konkretne nazwiska. Obama kilkakrotnie wypowiedział się w zdecydowany sposób na temat klęski totalitaryzmu i wskazał demokrację jako rozwiązanie; faktycznie wygłaszane przez niego stwierdzenia na temat Rosji Putina były dużo mocniejsze niż cokolwiek, co słyszeliśmy od dwóch poprzednich amerykańskich administracji. Jednak unikał krytykowania dokonań Putina i Miedwiediewa, architektów i strażników naszego dyktatorskiego systemu. Oczywiście jako ich gość w Rosji raczej nie mógł obrażać swoich gospodarzy, ale wystarczyłaby uwaga na temat antydemokratycznego trendu minionych dziewięciu lat. Obama nie wspominał też o Michaile Chodorkowskim, którego uwięzienie przez Putina i dalsze przetrzymywanie w więzieniu przez Miedwiediewa stanowiło przykład wszystkiego tego, co amerykański przywódca krytykował w państwach autorytarnych.

Jednak z drugiej strony Obama nie poszedł też na żadne ustępstwa, czym mi zaimponował, a prawdopodobnie zaskoczył tym Putina, który spodziewał się pewnie, że młody nowy amerykański prezydent będzie chętny do układów, by móc pochwalić się w kraju wielkim sukcesem swojej rosyjskiej wizyty. Obama zaskoczył również część republikanów w Stanach Zjednoczonych. Przed jego podróżą kilku członków obozu konserwatystów napisało do niego list otwarty z zaleceniami, by: nie łączył kwestii tarczy antyrakietowej z redukcją broni jądrowej, bronił praw Ukrainy i Gruzji oraz spotkał się z opozycją. Na ile mogę to ocenić, Obama wywiązał się z nich wszystkich.

W oświadczeniu, które wygłosiłem w obecności Obamy podczas tego spotkania, podkreślałem, że wszelkie domysły na temat struktury władzy w Rosji są w tym momencie czystą stratą czasu, a ważne jest jedynie to, że nie ma ona nic wspólnego

z demokracją.

Dalej mówiłem: „Rosyjska konstytucja opisuje trzy rodzaje władzy. Niestety, wszystkie trzy mieszczą się obecnie między ścianami gabinetu pana Putina. Prezydent Miedwiediew dużo mówi o liberalizacji, ale mogę powiedzieć tylko tyle, że to czcze słowa. W ciągu ostatniego roku nie widzieliśmy żadnych istotnych zmian polityki, które wskazywałyby na nowy kierunek”.

Na koniec – naśladując zwyczaj Reagana z jego spotkań z sowieckimi przywódcami, tyle że niejako w lustrzanym odbiciu – wręczyłem amerykańskiemu prezydentowi listę rosyjskich ofiar państwowych represji. Jednak nie miałem złudzeń, że może Obama rzuci ją Putinowi na biurko.

\*

Rosjanie – podobnie jak wkrótce wielu Amerykanów – szybko poczuli rozczarowanie po wspaniałym przemówieniu Obamy. Silna retoryka na temat demokracji i wspólnych wartości wyblakła, przybierając postać biurokratycznego bełkotu, który we wcześniejszym okresie tego samego roku towarzyszył pełnemu gaf spotkaniu sekretarz stanu Hillary Clinton z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych Siergiejem Ławrowem na temat „resetu”.

By przytoczyć tylko jeden przykład: 27 stycznia 2010 roku w Waszyngtonie miało miejsce pierwsze spotkanie grupy roboczej, jak to szumnie nazwano, do spraw społeczeństwa obywatelskiego w ramach Amerykańsko-Rosyjskiej Dwustronnej Komisji Prezydenckiej. Współprzewodniczącym grupy został zastępca szefa kancelarii rosyjskiego prezydenta Władisław Surkow – pomimo listu protestacyjnego podpisanego przez siedemdziesięciu jeden członków amerykańskiego Kongresu wskazującego, że Surkow był „jedną z osób stojących za objęciem przez Rosję kursu na autorytaryzm”. List zawierał również skierowaną do prezydenta Obamy zachętę do bojkotowania spotkań grupy roboczej do czasu zastąpienia Surkowa, najlepiej przez kogoś, kto nie poświęcił całej dotychczasowej kariery zawodowej aktywnemu niszczeniu tego rodzaju społeczeństwa obywatelskiego, jakie miała wspierać grupa robocza.

Inny potencjalnie kłopotliwy aspekt waszyngtońskiego spotkania wiązał się z ogłoszeniem przez szefa organizacji zajmującej się ujawnianiem korupcji Transparency International, że w ostatnim rankingu Rosja zajęła sto czterdzieste szóste miejsce wśród stu osiemdziesięciu państw znajdujących się na liście, między Kenią a Sierra Leone, tym samym plasując się na zdecydowanie najniższej pozycji spośród czołowych państw uprzemysłowionych. Jednak Surkow i jego rodzina na Kremlu nie poczuli się zażenowani. Możliwe nawet, że uznali ten ranking za formę docenienia tego, jak daleko udało im się sprowadzić Rosję ze ścieżki praworządności za rządów Władimira Putina.

To, że ta bezowocna grupa robocza w ogóle się zebrała, pokazywało, że administracja Obamy przedkłada formę nad funkcję. Lipcowe przemówienie amerykańskiego prezydenta w Rosji wzmogło oczekiwania, że jego administracja przyjrzy się brutalnym poczynaniom Kremla w kraju oraz naruszeniom za granicą i spróbuje sprzymierzyć się z nękanym rosyjskim społeczeństwem zamiast z naszymi represyjnymi władzami. Jednak zamiast wyraźnie wyrysowanych granic dostaliśmy słowa rzucane na wiatr i dziesiątki tego typu komisji ustanawianych z inicjatywy amerykańskiego prezydenta, a każda była bardziej żałosna i chyląca się ku upadkowi niż poprzednia. Ta konkretna, mająca zajmować się społeczeństwem obywatelskim, była po prostu uwłaczająca.

Urzednicy Putina z radością jeździli do światowych stolic i byli traktowani jak równi, zamiast słyszeć gromy sypiące się na ich głowy za fałszowanie wyborów i wstydzic się z powodu wydłużającej się listy martwych przedstawicieli rosyjskiej opozycji. Ale dlaczego Stany Zjednoczone pomagały uprawomocnić ten proceder i uwiarygodniały tych ludzi, zasiadając z nimi do stołu?

Tymczasem zaledwie tydzień wcześniej powołany przez rosyjskiego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa zespół doradców opublikował raport pełen wspaniałych pomysłów na liberalizację. Choć brzmiało to bardzo pozytywnie, szef instytutu Igor Jurgens przyznał później w jednym z wywiadów, że ostatecznie „Putin podejmie taką decyzję, jaką będzie chciał”, i że „wolne wybory są dziś w Rosji niemożliwe, ponieważ rosyjskie społeczeństwo jest politycznie nieświadome, bierne i nie lubi

demokracji”. Dlatego w jego opinii „pan Putin i pan Miedwiediew powinni zdecydować”<sup>74</sup>, kto ma być prezydentem! Był to pomysł na „trwałe społeczeństwo obywatelskie” autorstwa Surkowa: Pinochet z doktoratem z prawa.

Te śmieszne komisje dowodziły tylko, że administracja Obamy zaangażowała się w kampanię mającą przekonywać ludzi, że ich problemy da się rozwiązać i że w końcu jakoś się rozwiążą – zamiast faktycznie podjąć kroki konieczne do ich rozwiązania. Ten sam schemat miał zdominować politykę zagraniczną Obamy. To prawda, że robienie tego, co trzeba, bywa niewdzięcznym zadaniem, a mówienie prawdy nie zawsze dobrze przekłada się na sondaże. Jednak od obietnic są kandydaci. Przywódcy są od ich spełniania.

\*

Może i Ameryka jest jedynym światowym supermocarstwem, ale skoro często mówi się, że Rosja to problem Europy, sprawdźmy, jak Europejczycy sobie z nim radzili, kiedy na wszystkich frontach Obama był zajęty wycofywaniem się. Na początku 2011 roku poproszono mnie o napisanie tekstu do mającego ukazać się w Europie zbiorowego opracowania poświęconego tematowi: „Rosja w Europie – partnerzy czy rywale?”. Byłem niemal skłonny pomyśleć, że to żart, ale jest to dobry przykład okłamywania samego siebie i autodestrukcyjnego stanu umysłu, w jakim znajdowała się uwięziona Europa w tamtym czasie, jeśli chodzi o Rosję.

W sierpniu 2008 roku rosyjskie czołgi przekroczyły granicę państwową Gruzji i zimny dreszcz przeszedł po zbiorowym kręgosłupie Europy, zwłaszcza byłych krajów bloku sowieckiego. Zaledwie miesiąc wcześniej, kiedy ogłoszono amerykański plan obrony antybalistycznej, Rosja zagroziła, że będzie musiała „zareagować środkami militarno-technicznymi” przeciwko Polsce i Czechom, włącznie z wycelowaniem w te państwa broni jądrowej. W styczniu 2009 roku Rosja odcięła dostawy gazu ziemnego do setek tysięcy ludzi w połowie państw Europy. Niedźwiedź wrócił – i wrócił głodny.

Pamiętając o tych bardzo niedawnych wydarzeniach, miałem wrażenie, że pytanie zaproponowane przez redakcję jako tytuł tekstu jest niedorzeczne. Przez



partnera rozumiemy zwykle kogoś, z kim łączą nas wspólne interesy, a może wręcz przyjaźń czy sympatia, kto idzie z nami ramię w ramię w doli i niedoli. Tymczasem przez ponad dziesięć lat reżim Putina rządzący na Kremlu – i rządzący do dziś, gdyby ktoś miał co do tego jakieś wątpliwości – raz za razem zajmował otwarcie przeciwne stanowisko w stosunku do Europy i reszty zachodniego świata. Jednakże w 2011 roku najskuteczniejszą bronią Kremla były banki, a nie czołgi. Zalew pieniędzy płynących z Rosji zaczynał podbijać więcej Europy, niż to się kiedykolwiek udało najbardziej przerażającym dyktatorom dwudziestego wieku.

Przez niemal całą dekadę większość europejskich przywódców udawała, że może prowadzić interesy z Rosją, a jednocześnie bez przekonania protestowała przeciwko niszczeniu przez Putina naszych delikatnych demokratycznych instytucji i frontalnemu atakowi na prawa człowieka. Inni przywódcy zwyczajnie zrezygnowali nawet z hipokryzji i ściskali się z „silnym” i „popularnym” Putinem w nadziei na zawarcie dalszych korzystnych umów. Ten faustowski układ bogacił wąski krąg elit zarówno w Europie, jak i w Rosji, podczas gdy Putin konsekwentnie przekształcał Rosję w państwo policyjne według wzorców KGB.

Następnie zmiany, do jakich od końca 2010 roku doszło w wyniku arabskiej wiosny, przyniosły Putinowi dalsze dobre wieści dotyczące wielu frontów. Najpierw powiedzmy o tym, który był oczywisty: wzrost ceny ropy zawsze jest najważniejszym z priorytetów Kremla. Po wielu latach nadziei na izraelskie uderzenie wojskowe na Iran, które spowodowałoby skok ceny ropy do 200 dolarów za baryłkę, teraz po cichu świętowano arabskie powstanie, bo Putin spodziewał się, że jego wynikiem będzie ta sama docelowa cena. Być może wstrzymanie się od głosu w Radzie Bezpieczeństwa ONZ w sprawie podjęcia działań zbrojnych nie przysłużyło się za bardzo interesom Rosji w Libii, ale przysłużyło się za to bardzo finansowym interesom rosyjskiej junty rządzącej.

Innym jasnym punktem dla Kremla była nieprzekonująca reakcja Zachodu, kiedy Saudyjczycy wysłali wojska do Bahrajnu, by pomóc stłumić bunt, do jakiego doszło tam w marcu 2011 roku. Zaledwie kilka dni po spotkaniu sekretarza obrony Obamy Roberta Gatesa z bahrajńskim monarchą zaczęto strzelać z bliskiej odległości do

nieuzbrojonych protestujących. Stany Zjednoczone w końcu potępiły użycie przemocy, a sekretarz stanu Hillary Clinton uprzejmie poprosiła, by reżimy z Zatoki, które Stany Zjednoczone zaopatrują w broń i wspierają, „okazały powściągliwość” w gromieniu pokojowych protestów.

Parlament Europejski spisał się odrobinę lepiej, potępiając brutalne represje wobec demonstrantów, jednak uczynił to w formie pozbawionej jakiejkolwiek mocy rezolucji, nie wspominając o żadnych sankcjach czy innych działaniach. Putin od dawna był ciekaw, jak daleko może się posunąć w zakresie represjonowania wewnętrznej opozycji bez wywoływania znaczących gwałtownych reakcji. W 2011 roku dowiedział się, że nie ma absolutnie żadnych ograniczeń, a użycie ostrej amunicji przeciwko rosyjskim demonstrantom jest opcją jak najbardziej realną.

Zachodnia interwencja w czasie libijskiej wojny domowej była też ciekawą lekcją dla innych bandyckich reżimów. Iran dowiedział się: „Spieszcie się!”. Kaddafi wiele lat temu zrezygnował publicznie ze swoich nuklearnych ambicji, ku wielkiemu uznaniu całego świata. Tymczasem Kim Dzong Il mógł zabijać tysiące ludzi, robić, co mu się żywnie podoba, i pozostawał nietykalny, ponieważ Korea Północna zignorowała dochodzące z całego świata wołania: „To niedopuszczalne!”, i detonowała jedno po drugim swoje nuklearne szamba.

W słynnej powieści Johna Le Carrégo *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg* szef siatki szpiegowskiej George Smiley przestrzega swojego agenta przed wchodzeniem w układy z KGB: „Kłopot może zacząć się wtedy, gdy się okaże, że przekazywałeś Poliakovowi największe skarby w zamian za rosyjskie śmieci”<sup>75</sup>. Największe skarby Zachodu to demokracja, prawa człowieka i przejrzystość. Przymilając się Putinowi, Europa zdradziła te święte niegdyś umowy w zamian za śmieci w postaci ropy, gazu i wszystkiego innego, poczynając od samochodów, a kończąc na klubach piłkarskich.

Już słyszę, jak mówią tak zwani pragmatycy: „Ale zaraz – ropa i gaz to raczej nie drobiażdżki, a poza tym czyż nawiązywanie relacji gospodarczych nie jest najlepszym sposobem, by poprawić Rosjanom standard życia, a ostatecznie również stan rosyjskiej polityki?”. Ten tok rozumowania został już wielokrotnie

zdiskredytowany i dziś jest sprawą oczywistą, że ci, którzy go stosują, robią to tylko po to, by uniknąć przyznania, że nie mają odwagi przeciwstawić się dyktatorowi. Ja jednak po raz kolejny pokażę, dlaczego to rozumowanie jest bezpodstawne.

Po pierwsze, o ile Kreml pokazał, że jest gotów zamrozić niewinnych ludzi na śmierć z powodu sporu o jakiś punkt umowy, o tyle Rosja równie bardzo potrzebuje europejskich konsumentów, jak Europa potrzebuje ropy i gazu. Rurociągi biegną tędy, któredy je ułożono, i nie da się zmienić ich biegu. Najważniejszy alternatywny odbiorca, Chiny, zawarł już bardzo korzystne długoterminowe umowy na tanie rosyjskie surowce energetyczne, wobec tego sprzedaż na tamten rynek nie jest ani trochę równie rentowna jak sprzedaż do Europy. Putin i jego kumple wiedzą, że dogodna chwila, by napchać sobie kieszenie pieniędzmi, nie będzie trwała wiecznie, więc nie zamierzają ryzykować swojego najdroższego przyływu gotówki – ale też nie muszą niczego ryzykować, skoro europejscy przywódcy z góry się poddają.

Jeśli chodzi o drugą część argumentu, to już samo określenie „nawiązywanie relacji gospodarczych” powinno dziś wywoływać odczucie goryczy w ustach każdego, komu szczerze zależy na wspieraniu praw człowieka. Rosyjskie elity niezwykle skorzystały na zawrotnym wzroście ceny ropy, a przemysł został skonsolidowany w rękach oligarchów lojalnych wobec Putina. Państwa autokratyczne dzielą się zyskami z kontaktów handlowych tylko w tej mierze, w jakiej to konieczne do uniknięcia masowych niepokojów społecznych. Kiedy dyktatorzy inwestują pieniądze, których nie kradną, we własne państwo, wówczas te pieniądze idą na siły bezpieczeństwa i machinę propagandową, a nie na liberalizację społeczeństwa obywatelskiego.

Prawdziwy skutek nawiązywania relacji gospodarczych był odwrotny do tego, o którym mówią ich obrońcy, a mianowicie był nim eksport korupcji z Rosji do jej „partnerów” w wolnym świecie. Wszystkie te pieniądze płynące ze sprzedaży ropy przydawały się również za granicą, kupując szacunek tam, gdzie nie dało się na niego zasłużyć. Zimowe igrzyska olimpijskie zostały kupione dla ukochanego miasta Putina – Soczi. Koszmar związany z zapewnieniem bezpieczeństwa oraz katastrofa dla środowiska naturalnego, które pociągało za sobą organizowanie takiej imprezy

w położonym na Kaukazie małym kurorcie o podzwrotnikowym klimacie, jakoś umknęły uwadze słynących z sokolego wzroku ekspertów z zespołów oceniających Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego. Potem na liście zakupowej Putina odhaczono mistrzostwa świata w piłce nożnej, chociaż trudno powiedzieć, po której stronie sytuacja była mniej przejrzysta: na Kremlu czy w FIFA.

W rozdziale ósmym nie używałem słowa „mafia” przypadkowo. Jest to po prostu właściwszy sposób określenia reżimu Putina niż tradycyjne terminy polityczne. Szef to człowiek, który potrafi zapewnić ochronę, który potrafi wchodzić w układy z władzami i dbać o napływ pieniędzy. W tak zarysowanej sytuacji Europa i Ameryka są władzami, jedynymi, które mogą przeciwstawić się mafii. Jednak szef, Putin, ma je w kieszeni i dopóki będzie dbał o napływ pieniędzy, zostanie na swoim miejscu.

Można ewentualnie wspomnieć jeszcze o podejmowanej gdzieniegdzie na Zachodzie próbie wskrzeszenia dawnej dyscypliny, kremlinologii, polegającej na snuciu domysłów na temat równowagi władzy między Miedwiediewem a Putinem. Tak naprawdę strategię się nie zmieniły – mimo nowych tabliczek z nazwiskami na drzwiach gabinetów. W czasie prezydentury Miedwiediewa ani razu nie pojawił się najdrobniejszy znak liberalizacji, której oczekiwali nawet niektórzy naiwni Rosjanie.

Gwóźdź do trumny mitu liberalizacji wbił młotek moskiewskiego sędziego w grudniu 2010 roku na zakończenie drugiego procesu Michaiła Chodorkowskiego. W styczniu 2011 roku w Moskwie uwięziono jeszcze więcej protestujących za udział w wiecu w obronie... wolności zgromadzeń. Wśród zatrzymanych znalazł się były wicepremier Jelcyna Boris Niemcow. Wiec był elementem Strategii 31, w ramach której w ostatnim dniu każdego miesiąca liczącego 31 dni organizowano uzgodnione z władzami wydarzenia mające wyrażać protest wobec niechęci rządu Putina do przyznania obywatelom praw, o których bardzo jasno mówi nasza konstytucja.

Jedynym europejskim niezłomnym krajem, który wydawał się zachować odrobinę kręgosłupa, była Wielka Brytania, jednak nowy rząd torysów z dziwną łatwością puszczał złe rzeczy w niepamięć. Pierwszy wypadek międzynarodowego terroryzmu

nuklearnego, zamordowanie w listopadzie 2006 roku brytyjskiego obywatela Aleksandra Litwinienki przy użyciu radioaktywnego izotopu polonu 210, ochłodził stosunki między Wielką Brytanią a rządem rosyjskim, który szybko dał schronienie głównemu podejrzanemu o zabójstwo. W 2008 roku dyrektor naczelny spółki typu joint venture TNK-BP, powstałej z połączenia sztandarowych spółek rosyjskiej i brytyjskiej, uciekł z Rosji po upokarzającej klęsce w bitwie o władzę w firmie.

Ten sam człowiek, Robert Dudley, został następnie dyrektorem generalnym British Petroleum. Zaledwie parę tygodni po ogłoszeniu wyroku w sprawie Chodorkowskiego Dudley w otoczeniu przedstawicieli nowego rządu Camerona z dumą ogłosił wymianę akcji i zawarcie umowy w sprawie badań arktycznych z Rosnieftem. Być może był to tylko okrutny przypadek, że te wydarzenia zbiegły się w czasie, ale Rosnieft jest tym rosyjskim przedsiębiorstwem państwowym, które po uwięzieniu Chodorkowskiego skorzystało na przejęciu należącej do niego firmy Jukos i zagarnięciu jej majątku. Stąd już tylko krok, by zaryzykować twierdzenie, że wobec tego BP weszło w posiadanie majątku pochodzącego z kradzieży. Jednak żywa gotówka oczyszcza z licznych grzechów.

Trudno orzec, czy BP tak ochoczo przymilało się Kremlowi dlatego, że spółka przechodziła akurat bardzo trudny okres po drugiej stronie Atlantyku, gdzie były dyrektor generalny Tony Hayward znalazł się pod pręgierzem opinii publicznej z powodu potężnego wycieku ropy u wybrzeży Luizjany. Amerykanie przynajmniej przyjrzeni się uważnie umowie BP-Rosnieft, a kongresmen Ed Markey znacząco rozwijał skrótowiec BP jako „Bolszój Petroleum”<sup>76</sup>. Tymczasem Gazprom i Shell ogłosiły alians w dziedzinie badań. Tylko czekałem, aż dumny z siebie David Cameron wróci z Moskwy, wymachując plikiem umów i ogłaszając: „Przywożę wam zysk!”.

Europie zawsze łatwo przychodziło krytykować Alaksandra Łukaszenkę, który zasłynął jako „ostatni dyktator Europy”, co musiało wywołać szczerzy śmiech na Kremlu. Wśród dokonań Łukaszenki w zakresie represji raczej nie znajdziemy takich, których powstydziliby się Władimir Putin, podejrzewam jednak, że dla całościowego wizerunku znaczące są także takie elementy, jak potężne zasoby ropy,

gazu i gotówki. Być może gdyby w pobliżu Mińska odkryto jakieś wielkie złożę ropy, Łukaszenkę również zapraszano by tak jak Putina do wspólnego karaoke z hollywoodzkimi gwiazdami i na przyjęcia z Silviem Berlusconiem.

Nie jest rzeczą niemożliwą wyobrazić sobie Europę jako równego partnera Rosji, a nie tylko jako zło konieczne. Wprawdzie nie stanie się to nigdy, póki Putin pozostaje u władzy, jednak europejscy przywódcy mogą na wiele sposobów zarówno przeciwstawiać się Kremlowi, jak i wspierać zmianę reżimu. W mafii liczy się lojalność, ale tylko dopóki szef może zagwarantować stały dopływ pieniędzy i ochronę swoich lojalnych żołnierzy. Rzeczą niezbędną jest zatem utrzymywanie dobrych relacji z Europą Zachodnią i Ameryką, gdzie oligarchowie Putina wolą również spędzać czas i wydawać pieniądze. W końcu po co być rosyjskim miliarderem, skoro miałyby się pozostawać ograniczonym w zamknięciu w państwie, które się złupiło, by tym miliarderem zostać?

Władzę w Rosji sprawuje wąski krąg oligarchów oraz kasta byłych i obecnych agentów służb bezpieczeństwa państwa, znanych jako *siłowiki*, którzy zajmują większość ośrodków władzy. Pociągnięcie tej grupy do odpowiedzialności na płaszczyźnie osobistej – dokopanie się do legalności ich inwestycji, anulowanie ich cennych wiz Schengen – byłoby jasnym komunikatem, że Putin nie jest już aż tak wpływowy, że nie potrafi już zagwarantować bezpieczeństwa fortun swoich sojuszników i łatwego dostępu do dobrego życia za granicą. W ten sposób można było wymierzyć atak precyzyjnie w Putina i jego reżim, nie powodując przykrych konsekwencji dla rosyjskiego społeczeństwa.

Przynajmniej od 2007 roku przez wiele lat po obu stronach Atlantyku propagowałem ten sposób postępowania. W pewnym momencie w 2011 roku nagle zaczęło wyglądać na to, że powstaje realna możliwość jego podjęcia. Były to dobre wieści, ale przyczyną tego stanu rzeczy była tragedia.

\*

Celem uchwalanego przez Senat w 2011 roku pod numerem 1039 projektu ustawy imienia Siergieja Magnitskiego o poszanowaniu prawa i odpowiedzialności było

nałożenie sankcji odnoszących się do swobody podróżowania (wizy) oraz aktywów finansowych na osoby odpowiedzialne za „uwięzienie, maltretowanie lub śmierć” Siergieja Magnitskiego, młodego prawnika i demaskatora korupcji, który zmarł w rosyjskim areszcie policyjnym w 2009 roku po tym, jak ujawnił oszustwa rosyjskich urzędników o wartości setek milionów dolarów. Ustawę tę można było również stosować w szerszym zakresie, obejmując nią osoby uwikłane w podobne oszustwa i łamanie praw człowieka. Projekt tego aktu prawnego zawdzięczał swoje powstanie nadzwyczajnej kampanii prowadzonej przez niezamordowanego Billa Browdera, byłego pracodawcę Magnitskiego, oraz „ludzi honoru” w Kongresie, szczególnie samego wnioskodawcę, senatora Bena Cardina ze stanu Maryland.

Wersja, którą powszechnie nazywa się „ustawą Magnitskiego”, w końcu wyszła z Kongresu jako „Uchylenie poprawki Jacksona-Vanika wobec Rosji i Mołdawii oraz ustawa imienia Siergieja Magnitskiego o poszanowaniu prawa i odpowiedzialności z 2012 roku”. Był to bardzo rzadki wypadek w amerykańskim ustawodawstwie, kiedy projekt aktu prawnego uzyskał przytłaczające poparcie obu partii, dlatego było rzeczą kuriozalną, że administracja Obamy wydawała się zdecydowana go zablokować. (Projekt przeszedł 16 listopada 2012 roku w Izbie Reprezentantów większością 365 do 43 głosów, a w Senacie trzy tygodnie później większością 92 do 4). Obama podpisał ustawę 14 grudnia 2012 roku, ale wcześniej przez ponad rok starał się nie dopuścić do jej wyjścia z Kongresu.

Najwyraźniej Biały Dom martwił się, że ustawa zakłóci jego wygodne relacje z dyktaturą Putina, dlatego Departament Stanu sporządził własną listę objętych zakazem rosyjskich urzędników związanych ze sprawą Magnitskiego, ale nie podał do wiadomości ich nazwisk. Oczywiście w ustawie chodziło właśnie o ich opublikowanie. „Tajny środek powstrzymujący” to oksymoron.

Albo być może Obama, któremu udało się zatrzymać projekt ustawy w Kongresie na tyle długo, że na jego biurko trafił dopiero tuż po jego reelekcji, obawiał się, że potwierdzi słowa swojego przeciwnika z 2012 roku, Mitta Romneya, który w marcowym wywiadzie na antenie CNN tak powiedział o Rosji: „To bez wątpienia nasz geopolityczny wróg numer jeden. W każdej walce oni są najgorszymi aktorami

na światowej scenie. Myśl, że on [Obama] ma jeszcze w planach jakieś dodatkowe uelastycznienie wobec Rosji, jest naprawdę bardzo, bardzo niepokojąca”. Obama wyśmiał tę uwagę Romneya, a nawet zmontował przy okazji ripostę na użytek debaty, mówiąc, że „lata osiemdziesiąte wołają o powrót polityki zagranicznej z tamtych czasów”.

Być może pamiętacie, że zarzut Romneya dotyczący uelastycznienia Obamy wiązał się z „wpadką z włączonym mikrofonem”, jaką Obama zaliczył parę dni wcześniej podczas szczytu w Korei Południowej. Mikrofony podsłuchały, jak Obama mówi do prezydenta Miedwiediewa: „Co do wszystkich tych zagadnień, ale zwłaszcza tarczy antyrakietowej, to może być rozwiązane, ale ważne jest, żeby on dał mi na to czas. [...] To moje ostatnie wybory. Po wyborach będę miał większą elastyczność, swobodę ruchu”. („On” to oczywiście Putin). Równie wiele mówiąca była mechaniczna odpowiedź Miedwiediewa: „Rozumiem. Przekażę tę informację Władimirowi”.

Odkąd na początku 2014 roku Putin najechał Ukrainę, zwrot „Romney miał rację” stał się mottem dla każdego, kto chciał dołożyć Obamie za jego politykę zagraniczną. Romney z pewnością miał rację, a w dodatku poszedł za ciosem i w artykule opublikowanym na łamach magazynu „Foreign Policy” wyłożył szczegółowo, w czym zawiódł Obama w odniesieniu do Rosji. Oto fragment:

[Obama] nie wymógł na Rosji żadnych znaczących ustępstw, natomiast porzucił projekt naszych baz systemu tarczy antyrakietowej w Polsce. Zgodził się na nowe ograniczenia naszego arsenału nuklearnego wobec Rosji. Skapitulował w obliczu rosyjskich żądań, by wykluczyć rujnujące sankcje z rezolucji Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie irańskiego programu broni jądrowej. Moskwa nie odwzajemniła tych podarków niczym więcej niż obstrukcjonizmem w Organizacji Narodów Zjednoczonych w całym szeregu kwestii. Nie przestała dozbrajać reżimu bestialskiego dyktatora Syrii i blokowała wielostronne próby powstrzymania dokonującej się w tym kraju masakry. Ogólnie rzecz biorąc, jest nam solą w oku w sprawach o żywotnym znaczeniu dla narodowego bezpieczeństwa Ameryki. Przez trzy lata całość osiągnięć polityki prezydenta Obamy wobec Rosji sprowadza się do hasła: „My dajemy, Rosja dostaje”<sup>77</sup>.



Bingo. Wyżej dodałem już co nieco do tej świetnej listy, więc podobnie jak było z McCainem w 2008 roku, łatwo zgadnąć, gdzie leżały moje sympatie podczas amerykańskich wyborów prezydenckich w roku 2012. W tamtym czasie tego nie wiedziałem, ale zbierając materiały do niniejszej publikacji, natknąłem się na fragment wydanej w 2010 roku książki Romneya pod tytułem *No Apology. The Case for American Greatness*, który chciałbym tu przytoczyć, ponieważ odzwierciedla pewne moje przemyślenia na temat zła, o których pisałem już we wprowadzeniu:

Zło jest z nami od samego początku i nas nie opuści. Technika sprawia nawet, że zło jest bardzo blisko. Dzisiaj dostępne środki szerzenia horroru są jeszcze bardziej śmiertcionośne niż kiedykolwiek wcześniej. Twierdzę, że wiara w zło jest czymś niezbędnym – bezsensowna introspekcja nie zbija go z tropu ani nie odstrasza. Powinniśmy badać, co mówią i piszą źli ludzie, i wierzyć im na słowo. Adolf Hitler dokładnie opisał swoje aspiracje w *Mein Kampf*, mówił o nich jawnie w swoich przemówieniach, jednak początkowo świat zlekceważył jego roszczenia, uważając je za polityczne przechwałki<sup>78</sup>.

To szczerza prawda, a szczególnie cenię sobie radę, by wierzyć złym ludziom na słowo, ponieważ właśnie to od wielu lat mówię o Putinie. Prawie od samego początku po objęciu władzy Putin otwarcie mówił, jakie są jego cele. Owszem, równie jawnie łgał w niektórych sprawach, kiedy było mu wygodnie, jednak w wielkich kwestiach, takich jak centralizacja władzy oraz pogarda dla demokracji i praw obywatelskich, mówi szczerze, a niejednokrotnie pokazał, że potrafi potwierdzić to, co mówi.

Właśnie dlatego tak frustrujące było obserwowanie, jak administracja Obamy – najpierw w osobie sekretarz stanu Hillary Clinton, a następnie jej następcy, Johna Kerry'ego – nadal traktuje Putina tak, jakby jedyna szansa na to, by odmienił swoje nikczemne metody działania, polegała na jak najdelikatniejszym obchodzeniu się z nim i proponowaniu wszelkich możliwych ustępstw. Okazało się, że w drugiej kadencji Obama musiał wykorzystać całą swoją szumnie zapowiadaną elastyczność, ponieważ nie mógł już przekazywać wiadomości Władimirowi przez gołębia pocztowego, czyli Miedwiediewa. Musiał się z nim komunikować osobiście. Rok

2012 był bowiem również rokiem wyborów w Rosji.

\*

We współczesnym dyskursie politycznym szasta się na prawo i lewo przymiotnikiem „orwellowski”. Zarówno liberałowie, jak i konserwatyści w państwach demokratycznych takich jak Wielka Brytania i Stany Zjednoczone z upodobaniem określają nim niemal każdy rodzaj naruszenia swobód obywatelskich przez państwo. Prewencyjny monitoring wideo, podsłuchiwanie osób podejrzewanych o terroryzm i kontrole bezpieczeństwa na lotniskach – uznano, że wszystko to zasługuje na skojarzenie z Orwellowym arcydziełem *Rok 1984*. Ja również uznaję wagę obrony swobód jednostki, nawet w demokracji, ale ci z nas, którzy żyli w prawdziwych państwach policyjnych, wolą zachować pewne słowa na inne okazje, gdyż nadają się one do opisu dużo tragiczniejszych okoliczności.

Najbardziej przejmującym wątkiem w książce Orwella nie jest wątek wszystko widzącego Wielkiego Brata, lecz wątek kontroli i zniekształcenia języka, zwłaszcza w postaci nowomowy. Jedne słowa przyjmują odwrotne znaczenia, inne – te, które wyrażają nieprawomyślne idee – się eliminuje, a na drodze redukcji i upraszczania słownictwa ograniczona zostaje sama ludzka myśl. Każdy, kto wychował się na lekturze „Prawdy” w Związku Sowieckim albo kto żyje dziś w Rosji Putina, wie, że ta próba wypaczenia rzeczywistości dzięki władzy nad informacją to nie science fiction.

A zatem kontrolowane przez państwo media uznały wybory prezydenckie z 4 marca, najbardziej sfałszowane w rosyjskiej historii, za „uczciwe i czyste”. Pokojowe protesty obywatelskie nazwano „prowokacjami ekstremistów”, a oddziały prewencyjne OMON, które brutalnie stłumiły protestujących, jedynie „utrzymywały porządek”. Tym samym publiczne głosy sprzeciwu i potężne protesty z powodu oszustw podczas wyborów parlamentarnych 4 grudnia 2011 roku doczekały się w odpowiedzi jeszcze większej korupcji i zaplanowanego z góry powrotu na stanowisko podpułkownika KGB, który najwyraźniej zamierza być dyktatorem do końca życia.

Marny byłby ze mnie patriota, gdybym nie zwrócił uwagi, że *Rok 1984* był wzorowany na opisie państwa totalitarnego zawartym w dystopijnej rosyjskiej powieści *My*, napisanej przez Jewgienija Zamiatina w 1921 roku i oczywiście zakazanej w ZSRS aż do roku 1988. W futurystycznym wszechświecie Zamiatina nadal organizowane są wybory i co roku jednogłośnie zostaje ponownie wybrany „Dobroczyńca”. Niepokojąco znajome.

Komuś może się wydawać, że w Putinowskiej „dyktaturze w wersji light” nie zakazuje się wydawania zbyt wielu książek ani się ich nie pali. W ten sposób próbuje się naśladować funkcjonowanie społeczeństwa otwartego i na ile to możliwe, utrzymywać najbardziej stereotypowe represje za kulisami. Częściowo to prawda, nawet jeśli dzieje się tak dlatego, że władze zdają sobie sprawę, że stosy płonących książek niezwykle źle wyglądają na YouTube. Zamiast tego zwyczajnie konfiskują książki jako „publikacje o charakterze ekstremistycznym”, tak jak to się stało w roku 2012 z dwustu pięćdziesięcioma tysiącami egzemplarzy książki byłego wicepremiera Borisa Niemcowa szczegółowo opisującej korupcję Putina.

Jawne oszustwo, jakim były wybory z 4 grudnia, trzy miesiące później znowu było oczywiste. W Rosji nazywamy to „karuzelą”: głosujących przewożono masowo z jednego lokalu wyborczego do drugiego, a były to takie tłumy, że dziesiątki wożących je autobusów powodowały korki w centrum Moskwy. Zaledwie parę dni przed wyborami pojawiły się fałszywe lokale wyborcze, które zbierały tysiące głosów. Dyrektorzy firm, szkół i wielu innych placówek otrzymywali groźby, z których wynikało, że mają głosować na Putina albo muszą się liczyć z obcięciem pensji lub gorszymi konsekwencjami.

Reżim musiał się dostosować do świadomości politycznej setek tysięcy protestujących, którzy wyszli w grudniu na ulice, co było wielkim zaskoczeniem zarówno dla władz, jak i dla opozycji. We wszystkich lokalach wyborczych zainstalowano kamery, a oburzeni obywatele wyłonili dziesiątki tysięcy obserwatorów. Zmusiło to przewodniczącego Putinowskiej komisji wyborczej Władimira Czurowa do oparcia się wyłącznie na tych sztuczkach, które można było zastosować zakulisowo. Dodatkowe listy wyborców, przewidziane dla osób

pragnących głosować poza miejscem stałego zamieszkania, spuchły do niewiarygodnych rozmiarów.

Jak można się było spodziewać, w okręgach, z których dostępne były dane liczbowe, Putin otrzymał dużo wyższy odsetek głosów pochodzących z tych list dodatkowych niż z list podstawowych. Nagle wzrosło też zapotrzebowanie na głosowanie korespondencyjne, podobnie jak dostępność służb umożliwiających osobom chorym oddawanie głosu w domu.

Jednak nawet mimo wszystkich czarów Czurowa Putinowi nie udało się przekroczyć poziomu 50 procent głosów w Moskwie: oficjalny wynik wynosił zaledwie 47 procent, mimo że wśród innych kandydatów nie było nikogo godnego zaufania. (Nasze obliczenia wskazywały, że faktyczny odsetek głosów oddanych na Putina był bliższy 35 procentom). Wszyscy kandydaci zostali zatwierdzeni przez Kreml, poczynając od aż za dobrze znanych przywódców komunistów i nacjonalistów, po nową twarz miliardera Michaiła Prochorowa, wytworu Putina wprowadzonego na listę wyborczą tylko po to, by protestujący mieli na kogo głosować. Światowe media pojawiają się tylko w dniu wyborów, a zaraz potem wyjeżdżają, lekceważąc dogłębną korupcję i represje, dzięki którym można by poznać prawdziwą wersję wydarzeń.

Skoro Rosjanie mieli już dość Putina, pozostało się przekonać, czy reszta świata będzie nadal udawać, że to jego wybrała Rosja na swojego władcę. Prezydent Obama odczekał parę dni, ale w końcu zadzwonił do Putina. Współczesna dyktatura rozgrywa się za kulisami, ale spektakl demokracji wciąż grano na scenie, a Obama odegrał w nim swoją rolę.

Dla mnie nie było to zaskoczeniem, ponieważ już wcześniej, w 2011 roku, dostałem możliwość przyjrzenia się, jak płonne okazały się nadzieje administracji Obamy. W marcu 2011 roku do Moskwy przyjechał wiceprezydent Joe Biden. Po rozmowach z władzami spotkał się ze mną i innymi członkami opozycji. Kiedy Biden dotarł na miejsce, był dość podekscytowany po osobistym spotkaniu z Putinem. Mówił, że nie trzymał się planu i naciskał na Putina, żeby nie ubiegał się znowu o urząd prezydenta, bo to by źle wyglądało i ucierpiałyby na tym przejrzystość

konstytucyjna Rosji. Patrząc na dumę bijącą z postawy Bidena i zaskoczony wyraz twarzy ambasadora McFaula, nie miałem wątpliwości, że nie należało to do zamierzonego przekazu Białego Domu.

Podniosłem dłoń, chcąc zabrać głos, i powiedziałem: „panie wiceprezydencie, pan chyba nie zdaje sobie sprawy, że w porównaniu z Putinem jesteście z Obamą żebrakami. Musicie prosić Kongres o każdy milion. Putin może wydać miliard bez podpisania papierka”<sup>79</sup>. Strasznie przykro było patrzeć, jak Amerykanie nadal myślą, że Putina w ogóle obchodzi, co o nim mówią albo czy jakieś jego działania spodobają się im czy komukolwiek. Nadal przykro na to patrzeć.

\*

Rosyjski ruch protestu uległ przemianie pod koniec 2011 roku – a przynajmniej mieliśmy taką nadzieję – po wyborach do Dumy, które pokazały wstrząsający nawet jak na Rosję poziom oszustwa. Zwyczajni mieszkańcy rosyjskich miast, którzy uważali, że za rządów Putina dobrze im się wiedzie, i w większości się nie skarżyli, nie wytrzymali tego najnowszego ataku na własną godność. Wszyscy wiedzieli, że wybory to farsa i że ta farsa jest grana już od 2000 roku. Jednak tym razem partia Putina, Jedna Rosja, posunęła się za daleko. Bezczelne ustawienie wyników wyborów sprawiło, że setki tysięcy Rosjan wyszły na ulice ze wspólnym antyputinowskim przesłaniem, wymierzonym przeciwko Jednej Rosji. Na to przyjemnie było patrzeć.

Niesiono flagi w barwach z całego politycznego spektrum, co było potwierdzeniem mojego pierwotnego pomysłu z 2005 roku na ruch protestu: przyjmowania każdego, kto chciał demonstrować przeciwko Putinowi, bez względu na ideologię. Większość jednakże nie była tak naprawdę związana z żadnym ruchem politycznym. Demonstrowali przeciwko korupcji, przeciwko bezkarności i przeciwko Putinowi. Maski całkowicie opadła i Putin nie pozostawiał złudzeń, że nie chce już nawet udawać demokracji. Ludzie mieli go po prostu dość.

Protesty trwały przez cały miesiąc, osiągając 24 grudnia 2011 roku ponad sto tysięcy uczestników. Ludzie demonstrowali również poparcie dla stosunkowo nowej

twarzy na czele marszów opozycji, Aleksieja Nawalnego. Został aresztowany podczas jednego w pierwszych grudniowych marszów i ogromne tłumy oczekiwały jego uwolnienia. W represyjnych reżimach takich jak ten kierowany przez Władimira Putina trwa ciągła walka między dyktaturą a tymi, którzy się jej przeciwstawiają, o ograniczanie – lub upowszechnianie – decydujących informacji. Nawalny należał do awangardy „dysydentów danych”. Stworzył sieć zajmującą się ujawnianiem korupcji reżimu Putina, nieustannym dokumentowaniem kolejnych przypadków kleptokracji, czego skutkiem było powszechne oburzenie.

Osiągnięcie przez Nawalnego wysokiej pozycji w ruchu opozycyjnym nie było jednak przypadkiem. Od wielu lat ciężko pracował jako organizator i aktywista. Oprócz uporu i umiejętności posiadał również bardziej subtelne cechy potrzebne współczesnemu przywódcy. Jego charyzmat uzupełnia zgryźliwe poczucie humoru, idealne do przekłuwania balonów propagandy bezbarwnego i pozbawionego humoru Kremla. Dzięki jego talentowi do właściwego dobierania słów określenie „partia żuli i złodziei” przyłgnęło już na zawsze do Putinowskiej partii Jedna Rosja.

Nawalny nabrał biegłości w prowadzeniu blogów i sieci społecznościowych, na których opiera się opozycja, ponieważ mamy odcięty dostęp do głównych mediów. Tak jak to się działo już wcześniej w innych państwach, bardzo szybko można było zorganizować grupowe publiczne protesty, porozumiewając się online. Nie znaczyło to oczywiście, że ich uczestnicy mogli uniknąć pobicia czy aresztowania, kiedy wychodzili na ulice – było to bardzo częste. W tamtych czasach nie znałem się jeszcze ani trochę na flash mob ani nawet na Twitterze, ale z radością brałem razem z Nawalnym udział w marszach z różnych okazji i współpracowałem z nim i z innymi dawnymi oraz nowymi działaczami opozycji.

Nawalny i jego nowy typ zwolenników w dużej mierze nie zrażali się przez ponad rok i regularnie wyznaczaliśmy kolejne duże uzgodnione z władzami protesty, aż nadszedł formalny powrót Putina na urząd prezydenta, 7 maja 2012 roku. Symbolem odświeżonego ruchu opozycyjnego były białe wstążeczki, które Putin skomentował z typową dla siebie wulgarnością: „Myślałem, że to prezerwatywy”.

Protesty z 6 maja na placu Bołotnym wieczorem przed inauguracyjnym

przemówieniem Putina były pierwszymi, które miało zakłócić użycie poważnych sił porządkowych: policja celowo poprzestawiała barierki, by utworzyć zwiężenia na trasie marszu, po czym zaatakowała protestujących, którzy nie mieścili się w ścisku. Aresztowano ponad czterysta osób, w tym organizatorów wiecu: Nawalnego, Niemcowa i Udalcowa, a ponad stu uczestników odniosło poważne obrażenia.

Tamtego dnia ja nie byłem wyznaczony do przemawiania, ponieważ podczas wiecu chodziło o danie okazji aktywistom i mówcom, którzy przyjechali na niego z całego kraju. Dlatego po dotarciu do policyjnego kordonu, mniej więcej o szóstej wieczorem, przeszedłem przez tłum i udałem się na zaplanowane spotkanie w radiu Echo Moskwy, by rozmawiać na jego antenie o naszym proteście i o powrocie Putina. Oprócz mnie w audycji brał również udział amerykański doradca polityczny Frank Luntz, który był zaskoczony, że może z tak bliska zobaczyć, jak działa rosyjska demokracja. Tego samego wieczora zadzwonił do *Fox News* i dzielił się swoimi wrażeniami.

Zdaje się, że teraz znowu wracają władze, jakie pamiętamy z czasów Związku Sowieckiego, z lat osiemdziesiątych – powiedział Luntz. – Ludzie się boją [...]. To przerażające, kiedy się o tym myśli, ale wyglądało to prawie tak, jakby policja chciała tego starcia, jakby dwadzieścia cztery godziny przed powrotem Putina na urząd chcieli wysłać taką wiadomość, że nie będzie zgody na żadne sprzeciwy czy różnice zdań. Na pewno nie musieli w tym celu stosować przemocy, na pewno nie musieli atakować. Absolutnie nic tego nie uzasadniało [...]. Szedłem w tym pochodzie przez cały czas i wszędzie widziałem łagodność: nic poza śpiewaniem i skandowaniem. To byli spokojni ludzie i zostali zaatakowani niesprawiedliwie <sup>80</sup>.

Obserwowałem wybuch całej tej katastrofy na bieżąco na ekranach w studiu Echa Moskwy. Wcześniej planowałem, że po zejściu z anteny wrócę na plac Bołotny, żeby posłuchać przemawiających i spotkać się z kolegami z opozycji, ale o wpół do siódmej plac pogrążył się w chaosie. Całe miasto zamieniono w fortecę, by przygotować je na mającą nastąpić nazajutrz inaugurację Putina, i policja najwyraźniej zamierzała wysłać wiadomość, jak przenikliwie zauważył Luntz. Car wrócił, więc jeśli ktoś chciał przeciwko niemu demonstrować, powinien być

przygotowany, że może oberwać w łeb.

Nowe represje nie skończyły się na ulicach. Reżim wziął na celownik całą Radę Koordynacji Opozycji, urządząc naloty na mieszkania jej członków, a nawet na ich miejsca pracy i mieszkania rodzin. Przywódcy dostawali ciągle kolejne wezwania na przesłuchania. Uchwalono jeszcze więcej nowych ustaw skierowanych przeciwko protestom, pozwalających na wymierzanie dużo wyższych grzywn i skazywanie nawet na trzydzieści dni więzienia za drobne wykroczenia. Nasz ruch nie był niezorganizowany; wyprowadzenie ponad pięćdziesięciu tysięcy ludzi na ulice wymagało pracy nad ich skoordynowaniem i przepływem informacji. Tak liczne demonstracje w zupełności wystarczały, by zadać kłam wskaźnikom poparcia społeczeństwa dla Putina, jednak ruch był zbyt słaby, by obalić reżim. Odbyło się jeszcze kilka całkiem sporych zgromadzeń aż do 6 maja 2013 roku, kiedy odbył się wiec, na który z okazji rocznicy demonstracji na placu Bołotnym przyszły dziesiątki tysięcy moskwian.

18 lipca 2013 roku Nawalny został skazany na pięć lat więzienia na podstawie zmyślonych zarzutów o defraudację, typowych w wypadkach prześladowania przedstawicieli opozycji. Stało się to nazajutrz po tym, jak zarejestrował się jako kandydat do wyborów na mera Moskwy. Potem zaczął się dziwaczny ciąg wydarzeń przypominających bawienie się myszą przez kota. Najpierw Nawalnego zwolniono, co było szokiem, a powody prawdopodobnie były dwa: by nie zrobić z niego męczennika i by dodać nieco *quasi*-legalności, jakiej potrzebowały zbliżające się wybory na mera. Pozwolono mu kandydować i prowadzić kampanię, chociaż oczywiście kandydat Kremla, urzędujący mer Siergiej Sobjanin, miał nad nim kolosalną przewagę dzięki możliwości wykorzystania władzy państwowej i kontrolowanych przez państwo mediów. Drugim prawdopodobnym powodem wypuszczenia Nawalnego i dopuszczenia go do kandydowania było to, że dzięki temu Kreml mógł pokazać ambitnemu Sobjaninowi, gdzie jego miejsce. Gdyby na liście kandydatów nie było Nawalnego, Sobjanin osiągnąłby odsetek głosów wyższy od krajowego wyniku Putina na poziomie 63,6 procent i przyćmiłby 47 procent, jakie Putin uzyskał w Moskwie. Pokazuje to, jak subtelne i niebezpieczne są współczesne



dyktatury, skoro potrafią w ten sposób wykorzystywać demokratyczne struktury i narzędzia.

Nawalny zgodnie z planem zakończył tę rywalizację na drugim miejscu z dużą stratą do Sobianina i nadal prowadzi życie człowieka napiętnowanego z powodu własnych przekonań oraz nowych oskarżeń, które stale wiszą mu nad głową.

Ostatni wyrok z grudnia 2014 roku skazał Nawalnego na areszt domowy, a jego brata Olega na więzienie – to standardowy manewr starej szkoły KGB polegający na wzięciu zakładnika. Obaj bracia są więźniami sumienia. Nawalny pomagał organizować kolejny marsz, zaplanowany na 1 marca 2015 roku, kiedy 27 lutego zamordowano naszego kolegę Borisa Niemcowa. Marsz przybrał charakter pochodu dla upamiętnienia naszego przyjaciela.

Trudno powiedzieć, co w tamtym okresie można było zrobić inaczej w zakresie ruchu społecznych protestów. Gdyby miało dojść do prawdziwej rewolucji, musiałaby nastąpić wcześniej, zanim reżim opracował swoją odpowiedź. Być może najlepszą okazję do tego – o ile taka w ogóle była – stanowiła ogromna demonstracja 24 grudnia 2011 roku na alei Sacharowa. Brałem w niej udział wraz z niemal wszystkimi innymi członkami opozycji, a przemawiało na niej przynajmniej trzydziestu mówców. Nawalny był o krok od powiedzenia tego, o czym wielu z nas od tak dawna myślało:

„Widzę, że jest tu dosyć ludzi, żeby od razu zająć Kreml i Biały Dom [budynek władz federacji]. Stanowimy pokojową siłę i teraz tego nie zrobimy. Jednak jeśli ci żule i złodzieje będą nadal próbować nas oszukiwać, jeśli ciągle będą nas okłamywać i okradać, własnymi rękami odbierzemy to, co do nas należy!”.

Co by się stało, gdybyśmy tamtego wieczoru pomaszerowali na Kreml i na Dumę? Gdybyśmy na placu Czerwonym urządzili obóz w sile stu tysięcy ludzi i przygotowali się do oblężenia? Czy ludzie poszliby za nami? Czy tysiące policjantów otworzyłyby ogień? Czy bylibyśmy teraz wolni? Czy martwi?

---

68 Słowa wypowiedziane przez Obamę w trakcie rozmowy podczas programu *Fareed Zakaria GPS*, 28 grudnia 2008 roku. W dalszej części Obama chwalił politykę zagraniczną prezydenta George’a H.W. Busha.

69 W innej wersji tekst ten umieszczono na tablicy znajdującej się na klatce schodowej cokołu Statuy Wolności.

- 70 W moim artykule z 5 listopada 2008 roku napisanym dla The Los Angeles Times Syndicate i opublikowanym w wielu miejscach. Pełny tekst jest dostępny bezpłatnie pod adresem: [\[link\]](#)
- 71 Wszystkie cytaty pochodzą z komunikatów prasowych z kampanii, które pojawiały się w szaleńczym tempie.
- 72 Ben Smith, „*Invasion of Georgia*” a „*3 a.m. Moment*”, „Politico”, 9 sierpnia 2008.
- 73 Warto przeczytać całe oświadczenie senatora McCaina z 11 sierpnia 2008 roku na temat Gruzji: [http://www.realclearpolitics.com/articles/2008/08/mccain\\_statement\\_on\\_georgia.html](http://www.realclearpolitics.com/articles/2008/08/mccain_statement_on_georgia.html).
- 74 Rozmowa z Igorem Jurgensem na portalu Gazeta.ru, luty 2010.
- 75 John Le Carré, *Druciarz, krawiec, żołnierz, szpieg*, przeł. Ewa Życieńska, Warszawa 2000, s. 224 (przyp. tłum.).
- 76 Cytowane szeroko w prasie, 14 stycznia 2011 roku. Członek Izby Reprezentantów Markey był wówczas czołowym przedstawicielem demokratów w Komisji Kongresu do spraw Zasobów Naturalnych.
- 77 Mitt Romney, *Bowing to the Kremlin*, „Foreign Policy”, 27 marca 2012.
- 78 Tenże, *No Apology, The Case for American Greatness*, New York 2010, wydanie Kindle, lokalizacje 4916–4920.
- 79 Cyt. za: *Kasparow: wygram z Putinem*, rozmawiają Piotr i Krzysztof Pacewiczowie, [\[link\]](#) (przyp. tłum.).
- 80 Kopia nagrania wideo z *Fox News* jest nadal dostępna online: [\[link\]](#).

## 10 | Wojna i appeasement

Konferencje prasowe organizuje się po to, by usłyszeć coś ciekawego, jednak 5 czerwca 2013 roku w Genewie powiedziałem trochę więcej ciekawych rzeczy, niż zamierzałem. Znalazłem się tam, by odebrać od organizacji UN Watch Nagrodę imienia Morrisa B. Abrama w dziedzinie Praw Człowieka (Morris B. Abram Human Rights Award). Był to dla mnie ogromny zaszczyt, że otrzymałem wyróżnienie noszące imię amerykańskiego orędownika praw obywatelskich, który współpracował z Martinem Lutherem Kingiem Jr. i Robertem Kennedym, a później stał się globalnym symbolem obrony praw, będąc współfundatorem UN Watch w Genewie.

Pewien reporter podczas konferencji prasowej zadał mi pytanie, które słyszałem już setki razy, odkąd wycofałem się z szachów: czy w Rosji Putina boję się o swoje bezpieczeństwo i wolność? Jednak tym razem nie udzieliłem na to pytanie swojej typowej odpowiedzi, że w życiu niczego nie można być pewnym. Odpowiedziałem, że gdybym wrócił do Rosji, miałbym poważne wątpliwości, czy uda mi się jeszcze stamtąd wyjechać, ponieważ w lutym stało się oczywiste, że włączono mnie w trwającą rozprawę z politycznymi demonstrantami skupionymi wokół procesu placu Bołotnego.

„A więc póki co – zakończyłem (jeśli wolno mi zacytować samego siebie, by sprawa była jasna) – powstrzymuję się od powrotu do Rosji”.

To nie miała być jakaś wielka deklaracja na temat wyjazdu z ojczyzny, na stałe czy na jakiś czas. W kontekście zadanego mi pytania nawet ci z obecnych dziennikarzy, którzy byli ekspertami od Rosji, nie wychwycili nic szczególnego w mojej wyrażającej ostrożność odpowiedzi. Dopiero kiedy przytoczył ją dziennik „The Moscow Times”, rzecz trafiła do nagłówek wiadomości i zaczęły się

spekulacje.

Swoją wypowiedzią dałem jedynie wyraz mrocznej rzeczywistości ówczesnej sytuacji w Rosji. Wobec prawie połowy członków Rady Koordynacji Opozycji toczyły się śledztwa na podstawie zmyślonych oskarżeń obejmujących zarzuty od nielegalnych akcji protestacyjnych po podburzanie do ekstremizmu i defraudację. Dla mojej rodziny i dla mnie ta trudna decyzja nie była już żadną nowiną; w kraju nie byłem od lutego. Nawet przypadające w kwietniu pięćdziesiąte urodziny obchodziłem w Oslo, a nie w Moskwie, choć matkę i innych bliskich ściągałem za granicę z bólem serca.

Moja praca w Radzie Koordynacji Opozycji sprowadzała się na ogół do kontaktów międzynarodowych, które wiązały się z lobbowaniem w zagranicznych rządach i organizacjach na rzecz potępiania naruszeń praw człowieka przez reżim Putina i na rzecz wprowadzania sankcji wymierzonych przeciwko rządowi Putina i jego kumplom. Wściekłość Putina z powodu uchwalenia pod koniec 2012 roku amerykańskiej ustawy Magnitskiego przekonała mnie, że to właściwa droga i że tę drogę trzeba propagować również w Europie.

Wszczęcie postępowania przez moskiewskiego prokuratora, które ograniczyłoby moje możliwości podróżowania, sparaliżowałoby te wysiłki. Nie mógłbym występować jako zawodowy mówca w spotkaniach i odczytach, które wszystkie bez wyjątku były organizowane za granicą, ponieważ ze względu na mój status dysydenta odebrano mi wszelkie możliwości działalności zarobkowej w Rosji. Zakaz podróżowania ograniczyłby również moją pracę w organizacji non profit Kasparov Chess Foundation, która ma ośrodki w Nowym Jorku, Brukseli, Johannesburgu, Singapurze i Meksyku, a jej celem jest propagowanie szachów w szkolnictwie.

Raczej nie podejrzewałem, żeby chciano mnie po prostu zamknąć za kratkami i wyrzucić klucz, chociaż mieliśmy wrażenie, że tak właśnie się stanie z Michaiłem Chodorkowskim i Pussy Riot. Bardziej w stylu prokuratury było spuścić na mnie nie kończący się grad zarzutów, procesów i wezwań do sądu: śmierć zadana tysiącem cięć papierem. Rujnuje się ofiary finansowo, fizycznie i duchowo, trzyma się je w cieniu, nie dając zaznać chwały męczeństwa. Wywołuje to lęk i paranoję u nich

samych, jak również u ich rodzin i przyjaciół. Jest to technika stosowana od lat przeciwko Nawalnemu.

Kiedy w marcu 2005 roku wycofałem się z szachów, by przyłączyć się do ruchu opozycyjnego, surowo krytykowano mój pomysł zjednoczenia wszystkich antyputinowskich czynników w kraju i maszerowania razem bez względu na ideologię. Kiedy patrzyłem na organizowane w latach 2011–2012 marsze z setkami flag reprezentujących wszystkie grupy, od liberałów po nacjonalistów, idących razem dla „Rosji bez Putina”, miałem wrażenie, że spełnia się mój sen. Jednak nasz sen trwał krótko, bo po nim na opozycję przyszło nagłe przebudzenie, a większość rosyjskiego społeczeństwa niestety spała nadal.

Aby nikt nie kwestionował jego powrotu na urząd prezydenta, Putin zamknął stolicę, zamieniając centrum Moskwy w Phenian. Od tego czasu bez wahania prześladowuje aktywistów, przywódców, prawników, naukowców, a nawet muzyków, którzy ośmielają się publicznie podważać jego władzę. Skończyła się faza prób wygenerowania społecznego oburzenia na drodze składania wniosków o unieważnienie ustawionych wyborów. Pomimo rządowej propagandy większość Rosjan wiedziała, że cały system to okrutny żart, ale sama ta wiedza nie wystarczała, by miliony ludzi zdecydowały się zaryzykować własne bezpieczeństwo i wolność w starciu ze świetnie uzbrojonym państwem policyjnym.

Rozwinąłem również swoją działalność na rzecz przestrzegania praw człowieka, starając się stworzyć międzynarodową koalicję dysydentów i aktywistów. W 2012 roku zająłem miejsce po jednym z moich bohaterów, Václavie Havlu, na stanowisku prezesa Fundacji Praw Człowieka (Human Rights Foundation, HRF) w Nowym Jorku. Thor Halvorssen, jej nieustrudzony założyciel i dyrektor, przygotował niezwykłą serię globalnych wydarzeń i kampanii, kładąc nacisk na zjednoczenie bojowników o wolność na całym świecie. Organizowane corocznie przez HRF Oslo Freedom Forum jest podsumowaniem tych wysiłków łączenia obrońców praw człowieka i dysydentów, by dzielić się informacjami i strategiami.

Zrozumiałem, że przebywając poza Rosją, nie mogę być na czele naszego ruchu w Rosji, i musiałem to zaakceptować. Nadal jestem związany z opozycją i pod

pewnymi względami pracuję dla naszej sprawy więcej niż kiedykolwiek. Ludziom, którzy oskarżają mnie, że opuściłem Rosję albo że się poddałem, powiem tylko tyle, że Rosja nadal pozostaje moim państwem bez względu na to, gdzie mieszkam i jakie mam dokumenty. Nie będę się podporządkowywał kaprysom zbirów i oszustów, którzy póki co nią rządzą. Rosja to nie Putin. Nie zgadzam się być łatwym celem ani dawać się ograniczać do bycia czymś niewiele więcej niż postacią budzącą współczucie. Niemożność zbyt częstego widywania się z mieszkającymi w Moskwie synem i matką jest bolesna, ale Klara Kasparowa dała mi nie tylko nazwisko, lecz także walecznego ducha, dlatego nie ustąpię.

\*

Dwa miesiące później również prezydent Obama zadarł z reżimem Putina, odwołując spotkanie na szczycie z Putinem, które zaplanowano na sierpień. Obama miał wiele powodów, by to zrobić, ale uwaga większości obserwatorów skupiła się na przyznaniu parę dni wcześniej przez Rosję azylu amerykańskiemu zbiegowi będącemu źródłem wycieku danych z Agencji Bezpieczeństwa Narodowego (National Security Agency, NSA), Edwardowi Snowdenowi. Relacje mediów były odbiciem braku dłuższego skupienia uwagi i niewielkiego zainteresowania Rosją w zachodniej prasie, ale możliwe również, że były właściwe. W końcu lista dziedzin, w których Putin działał przeciwko amerykańskim i europejskim interesom, była już całkiem długa, a na jej szczycie znajdowały się Syria, Iran i tarcza raketowa. Jednak wcześniej Obama z zadowoleniem zasiadał *vis-à-vis* Putina i plótł swoje gawędy o współpracy i przyjaźni. Jeśli po to, żeby wreszcie pobudzić Obamę do przeciwstawienia się Putinowi, potrzebne było dźgnięcie go do żywego pozbawioną znaczenia osobą Snowdena, to sądzę, że lepiej już zrobić coś dobrego ze złego powodu, niż nie zrobić tego wcale.

Do naszej ludzkiej natury należy to, że chcemy jakoś wiązać nasze historie z konkretną twarzą – bez względu na to, czy ta twarz do nich pasuje, czy nie. Często uznanie albo wina spada na jednego człowieka (tak jak na piłkarza, który w ostatnich sekundach meczu strzela karnego lub pudłuje), podczas gdy przeważnie on tylko

odciąga naszą uwagę od czegoś dla danej sprawy istotniejszego. Jeśli jakaś osoba odgrywa w jakimś konkretnym wydarzeniu główną rolę, w końcu wydaje nam się ona ważniejsza niż od dawna narastające poważne problemy, z którymi to wydarzenie się wiąże. Tak było z Edwardem Snowdenem, dla jednych zdrajcą i szpiegiem, a dla innych demaskatorem i bohaterem. Nie wiem szczególnie dużo na temat jego działalności ani przecieków, ale na pewno miałbym o nim inne zdanie, gdyby nie schronił się w Rosji, gdzie jego prośba o azyl stanowi milczące poparcie dla dyktatorskiego reżimu jego łaskawego gospodarza, Władimira Putina.

Moja reakcja jest wynikiem nie tylko pierwszego oświadczenia wydanego przez Snowdena z terytorium Rosji, gdzie znajdował się wciąż w stanie prawnego zawieszenia na lotnisku Szeremietiewo. Wymienił wówczas Rosję Putina – państwo policyjne i ogólnoswiatowego mecenasa despotyzmu – na swojej liście krajów, które „stanęły przeciwko łamaniu praw człowieka przez potężnych i silnych kosztem bezsilnych”<sup>81</sup>. Że co proszę? Myślę, że mnóstwo więźniów politycznych Putina zdecydowanie by się z tym nie zgodziło, podobnie jak wielu członków opozycji, którym KGB włamało się na konta e-mailowe i nagrywało ich rozmowy telefoniczne, próbując ich skompromitować. Poza tym Snowden mógł okazać więcej szacunku licznym dziennikarzom i podobnym do niego demaskatorom, którzy w Rosji z powodu swojej działalności odnieśli obrażenia lub stracili życie.

Jako ktoś, kto wychował się pod wszystko widzącym okiem KGB i kto walczy z dokonującym się współcześnie odrodzeniem tego systemu pod rządami Władimira Putina, chciałbym jednak zgłosić jedną uwagę na temat rewelacji Snowdena dotyczących NSA: z irytacją słucha się tych niefrasobliwych porównań między NSA czy innymi zachodnimi organizacjami szpiegowskimi lub organami ścigania a brutalnymi reżimami bezpieczeństwa wewnętrznego Związku Sowieckiego i Niemiec Wschodnich. NSA jest w stosunku do Stasi tym, czym kiepski hotel w stosunku do zakładu karnego o zaostrowym rygorze. O charakterze władzy nie decyduje to, co robi z danymi; decyduje o nim to, co ta władza robi z ludźmi.

Zdecydowanie trzeba protestować przeciwko każdemu naruszeniu przez władzę praw i swobód jednostki, trzeba o tym mówić. Należy regularnie korzystać

z procedur umożliwiających protestowanie przeciwko tym nadużyciom, bo w przeciwnym razie można te procedury stracić. Jednak służby wywiadowcze działające za żelazną kurtyną nie wywoływały przerażenia u swoich obywateli z powodu gromadzenia danych. Żyliśmy w strachu, ponieważ wiedzieliśmy, co nam się może stać, jeśli zdradzimy się ze swoim sprzeciwem wobec reżimu. A bardzo często do prześladowania, porywania, torturowania i zabijania potencjalnych wrogów wcale nie trzeba było żadnych danych. Jeśli sprawa trafiała w ogóle do sądu i potrzebne były dowody, zwyczajnie je fabrykowano. A odpowiadając na kolejny argument, który często słyszę – nie, brutalny totalitaryzm nie zaczyna się od inwigilacji prowadzonej przez liberalne państwo demokratyczne. Zaczyna się od terroru, zaczyna się od przemocy i zaczyna się od świadomości, że twoje myśli i czyny mogą położyć kres twojej karierze albo twojemu życiu.

Akta Snowdena i jego pojawienie się w Moskwie miały pewne znaczenie dla Rosji, ale nie należy go wyolbrzymiać. Słyszałem twierdzenia, że Putin dowiedział się o przeciekach Snowdena, po czym uchwalił swoje drakońskie nowe ustawy jeszcze bardziej ograniczające wolność słowa, żeby „dorównać kolegom” z NSA; to chyba zrozumiało samo przez się, że takie twierdzenia są absurdalne. Dziesiątki tych ustaw weszły w życie w ciągu piętnastu lat rządów Putina, stopniowo dewastując rosyjską konstytucję i zmieniając ją nie do poznania. Putin zawsze o choczko wykorzysta każdą okazję, by uzasadnić swoje autorytarne postępowanie, ale w wielu wypadkach to zachodni przywódcy i zachodnia prasa sami doszukują się usprawiedliwień dla Putina i sami starają się unikać nazywania go dyktatorem. To rodzaj tkwiącej niejako w genach siły i słabości wolnego świata: chęć bycia „sprawiedliwym i wyważonym” oraz „pokazania obu stron medalu”, nawet kiedy oznacza to przyznanie kredytu zaufania komuś, kto niczym sobie na niego nie zasłużył od ponad dekady. Zachodnia prasa, która nigdy nie wahała się nazywać Pinocheta dyktatorem – i słusznie – jakoś zawsze znajduje bardziej stonowane tytuły i eufemizmy dla Putina, braci Castro, al-Asada, a nawet Kim Dzong Una.

Jeśli chodzi o poważanie Snowdena wśród rosyjskiej opozycji, to należy zdawać sobie sprawę z tego, jak jego podróż wyglądała z naszej perspektywy. W to, by



jeden człowiek mógł przeprowadzić tę misję szpiegowską, a potem uciec do Chin i znaleźć schronienie w Rosji bez żadnego udziału KGB, niezwykle trudno uwierzyć. Jeśli do tych opartych na logice podejrzeń dołączy się jego prośbę o azyl i wspomniane wyżej fałszywe zrównanie dyktatur i państw demokratycznych, to Snowden raczej nie ma szans stać się postacią wzbudzającą sympatię wśród ludzi szanujących uniwersalny charakter praw człowieka.

\*

Podobnie powszechną skalę jak zainteresowanie Snowdenem miał również nagły wybuch międzynarodowego potępienia dla zimowych igrzysk olimpijskich mających się odbyć w lutym 2014 roku w rosyjskim kurorcie nad Morzem Czarnym – Soczi. Liczne protesty, zarówno w internecie, jak na ulicach w Stanach Zjednoczonych, Europie, Australii i wszędzie indziej, stanowiły w dużej mierze reakcję na surową ustawę antygejowską uchwaloną w Rosji w czerwcu 2013, dającą szerokie i dość dowolne w interpretacji możliwości karania i dyskryminacji gejów oraz wszystkich, którzy bronią homoseksualizmu lub choćby wypowiadają się publicznie na jego temat. Uchwalenie tego prawa było elementem stale się dokonującego procesu naruszania wolności słowa i innych praw konstytucyjnych w Rosji Putina, jak również pozostawało w zgodzie z wygodnym dla Kremla pod względem politycznym sojuszem – całkowicie bezbożnym – z rosyjską Cerkwią prawosławną.

Ta ustawa przeciwko „propagandzie homoseksualizmu” była jedynie najszerzej zakrojoną i najnowszą z wielu podobnych w Rosji, gdzie geje na porządku dziennym stanowią ofiary dyskryminacji zarówno oficjalnej, jak i nieoficjalnej, nękania i przemocy. Unia Europejska wraz ze swym tak zwanym kierownictwem w dużej mierze lekceważyła to, że Rosja jest sygnatariuszem rozmaitych europejskich i międzynarodowych konwencji zabraniających tego rodzaju dyskryminacji. Dlatego z radością powitaliśmy wypełniających tę lukę artystów, aktywistów i zwykłych obywateli, którzy stawali w obronie praw człowieka w Rosji – a prawa człowieka to oczywiście także prawa gejów. Celebryci tacy jak Lady Gaga i Stephen Fry wydawali publiczne oświadczenia, między innymi Fry napisał wymowny list do

Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego i premiera Davida Camerona, proponując przeniesienie albo zbojkotowanie igrzysk w Soczi.

Ten nagły przypływ zainteresowania był dla mnie miłym zaskoczeniem, bo dotyczył sprawy, przeciwko której wielu z nas w opozycji protestowało już od czasu, gdy w 2007 roku Soczi wygrało w głosowaniu jako kandydat na gospodarza igrzysk. Niespodziewanie moje wypowiedzi na Twitterze zaroily się od profili aktywistów ruchu LGBT, którzy dzielali mój szyderczy stosunek do pomysłu organizowania igrzysk olimpijskich w bigoteryjnym autokratycznym państwie Putina. Tak wyglądała żywa siła mediów społecznościowych w działaniu. Linki do poważnych komentarzy na temat rosyjskiej demokracji mogły liczyć po paręset ponownych udostępnień, ale zdjęcie tęczy nad Soczi potrafiło zarazić pół świata w dziesięć minut. Póki pomagało to szerzyć świadomość prawdziwej natury Rosji Putina, obie metody mi odpowiadały.

Już wcześniej było wiele powodów, dla których Soczi nigdy nie powinno było zostać wytypowane do organizacji igrzysk olimpijskich. Najbardziej oczywisty jest sam charakter tego miasta, letniego kurortu o podzwrotnikowym klimacie, gdzie temperatura rzadko kiedy zbliża się do zera. Dodatkowo zaskakujące było w tej nominacji, że kiedy 4 lipca 2007 roku przyznano Soczi organizację igrzysk, miasto było całkowicie pozbawione wymaganych obiektów, a mimo to wygrało z Salzburgiem i Pjongjangiem. Od samego początku było jasne, że będzie to katastrofa dla mieszkańców i dla środowiska tego wrażliwego regionu. Soczi również graniczy z Północnym Kaukazem, siedliskiem zarówno terroru islamistów, jak i brutalności rosyjskich wojsk, terenem, który zyskał niechlubną sławę z powodu ataków terrorystycznych w Inguszetii, regularnych zamachów bombowych w Dagestanie i przerażających wojen czeczeńskich.

Wielu mieszkańcom Soczi zniszczono domy i firmy, a obszar otaczający miasto zamienił się w strefę katastrofy ekologicznej, która tylko się pogłębia, odkąd zaraz po zgaszeniu olimpijskiego znicza cały ten teren opustoszał.

Reżimowi Putina zawsze chodzi o jedno: o pieniądze. A konkretnie o to, jak przenieść je na konta bankowe sojuszników Putina. Organizacja igrzysk olimpijskich

– po raz pierwszy odbywających się w Rosji, bo moskiewskie z 1980 roku były jeszcze w ZSRS – stanowiła idealny sposób na przeniesienie dziesiątków miliardów dolarów ze skarbu państwa i państwowych banków w prywatne ręce. Wszystko, poczynając od infrastruktury, przez obiekty sportowe i hotele po catering, wykonywały firmy starannie wyselekcjonowane przez Kreml. Nie było więc żadnym zaskoczeniem, że wśród ich właścicieli znalazły się nazwiska wielu najbliższych kumpli Putina, którzy nieco przedwcześnie rozpoczęli swoją „drogę po złoto” w Soczi. Koszt igrzysk znacznie przekroczył zapowiadane 12 miliardów dolarów (co już było rekordem), osiągając jakieś 50 miliardów dolarów, czyli jeszcze więcej, niż kosztowały pełne przepychu letnie igrzyska w Pekinie w 2008 roku. Według gazety „The Economist” spółki jednego tylko starego kumpla Putina z judo, Arkadija Rotenberga, otrzymały umowy warte 7,4 miliarda dolarów<sup>82</sup>. Cała zimowa olimpiada w Vancouver w 2010 roku kosztowała 6 miliardów dolarów.

Organizacja igrzysk w Soczi była przedsięwzięciem o wątpliwym skutku, nawet gdyby ten tradycyjny stary kurort zamieniono w Xanadu, a Putin byłby w nim Kubla Chanem. Jednak z powodu niewyobrażalnego poziomu korupcji większość pieniędzy nigdy nawet nie dotarła do Soczi. Obiekty wznoszono byle jak, a budowy wielu ambitnych projektów nawet nie zaplanowano przed zakończeniem igrzysk. To znaczy, że nigdy nie powstały i już nie powstaną. Słusznie powiedziano, że najwięcej złota wywiozą z Soczi Szwajcarzy – bez względu na sukcesy ich drużyny.

Członkowie Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego musieli mieć niesamowicie silną wiarę, żeby w obliczu takich trudności powierzać organizację igrzysk właśnie Soczi. Razem z wieloma kolegami z opozycji od początku protestowaliśmy przeciwko tej kandydaturze. Kiedy chaos i korupcja osiągnęły stopień, przy którym stały się ewidentne, złożyliśmy petycję do MKOl-u, żeby przenieść igrzyska do innego miasta, nawet jakiegoś innego w Rosji, ale nie położonego w tak wrażliwym ekosystemie. Tak się oczywiście nie stało, natomiast nowa fala protestów przeciwko Soczi z powodu antygejowskiej ustawy sprawiła, że ta zła sytuacja stała się okazją, by wykorzystać zaplanowany przez Putina pokaz do skupienia uwagi całego świata na obnażonym okrucieństwie jego reżimu.

Jako wieloletni zawodowy sportowiec, najpierw reprezentujący Związek Sowiecki, a potem Rosję, nie mogłem popierać bojkotowania igrzysk w Soczi przez drużyny olimpijskie. Tego rodzaju manewry są niesprawiedliwą karą dla sportowców, nie biorą pod uwagę ich osobistej perspektywy. Ja sam jako młody człowiek nieraz miewałem sytuacje, w których mało brakowało, a padłbym ofiarą „upolitycznienia sportu”. W 1983 roku dowiedziałem się, że nie pojedę do Pasadeny w Kalifornii na mecz pretendentów do tytułu mistrza świata przeciwko sowieckiemu zbiegowi Wiktorowi Korcznojowi. Sowiecki komitet sportu planował już zbojkotować przypadające w 1984 roku letnie igrzyska olimpijskie w pobliskim Los Angeles w odwecie za amerykański bojkot moskiewskiej olimpiady z 1980 roku. Początkowo zostałem zdyskwalifikowany za niestawienie się na mecz, ale na szczęście ostatecznie przeniesiono rozgrywki do Londynu, gdzie wygrałem i kontynuowałem drogę na szczyt, by w 1985 roku sięgnąć po tytuł mistrzowski. Nie wiadomo, jak mogłaby się potoczyć moja kariera, gdyby dyskwalifikację utrzymano i gdybym musiał czekać kolejne trzy lata na walkę z Karpowem.

Mocno wierzę w to, że sport ma moc przełamywania barier i przekraczania granic. Powinniśmy skupiać się przede wszystkim na sporcie i sportowcach. Jednak sport to element kultury, życia, więc igrzyska były okazją dla sportowców, kibiców i mediów z całego świata, by w realny sposób wpłynąć na przestrzeganie praw człowieka w Rosji. Wszyscy pamiętamy gest podniesionej dłoni w czarnej rękawiczce (Black Power) wykonany przez amerykańskich sprinterów Johna Carlosa i Tommiego Smitha na podium medalowym w Meksyku w roku 1968. Soczi było odpowiednim momentem na podobne gesty, chociaż po paru drobnych incydentach (polegających na przykład na pomalowaniu paznokci w kolory tęczy) drużyny otrzymały poważne ostrzeżenia.

Bojkot Soczi, jakiego ja się domagałem, był to bojkot ze strony światowych przywódców, celebrytów i sponsorów, dyrektorów i kibiców. Każdy przywódca jakiegokolwiek państwa, decydując się na przyjazd do Soczi i zajęcie miejsca obok Putina w jego „wspaniałym pałacu rozkoszy”, udawanie, że ten świat nie ma nic wspólnego ze stworzonym przez niego państwem policyjnym – stanowił odrażające

widowisko. Jak wskazywał Stephen Fry w swoim liście, akceptacja świata dla olimpiady w Berlinie w 1936 roku dodała Adolfowi Hitlerowi ogromnej pewności siebie. Mówienie dziś o tym jest politycznie niepoprawne, ale podczas ceremonii otwarcia w 1936 roku cała francuska drużyna olimpijska szła przed Führerem ze wzniesionymi sztywno ramionami. Niektórzy próbują się spierać, czy był to nazistowski salut, czy podobny do niego gest pozdrowienia olimpijskiego, ale to zdecydowanie kwestia bez znaczenia. Hitler i Niemcy byli zachwyceni samym okazaniem szacunku. (Wiele reprezentacji, między innymi brytyjska i amerykańska, odmówiły wzniesienia dłoni w salucie). Putin w Soczi oczekiwał podobnego przypochlebiania się mu i potwierdzenia jego prawomocności.

W 1936 roku rząd Hitlera już od kilku lat prześladował niemieckich Żydów. Naziści również atakowali homoseksualistów, osoby upośledzone, Cyganów i przeciwników politycznych – ten sam model stosowania ucisku wobec najbardziej bezbronnych realizuje Putin, represjonując imigrantów, gejów i opozycję. To prawdziwy dramat, że wolny świat nigdy nie chce uczyć się na dawnych błędach w tym, co dotyczy dyktatorów i potencjalnych dyktatorów.

Despoci natomiast są pilnymi uczniami swoich poprzedników. Skrupulatnie badają, w jaki sposób należy stopniowo odbierać prawa, nie dopuszczając do buntu, w jaki sposób dławić sprzeciw i organizować fikcyjne wybory, a jednocześnie dbać o korzystny wizerunek pozwalający na podróże i wymianę handlową z Zachodem, w jaki sposób mówić o pokoju, równocześnie prowadząc wojnę. Motywy dyktatorów są różne, to prawda – komunizm, faszyzm, podbój, kradzież – ale dążenie do zdobycia pełni władzy nigdy się nie zmienia, a ich metody są aż nazbyt powtarzalne. My natomiast raz za razem pozwalamy, by niemal zgasło w nas przekonanie, że wolne kraje ponoszą odpowiedzialność za obronę niewinnych ludzi przed śmiercią i represjami. Przekonanie to wskrzeszamy w sobie na nowo dopiero wtedy, gdy dochodzi już do kolejnego kryzysu.

Ukraina to najnowsza ofiara tej dynamiki. Soczi było wioską potiomkinowską i okazało się, że samych igrzysk użyto jako zasłony dymnej dla większych spraw. Kiedy przez miniony rok UE nie zgadzała się zaproponować lepszych warunków

zwiększenia integracji Ukrainy z Europą, od razu wmieszał się w to Putin ze swoją typową mieszanką gróźb i przekupstw, a tym językiem płynnie posługiwał się jego sługus, ukraiński prezydent Wiktor Janukowycz. Oto punkt, w którym demokracja ma trudności w rywalizacji z bogatą dyktaturą. Europa oferuje komisje i mgliste harmonogramy, a w zamian wymaga przejrzystości i bolesnych reform. Putin oferuje żywą gotówkę, a jedyne, czego chce, to wasza wolność i dusze.

Niestety dla Putina i Janukowycza ukraiński naród miał coś do powiedzenia w sprawie tej zdrady. Kiedy Janukowycz oświadczył, że zawiesi przygotowania do podpisania umowy stowarzyszeniowej Ukrainy z Unią Europejską, Ukraińcy masowo wyszli na Majdan Nezależnosti, położony w centrum Kijowa plac Niepodległości, by zaprotestować przeciwko podjętej przez Janukowycza próbie odsunięcia Ukrainy od Europy i popchnięcia jej w zimne objęcia Putina. 21 listopada 2013 roku zrodził się Euromajdan, na którym tłum złożony początkowo z paru tysięcy protestujących w ciągu kolejnych dni gwałtownie wezbrał do dziesiątków, a nawet setek tysięcy. Protestujący szybko przeszli od żądania integracji europejskiej do domagania się ustąpienia Janukowycza. Mówili, że Ukraina to nie Rosja i że są gotowi o to walczyć. Tragiczne okazało się to, że rzeczywiście musieli walczyć – i ginąć.

W samym środku nocy 30 listopada milicyjne oddziały ukraińskiej jednostki specjalnej Berkut zaatakowały protestujących w Kijowie i wyparły ich z placu, raniąc dziesiątki osób. O dziwo, protest nie ograniczył się do przegrupowania, lecz w odpowiedzi na ataki znacznie przybrał na sile, wzmacniając się liczebnie. W pierwszym tygodniu grudnia protestujący zorganizowali na Majdanie obóz i ustawili barykady. Zajęli gmach kijowskiej rady miejskiej i żądali dymisji rządu Janukowycza. 6 grudnia Janukowycz pojechał do Soczi na nie zaplanowane spotkanie z Putinem po instrukcje. Wbrew powszechnym obawom nie podpisali żadnego dokumentu mającego włączyć Ukrainę do Putinowskiego „Związku Sowieckiego w wersji light”, czyli bloku unii celno-handlowej, natomiast ukraiński premier ogłosił, że 17 grudnia nastąpi podpisanie jakiejś ważnej umowy.

8 grudnia w Kijowie doszło do największych z dotychczasowych protestów,

w których według większości relacji medialnych mogło wziąć udział nawet pół miliona ludzi. Rząd Janukowycza prowadził negocjacje z grupami przedstawicieli UE, byłymi ukraińskimi prezydentami i popularnymi przywódcami, między innymi z Witalijem Kliczką, byłym mistrzem wagi ciężkiej w boksie oraz członkiem parlamentu. (Jego młodszy brat Władimir jest również wieloletnim mistrzem świata w boksie. Obaj są zapalonymi szachistami). 11 grudnia doszło do kolejnych starć między milicją a protestującymi, ci ostatni jednak pomimo przeraźliwego zimna okazali się odporni, a władze nadal nie chciały użyć druzgocącej siły na oczach całego świata. Janukowycz spotkał się z Catherine Ashton z UE oraz amerykańską sekretarzem stanu Victorią Nuland, których poparcie dla protestów rosyjska propaganda wciąż przytacza jako „dowód” na to, że cały Euromajdan był prowadzonym przez CIA spiskiem zmierzającym do zamachu stanu.

Negocjacje trwały przez cały grudzień, a Majdan stał się w tym czasie osobliwym celem prowolnościowych wycieczek turystycznych, do którego zjeżdżali politycy z całego świata, by przemawiać do tłumów. Protestujący, dziennikarze i przywódcy opozycji byli poddawani represji w postaci włamań i napaści przeprowadzanych przez nieznane siły. To niewiarygodne, ale choć w tamtym czasie wydawało się, że wydarzenia rozgrywają się w zawrotnym tempie, kiedy niemal codziennie dowiadywaliśmy się o czymś nowym i zaskakującym, impas przeciągnął się jeszcze długo na styczeń. Putin ciągle wymachiwał marchewkami, po które zbyt przerażony Janukowycz nie sięgał. Putin oczywiście wolałby, żeby brutalnie stłumić protesty, niż żeby osiągnięto pokojowe porozumienie. Kreml miał nadzieję, że wirus pomarańczowej rewolucji jest odizolowany i zostanie powstrzymany, by nie rozprzestrzenił się za granicę z Rosją, dlatego obiecał Ukrainie 15 miliardów dolarów pomocy finansowej na tę kwarantannę. Panikarskie zmiany stanowiska Janukowycza świadczyły o tym, że wprawdzie chce żyć jak Putin, jednak nie chce umrzeć jak Kaddafi.

Wkrótce po uchwaleniu 16 stycznia nowych ustaw wymierzonych w protesty nastąpił kolejny wybuch przemocy, w wyniku którego zginęło kilka osób. Uprawdono niektórych aktywistów odwiezionych do szpitala z powodu obrażeń,

a jak się okazało, jednego później zabito. Janukowycz próbował wciągnąć przywódców opozycji do rządu, starając się w ten sposób uśmierzyć protesty: zaproponował stanowiska Arsenijowi Jaceniukowi i Kliczce. Oferta została odrzucona.

Przez cały czas istnienia Euromajdanu przedstawiciele rosyjskich władz wysuwali coraz bardziej histeryczne oskarżenia dotyczące roli „obcych agentów” w protestach. Pomimo braku jakichkolwiek dowodów Kreml wielokrotnie oskarżał ukraińskich obywateli, że są szkoleni przez Amerykanów, od których też mają broń, i że spiskują, by dokonać siłą zamachu stanu. Ta linia ataku przypominała sposób, w jaki Związek Sowiecki traktował dysydentów. Jeśli ktoś był przeciwko ZSRS, to nie istniało inne wyjaśnienie jak tylko to, że był obcym szpiegiem – albo osobą obłąkaną. Kreml nie potrafił zdobyć się na uznanie tego, że Ukraińcy, naród najbliższy Rosjanom, walczą o wolność. Podobnie jak w wypadku Gruzji był to zły przykład, który mógł podsunąć Rosjanom niebezpieczne idee.

Pomimo dymisji całego ukraińskiego gabinetu, do której doszło 28 stycznia, oraz niespodziewanej gotowości rządu Janukowycza do drobnych ustępstw wobec odważnych protestujących napięcie na ulicach nadal narastało. Kreml wysłał delegację mającą na osobności omówić sytuację z Janukowyczem. Wyglądało na to, że władze na coś czekają. Względny spokój zakończył się 18 lutego, kiedy nastąpił wybuch przemocy trwający przez kilka kolejnych dni. Zginęło co najmniej osiemdziesiąt osób (w tym dwunastu milicjantów), a ponad tysiąc zostało poważnie rannych. Euromajdan przeszedł od protestu do rewolucji. Szkoleni w Rosji snajperzy z ukraińskich sił specjalnych strzelali do tłumów.

Jednak protestujący znowu się nie rozpięchli i tym razem było jasne, że nie zgodzą się na nic innego poza odejściem Janukowycza. Zamiast podawać się do dymisji albo czekać na odwołanie go z urzędu, Janukowycz uciekł pod skrzydła swoich mecenasów w Rosji, zanim zdążono pociągnąć go do odpowiedzialności za korupcję na niespotykaną skalę. Zdjęcia jego ociekającego złotem pałacu rozeszły się lotem błyskawicy po internecie, a opozycja powołała nowy rząd i zarządziła na maj nowe wybory.



To nie przypadek, że ukraińskie siły bezpieczeństwa przeprowadziły szturm na obóz kijowskiej opozycji na Majdanie podczas igrzysk w Soczi, które trwały od 7 do 23 lutego. Przypomnijmy, że w 2008 roku Rosja najechała na Gruzję w czasie igrzysk olimpijskich w Pekinie. Tego rodzaju widowiska często stanowiły pożyteczne elementy odwracające uwagę; znaczna część mediów, które były wcześniej w Kijowie, pojechała do Soczi właśnie wtedy, gdy wybuchała najgorsza przemoc.

Igrzyska w Soczi pomogły Putinowi również odwrócić uwagę od innych jego działań w kraju. Proces działacza opozycji Siergieja Udalcowa odroczonego do 18 lutego; usłyszał wyrok dziesięciu lat więzienia za „organizowanie masowych zamieszek”, co w języku Kremla oznacza przejście ulicą na czele marszu protestacyjnego – marszu, który był pokojowy do chwili brutalnego zdławienia go przez policję. Proces placu Bołotnego przyniósł osiem wyroków skazujących ogłoszonych 21 lutego – znów pod niezwykle korzystną osłoną igrzysk olimpijskich.

W wiadomościach pokazywano mnóstwo obrazów uśmiechniętego Władimira Putina, który pozował do zdjęć i trącał się kieliszkami z pełnymi szacunku politykami, urzędnikami i sportowcami; dokładnie takich relacji medialnych potrzebował, by w tym czasie jego wymiar niesprawiedliwości mógł spokojnie orzekać wyroki dla nowych rosyjskich więźniów politycznych. Putin wiedział na podstawie historii, że ludzie mają dość złych wiadomości, mają dość smutnych opowieści o represjach i śmierci. Propaganda działa najlepiej, kiedy ludziom łatwiej słuchać kłamstw, niż usłyszeć prawdę – ale prawdy zmienić nie może.

Tak jak się obawiałem, transmitująca igrzyska olimpijskie sieć telewizyjna NBC oraz MKOl realizowały scenariusz Putina i przedstawiały Soczi jako krok w stronę liberalizacji w Rosji zamiast na odwrót. Putin wykorzystał igrzyska jako element odwracający uwagę od procesów pokazowych i najbardziej zjadliwych antyamerykańskich i antysemitkich kampanii od dziesięcioleci. No bo jakże mogły tego rodzaju wiadomości konkurować z jazdą figurową na lodzie albo hokejem? Jednak Ukraińcy nie odegrali wyznaczonej im roli i walczyli o wolność, o życie. Ich odwaga zasługuje na najwyższe uznanie. Demonstranci z Euromajdanu przypominają

nam, że bez względu na to, jak wielkim szacunkiem obcy przywódcy darzą dyktatora za jego rządów, historia zawsze kończy się tak samo: wstydem w oczach własnego narodu.

Międzynarodowy Komitet Olimpijski był w tym wszystkim ochoczym partnerem i oczywiście miał też w tym względzie własną długą i mroczną historię. Na przykład po triumfie Berlina kolejne igrzyska olimpijskie zaplanowano w faszystowskich stolicach: w Tokio na 1940 rok i w Rzymie na rok 1944<sup>83</sup>. Przewodniczący MKOl-u Thomas Bach, protestując tak usilnie wobec krytykowania Soczi przez zagranicznych przywódców i nazywając to „mieszaniem polityki do sportu”, ignorował fakt, że sprzedawanie takiej potężnej platformy propagandy i korupcji dyktaturze jest również „uprawianiem polityki”. Stosując wątpliwe przesłanki Bacha, MKOl mógłby z powodzeniem przyznać organizację igrzysk Korei Północnej, o ile zapewniłaby odpowiednie obiekty i terminowo płaciła należności.

\*

Wiedziałem, że Putin nie czeka beczynie, kiedy jego sługus Janukowycz opuścił Ukrainę. W artykule opublikowanym we francuskim dzienniku „Le Monde” 24 lutego ostrzegałem, że „jeśli Putin nie będzie mógł dostać całej Ukrainy, obierze kurs na jej podział. Pod kierunkiem Kremla regiony Ukrainy sympatyzujące z Rosją, na przykład Krym, już teraz mówią o »niepodległości«, co zgodnie z najlepszą Orwellowską tradycją ma oznaczać coś dokładnie przeciwnego: utratę wolności i stanie się częścią Putinowskiego neo-ZSRS”<sup>84</sup>.

Kiedy w 2013 roku al-Asad i Putin tańczyli walca na czerwonej linii Obamy w Syrii, ostrzegałem, że dyktatorzy i potencjalni dyktatorzy od Caracas przez Teheran po Phenian bacznie się temu przypatrują. Czy Zachód przeciwstawi się agresji wymierzonej w suwerenne państwo, by zachować „wpływy w regionie”? Czy zwłaszcza administracja Obamy ma odwagę głosić własne przekonania, kiedy trzeba spełnić obietnice, bo nadszedł czas próby? Wprawdzie były też inne czynniki, jednak jestem przekonany, że Syria dodała Putinowi pewności siebie, żeby to sprawdzić. Putin przywrócił Rosji charakter państwa policyjnego, a Ukraina, którą

nazywał „Małą Rosją”, była następna w kolejce. Wydawało mi się to oczywiste, szczególnie gdy widziałem tak liczne podobieństwa do igrzysk olimpijskich w Berlinie z 1936 roku.

Putin chciał, by olimpiada w Soczi była dla niego chwilą, która upodobni go do Piotra Wielkiego: jego ukochany sowiecki letni kurort miał zostać przekształcony w międzynarodowy klejnot, tak jak Sankt Petersburg, który został zbudowany jako imperialna stolica praktycznie od zera. Putin miał również nadzieję, że podając ludowi wielkie igrzyska do pajdy rosyjskiego czarnego chleba, podbije nieco patriotyczną dumę. To tego rodzaju iluzja, która rodzi się w umyśle despoty, gdy po zbyt długim sprawowaniu władzy zaczyna on mylić samego siebie z państwem. Ponieważ nie ma mechanizmów, które zapewniałyby mu zwrotne opinie, czyli wolnych mediów i prawdziwych wyborów, zaczyna wierzyć, że jego własna chwała jest chwałą państwa, a to, co uszczęśliwia jego, uszczęśliwia również naród.

Pod tym względem istnieje różnica między igrzyskami olimpijskimi w Soczi z 2014 roku a letnimi igrzyskami olimpijskimi w Moskwie z 1980 roku i w Pekinie z 2008 roku. W wypadku tych wcześniejszych machina autorytarnej propagandy służyła promowaniu osiągnięć państwa i systemu. Olimpiada była organizowana ku większej chwale komunizmu, totalitarnego państwa, wyższości systemu i sportowców, których ten system zrodził. Nikt nie pamięta, kto przewodniczył igrzyskom z 2008 roku w Pekinie, a nieliczni mogą pamiętać Breżniewa w Moskwie. Tymczasem w Soczi prezes Rosyjskiego Komitetu Olimpijskiego ani razu nie pojawił się w telewizji czy gdziekolwiek indziej, podobnie jak reżyser ceremonii otwarcia igrzysk. Nie: widowisko w Soczi ewidentnie dotyczyło ambicji i nieposkromionej pychy jednego wszechobecnego człowieka – i jest to coś, co łączy Soczi z letnimi igrzyskami z Berlina w roku 1936.

Tu na moment odejdę od tematu, ponieważ w takich chwilach często widywałem, jak rozmawiający ze mną dziennikarze i eksperci przewracają oczami. Zdanie: „Jednak Putin to nie Hitler!”, automatycznie pchało im się na usta, zanim jeszcze z moich wybrzmiało do końca słowo „Berlin”<sup>85</sup>. To fascynujące i niebezpieczne zjawisko z zakresu historycznej niewiedzy: niemal każda wzmianka o Hitlerze lub

nazistach spotyka się obecnie z rytualną wręcz drwiną praktycznie z każdej strony: poczynając od zawodowych dziennikarzy po anonimowe tweety. Wygląda na to, jakby powolna i dokonująca się na oczach opinii publicznej przemiana niemieckiego polityka populisty w najhaniebniejszego potwora w dziejach przekraczała zdolność racjonalnego myślenia.

Doskonale zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństw porównywania wszystkiego, co złe, do nazistów czy do Hitlera albo porównywania wszystkiego, co kojarzy się z represjami, do faszyzmu, albo każdego przejawu polityki ustępstw do Monachium. Nadużycie prowadzi do banalizacji i utraty znaczenia, co wyjaśnia również powody, dla których należy rezerwować określenia „ludobójstwo” i „Holokaust” do bardzo ściśle określonych spraw, a nie używać ich beztrąsko albo po to, by wstrząsnąć odbiorcą. Na tym polega prawdziwa postawa „nigdy więcej”: że nie wolno o tym zapominać. Właśnie na tym polega zło trwającego przez siedem lat niewywiązywania się przez prezydenta Obamę z obietnicy złożonej podczas kampanii z 2008 roku, że uzna ludobójstwo Ormian. Jak możemy dziś walczyć przeciwko złu obecnemu pod tak wieloma postaciami w naszym świecie, skoro nie mamy odwagi stawić czoła złu, którego duchy mają już sto lat? Dlatego musimy być na tyle uczciwi i odważni, by nazywać zło po imieniu, a zwłaszcza to zło, które było matką wszystkich dwudziestowiecznych wypadków ludobójstwa.

A zatem nie ma ani odrobiny lekkomyślności w tym, że porównuję współczesną jednoosobową dyktaturę szerzącą faszystowską propagandę do tamtej wcześniejszej, kiedy anektuje kawał terytorium swojego europejskiego sąsiada pod tym samym dokładnie pretekstem: „obrony rodaków”. Nie z powodu niewiedzy ani chęci wywołania wstrząsu u odbiorców porównuję tchórzostwo i pojednawczość wykazywane dziś przez przywódców wolnego świata wobec Putina z rozpaczliwymi, daremnymi, a ostatecznie zgubnymi strategiami wobec Hitlera realizującymi politykę ustępstw z lat trzydziestych ubiegłego wieku. Mówimy o spójnych i niebezpiecznych precedensach, a nie o banalnych porównaniach między dwoma despotami o mikrej posturze, których w dodatku cechuje też wspólne upodobanie do przekleństw.

Oczywiście zło nazistów opiera się racjonalnym porównaniom. Oczywiście nikt nie jest w stanie równać się ze zbrodniczym demonem, jakim stał się Hitler w latach czterdziestych, ani z popełnianymi przez niego okropieństwami. Oczywiście nikt nie zakłada nowej wojny światowej ani próby naśladowania Holokaustu. Jednak tak szybkie zapomnienie o lekcjach płynących z tego, jak Hitler wszedł do polityki, jak sprawował władzę i jak przez tak długi czas go lekceważono i mu pomagano, jest niemądre i niebezpieczne. A jak powiedziałem we Wprowadzeniu, w 1936 roku nawet Hitler nie był Hitlerem. Owszem, wielu ludzi w Niemczech i za granicą patrzyło już na niego z podejrzliwością, ale mimo to mógł stać rozpromieniony na berlińskim stadionie olimpijskim, odbierając dowody najwyższego uznania od światowych przywódców i patrząc na wyciągnięte sztywno w geście salutu ręce sportowców z wielu krajów świata. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jego triumf na światowej scenie dodał śmiałości nazistom i wzmocnił ich ambicje.

Czy było to zamierzone, czy nie, reżim Putina dość wiernie odtworzył w Soczi schemat z Berlina z 1936 roku. Na międzynarodowe głosy protestu z powodu bigoteryjnych ustaw odpowiedziano takimi samymi zdawkowymi ustępstwami. Tuż przed przyjazdem dziennikarzy wypuszczono kilku znaczących więźniów politycznych. Nawet ton propagandy brzmiał bardzo znajomo, co znakomicie zilustrował pisarz i dziennikarz Wiktor Szenderowicz. Przytoczył wypowiedź jednego z lojalnych wobec Putina polityków, Władimira Jakunina, oskarżającego zachodnie media o antyrosyjską histerię i wrogość oraz potępiającego tych zagranicznych krytyków za próbę sparaliżowania igrzysk olimpijskich. Następnie Szenderowicz ujawnił, że połowa tej wypowiedzi pochodzi w rzeczywistości od Karla Rittera von Halta, organizatora igrzysk w Berlinie, tylko wszędzie w miejsce słowa „Niemcy” powstawiano słowo „Rosja”. Przejście z jednego tekstu do drugiego dokonało się całkowicie niezauważalnie.

\*

Pod koniec lutego 2014 roku, drugi raz w ciągu sześciu lat, Władimir Putin wydał rosyjskim wojskom rozkaz przekroczenia granicy uznanej na płaszczyźnie

międzynarodowej i zajęcia obcego terytorium. Trzeba ten fakt stwierdzić wyraźnie, zanim zacznę się dyskusję na temat jego motywów czy konsekwencji. Rosyjskie wojska zajęły ukraiński Krym siłą, a także pomagały w ewakuacji Wiktora Janukowycza. Ten akt sprawił, że Putin stał się członkiem ekskluzywnego klubu – wraz z Saddamem Husajnem i Slobodanem Miloševiciem – jako jeden z bardzo nielicznych przywódców, którzy najechali sąsiednie państwo w epoce atomowej. Parę tygodni później Putin prześcignął Miloševicia, dokonując formalnej aneksji Krymu, podobnie jak Husajn uczynił z Kuwejtem.

Tak nieskrywana ekspansjonistyczna agresja wyszła z mody od czasów Adolfa Hitlera, który ostatecznie poniósł klęskę, oraz Józefa Stalina, który zwyciężył. Armia Czerwona Stalina miała swój udział w chwale pola bitwy, jednak prawdziwy jego triumf dokonał się na konferencji jałtańskiej w lutym 1945 roku, trzy miesiące przed końcem wojny w Europie. To tam Stalin zastraszył słabego Franklina Roosevelta i bezsilnego Winstona Churchilla, kreśląc na nowo polskie granice i obiecując wybory w Polsce, podczas gdy wiedział, że komunistyczne władze wprowadzane przez Sowietów miały już tam pozostać.

To oczywiście tylko przejmujący zbieg okoliczności, że Jałta leży na Krymie, jednak w tym wspomnieniu o drugiej wojnie światowej jest coś jeszcze. Taktykę Putina łatwo – i celnie – można porównać do taktyki zastosowanej podczas anszlusu Austrii przez Rzeszę Niemiecką oraz podczas nazistowskiej okupacji i aneksji Kraju Sudeckiego w Czechosłowacji w 1938 roku. Stosowano tę samą retorykę na temat ochrony zagrożonej ludności, tę samą pełną kłamstw, usprawiedliwień i oskarżeń propagandę. Putin naśladował również model Stalina użyty w Jałcie w odniesieniu do Polski: najpierw najechać, potem negocjować.

Parę tygodni później Krym został zmuszony do zorganizowania fikcyjnego referendum w sprawie przyłączenia się do Rosji. Głosowanie odbywało się na korzystnych dla Kremla warunkach i pod lufami rosyjskich karabinów, a jego wyniki były niepodważalne. Tego, że mieszkańcy Krymu zagłosowali już w przeszłości, że chcą pozostać częścią Ukrainy, jakoś nie wzięto pod uwagę.

Interwencja Putina na Krymie nastąpiła zaledwie kilka godzin po tym, jak

ówczesny ukraiński prezydent Janukowycz wspiał się jakoś z Kijowa po swoich sznurkach marionetki do dłoni swego pana w Rosji. Zostawił na Ukrainie tysiące dokumentów i kilka pałaców, dowody ogromnej skali własnej korupcji i korupcji politycznej. Wyrzucenie go z kraju, okupione krwią odważnego ukraińskiego narodu, osłabiło wizerunek Putina. Podobnie jak to robi każdy łobuz ze szkolnego podwórka albo szef gangu, Putin natychmiast znalazł sposób, by znowu poczuć się silnym i takie sprawiać wrażenie. Naturalnym celem okazał się Półwysep Krymski, miejsce kluczowe pod względem historycznym, zamieszkiwane przez znaczną liczbę ludności sympatyzującej z Rosją i bezbronne ze względu na usytuowanie geograficzne (oraz będące siedzibą rosyjskiej bazy marynarki wojennej).

Jak powtarzam od wielu lat, próba odgadnięcia głębokiej strategii w działaniach pana Putina jest stratą czasu. W jego kalkulacjach nie ma złożonych interesów narodowych. Są tylko interesy osobiste, interesy bliskich mu ludzi, którzy utrzymują go przy władzy. Liczy się to, jak da się najlepiej umocnić tę władzę. Wobec braku prawdziwych wyborów i wolnych mediów jedynym kanałem, za którego pomocą dyktator może porozumiewać się ze swoimi poddanymi, jest propaganda, a jedynym sposobem na potwierdzenie jego władzy są regularne pokazy siły.

Wewnątrz Rosji ta siła zwraca się przeciwko dysydentom i prawom obywatelskim. Za granicą siła w postaci działań zbrojnych, sankcji handlowych lub ekonomicznych wymuszeń jest stosowana wszędzie tam, gdzie Putin uzna, że ujdzie mu to na sucho. Dotychczas zdarzało się to całkiem często – i dotychczas Putin nie mylił się w swojej ocenie.

Pomimo przewidywań wielu znawców, polityków i tak zwanych ekspertów Putin oficjalnie przyłączył ukraiński region Krym. Być może nie zrobiło na nim wrażenia logiczne rozumowanie i zgrabny wykład tych krytyków na temat tego, że najazd na Krym i jego aneksja są sprzeczne z rosyjskim interesem narodowym. Zasadniczy problem z zachodnimi argumentami, które zaczynają się od: „Putin nigdy by nie...”, polega na tym, że zakładają one, że rosyjski interes narodowy w ogóle obchodzi Putina i jego elitę rządzącą. Otóż nie obchodzi – z wyjątkiem paru dziedzin, w których interes narodowy nakłada się na ich własne cele, sprowadzające się do

łupienia jak największej ilości pieniędzy i innych bogactw od państwa. Czas już przestać słuchać wykładowców z Harvardu i ekspertów pouczających nas, czego Putin nigdy by nie zrobił; czas najwyższy reagować na to, co właśnie robi.

Kolejnym czynnikiem przeszkadzającym w powstrzymaniu Putina jest dobrowolny paraliż przywódców Europy i grupy G7. Twarda prawda brzmi: jedyne sankcje czy w ogóle jakiegokolwiek działania, które wpłyną na postępowanie Putina, to te wymierzone bezpośrednio lub pośrednio we władzę, którą w Rosji trzyma w garści. To jedyne, o co Putin dba, ponieważ wie, co dzieje się z takimi ludźmi jak on, gdy ta władza im się wymyka. Dlatego to, co po Krymie powiedział sekretarz stanu John Kerry swojemu odpowiednikowi, Siergiejowi Ławrowowi, było właśnie tak poważnym błędem. „Mamy nadzieję, że prezydent Putin będzie zdawał sobie sprawę z tego, że nic z tego, co mówimy, nie ma charakteru groźby – powiedział Kerry. – Nic z tego nie ma charakteru osobistego”<sup>86</sup>. Jedną nieudolną uwagą Kerry usunął z dyskusji jedyną kwestię, jaką Putin się przejmował: groźbę pod adresem jego osobistej władzy.

Obama powtórzył ten błąd dwa dni później, kiedy ogłosił, że Ameryka nie wyśle wojska, by bronić Ukrainy. Nikt jednak nie prosił o wysłanie wojska, a Obama przypuszczalnie sądził, że w ten sposób rozładowuje napięcie. Jednak tam, gdzie Obama widzi gest o pokojowych intencjach, Putin po raz kolejny widzi po prostu słabość. Rzucenie broni na ziemię, by uspokoić sytuację, w której wzięto zakładników, może podzielać na przerażonego nastolatka, ale nie na kogoś takiego jak Putin. Dla Putina Obama jest jego jedynym realnym przeciwnikiem na świecie. I oto właśnie ten przeciwnik dobrowolnie zrezygnował z jednego ze swoich atutów, dających mu największą przewagę: przytłaczającej potęgi militarnej Ameryki. W odniesieniu do Iranu, do Syrii, a potem jeszcze do Ukrainy Obama scedował politykę zagraniczną na Putina, odbierając tym samym piastowanemu przez siebie urzędowi znaczną część wpływów na okres, który o wiele lat przetrwa jego kadencję w Białym Domu.

28 marca Putin zadzwonił do Obamy, by omówić sprawę Ukrainy, chociaż to, co mówili, różni się od tego, co słyszeli. Analizowanie rozbieżności między



komunikatami prasowymi Białego Domu i Kremla na temat tych rozmów jest pasjonującym zajęciem i zwykle nie sposób odgadnąć, że oba komunikaty dotyczą tej samej rozmowy. Komunikat Białego Domu wspomina o potrzebie „reformy konstytucyjnej i demokratycznych wyborów” na Ukrainie oraz wycofania przez Rosję swoich wojsk ze wschodniej Ukrainy. Podsumowanie opublikowane przez Kreml dotyczy „szalejących ekstremistów” w Kijowie i włącza do rozmowy separatystyczny mołdawski region Transnistrii, jawnie grożąc po raz kolejny podniesieniem stawki.

Bardziej zainteresowało mnie to, że w żadnym streszczeniu nie padło słowo „Krym”. Najwyraźniej ten kawał suwerennego ukraińskiego terytorium, na które najechał i które przyłączył Putin zaledwie kilka tygodni wcześniej, przestał już być tematem rozmów. Zaledwie dzień wcześniej Zgromadzenie Ogólne ONZ zrobiło to, czego nie mogła zrobić Rada Bezpieczeństwa ze względu na weto Rosji. Rezolucja Zgromadzenia Ogólnego ONZ broniąca integralności terytorialnej Ukrainy otrzymała sto głosów, a nawet przy silnej presji Rosja zyskała tylko dziesięciu sojuszników, łatwą do przewidzenia bandycką galerię obejmującą między innymi Kuba, Zimbabwe, Sudan, Syrię i Koreę Północną. A mimo to Obama niespodziewanie wydawał się gotów pozwolić Putinowi zmienić ramy negocjacji na takie, które będą dotyczyły kwestii, czy Rosja podbije *jeszcze więcej* Ukrainy.

Jakiś miesiąc wcześniej zachodni eksperci snuli całe mnóstwo kolejnych przewidywań z gatunku „Putin nigdy by nie...”, a wielu ostrzegało, by nie „przycierać Putina do muru”, lecz by zamiast tego zaproponować mu „honorowe wycofanie się” z Krymu. Putin w ogóle nie miał zamiaru się wycofywać i obrócił tę taktykę przeciwko Obamie i Zachodowi, proponując im honorowe wycofanie się ze wschodniej Ukrainy jako nową wyraźnie wyrysowaną granicę. Ponad rok później, pod koniec kwietnia 2015 roku, walki na tym terenie nadal trwały pomimo kilku żalosnych porozumień w sprawie „zawieszenia broni”, które również istniały jedynie dla ocalenia honoru zachodnich przywódców.

Używanie w negocjacjach terytorium innego państwa jako zabezpieczenia ma długą tradycję. Najbardziej oczywisty przykład pochodzi z 1938 roku, kiedy Hitler

łaskawie zaproponował, że nie zajmie całej Czechosłowacji w zamian za to, że weźmie Kraj Sudecki, a Wielka Brytania i Francja nie będą zgłaszać żadnych zastrzeżeń. Korea Północna i Iran również lubią prowadzić indywidualne rozmowy ze Stanami Zjednoczone, chcąc w ten sposób dać do zrozumienia, że nikt inny się nie liczy. Jednak Ukraina to nie sprawa USA przeciwko Rosji; to sprawa cywilizowanego świata przeciwko dyktatorowi, a głosowanie Organizacji Narodów Zjednoczonych poparło tę ocenę stosunkiem głosów dziesięć do jednego.

Upoważnienie do utrzymywania presji na Putina jest wyraźne, o ile tylko Zachód ma odwagę ją utrzymywać i zwiększać. W innym wypadku stanie się tak jak z Czechosłowacją w 1938 roku, która była nieobecna podczas negocjacji „wielkich mocarstw”: nowo powstały rząd Ukrainy zostanie sprowadzony do roli widza, pacjenta po znieczuleniu miejscowym, który bezradnie przygląda się, jak chirurdzy odcinają mu kawałki ciała. Udział Stanów Zjednoczonych w tych rozmowach jest rzeczą ze wszech miar pożądaną, zwłaszcza w roli sygnatariusza memorandum budapeszteńskiego z 1994 roku, które gwarantuje integralność ukraińskiego terytorium. Jednak przedstawiciele Ukrainy powinni być obecni na każdym etapie tych rozmów, a Ukraińcy muszą mieć pełną i wszechstronną informację, zanim inne kraje posuną się za daleko w zakresie decydowania o tym, co leży w interesie Ukrainy.

Putin po raz kolejny obalił przewidywania swoich obrońców na Zachodzie i kontynuował najazd na wschodnią Ukrainę. Parę miesięcy później, z nadejściem lata, śmierć poniosły już tysiące Ukraińców, w tym wielu cywilów, a setki tysięcy zostały zmuszone do ucieczki. Siły „separatystyczne” znacznie przewyższały liczebnie ukraińskie wojsko – oczywiście nie znaczy to, że na wschodniej Ukrainie istniał wcześniej jakikolwiek wart wzmianki ruch rebeliantów czy też separatystów; dopiero Putin odkrył istnienie ich potężnej i bardzo dobrze wyposażonej armii. Europa i Stany Zjednoczone odmówiły dostarczania broni na Ukrainę, ograniczając się do pomocy humanitarnej i paru pojazdów.

Również działania wymierzone przeciwko Putinowi były skandalicznie słabe pomimo wyraźnej obecności wojsk rosyjskich oraz rosyjskiej broni zalewającej

Ukrainę. Jedną rzeczą jest, gdy teoretycy i eksperci bez mrugnięcia okiem okazują zrozumienie dla Putina, dla jego „żywotnych interesów” i jego „sfery wpływu”, jak gdyby pięćdziesiąt milionów Ukraińców nie miało w tej kwestii nic do powiedzenia. Czymś zupełnie innym jest, gdy Barack Obama, David Cameron i Angela Merkel przejmują się „niestabilnością” i „wysokimi kosztami” wywołanymi przez sankcje przeciwko Rosji, jak gdyby to mogło być gorsze niż niestabilność wywołana bezkarnie się dokonującym częściowym zaborem europejskiego państwa przez nuklearną dyktaturę.

Ta nieudolność była smutna i łatwa do przewidzenia, jednak 17 lipca sądziłem, że może wreszcie się skończy, kiedy nad wschodnią Ukrainą rakietą ziemia-powietrze zestrzeliła samolot linii Malaysia Airlines 17 (MH17), zabijając wszystkich dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu ludzi na jego pokładzie. Miejscowi dowódcy separatystów natychmiast pochwalili się zestrzeleniem samolotu, który wzięli za kolejną ukraińską maszynę wojskową, a odwołali swoje twierdzenia i skasowali internetowe posty, dopiero kiedy się okazało, że był to samolot cywilny.

Oczywiście szok i przerażenie mogły przerodzić się we wściekłość i wstyd przywódców wolnego świata, że wojnie na Ukrainie pozwolono do tego stopnia się zaognić. Oczywiście do Putina mogło dotrzeć, że przeszarżował, i mógł próbować uprzedzić gwałtowne reakcje, wycofując swoje siły oraz poparcie dla ukraińskich separatystycznych terrorystów. Oczywiście to, że dwie trzecie pasażerów stanowili Europejczycy (wśród nich było stu dziewięćdziesięciu trzech Holendrów), mogło doprowadzić do potężnych protestów na Zachodzie i do surowych kar wymierzonych przeciwko Rosji.

Oczywiście nic takiego się nie stało.

W tamtym czasie powiedziałem, że zestrzelenie MH17 w najmniejszym stopniu nie zmieni kalkulacji Putina, ale miałem nadzieję, że sprowokuje ono zachodnią reakcję, która te kalkulacje zmieni. Jakimś cudem po raz kolejny udało mi się nie docenić tchórzostwa zachodniego świata. Odrobinę i na krótko zmieniła się retoryka, ale nic poza tym. Ogłoszono wszczęcie dochodzenia, chociaż samo jego rozpoczęcie zajęło dużo czasu, ponieważ wojska separatystyczne nie chciały pozwolić na

zabranie szczątków samolotu i ciał ofiar, dopóki ich nie ograbiły. I gdzie ta wściekłość? Nikt nie wierzył w wykręty separatystów ani w rosyjską propagandę na temat przyczyny, którą było nic innego, jak rosyjska rakietka. Czy brak reakcji wynikał z tego, że Ukraina leży daleko, jest biedna i mało ważna, a w dodatku stała się strefą wojenną? Czy gdyby wojska Putina zestrzeliły ten sam samolot nad Amsterdamem albo nad Kuala Lumpur, coś by to zmieniło? Nie jestem pewien, czy chcę znać odpowiedź na to pytanie.

W takim razie kogo należało uznać za winnego? Nawet jeśli zna się odpowiedź, nie jest to proste pytanie. To znaczy: oczywiście, winą należy obarczyć osobę, która nacisnęła przycisk odpalający raketę; to ta łatwiejsza część odpowiedzi. Czy wystarczy, że go aresztujemy i będziemy sądzić za morderstwo? Odpowiedzialność to szersze pojęcie. Jest dowódca, który wydał rozkaz naciśnięcia przycisku. Dalej: ktoś dostarczył rakietki separatystom. Dalej: są urzędnicy, którzy otworzyli granicę i pozwolili wwozić uzbrojenie na Ukrainę, są ministrowie i generałowie w Moskwie, którzy wydali takie rozkazy. Dalej dochodzimy już do biurka, przy którym spoczywa cała władza w Rosji – do biurka człowieka, któremu ci ministrowie i generałowie są bardzo skrupulatnie posłuszni: do biurka Władimira Putina.

Uznanie Putina za winnego śmierci tych dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu ofiar jest równie słuszne i bezcelowe jak obarczenie winą człowieka, który nacisnął przycisk odpalający raketę. Od miesięcy wszyscy wiedzieli, że Rosja dostarcza uzbrojenie separatystom na Ukrainie i ich wspiera. Od lat wszyscy wiedzieli, że w rosyjskim rządzie bez zgody Putina nawet mysz nie piśnie. A więc owszem, Putin jest bardziej niż ktokolwiek inny odpowiedzialny za śmierć tych dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu osób.

Jednak obwinianie Putina za najazd na Ukrainę – za aneksję Krymu, za przekazanie separatystom zaawansowanych rakiet ziemia–powietrze – to jak obwinianie słynnego skorpiona za to, że użądlił żabę. Należało się tego spodziewać. Taką ma naturę. Zamiast martwić się, jak zmienić naturę skorpiona albo co gorsza, jak go najlepiej ułagodzić, musimy skupić się na tym, w jaki sposób cywilizowany

świat może powstrzymać to niebezpieczne stworzenie, zanim zginą kolejne niewinne istoty.

Dlatego rozciągnijmy sieć odpowiedzialności tam, gdzie może to przynieść jakieś dobre skutki. Zajmijmy się przywódcami wolnego świata, którzy nic nie zrobili, by wzmocnić ukraińskie granice nawet po tym, jak Rosja zaanektowała Krym i bardzo jasno dała do zrozumienia, że ma ambicje zdestabilizować wschodnią Ukrainę. Czy należy obwiniać Zachód? Czy to oni nacisnęli przycisk? Nie. Oni udawali, że Ukraina ich nie dotyczy. Mieli nadzieję, że będą mogli spokojnie ignorować Ukrainę, zamiast bronić integralności terytorialnej zaatakowanego europejskiego kraju. Sparaliżował ich strach i wewnętrzne sprzeczki. Sprzeciwiali się silnym sankcjom przeciwko Rosji, ponieważ martwili się ich wpływem na własną gospodarkę. Bronili miejsc pracy, ale stracili ludzkie życie.

Czy do tej tragedii by doszło, gdyby w chwili wejścia Putina na Krym wprowadzono surowe sankcje przeciwko Rosji? Czy doszłoby do niej, gdyby NATO od początku postawiło sprawę jasno: że będzie bronić suwerenności Ukrainy, dostarczając broń i doradców? Tego się nie dowiemy. Podejmowanie działania wymaga odwagi, a osiągnięcie celów może się wiązać z wysokimi kosztami. Jak jednak widzimy obecnie z przerażeniem, cena za bezczynność jest również wysoka, a celu nadal nie osiągnięto.

Argument, że jedyne alternatywne rozwiązanie w stosunku do kapitulacji przed Putinem to trzecia wojna światowej, jest dobry dla ludzi ograniczonych. Istniał – i zawsze istnieje – cały wachlarz możliwych reakcji. Restrykcje finansowe i ograniczenia podróżowania wymierzone przeciwko kumplom Putina i ich rodzinom oraz srogie sankcje przeciwko kluczowym sektorom rosyjskiej gospodarki mogą również powodować pewne straty w europejskiej gospodarce. Aż do katastrofy MH17 Europa mogła się spierać, ile pieniędzy są warte jej zasady. Po MH17 ten spór musi dotyczyć tego, ile pieniędzy było warte życie dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu ludzi.

\*

Podczas gdy rosyjskie wojska i kolumny opancerzone nacierają na wschodnią Ukrainę, ukraiński rząd błaga wolny świat o pomoc. To ten sam wolny świat, wobec którego Ukraińcy mieli nadzieję, że ich przyjmie i obroni jak swojego członka, kiedy protestujący na Majdanie zdali sobie sprawę ze swojego okupionego krwią zwycięstwa. Tymczasem przywódcy wolnego świata wciąż nie mogą znaleźć odpowiedniej terminologii, by uwolnić się od moralnej odpowiedzialności za brak zapewnienia tej ochrony. Dokonany przez Putina najazd na suwerenny europejski kraj jest „wtargnięciem”, dokładnie tak jak zajęcie Krymu – pamiętacie Krym? – było „bezkonfliktowym przybyciem”, a nie anszlusem. Wspierane przez Rosję i posiadające rosyjskie uzbrojenie (a prawdopodobnie po prostu rosyjskie, i kropka) wojsko zestrzeliło na wschodniej Ukrainie cywilny samolot pasażerski i pomimo dwustu dziewięćdziesięciu ośmiu ofiar oburzenie szybko się rozproszyło, a jego miejsce zajęły kulturalne dyskusje na temat tego, czy dochodzenie ma dotyczyć zbrodni, zbrodni wojennej czy może ani jednej, ani drugiej.

Ta terminologia tchórzostwa dochodząca z Berlina i Waszyngtonu jest równie haniebna (a nawet bardziej od niej niebezpieczna) jak podawana przez reżim Putina propaganda mówiąca, że „czarne jest białe”. Stosowane przez Moskwę zasłony dymne w zasadzie nie są konieczne w obliczu takiej rozmyślnej ślepoty. Kłamstwa Putina są oczywiste i można się ich było spodziewać. Europejscy przywódcy i Biały Dom z większym nawet niż Kreml zapalem udają, że ten konflikt ma charakter lokalny i dlatego nie wymaga niczego więcej niż mglistych obietnic z bardzo bezpiecznego dystansu. Jak pisał George Orwell w 1946 roku w swoim eseju poświęconym językowi, tuż przed rozpoczęciem pracy nad powieścią *Rok 1984* (i z pewnością nie jest to przypadek): „Jednak o ile myśl powoduje rozkład języka, o tyle język może również powodować rozkład myśli”. Zachodnia retoryka polityki ustępstw tworzy samonapędzającą się spiralę umysłowego i moralnego rozkładu. Powiedzenie dziś prawdy oznaczałoby przyznanie się do wielu miesięcy kłamstw, tak samo jak potrzeba było wielu lat – i tej właśnie wojny – by zachodni przywódcy w końcu przyznali, że Putin nie należy do grupy G7.

Nowy ukraiński prezydent Petro Poroszenko spotkał się z prezydentem Obamą

w Waszyngtonie we wrześniu, ale późniejsze oświadczenie Obamy w niczym nie wskazywało na to, że amerykański przywódca jest skłonny uznać istniejące realia. Ogólne zapewnienia, że Stany będą „mobilizować społeczność międzynarodową”<sup>87</sup>, były już wystarczająco marne, kiedy wszystko dopiero się zaczynało. Ich powtórzenie w chwili, gdy ukraińskie miasta padają pod naporem rosyjskich wojsk, to jakaś parodia. W tamtym czasie sugerowałem, że Poroszenko powinien być włożyć na to spotkanie T-shirt z napisem: „Wojna, głupcze”. Podczas gdy rosyjskie czołgi i artyleria spychają przytłoczone ich przewagą siły ukraińskie, ponawiane z naciskiem twierdzenie Obamy, że nie ma militarne rozwiązanie sytuacji na Ukrainie, brzmi coraz bardziej jak urojenia. Nie czas uczyć pływać człowieka, który tonie.

Stany Zjednoczone, Kanada, a nawet Europa reagowały na agresję Putina, to prawda, ale zawsze były o kilka posunięć za nim, zawsze dopiero wtedy, gdy cały potencjał powstrzymujący każdego takiego działania zdążył się zdezaktualizować. Ostre sankcje i wyraźna demonstracja poparcia dla ukraińskiej integralności terytorialnej, które rekomendowałem w tamtym czasie, miałyby rzeczywiste oddziaływanie, kiedy Putin ruszył na Krym, w lutym i marcu. Jakiś sygnał, że grożą mu za to realne konsekwencje, podzieliłby jego elity, które musiałyby wziąć pod uwagę możliwość utraty tak drogich ich sercom majątków w Nowym Jorku i Londynie.

Następnie, gdyby w kwietniu i maju dostarczono Ukrainie broń o charakterze defensywnym, uprzedziłoby to dokonujący się właśnie wtedy najazd albo przynajmniej znacząco podwyższyłoby jego koszt, a tym samym sprawiłoby, że Kreml musiałby dużo wcześniej uwzględnić opinię rosyjskiego społeczeństwa w procesie podejmowania decyzji. Osoby, które w tamtym czasie jak ja nawoływały do udzielenia takiej pomocy, nazywano podżegaczami wojennymi, a decydenci polityczni znowu szukali dialogu z Putinem. A wojna i tak przyszła bez względu na te starania, jak to się dzieje zawsze w obliczu słabości.

Jako jeden z pionierów tej analogii i złowieszczych paraleli dostrzegam ironię w tym, jak szybko porównywanie Putina do Hitlera przestało budzić zgorszenie

i zaczęło być truizmem w mediach – z dobrymi i złymi skutkami. Z pewnością arogancja Putina i używany przez niego język coraz bardziej przypominają Hitlera, podobnie jak to, co dzięki nim zyskuje. Putin może być za to wdzięczny nadobfitości Chamberlainów w dzisiejszych kuluarach władzy – a próżno wypatrywać w nich Churchilla. Wojna rodzi się ze słabości, nie z siły.

Dopóki łatwo mu to przychodzi, dopóki Putin idzie od jednego triumfu do kolejnego, nie napotykając oporu, dopóty poparcie dla niego rośnie. Zajął Krym w zasadzie bez jednego wystrzału. Zalał wschodnią Ukrainę agentami i bronią, podczas gdy Europa pozostawała w rozterce. Oligarchowie, którzy mogli naciskać na Putina na początku jego ukraińskiej przygody, teraz finansują tę wojnę i nie mogą zgrabnie się wycofać. Spalono tak wiele mostów, że trudniej teraz dotrzeć do wrażliwych punktów Kremla.

Upokarzające niepowodzenie dwóch porozumień pokojowych podpisanych w Mińsku dowiodło, że przywódcy wolnego świata zwyczajnie nie chcą przyznać, że z Putinem nie da się osiągnąć porozumienia w taki sposób, w jaki osiągają porozumienie między sobą. Jak zwykle nie ma mowy o wzajemnie korzystnym interesie. Putin wyzyskuje i wykorzystuje każdą sposobność oraz nie czuje się w obowiązku postępować zgodnie z prawem i przestrzegać praw człowieka ani w Rosji, ani poza jej granicami. Putin to przegrana sprawa i Rosja również będzie przegraną sprawą, dopóki on nie zniknie. Od samego początku błędem było traktowanie Putina jak każdego innego przywódcy, ale teraz nie ma już żadnych wymówek.

Putin nie da za wygraną ani nie zostanie wypchnięty z Ukrainy, dopóki wiarygodne groźby pod adresem jego władzy nie wywołają rozłamu wśród jego elit i doradców. Obecnie nie mają żadnej motywacji, by zakładać, że mu się nie powiedzie. Putin chroni ich i ich majątki, podczas gdy wolny świat, w którym tak lubią mieszkać, nie wykonał żadnych ruchów, które mogłyby w końcu zmusić ich do wybrania między własnym bogactwem a Putinem. Zmiana tego rachunku jest jedynym niemilitarnym sposobem obrony Ukrainy – i każdego innego miejsca, jakie wybierze sobie Putin następnym razem, szukając kolejnych wrogów, którymi będzie karmił



maszynę propagandową utrzymującą go przy władzy w kraju.

Obama i przywódcy Europy nadal upierają się, żeby przestrzegać reguł gry, mimo że Putin podarł regulamin, a strzępy rzucił im w twarz. Obłożenie sankcjami paru politycznych partyjniaków Putina to kpina i kremlowskie elity słusznie się śmieją. Zapożyczając hasło z trafnie zatytułowanego filmu *Wszyscy ludzie prezydenta*: „Idź śladem pieniędzy!”, należałoby powiedzieć tak: obłóżcie sankcjami elity, które wspierają Putina, znajdźcie wszystkich członków rodziny, których używają, by ukrywać swoje majątki za granicą, i przeanalizujcie ich firmy. Oligarchowie Putina otwarcie wspierają administrację, która bezpośrednio finansuje terrorystów na Ukrainie; na pewno istnieją sposoby, by dostać się do nich i ich majątków. Jeśli istniejące prawo jest niewystarczające, by poradzić sobie z oprychami miliarderami, którzy stwarzają warunki do działania niebezpiecznego reżimu, uchwalcie nowe. I zróbcie to szybko.

Rosyjscy dowódcy – ci w terenie – nie są głupi. Wiedzą, że patrzy na nich NATO i że mogłoby w jednej chwili roznieść ich w pył. Są uzależnieni od otaczającej Putina aury niezwyciężoności, która rośnie z każdym dniem, kiedy Zachód odmawia dostarczenia Ukrainie wsparcia wojskowego. Tych dowódców trzeba zmusić do zrozumienia, że stoją w obliczu przytłaczającej siły, że ich życiu grozi poważne niebezpieczeństwo, że mogą zostać schwytani i osądzeni – i że schwytani i osądzeni zostaną. Aby taka groźba była wiarygodna, wymaga ona natychmiastowej pomocy wojskowej, o ile już nie wysłania wojsk, którego wszyscy oprócz Putin tak bardzo starają się uniknąć. Jeśli członkowie NATO nadal będą odmawiać wysłania śmiertelnej pomocy na Ukrainę, będzie to jeszcze jedno zielone światło dla Putina.

Po raz kolejny Putin kłamie w drobnych sprawach, a jednocześnie realizuje swoje większe groźby i ważniejsze cele. Przez rok zaprzeczał, że rosyjskie wojska były na Krymie, po czym w wyemitowanym 16 marca 2015 roku rosyjskim filmie dokumentalnym z dumą opisał, jak rozlokowywał tysiące żołnierzy rosyjskich sił specjalnych na ukraińskim półwyspie. Oczywiście nikt nie mógł nawet udawać, że jest wstrząśnięty, ponieważ było o tym wiadomo praktycznie od samego początku

dzięki zdjęciom satelitarnym oraz działalności reporterów, blogerów i miejscowej ludności – wszyscy oni umieszczali w mediach społecznościowych zdjęcia rosyjskich oddziałów i uzbrojenia. Powinno nas to czegoś nauczyć na temat tego, jakim człowiekiem jest Putin. Jeśli ma jakiś cel, wówczas każde kłamstwo, każda zbrodnia czy użycie przemocy konieczne do osiągnięcia tego celu są całkowicie dopuszczalne i należy się spodziewać, że nastąpią. Przecież powiedział, co zamierza zrobić. Nie można narzekać na sposób, w jaki to robi. Jest to również metoda, zgodnie z którą Putin od piętnastu lat rządzi Rosją.

Takie same wydarzenia dokonują się dziś przy obecności dużo większych rosyjskich sił na wschodniej Ukrainie, których tylko przybywa pomimo ostatniej farsy zawieszenia broni zwanej „Mińsk II”. Między kolejnymi „zawieszeniami broni” wspierane przez Rosję siły zajmowały następne setki kilometrów kwadratowych ukraińskiego terytorium i powodowały setki nowych ofiar. Liczba ofiar śmiertelnych wynosi obecnie znacznie ponad sześć tysięcy. Prawdopodobnie za parę miesięcy Putin przyzna się również do tego i być może odznaczy medalami załogę wyrzutni rakiet, która zestrzeliła samolot MH17. Dlaczego nie? Lubi obnosić się ze swoimi kłamstwami w obliczu ofiar i przywódców wolnego świata, którzy nie chcą ich bronić. W tym samym filmie dokumentalnym Putin powiedział, że w sprawie Krymu był gotów zarządzić stan najwyższego pogotowia rosyjskiego arsenału nuklearnego. Mówi takie rzeczy, ponieważ wie, jaki wpływ będzie to miało na Zachodzie. Ludzie i przywódcy wolnego świata, który obalił sowieckie imperium, zapomnieli, jak brzmi pobrękiwanie szabelką.

Putin nie jest żadnym mistrzem strategii. Jest agresywnym pokerzystą napotyającym słaby sprzeciw zachodniego świata, który do tego stopnia nabrał awersji do podejmowania ryzyka, że woli raczej spasować, niż choćby blefować, bez względu na to, jak dobre dostał rozdanie. Ostatecznie Putin to oczywiście rosyjski problem i Rosjanie muszą poradzić sobie z tym, jak się go pozbyć. Zarówno jednak on sam, jak i jego represyjny reżim w wyniku tej polityki jednostronnego angażowania otrzymują bezpośrednie i pośrednie wsparcie ze strony wolnego świata. Musimy wrócić do bolesnych wspomnień dotyczących zgubnych zagrożeń

wiążących się ze stosowaniem polityki ustępstw wobec dyktatorów, z brakiem jedności w obliczu agresji i z kurczowym trzymaniem się ulotnego pokoju, które gwarantuje długotrwałą wojnę.

Kiedy rzecz dotyczy powstrzymywania dyktatorów, z każdym dniem opóźnienia cena zawsze idzie w górę. Zachodni przywódcy protestowali przeciwko podejmowaniu działań wobec sytuacji na Ukrainie, argumentując to potencjalnymi kosztami, tymczasem muszą przyjąć do wiadomości powszechnie uznane fakty historyczne potwierdzające, że rzeczywiste koszty bierności są zawsze jeszcze wyższe. Teraz jedyne pozostałe opcje są ryzykowne i trudne, ale mimo to trzeba ich spróbować. Najważniejszy powód podjęcia działań zmierzających do powstrzymania Putina dziś jest brutalnie prosty: jutro będzie wyłącznie trudniej.

---

81 Snowden: *Mamy obowiązki, które wykraczają poza narodowe zobowiązania* (oświadczenie Edwarda Snowdena, 12 lipca 2013), przeł. Dawid Krawczyk, cyt. za: [\[link\]](#).

82 *Castles in the Sand*, „The Economist”, 13 lipca 2013.

83 Zostały odwołane z powodu wybuchu drugiej wojny światowej. Kolejne igrzyska olimpijskie odbyły się w 1948 roku w Londynie.

84 Garry Kasparov, *Les Jeux et la vérité*, „Le Monde”, 24 lutego 2014.

85 Mój bliski współpracownik Mig Greengard zaczął to nazywać „przewracaniem oczami na dźwięk słowa Hitler”. Zdarzało się to podczas wielu moich wywiadów przed igrzyskami w Soczi i w ich trakcie. Mig zauważył też, że dziennikarze w większości przestali reagować na te porównania przewracaniem oczami, kiedy Putin zaanektował Krym, czyli zrobił to, co zapowiadałem.

86 Konferencja prasowa Johna Kerry’ego w Londynie, 14 marca 2014 roku.

87 Obama naprawdę to powiedział (*Poroszenko w Kongresie USA: Ukraina potrzebuje pomocy Ameryki*, 18 września 2014; [\[link\]](#)). Wiele jego uwag brzmi jak parodia dyplomatycznego pustosłowia: „i będziemy w dalszym ciągu starać się mobilizować społeczność międzynarodową, by powiedzieć Rosji, że Ukraina pragnie dobrych stosunków ze wszystkimi sąsiadami, zarówno od wschodu, jak i od zachodu, oraz że powinno się znaleźć jakiś sposób, żeby Ukraina mogła negocjować i handlować, i kontynuować bezpośrednie relacje między mieszkańcami Ukrainy i Rosji, ale Rosja nie może dyktować Ukrainie warunków jej współpracy z innymi partnerami, aby poprawić sytuację ukraińskiego społeczeństwa”. Rosja właśnie najechała Ukrainę!

# Zakończenie

## Ponadczasowe wartości w zmieniającym się świecie

Nie da się wskazać dokładnie jakiejś jednej chwili, w której przestaliśmy oczekiwać od swoich przywódców przewodzenia, a zaczęliśmy dbać tylko o Realpolitik i mniejsze zło. Jeszcze zanim na ziemię opadły ostatnie nity mocujące żelazną kurtynę, a Zachód pogrzyżył się w samozadowoleniu i roztrwonił dywidendę płynącą z pokoju, wyborcy i parlamentarzyści na całym świecie zaczęli rozglądać się za zarządcami zamiast wizjonerów.

Z wyjątkową ostrością przypomniałem sobie o tym 19 grudnia 2011 roku. Śmierć postanowiła zabawić się z nami wyjątkowo okrutnie, niemal w tym samym momencie zabierając poetę, dysydenta i orędownika praw człowieka, Václava Havla, i obłąkanego władcę Korei Północnej, Kim Dzong Ila. Reakcja mediów była łatwa do przewidzenia: przywódcę aksamitnej rewolucji zlekceważono, natomiast wiadomości zalała powódź domysłów na temat dwudziestoosmioletniego Kim Dzong Una, który został przywódcą posiadającego broń jądrową więzienia całego narodu znajdującego się dokładnie w środku między Rosją, Chinami i Japonią. Zainteresowanie było zrozumiałe, ironia polegała jednak na tym, że wszystkie te przypuszczenia brano poważnie, podczas gdy przez czterdzieści osiem godzin nikt poza Phenianem nie wiedział nawet, że Kim Dzong Il nie żyje.

Czymś gorszym od ironii było to, że śmierć Havla, a co ważniejsze, jego niezwykle życie zostały zepchnięte na bok przez plotki na temat zamiłowania koreańskiego szaleńca do filmów i francuskiego koniaku. Czemu zamiast gubić się w domysłach na temat jakiegoś nieznanego spadkobiercy tronu w Korei Północnej, nie zapytać o następcę wielkiego przywódcy moralnego, jakim był Václav Havel?

Czy jest ktoś, kto mógłby teraz ponieść sztandar wolności od najróżniejszych postaci ucisku? Dramatopisarz Havel – artysta, marzyciel – przeżył dwie trzecie swojego życia pod rządami komunistycznego reżimu i wiedział, że o wolność trzeba walczyć każdą dostępną bronią na wszystkich frontach.

Po raz pierwszy spotkałem Havla w Pradze w 1990 roku, kiedy był świeżo wybranym prezydentem. Od razu wykorzystał swoją nową pozycję, by wspierać prodemokratyczną działalność innych, zwłaszcza na terenach wciąż będących wówczas Związkiem Sowieckim. Zaproszono mnie do udziału w konferencji sowieckich dysydentów, którą prowadził Władimir Bukowski. Havel nalegał, by konferencja odbyła się w dopiero co wyzwolonej Pradze. To niewiarygodne, ale musiał pokonać opór niektórych członków własnego rządu, którzy obawiali się, że urażą w ten sposób Kreml. O ile pamiętam, Havel był jedynym przedstawicielem czeskich władz wysokiego szczebla, który brał udział w tej konferencji.

W różnych momentach w czasie trwania jego prezydentury, a także później krytykowano Havla za to, że nie był skuteczny jako najwyższy przedstawiciel władzy wykonawczej, że nie stał się politykiem i nie zajął się zawieraniem korzystnych umów. Jednak patrząc na jego osiągnięcia, szczególnie w odniesieniu do Moskwy, trzeba uznać, że te krytyczne uwagi pomijają to, co najważniejsze. Havel przewodził w okresie upadku Czechosłowacji i nie poląła się wtedy ani kropla krwi, a był to ten sam czas, kiedy Jugosławia była pogrążona w straszliwej wojnie domowej. Havel położył podwaliny pod porządek demokratyczny wolny od powiązań z komunistyczną i kagiebowską przeszłością, podczas gdy Borysowi Jelcynowi nie udało się wykorzenić u siebie mocno się trzymającej biurokracji, nomenklatury, a po sobie zostawił następcę z KGB. Dzisiaj Republika Czeska i Słowacja są kwitującymi państwami demokratycznymi, natomiast Rosjanie toczą ciągle od nowa bitwę o wolność jednostki. Liczą się zasady, liczą się rezultaty, a Havlowi powiodło się jak mało komu.

Taka jawna odwaga zawsze działa jak wzór do naśladowania. Havel był etycznym kamertonem dla mieszkańców Europy Wschodniej, tak jak Andriej Sacharow był nim dla narodów sowieckich. Kiedy spotkaliśmy się z Havlem

ponownie w czeskiej ambasadzie w Moskwie w 2007 roku, podupadał już na zdrowiu, ale nie miał kłopotów z dostrzeżeniem, kim jest Władimir Putin. Był oburzony, że są ludzie, którzy negocjują ze złem, zamiast nazwać je po imieniu.

W opublikowanym w 2004 roku tekście poświęconym Korei Północnej Havel wyłuszczył odwieczną prawdę na temat dyktatorów: „Stanowczość, wytrwałość i negocjowanie z pozycji siły to jedyne, co przemawia do rozsądku Kim Dzong Iłowi i jemu podobnym”<sup>88</sup>. Żadnych rozmów o polityce ustępstw, żadnego traktowania praw człowieka jak jednej z wielu kart przetargowych. Gdybyśmy mieli więcej takich przywódców jak Václav Havel, nie musielibyśmy aż tak obawiać się, co nas może spotkać od takich dyktatorów jak Kim Dzong Il.

Jak to się stało, że doszliśmy do tego smutnego stanu? Kiedy od świata, w którym celebrytami byli sowieccy dysydenci i w którym panowało przekonanie, że obowiązkiem ludzi cieszących się wolnością jest pomaganie tym jej pozbawionym, przeszliśmy do świata, w którym dyktatorzy pozują do selfie ze snowboardzistami, a ofiarom ucisku mówi się, że mają sobie radzić same? Wierzcie mi, że nie wracam myślą do jakiegoś złotego wieku z mojej wyobraźni, który nigdy nie istniał. Nie jestem ani zbyt młody, by nie pamiętać tych czasów, ani zbyt stary, by już o nich zapomnieć.

\*

9 listopada 1989 roku był jednym z najwspanialszych dni w znanej historii świata. Setki milionów ludzi wyswobodziły się spod totalitarnego komunizmu po całych pokoleniach spędzonych w mroku.

Nie brakuje opracowań naukowych i opinii na temat powodów runięcia muru berlińskiego. Z radością włączam się w te nie kończące się dyskusje, musimy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że poszukiwanie jakiejś konkretnej przyczyny w konkretnym momencie jest chybione. Wiemy, że gdyby nie jedność wolnego świata przeciwko wspólnemu wrogowi, gdyby nie silne stanowisko oparte na odmowie negocjowania w sprawie wartości wolności jednostki, ten mur nadal by dziś stał, a ja być może wciąż grałbym w szachy, reprezentując Związek Sowiecki.

Przez całe dziesięciolecia nawiązywano różne sojusze i trwały różne rywalizacje, i były okresy Realpolitik. Po obu stronach ważne role odgrywały wybitne jednostki, poczynając od Ronalda Reagana i Margaret Thatcher, przez Lecha Wałęsę i papieża Jana Pawła II, po Michaiła Gorbaczowa, który wyzwolił siły, nad którymi nie potrafił zapanować. Zasadniczy wątek był równie prosty co prawdziwy: zimna wojna to pojedynek dobra ze złem i – co równie ważne – nie chodziło wyłącznie o kwestie filozoficzne, lecz o prawdziwą bitwę, którą warto było toczyć. Społeczeństwo wspierało wysiłki tych wielkich przywódców, społeczeństwo wspierało walkę i stojące za nią zasady.

Mur runął i świat odetchnął. Skończyła się długa, trwająca całe pokolenia wojna. Znikała wisząca dotychczas nad naszymi głowami groźba nuklearnej zagłady. Zwycięstwa jednakże, nawet te najwspanialsze, odnosi się pewnym kosztem, nawet jeśli tym kosztem jest tylko uśpienie czujności. Po upadku komunizmu nie urządzano komisji prawdy, nie przeprowadzano procesów i nie karano za niewyobrażalne zbrodnie tych reżimów. KGB zmieniło nazwę, ale nie zmieniło swojej natury.

Poza tym samozadowolenie Zachodu pozwalało oczywiście na działanie wszystkim jego wrogom, nie tylko Putinowi. Sowieci mogli tylko marzyć o tym, czym dysponują dzisiejsze dyktatury: o łatwym dostępie do światowych rynków umożliwiającym finansowanie represji w kraju. Dotyczy to nie tylko państw opartych na ropie, takich jak Rosja, Iran czy Wenezuela, lecz także państw będących producentami. Państwa autorytarne skutecznie opierały się pomysłowi wolnego świata, by wykorzystywać politykę angażowania i kontakty gospodarcze jako narzędzie nacisku na dyktatorów w kwestii praw człowieka, ponieważ dyktatorzy wykorzystują je zawsze chętnie i bez wahania, natomiast podobnej chęci w wolnym świecie nie widać.

Polityka angażowania dała dyktaturom dużo więcej niż konsumentów wydobywanej przez nich ropy i montowanych przez nich iPhone'ów. Wykorzystują Interpol do prześladowania dysydentów za granicą; finansują lub tworzą partie polityczne i organizacje pozarządowe, by lobbowały na ich rzecz; piszą artykuły wstępne w „The New York Times” pełne obłudnych apeli o pokój i zgodę.

A wszystko to dzieje się równocześnie z silniejszym niż kiedykolwiek rozprawianiem się z opozycją w kraju. To angażowanie praktykowane jako droga jednokierunkowa. To angażowanie praktykowane jako polityka ustępstw. To porażka przywództwa na tragiczną skalę.

Nawet mając najwspanialsze ideały i tradycje, można stracić ostrość widzenia, jeśli sceneria dozna radykalnej zmiany. Symbole pomagają nam odzyskać tę ostrość, a kiedy znikają, stajemy się bezbronni. Wylądowanie Amerykanów na Księżycu nie było tak niezwykle, ponieważ nie było tam niczego wartościowego. John F. Kennedy wierzył, że to wydarzenie stanie się symbolem amerykańskiego postępu, pokonywania wyzwań i trudności oraz oczywiście symbolem wyższości nad ZSRS.

Dzięki wyścigowi kosmicznemu wypracowano całą nową generację technologii, technologii, która miała przenieść amerykańską potęgę przemysłową w epokę komputerów. Jednak wkrótce po dokonaniu tego niewiarygodnego wyczynu wyścig kosmiczny znacząco osłabł. Symbol odszedł w niepamięć i od grudnia 1972 roku, kiedy na Księżycu wylądował Eugene Cernan, żaden więcej człowiek nie postawił tam już stopy. Symbol pokonywania wyzwań, symbol postępu, pomyłono z samym wyzwaniem. Kiedy dotarto na Księżyc, szybko zapomniano o wielkim dążeniu, które reprezentował. Podobnie jak stało się z Hitlerem i Stalinem, człowieka lecącego na Księżyc przeważnie pamięta się dziś jak element mitologii.

Mur berliński był oczywiście czymś więcej niż symbolem. Mur dosłownie dzielił miasto na dwie części i reprezentował podział między światem wolnym a pozbawionym wolności. Kiedy runął, łatwo było zapomnieć, że te dwa światy: wolny i pozbawiony wolności, wciąż istnieją, mimo że muru już nie ma. Symbol znikł, więc zapomniano o tym, co sobą reprezentował. Niespodziewanie zło przestało występować pod znaną postacią. 11 września przekonaliśmy się, że zagrożenia są realne, mimo że nie widać wyraźnych linii pola walki. W miejscu sojuszy opartych na historii i wartościach pojawili się sojusznicy z wygody. Jest to naturalny skutek ponad dwudziestu lat traktowania każdego jak potencjalnego przyjaciela – praktyki, która dodaje śmiałości wrogom, a dezorientuje prawdziwych sojuszników.



Jednak wrogowie jak najbardziej istnieją, czy chcemy to przyznać, czy nie. To wrogowie wszystkiego, co oznacza Ameryka i cały wolny świat. Czy chodzi o Putina, czy o ISIS, tych sił nie da się pokonać za pomocą polityki angażowania. Nie: by je pokonać, musimy wykazać się jednością, determinacją i zasadami, dzięki którym odniesiono zwycięstwo w zimnej wojnie. W kategoriach szachowych można powiedzieć, że dwadzieścia pięć lat temu nasi wielcy poprzednicy zostawili nam pozycję dającą wygraną. Dali nam narzędzia pozwalające obalać dyktatorów i pokazali nam, jak tych narzędzi używać. My jednak porzuciliśmy te narzędzia i zapomnieliśmy o tych lekcjach. Najwyższy czas je sobie przypomnieć.

\*

Trwa globalna wojna, której samego istnienia większość ludzi, nawet wiele jej ofiar, jest nieświadoma. By policzyć, jak wiele jest ofiar tej wojny, wystarczy sięgnąć do nagłówków z paru ostatnich miesięcy. Sto czterdzieści siedem osób zabitych na uniwersytecie w Garissie w Kenii. Szesnaście straciło życie w atakach terrorystycznych w Paryżu: w redakcji tygodnika „Charlie Hebdo” i w koszernym supermarkecie. Tysiące poległych na wschodniej Ukrainie. Przywódca opozycji zastrzelony na moskiewskim moście w drodze do domu. Poza tym niezliczone rzesze rannych i więźniów, będących ofiarami tej globalnej walki.

Globalizacja faktycznie zmniejszyła rozmiary świata, ułatwiając przepływ dóbr, kapitału i pracy. To pomniejszenie dotyczy jednak nie tylko przestrzeni, lecz także czasu, kiedy nie znające granic technologie i idee dwudziestego pierwszego wieku zderzają się z osłoniętymi niegdyś kloszem kulturami i reżimami, które chciałyby istnieć w postaci z minionych stuleci. Jest to nie tyle słynne zderzenie cywilizacji, ile podjęta przez tych „podróżników w czasie” próba zachowania swojej słabnącej władzy poprzez powstrzymanie rozprzestrzeniania się idei społeczeństwa otwartego.

Radykalni islamiści ustawili wehikuł czasu na wczesne średniowiecze i zachęcają do mordowania wszystkich, którzy im się sprzeciwiają. Władimir Putin chce, by Rosja istniała w wielkomocarstwowej epoce carów i monarchów, siłą zdobywając dominację nad swoimi sąsiadami i nie kłopotząc się wyborami czy

skargami z powodu łamania praw obywatelskich. Pokomunistyczne autokracje sprawowane przez najbliższych sojuszników-dyktatorów Putina na Białorusi i w Kazachstanie wykorzystują ideologię tylko jako środek umożliwiający im utrzymywanie się za wszelką cenę przy władzy. Na Wschodzie rządzona przez Kim Dzong Una Korea Północna próbuje zatrzymać czas w bańce stalinowskiego więzienia. Na Zachodzie Maduro w Wenezueli i bracia Castro na Kubie wykorzystują socjalistyczną propagandę, by stawiać opór coraz silniejszemu naciskowi na przestrzeganie praw człowieka. Watażkowie Boko Haram stosują religię jako usprawiedliwienie dla wyrzynania rywali. Inni, na przykład religijne monarchie na Bliskim Wschodzie, są winni współudziału w stwarzaniu warunków sprzyjających przemocy z powodu archaicznych ograniczeń nakładanych na wolne społeczeństwo.

Cechą wspólną tych podróżników w czasie jest odrzucenie nowoczesności, lęk i nienawiść wobec tego, co powinniśmy nazywać po prostu „współczesnymi wartościami”, by zastąpić przestarzałe i protekcyjne określenie „wartości zachodnie”.

Globalizacja sprawiła, że te relikty zamierzchłych czasów stykają się i rywalizują ze współczesnym światem, co zagraża zniszczeniem ich środowiska i władzy. Ten kontakt zapewnia im również rynki zbytu dla ich zasobów naturalnych oraz zdobycze techniki, których używają do zabijania i represji, dlatego nie mogą całkowicie się odciąć. Podróżnicy w czasie nie mogą bezpośrednio walczyć z poglądami i dobrobytem wolnego świata, dlatego używają jedynej broni, jaką mają: ideologii, przemocy i pogardy dla wartości ludzkiego życia. Urok wolności słowa i wolnego rynku zwalczają irracjonalizmem: radykalną religią i nacjonalizmem, kultem jednostki i dogmatem, nienawiścią i strachem.

Mimo że wielu polityków i ekspertów temu przeczy, jest całkowicie możliwe, że przegra się walkę, jeśli się nie chce przyznać, że jest się jej uczestnikiem. Co gorsza, ignorowanie realnego charakteru tego konfliktu powoduje, że na liniach frontu pojawia się jeszcze więcej niewinnych ofiar zamiast wyszkolonych żołnierzy i sił porządkowych. Nie ma prostych rozwiązań problemu rodzimych terrorystów albo

dyktatorów dysponujących bronią jądrową, ale musimy zacząć od położenia kresu tej kulturze zaprzeczania.

\*

W innym miejscu przekonywałem, że historia ma charakter cykliczny; okazało się, że wspaniałe zwycięstwo demokracji nie było wieczne, ale okresowe. Po prostu musiało upłynąć trochę czasu, zanim objawiła się gwałtowna reakcja na nasz przesadny optymizm. Mułłowie, monarchowie i dyktatorzy stawiają opór temu, co jest zagrożeniem dla ich średniowiecznych ekosystemów. Ten wspólny wątek łączy atak Putina na Ukrainę i wywodzącą się z islamu zbrodniczą ideologię, która napędza Al-Kaidę i ISIS, ideologię, która była motorem działań braci Kouachich w Paryżu i wielu podobnych do nich. Tacy ludzie stawiają opór współczesnemu światu, brutalnie wykazując błędność przekonania o „końcu historii”.

Naszym celem musi być niesienie pomocy tym, którzy utknęli w przeszłości, by dołączyli do teraźniejszości, a nie można tego dokonać wyłącznie siłą. Musimy być szczerzy i przedstawiać tak pociągające argumenty, by były nie do odparcia. Nie oznacza to jednak obchodzenia się z brutalnymi ekstremistami jak z jajkiem, tolerowania ich lub tych, którym zawdzięczają swoje istnienie, zarówno w kraju, jak i za granicą. Społeczeństwo otwarte, które nie potrafi bronić własnych obywateli, wkrótce przestanie być otwarte. Społeczeństwo, które nie będzie walczyć o wolność, straci ją – tę prawdę uwiecznił Reagan w swojej słynnej wypowiedzi, że wolność „nigdy nie jest bezpieczna na dłużej niż jedno pokolenie”.

W tej walce ważne są symbole, symbole takie jak kampanie w sprawie „Charlie Hebdo” czy „Oddajcie nasze dziewczynki”, oraz zdjęcia światowych przywódców biorących wspólnie udział w demonstracjach na rzecz wolności słowa. Nie wystarczy jedynie mówić swoim imigrantom, obywatelom i miliardom ludzi wciąż żyjących w pozbawionym wolności świecie, że te ideały są ważne; musimy je także pokazywać. Terrorysty i ci, którzy ich uczą, oraz dyktatorzy i ci, którzy umożliwiają ich istnienie, momentalnie wyłapią wszelką hipokryzję, wszelkie podwójne standardy. Nie możemy godzić się na to, że – jak pisał Victor Hugo w *Pracownikach*

morza – „można się przyzwyczaić do trucizny”<sup>89</sup>.

\*

27 lutego 2015 roku w samym środku Moskwy zamordowano z zimną krwią Borisa Niemcowa, mojego wieloletniego przyjaciela i kolegę z rosyjskiej opozycji. Cztery kule w plecy zakończyły jego życie, a stało się to na tle Kremla, gdzie kiedyś, za prezydentury Borysa Jelcyna, pracował jako wicepremier. Zdjęcia z miejsca zbrodni pokazywały, jak zaledwie kilka godzin po zabójstwie służby oczyszczania miasta ścierają jego krew z chodnika, nietrudno zatem się domyślić, jak wyglądało wszczęte w tej sprawie dochodzenie.

Tak naprawdę to Putin wszczął – a zarazem zamknął – to śledztwo, zanim jeszcze ostygło ciało Borisa, nazywając jego zabójstwo „prowokacją”<sup>90</sup>. Ten termin techniczny miał sugerować, że wrogowie Putina mordują się nawzajem, chcąc w ten sposób obciążyć jego, choć on jest Bogu ducha winny. Następnie Putin bezwstydnie wysłał kondolencje matce Niemcowa, która często przestrzegała swojego nieustraszonego syna, że w Rosji Putina jego działania mogą kosztować go życie.

W ciągu kilku godzin po śmierci Borisa pojawiły się doniesienia, że policja dokonała nalotu na jego mieszkanie i skonfiskowała dokumenty i komputery. Wrogowie Putina często są ofiarami, a jego ofiary zawsze są podejrzane. Boris był żarliwym krytykiem wojny Putina na Ukrainie i właśnie kończył raport na temat obecności rosyjskich żołnierzy w Donbasie – a była to sprawa, na której tuszowanie Kreml nie szczędził wysiłków. Jednak pytanie: „Czy Putin wydał rozkaz?”, brzmi dziś równie jałowo, jak brzmiało wówczas, gdy w 2006 roku zastrzelono dziennikarkę Annę Politkowską albo gdy w ubiegłym roku nad wschodnią Ukrainą zestrzelono samolot MH17.

Dopóki Putin jest prezydentem, nigdy się nie dowiemy, kto wydał rozkaz, nie ma jednak wątpliwości, że on jest bezpośrednio odpowiedzialny za stworzenie warunków, w których z tak straszną częstotliwością dochodzi do takich aktów przemocy. Wszystkie głoszone początkowo przez Putina hasła przywracania krajowi dumy i struktury, które państwo straciło wraz z upadkiem ZSRS, powoli traciły

dynamikę, a zastępowała je toksyczna mieszanka nacjonalizmu, wojowniczości i nienawiści. W 2014 roku coraz bardziej dziesiątkowany ruch opozycyjny, od dawna traktowany z pogardą i wystawiany na pośmiewisko, zyskał w zdominowanych przez Kreml mediach nową nazwę: niebezpiecznej piątej kolumny albo „zdrajców narodu” – w tym plugawym języku często pojawiały się zapożyczenia od nazistów.

Dopasowując się do prowadzonej propagandy, Putin okazywał silniejsze wsparcie najbardziej represyjnym, reakcyjnym i krwiożerczym elementom reżimu. Należy do nich czeczeński gubernator Ramzan Kadyrow i pierwszy zastępca prokuratora generalnego Aleksandr Bastrykin, który oświadczył niedawno, że rosyjska konstytucja „stoi na drodze do obrony interesów państwa”. W tych warunkach krew staje się oficjalną walutą, sposobem okazywania lojalności wobec reżimu. Właśnie to wypracował Putin, aby utrzymać się przy władzy: kulturę śmierci i strachu, która rozciąga się na wszystkie jedenaście rosyjskich stref czasowych, a teraz dokonuje się jej eksport na wschodnią Ukrainę.

Boris Niemcow był niestrudzonym bojownikiem i jednym z najbardziej utalentowanych krytyków rządów Putina – przy czym ta rola wcale niekoniecznie musiała przypaść mu w udziale. Będąc skutecznym merem Niżnego Nowogrodu, sprawnym członkiem gabinetu i parlamentarzystą, mógł prowadzić wygodne życie w pionie władzy jako symboliczny liberalny głos wzywający do reform. Jednak Boris nie miał odpowiednich kwalifikacji do pracy dla reżimu Putina. Rzecz w tym, że miał zasady i nie mógł znieść widoku naszego państwa staczającego się z powrotem w totalitarne otchłanie.

Dlatego angażując do tego swoją olbrzymią postać, donośny głos i wielkie serce, Boris rozpoczął ciężką walkę o utrzymanie demokracji w Rosji przy życiu. Pracowaliśmy razem, kiedy został wyrzucony z parlamentu w 2004 roku, a w 2007 roku byliśmy bliskimi sojusznikami w ruchu opozycyjnym. Z oddaniem dokumentowałem zbrodnie i korupcję Putina i jego kumpli w nadziei, że kiedyś staną przed wymiarem sprawiedliwości, która przez cały czas wydawała się oddalać<sup>91</sup>.

Równolegle z opracowywaniem raportu na temat rosyjskich żołnierzy na

Ukrainie nie szczędził sił na przygotowywanie marszu protestacyjnego zaplanowanego na najbliższą niedzielę w Moskwie. Ten marsz miał się stać jego konduktem pogrzebowym. Kiedy w 2012 roku Putin powrócił na urząd prezydenta, zaczęliśmy się kłócić z Borisem. Dla mnie był to znak końca wszelkich realistycznych nadziei, że możliwe jest jakieś pokojowe rozwiązanie polityczne dotyczące zmiany reżimu w Rosji. Jednak Boris był zawsze pełen nadziei. Mówił mi, że działam zbyt pochopnie: „w Rosji trzeba wiele przeżyć, żeby doczekać się zmiany”. Teraz on się już jej nie doczeka.

Nie sposób przewidzieć, jaka dokładnie okropność czeka nas w najbliższym czasie; wiadomo tylko tyle, że kolejne będą się pojawiać tak długo, jak długo Putin będzie pozostawał przy władzy. Jedynym sposobem, by rządy Putina dobiegły końca, jest zrozumienie przez rosyjskie społeczeństwo oraz elity Putina, że dopóki on tu jest, dopóty dla nich nie ma przyszłości. W tej chwili bez względu na to, co naprawdę sądzą o Putinie i o własnym życiu, widzą, że jest niezwyciężony i nieusuwalny. Widzą, że na Ukrainie robi, co chce, zajmuje terytorium i prowadzi wojnę. Widzą, że zastrasza, że dogaduje się z Merkel i Hollande’em. Widzą, że jego wrogowie giną na ulicach Moskwy.

Wkrótce od tych samych zachodnich przywódców, którzy w minionych dniach, tygodniach i latach tak wiele zrobili, by łagodzić Putina, posypały się oświadczenia wyrażające potępienie i zaniepokojenie z powodu zamordowania Borisa. Jeśli naprawdę chcieli uczcić mojego nieustraszonego przyjaciela, powinni w jak najmocniejszych słowach oznajmić, że dopóki Putin jest u władzy, Rosja będzie traktowana – zgodnie ze stanem faktycznym – jak zbrodniczy, bandycki reżim. Zerwijcie fikcyjne negocjacje. Sprzedawajcie Ukrainie broń, która podwyższy polityczny koszt agresji Putina do poziomu, którego nie będzie on w stanie ponieść. Powiedzcie wszystkim rosyjskim oligarchom, że ich pieniądze na Zachodzie nie będą nigdzie bezpieczne, dopóki oni służą Putinowi.

Dotychczasowa reakcja nie jest obiecująca – i mam już dość pisania o tym. W wielu typowych oświadczeniach wyrażających zaniepokojenie i potępienie zawarte jest wezwanie do Putina, by „wymierzył sprawiedliwość” – taki apel można

w zasadzie uznać za sarkazm. Z niewytłumaczalnych powodów zachodnie media ciągle stanowią trybunę dla kadr propagandzistów Putina i nie kwestionują ich bezczelnych kłamstw.

Możemy nigdy się nie dowiedzieć, kto zabił Borisa Niemcowa, wiemy jednak, że im szybciej Putin odejdzie, tym większe są szanse, że unikniemy chaosu i przemocy, których obawiał się Boris. Tę szansę Rosja i świat muszą wykorzystać.

\*

Patrząc wstecz na karty historii, widzimy, że po okresach wielkich konfliktów konieczne były wielkie zmiany struktur istniejących między państwami. W 1648 roku pokój westfalski po wojnie trzydziestoletniej dał początek współczesnej epoce w dziejach Europy. Wojnę o sukcesję hiszpańską zakończył w 1713 roku pokój w Utrechcie. W 1815 roku kongres wiedeński nakreślił nową mapę Europy po klęsce Francji Napoleona. Na kongresie berlińskim w 1878 roku ponownie przywrócono równowagę po wojnie rosyjsko-tureckiej. Pod koniec dziewiętnastego wieku panowało ogólne przekonanie, że ten ład doprowadzi do złotego wieku pokoju. Utopijna i pacyfistyczna literatura wyrażała marzenie o świecie bez granic – aż do początku pierwszej wojny światowej.

Po pierwszej wojnie światowej mieliśmy traktat wersalski i utworzenie Ligi Narodów. Liga była porażką, a niechęć do zaakceptowania tego faktu doprowadziła do drugiej wojny światowej. 5 marca 1946 roku w Fulton w stanie Missouri w swoim słynnym „przemówieniu o żelaznej kurtynie” Winston Churchill mówił o nowych zagrożeniach wolności, tym razem płynących ze strony komunizmu. Prawie nikt o tym nie pamięta, ale Churchill ostrzegał również przed tym, że nowo powstała Organizacja Narodów Zjednoczonych może zawieść pokładane w niej oczekiwania.

Churchill mówił o tej nowej organizacji: „Musimy się upewnić, że jej praca owocuje, że jest rzeczywistością, a nie udawaniem, że jest motorem działania, a nie tylko biciem piany słów, że to prawdziwa świątynia pokoju, w której może jakiegoś dnia tarcze wielu narodów zawisną w górze, a nie tylko nadbudówka wieży Babel”<sup>92</sup>. Niestety, proroctwa Churchilla stały się faktem i dziś mamy problem

z przestarzałą organizacją, która zrodziła się po drugiej wojnie światowej, by zapobiec nuklearnemu starciu między supermocarstwami. Nastawiona na wieczny impas dawna zimnowojenna dyplomacja nie pomoże nam przeciwko zamachom samobójczym i wojnie hybrydowej. Zamiast organizacji, której celem istnienia jest zamrażanie konfliktów, potrzebna nam jest taka, która będzie potrafiła zaoferować realne rozwiązania oparte na współczesnych wartościach.

Trzeba również rozmawiać o wspólnej interwencji militarnej dla obrony ludzkiego życia i większego dobra. Należy bronić zapisanych w nowej *Magna Carta* wartości ludzkiego życia i wartości ludzkiej wolności, jak gdyby to były granice – bo też te wartości są granicami. Są granicami w czasie i przestrzeni, oddzielającymi tych, którzy chcą żyć we współczesnym świecie, od tych, dla których współczesność jest śmiertelnym zagrożeniem.

Opowiadam się za powrotem do wielu zasad i strategii, które były dominujące na Zachodzie w czasie zimnej wojny. Nie znaczy to jednak, że chcę cofnąć wskazówki zegara. Jak mówi Biblia: „Nikt też młodego wina nie wlewa do starych bukłaków. W przeciwnym razie wino rozerwie bukłaki; i wino przepadnie, i bukłaki”<sup>93</sup>. Nie możemy wlewać współczesnego wina globalizacji i wielobiegunowego świata do starych bukłaków niedzisiejszych zimnowojennych instytucji i przepisów. Czasy się zmieniają. Okoliczności się zmieniają. Instytucje muszą się zmieniać. Jednak nasze wartości zmieniać się nie mogą.

\*

Co należy zrobić? Każda sytuacja, każdy kryzys wymaga oczywiście czego innego. Przesunięcie jednego pionka zmienia całą pozycję. Dlatego właśnie często mówię, że opowiadam się za zasadami, a nie konkretnymi strategiami. Kiedy ma się solidne zasady i cały świat wie, jakie to zasady, wówczas na ogół dużo łatwiej rozwijać i wprowadzać w życie konkretne strategie.

Kształtowanie strategii jest rzeczą przywódców, tych, którzy są odpowiedzialni za swoich obywateli. Rzeczą przywódców jest zasięgnięcie rady ekspertów, określanie własnych opcji, zastanawianie się nad konsekwencjami, rozważanie



plusów i minusów rozwiązań krótko- i długoterminowych. Podawanie zaleceń w sytuacji, w której nie ma się władzy umożliwiającej ich wprowadzenie ani nie jest się za nie odpowiedzialnym, to luksus, na który nikt nie powinien sobie pozwalać. Postępować w ten sposób można z powodu najgorszego rodzaju pozerstwa i głupoty. Mam jednak świadomość, że taka reakcja, jakkolwiek może być szczerą i trafną, jest również formą uniku. Nikt by chyba nie chciał takiego lekarza, który zdiagnozowałby u niego śmiertelną chorobę, po czym uchyliłby się od wskazania leczenia.

Jest wiele kroków, do których podjęcia potrzeba tylko odwagi i woli. Jednym z nich jest globalna *Magna Carta* – dokument prowadzący do utworzenia organizacji demokratycznych narodów zjednoczonych, która stałaby na straży Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i dbałaby o jej egzekwowanie. Kraje demokratyczne mogą już teraz podejmować kroki w celu obrony i wsparcia ludzi atakowanych przez dyktatorów, ciemieżców i podróżników w czasie. Wolny świat posiada niewyobrażalne zasoby i potęgę, których trzeba użyć, by pomóc przyłączyć się do nas ludziom pozbawionym wolności – albo to wszystko okaże się zmarnowane.

Kolejnym powodem, dla którego zalecenia dotyczące konkretnej strategii są niezadowolające, jest to, że stają się one nieuchronnie nieaktualne albo całkowicie przestarzałe. Na przykład w ciągu wielu lat stworzyłem długą listę rzeczy, które należy zrobić w odpowiedzi na dyktaturę Władimira Putina. Nawet teraz, kiedy Putin dowiódł słuszności moich najgorszych obaw i wszyscy dokoła mówią mi, że miałem rację, jedynie nieliczne z tamtych zaleceń zostały wprowadzone w życie. Inne z kolei wprawdzie zastosowano, na przykład sankcje i wykluczenie Rosji z grupy G7, jednak zbyt nieprzekonująco lub zbyt wolno, by miały tak powstrzymujące działanie, o jakie mi chodziło.

Większość konkretnych propozycji, które zgłaszałem niemal rok temu w odniesieniu do dyktatur, Putina i Ukrainy, pozostaje w mocy i w całej tej książce nieustannie o nich wspominać. Należy izolować dyktatury, które wykorzystują politykę angażowania jako wsparcie dla stosowanego przez siebie ucisku. Traktować prawa człowieka i wartość ludzkiego życia jako podstawę polityki,

w tym także polityki zagranicznej. Nie wyklucza to prowadzenia negocjacji ani wymiany handlowej w ramach wyznaczonych przez pewne kryteria, ale o jednym nie wolno zapomnieć: że dopóki będą trwać represje, dopóty te kontakty będą ściśle ograniczone.

Ukrainy należy bronić tak, jakby była sąsiadem każdego wolnego kraju na świecie. Oznacza to zapewnienie jej broni, która pozwoli jej strzec własnych granic, oraz pomocy finansowej, by ustabilizować jej gospodarkę, którą Putin tak usilnie stara się zniszczyć. Przyjrzyjmy się temu, co Ameryka i Europa dostają z Rosji – ropę, gaz, linie zaopatrzenia – i opracujmy warianty zastępcze. Oto dlaczego Putin boi się eksploatacji złóż gazu łupkowego i wykorzystywania innych technologii, które zmniejszają zależność Zachodu od rosyjskiego eksportu surowców energetycznych. A mimo to nawet w tym tygodniu, w którym pisałem te słowa, pod koniec kwietnia 2015 roku, podano wiadomość, że Pentagon zwrócił się do Kongresu o zgodę na wykorzystywanie silników rakietowych produkcji rosyjskiej. Skoro wiodące państwa wolnego świata zdają własny potencjał wojskowy na łaskę i niełaskę złych ludzi, to jaką nadzieję mogą mieć ofiary tych złych ludzi?

Jeśli kogoś nie przekonuje odwoływanie się do moralności i wartości, to niech weźmie pod uwagę, że Ameryka naprawdę ma na Ukrainie żywotne interesy. Jako największa gospodarka świata, potęga militarna i konsument energii Stany Zjednoczone odnoszą ogromne korzyści z globalnej stabilności. (Podczas gdy wielcy zacofani eksporterzy paliw, tacy jak Rosja, korzystają z niestabilności, która na ogół powoduje wzrost ceny ropy). Nawet jeśli ktoś jest cynicznym realistą albo skrajnie liberalnym izolacjonistą, powinien uznać, że mniej kosztowne i bardziej praktyczne będzie zajęcie stanowiska w sprawie Ukrainy teraz niż pozostawienie spraw własnemu biegowi, by później musieć nieustannie się martwić, czy nie będzie konieczne jeszcze mocniejsze amerykańskie zaangażowanie w krajach bałtyckich i w Polsce, które są członkami NATO. Utrzymanie silnego globalnego parasola amerykańskiego bezpieczeństwa jest dla Amerykanów, Europejczyków i wszystkich innych również dużo bezpieczniejsze niż zamknięcie tego parasola i zachęcanie przez to do szalonego szerzenia się działań wojskowych.

Warto pamiętać, że polityka ustępstw odzwierciedla ogólny klimat, a nie tylko osobistą słabość wybranych przez nas przywódców. Od Chamberlaina w 1938 roku po Obamę w roku 2015 ludzie dostają to, czego żądają – przez jakiś czas. Obywatele – zarówno ci szarzy, jak i ci z Wall Street – nagradzają polityków, którzy przynoszą atrakcyjne krótkoterminowe rezultaty, bez względu na to, jak złe są ich długoterminowe konsekwencje. Rzadko się zdarza, by jakiś polityk próbował mówić o szerszej perspektywie i długoterminowych konsekwencjach bezczynności, a jeśli już taki się pojawi, to niewielką otrzyma nagrodę, natomiast może się spodziewać licznych kar. Nikt nie wchodzi w hipotetyczne rozważania, jak gdyby dociekanie na temat przyszłości oznaczało stawianie pytań z ukrytym założeniem. Nie mając żadnych przewodnich strategii, których można by się trzymać, państwa demokratyczne przegrywają z oportunistycznymi dyktaturami, które potrafią działać dużo szybciej, bo nie wiążą ich żadne mechanizmy kontroli i równowagi ani nie grozi im pociągnięcie do odpowiedzialności przez społeczeństwo. Nie możemy czekać z działaniem, aż katastrofa już nastąpi. Ta postawa, którą wyrażały słowa: „obudźcie mnie, kiedy zajmą Polskę”<sup>94</sup>, była niemądra już w 1938 roku, a w roku 2015 jest jeszcze głupsza, ponieważ we wrześniu 1939 roku – kiedy nastąpił najazd na Polskę – i w ciągu sześciu kolejnych przerażających lat otrzymaliśmy lekcję, po której powinniśmy być mądrzejsi. Chamberlain przynajmniej nie miał podręczników historii, z których mógłby się dowiedzieć, co nastąpi w przyszłości.

Nie będę mówił, że dochodzimy do punktu krytycznego albo do rozwidlenia dróg, ponieważ tragedia już się dokonuje. Decyzje podejmowane przez przywódców wolnego świata – oraz przez wyborców, którzy na nich głosowali – wpłyną na to, jak wielka to będzie tragedia. Agresja Putina i ISIS zaskoczyła pogrążony w samozadowoleniu wolny świat, ale nie możemy już dłużej się tym tłumaczyć, a wciąż nie mamy planu działania. Wszystkich polityków ubiegających się o państwowe urzędy powinniśmy pytać, co zrobią, by świat był bezpieczniejszy. W świecie globalnej gospodarki i globalnej przemocy kandydatom i przywódcom nie można pozwalać chować się za lichą maską „priorytetów wewnętrznych”.

Niezależnie od tego, czy rzecz dotyczy Ukrainy, Syrii, Wenezueli, Jemenu czy Nigerii, wolny świat powinien być gotów podejmować działania wspierające ludzi chcących żyć w wolności, żyć bez lęku. I nie chodzi tylko o działania militarne, które należy podejmować, kiedy kryzys już wybuchł, lecz także o działania w zakresie edukacji, tworzenia, pomocy w budowaniu społeczeństw ceniących współczesne wartości. Nawet cynicy i izolacjoniści powinni przyznać, że postępowaniem dużo bardziej etycznym, ekonomicznym i skutecznym jest inwestowanie w zapobieganie biedzie, strachowi i niewiedzy, które często prowadzą do radykalizacji, niż karanie tej radykalizacji, kiedy już przybierze postać agresji. Każdy miliard dolarów wydany na budowę szkół, kształcenie nauczycieli i łączenie odosobnionych społeczeństw z resztą świata oszczędza dziesięć miliardów dolarów, które trzeba by wydać później na wojnę: kiedy kolejne pokolenie głodnych i złych młodych mężczyzn stanie się podatne na propagandę antynowoczesności, ponieważ nowoczesność nic dla nich nie zrobiła.

W 2013 roku w Nowym Jorku miałem zaszczyt uczestniczyć w szczycie Women in the World (Kobiety na świecie). Brałem udział w panelu razem z Phioną Mutesi, kilkunastoletnią mistrzynią szachową z Ugandy, jej trenerem Robertem Katende oraz Marisą van der Merwe, która jest współzałożycielką programu Moves for Life na rzecz wprowadzenia szachów do szkół w Republice Południowej Afryki. Trudno sobie wyobrazić bardziej odmienne życiowe doświadczenia niż te, które były udziałem tych dwóch niezwykłych kobiet, jednak historia życia ich obu świadczy o tym, jak ważna i jak potężna jest edukacja, szczególnie w świecie rozwijającym się.

Phiona pochodzi ze slumsów Katwe w Kampali, stolicy Ugandy. Wychowywała się w nędzy i strachu, jakie niewiele osób spośród naszej nowojorskiej publiczności potrafiło sobie choćby wyobrazić. Cud w życiu Phiony zdarzył się w dniu, w którym odkryła lokalny klub szachowy prowadzony przez Roberta: pokazało jej to, ile może osiągnąć w dziedzinie intelektu. Ważniejsze od tego, że talent szachowy pozwolił jej podróżować po świecie, jest to, że teraz Phiona planuje zostać lekarzem. To pierwszy i najpotężniejszy dar, jaki może dać edukacja: wiara w siebie, która

zmienia spojrzenie dziecka na tkwiący w nim potencjał. Bardzo niewiele dzieci może naprawdę się spodziewać, by sukcesy odnoszone przez nie w piłce nożnej czy jakiejś innej dyscyplinie sportowej znalazły ciąg dalszy w postaci edukacji czy kariery zawodowej w tej dziedzinie. Dotyczy to również szachów, jednak świadomość, że człowiek potrafi rywalizować, odnosić sukcesy i czerpać przyjemność z działalności wymagającej osiągnięcia pewnego poziomu intelektualnego, przenosi się na wszystko, czego się w życiu podejmuje.

Jeśli moje rozliczne podróże po całym świecie w związku z propagowaniem szachów w edukacji czegoś mnie nauczyły, to jest to przekonanie, że talent istnieje wszędzie. Pytanie polega na tym, jak dać mu szansę, by znalazł swój wyraz i rozkwitł. Taką szansę stwarza edukacja i jest to coś, czego niezwykle brakuje w zacofanych krajach – a szczerze mówiąc, również w części krajów rozwiniętych. Ten brak ma dalekosiężne i katastrofalne skutki. Edukacja to najskuteczniejszy sposób radzenia sobie z biedą i przemocą, a nawet rozwiązywania tak złożonych problemów, jak grupy terrorystyczne i brutalni watażkowie.

Programy, na które wydajemy miliardy dolarów, rozdając leki i żywność na terenach objętych ubóstwem, to oczywiście wspaniałe inicjatywy. Fundacje zwalczające choroby i głód w Afryce ocaliły niezliczoną liczbę istnień ludzkich. Wprawdzie życie to najcenniejszy dar, jednak nie wystarczy jedynie odegrać rolę czarodzieja o poranku, nie wystarczy stworzyć niebo, a zapomnieć o ziemi. Patrząc na punkty zapalne na mapie świata, widzimy, że kiedy dzieci nie mają dostępu do edukacji, wiele z nich, uratowanych dzięki zachodniej pomocy, zostaje skazanych na życie w nędzy i przemocy.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jest to oczywiście argument przeciwko dostarczaniu ratujących życie leków ani potępienie tych troskliwych ludzi i znakomitych programów, dzięki którym jest to możliwe. Jednak nie odwracamy się od tych dzieci, gdy tylko bezpiecznie się urodzą i dostaną jeść. Nie odwracamy się od nich nigdy. Spójrzmy na tych chłopców będących niewolnikami gangów narkotykowych i najprzeróżniejszych armii, na bezrobotnych młodych mężczyzn, którzy znajdują sobie cel i źródło dochodu w postaci prześladowania własnych

sąsiadów, na te dziewczęta i kobiety, które nieuchronnie stają się największymi ofiarami przemocy.

Jedynym lekiem, który może zwalczyć te plagi, jest bezpieczny i równy dostęp do sal lekcyjnych. Być może najlepszy dowód prawdziwości tego twierdzenia nadchodzi z drugiej strony, od brutalnych grup, które palą szkoły i z zimną krwią rozstrzelują uczennice. Rzadko się słyszy o skoordynowanych atakach na konwoje pomocy wiozące leki i żywność. Te rzeczy nie stanowią wielkiego zagrożenia dla talibów, regionalnych watażków czy skorumpowanych polityków kradnących środki, które mogłyby zostać przeznaczone na pomoc dla ich społeczeństwa. W końcu wszyscy oni: religijni fanatycy, najemnicy i armie, potrzebują zdrowych nowych członków.

Te zbiry jednego nie mogą znieść: kwitnącej edukacji – z godnym uwagi wyjątkiem w postaci wojowniczego nauczania religijnego, które często zamyka ludzkie umysły, zamiast je otwierać. Gardzą możliwością wykształcenia społeczeństwa, bo wiedzą, że w ciągu jednego pokolenia oznaczałoby to ich koniec. Dlatego talibowie nie tylko pozamykali szkoły w dolinie pakistańskiej rzeki Swat, w której mieszkała piętnastoletnia Malala Yousafzai – oni je zniszczyli. Nie tylko zakazali Malali chodzić do szkoły – oni do niej strzelali.

Edukacja w krajach rozwijających się oznacza o wiele więcej niż zadbanie o to, by zagrożone dzieci nie wychowywały się na ulicy. To jedyny sposób na stworzenie gospodarki, która może rywalizować w dwudziestym pierwszym wieku, zgodnie z wymogami globalizacji. Samo dbanie o zdrowie ciała nie wystarczy w sytuacji, kiedy cała ludność przenosi się ze wsi do miast i nawet rolnictwo staje się przedsięwzięciem z dziedziny najnowocześniejszych technologii. Umiejętność czytania i pisania nie może być luksusem, kiedy dostęp do internetu jest powszechniejszy niż dostęp do porządnej sieci wodociągowej.

Nawet najwięksi pragmatycy wiedzą, że pomoc w edukacji to dobra inwestycja. Dużo mniej kosztuje obrona i wykształcenie dzieci niż wysyłanie wojska i pocisków dalekiego zasięgu, żeby zabić ludzi, którzy z nich wyrosną, kiedy pozostawione same sobie zostaną zwerbowane przez zbirów do dzieła przemocy i terroru. Wykształcone

społeczeństwo jest mniej podatne na propagandę, a bardziej zdolne do wydawania z siebie przedsiębiorców i przywódców, którzy potrafią tworzyć możliwości ekonomiczne.

Istnieją programy oferujące dopłaty dla rolników uprawiających mak i kokę pod warunkiem zmiany zasiewów na mniej szkodliwe. Jest to tańsze i dużo mniej brutalne niż prowadzenie wojen narkotykowych na granicach z użyciem wojska i zwalczanie gangów na ulicach naszych miast. Dlaczego nie zainwestować w ten sam sposób w dzieci? Ileż szkół można by zbudować, ileż zaopatrzenia można by im zapewnić za pieniądze, które trzeba wydać na wyprodukowanie i eksploatację jednego drona? Iluż nauczycieli, instruktorów uczących zawodu i pracowników ochrony szkół można zatrudnić za pieniądze potrzebne na jedną akcję sił specjalnych?

\*

Działalność Fundacji Praw Człowieka (Human Rights Foundation) polega na wspomaganiu i jednoczeniu odważnych ludzi walczących o wolność jednostki i sprawiedliwość na całym świecie. Nasze doroczne Oslo Freedom Forum gromadzi setki dysydentów, aktywistów, filantropów, dziennikarzy i decydentów z całego świata. Celem tych spotkań jest to, by każdy ich uczestnik uczył się od innych i dzielił się z innymi, po czym mógł wrócić do swojego kraju z nowymi siłami i pomysłami.

W 2014 roku wręczałem naszą Nagrodę imienia Wáclava Havla za Twórczy Sprzeciw Nadzieździe Tołokonnikowej i Marii Ałochinie z Pussy Riot. Nie zdarza się to często, bym zgadzał się z reżimem Putina, ale w wypadku tych kobiet muszę zrobić wyjątek. Ich zadziwiające przedstawienie, wystawienie na pośmiewisko Putina, ich odwaga przeciwstawienia mu się swoją sztuką – to wszystko nie był zwykły tani wygłup, czego próbował dowodzić ich obrońca przed sądem. Był to akt polityczny, był to wyraz potężnej siły.

A ich proces w Moskwie nie był przejawem typowych prześladowań. Do swojego przetrwania dyktatury potrzebują strachu: ludzie muszą się ich bać, dlatego

dyktator nie może znieść tego, że ktoś z niego kpi. W odróżnieniu od większości obserwatorów Putin, obdarzony zwierzęcym instynktem dyktatora, natychmiast uświadomił sobie powagę zagrożenia. Konsekwencją był wyrok dwóch lat więzienia za występ, który trwał piętnaście minut.

Dlatego moje ostatnie zalecenie w zakresie polityki brzmi: słuchajmy tego, co mówią dysydenci, nawet jeśli nie podoba się nam to, co mają do powiedzenia. To oni ujawniają nam mroczne strony rzeczywistości naszego społeczeństwa, rzeczywistości, od której większość z nas się odwraca, bo może pozwolić sobie na taki luksus. Słuchajmy dysydentów, ponieważ ostrzegają nas przed zagrożeniami, które najpierw wymierzone są w mniejszości, a później nieuchronnie rozprzestrzenia się na większość. W każdym społeczeństwie są dysydenci, nie tylko w dyktaturach. Przemawiają w imieniu pozbawionych praw obywatelskich, lekceważonych i prześladowanych. Słuchajmy ich teraz, ponieważ mówią o tym, co ma dopiero nadejść.

Tytuł *Nadchodzi zima* to ostrzeżenie, a nie nieuchronna konkluzja. Dobrą stroną okresowego charakteru zmian politycznych i społecznych jest to, że możemy na nie wpływać, jeśli dostatecznie mocno się postaramy. Jeśli obudzimy się z samozadowolenia, w którym tkwimy, jeśli na nowo nauczymy się przeciwstawiać się dyktatorom i terrorystom, którzy zagrażają zbudowanemu przez nas współczesnemu światu, będziemy mogli zmienić swój kurs. Antynowoczesność to niebezpieczny wirus, a do usunięcia wirusa nie wystarczy ponowne uruchomienie czy też reset. Musimy zbudować oparty na wartościach system na tyle odporny, by oprzeć się wirusowi u siebie, na tyle mądry, by powstrzymać jego rozprzestrzenianie się, i na tyle śmiały, by pozbyć się go z miejsc, w których się rozwinął.

---

88 Václav Havel, *Time to Act on N. Korea*, „The Washington Post”, 18 czerwca 2004.

89 Victor Hugo, *Pracownicy morza*, przeł. Maria Kornilowicz, Warszawa 1955, s. 150 (przyp. tłum.).

90 Rzecznik prasowy Putina Dmitrij Pieskow wyraził się w ten sposób zaledwie parę godzin po zabójstwie. Putin powtórzył to następnego dnia.

91 Cały raport Niemcowa z 2011 roku zatytułowany *Putin. Corruption* jest dostępny online w języku rosyjskim i angielskim na stronie [\[link\]](#). Tysiące wydrukowanych egzemplarzy zostały oczywiście zatrzymane i zniszczone jako „materiały o charakterze ekstremistycznym”.

92 Przemówienie zatytułowane w rzeczywistości *Sinews of Peace* jest znane już na zawsze po prostu jako



„Przemówienie o żelaznej kurtynie”. Warto je przeczytać (albo go wysłuchać) w całości choćby po to, by z zachwytem przekonać się, jak Churchill, który słyszał ze stopniującej napięcie retoryki, w swoich przemówieniach z zapalem omawiał również szeroki wachlarz szczegółowych kwestii politycznych. Tekst i nagranie można znaleźć pod adresem: [\[link\]](#); polski tekst (przeł. Andrzej Gliwiński) jest dostępny pod adresem: [\[link\]](#).

93 Ewangelia według Świętego Marka 2, 22 (Biblia Tysiąclecia).

94 W rzeczywistości usłyszałem o tym od Billa Mahera w czasie prowadzonego przez niego programu *Real Time* 1 maja 2015 roku.

## Podziękowania

Ilekroć grozi mi zatonięcie w morzu ciekawych pomysłów i intrygujących okazji, pomaga mi moja żona Dasza, która pociąga mnie w odpowiednim kierunku. Ona wiedziała, że to właściwa książka we właściwym czasie.

Mam wielką nadzieję, że wszystko, co napisałem wyżej, jest wyrazem uznania dla wielu osób, które przez ostatnie dziesięć lat edukowały mnie i inspirowały na mojej drodze aktywisty broniącego praw człowieka, wobec tego wymienię tu tych, którzy sprawili, że ta edukacja i inspiracja przybrała postać książki.

Chris Parris-Lamb, mój agent w The Gernert Company, już od pierwszego dnia zrobił na mnie ogromne wrażenie swoim przygotowaniem i energią. Jego wkład w połączeniu z pracą naszego redaktora z PublicAffairs, Benjamin Adamsa, okazał się kluczowy, by szybko ustalić, w jaki sposób przekształcić gmatwaninę pomysłów, opowieści, wspomnień, analiz, bieżących wydarzeń i opinii w spójną historię niosącą pewne decydujące przesłanie.

Twórca PublicAffairs, Peter Osnos, ma świetnego nosa do nowin i jego entuzjastyczne poparcie dla tej książki było dla mnie potężną zachętą.

Szczególne podziękowania kieruję pod adresem George'a R.R. Martina za jego cudowną serię książkową *Pieśń lodu i ognia* oraz powstały na jej podstawie serial telewizyjny nakręcony przez HBO *Gra o tron*, który był inspiracją tytułu niniejszej książki. Putin w dużym stopniu może przypominać Tywina Lannistera, jednak biorąc pod uwagę, jak często postacie tej sagi spotyka straszliwy los, mam uzasadnione powody, by powstrzymać się od porównywania samego siebie do którejkolwiek z nich!

## O autorze



Zdjęcie Garri Kasparowa © Igor Khodzinskiy

Garri Kasparow – były szachowy mistrz świata, obecnie działacz na rzecz praw człowieka, autor i ceniony mówca. Jego wykłady oraz seminaria dotyczące strategicznego myślenia, innowacyjności oraz maksymalizacji ludzkiej wydajności cieszą się międzynarodowym uznaniem. Często publikuje na łamach „Wall Street Journal”. Autor niezliczonych artykułów i opracowań, a także przełożonych na kilkanaście języków książek: *Jak życie naśladuje szachy* i *Ostatni bastion umysłu*. Członek rady wykonawczej Fundacji Odpowiedzialnej Robotyki oraz pracownik naukowy w Oxford Martin School, gdzie skupia się na badaniach interdyscyplinarnych związanych ze współpracą człowiek–maszyna oraz procesami decyzyjnymi wspomaganymi sztuczną inteligencją.



Jeśli spodobała ci się powieść **Gambit królowej** Waltera Tevisa lub oparty na niej serial Netfliksa, to powinieneś koniecznie przeczytać **Ostatni bastion umysłu!**

To pasjonująca książka **arcymistrza szachowego Garriego Kasparowa**, specjalnego konsultanta wspomnianego serialu. Píše w niej o szachach, grze mistrzów, psychologii szachowych zmagani, inteligencji (ludzkiej i sztucznej), a także zdradza niesamowite kulisy najslawniejszych pojedynków człowieka z maszyną: dwóch meczów szachowych **Kasparow – IBM Deep Blue**.

 **Insignis**